

ESHKOL NEVO

DO NASTĘPNYCH
MISTRZOSTW

czterech przyjaciół, trzy życzenia, jedna historia

ESHKOL NEVO

Do następnych mistrzostw

przełożył z angielskiego
Wojciech Górnaś

Warszawskie Wydawnictwo Literackie MUZA SA

22 czerwca 2002

Do wszystkich zainteresowanych

1. Pierwszego czerwca 2002 roku rodzina pana Juwala Frida zwróciła się do mnie z prośbą, żebym odebrał jego rzeczy z posterunku policji przy ulicy Dizengofa w Tel Awiwie. Wydała mi je pani Ester Loel, administratorka biura przedmiotów osobistych. Wśród tych rzeczy znajdował się plik papierów w foliowej torbie. Pan Frid nigdy nie informował mnie ani innych znajomych, że próbuje swoich sił w pisaniu, więc przyjąłem, że wspomniane papiery muszą zawierać jakieś jego przekłady (zarabiał tłumaczeniami, które zamawiali u niego studenci). Wbrew przewidywaniom nie znalazłem jednak ani numeru telefonu zleceniodawcy, ani angielskiego tytułu na pierwszej stronie tekstu. Piszę o tym, żeby wyjaśnić, czemu uznałem za konieczne poświęcenie kilku godzin na przejrzanie pliku kartek. Nie zrobiłem tego z wścibstwa, tylko z poczucia, że należy za wszelką cenę ustalić, komu powinno się oddać tekst.
2. Po pobieżnej lekturze stało się jasne, że nie jest to przekład, lecz oryginalny tekst autorstwa samego pana Frida. Dokładniejsze zapoznanie się z tymi papierami wykazało, że mam do czynienia z książką zatytułowaną *Do następnych mistrzostw*, nad którą pan Frid pracował przez ostatni rok i której głównymi bohaterami są jego trzech przyjaciele i on sam. Ojciec pana Frida w rozmowie telefonicznej potwierdził, że jego syn miał zamiar wydać książkę i że już uzgodnił wszystko z drukarnią Efroni w Hajfie, należąca do jego rodziny. Ojciec poinformował mnie, że przed publikacją należało książkę zadiustować i że wedle jego wiedzy syn miał zamiar powierzyć to zadanie niżej podpisanemu.
3. Gwoli jasności muszę stwierdzić, że nie jestem wcale pewien, czy ojciec pana Frida nie omylił się, sądząc, że autor widział w roli redaktora właśnie mnie. Im dokładniej czytam książkę, tym bardziej mnie to konfunduje: czemu pan Frid postanowił poprosić o adiustację jednego z bohaterów książki, i to tego, którego przedstawił w jak najgorszym świetle? W każdym razie jako że sam autor nie może wyjaśnić, czy ojciec rzeczywiście przekazał mi jego intencję, i ponieważ jako przyjaciel uważałem za niezwykle ważne, by przygotować książkę w terminie, podjąłem się – aczkolwiek niechętnie – powierzonego mi zadania.
4. Pokusa dokonania zmian w tekście była silna. Ja, niżej podpisany, zostałem tam – jak wspomniano – ośmieszony. Przypisuje mi się kompromitujące i ostre słowa, a co gorsza, książka roi się od nieścistości, które jako prawnik –

w innej sytuacji – mógłbym łatwo wykorzystać do wytoczenia procesu. Ostatecznie jednak zdecydowałem się powstrzymać i ograniczyć swoje zmiany do minimum, a to z dwóch powodów. Po pierwsze, mimo owych nieścisłości i mimo nadużywania licentia poetica przez autora w całym tekście wyczuwa się autentyczność i bałem się, że moje ewentualne zmiany mogłyby pozbawić książkę tego waloru. Po drugie, poprawianie tekstu bez możliwości autoryzacji zmian byłoby nadużyciem zaufania autora, a ponieważ w okresie naszej przyjaźni dopuściłem się już jednej zdrady wobec pana Frida, nie chciałem go dodatkowo krzywdzić.

5. Niezależnie od opisanych powyżej czynników musiałem dokonać pewnych poprawek w ramach powierzonego mi zadania adiustacji. Były to przeważnie zmiany kosmetyczne: zamiana przecinka na kropkę, kropki na dwukropek, przeredagowanie zdania o niepoprawnej konstrukcji itd. Tylko w jednym miejscu pozwoliłem sobie na skorygowanie faktów; na stronie 4 pojawia się informacja, że w roku 1994 w finale mistrzostw świata w piłce nożnej Niemcy grały z Brazylią. Wieloletnia przyjaźń z panem Fridem pozwala mi mieć pewność, że nie życzyłby on sobie, by ta ewidentna pomyłka znalazła się w ostatecznej wersji książki.
6. Z wyjątkiem tej poprawki, trzech drobnych komentarzy i krótkiego epilogu, który dodałem, cała książka jest dziełem pana Juwala Frida, mego serdecznego przyjaciela, i on ponosi za nią pełną odpowiedzialność.

mecenas Joaw Alimi (Churchill)

To był pomysł Amichaja. To jemu zawsze przychodziły do głowy takie rzeczy, chociaż dyżurnym facetem od pomysłów był w naszej paczce Ofir, tyle że Ofir marnował całą inwencję na pisanie haseł reklamowych krakersów i banków, więc kiedy się spotykaliśmy, to korzystał z okazji, żeby pobyć małomównym nudziarzem. Odzywał się półsłówkami i tylko jak sobie czasem za dużo wypił, ścisnął nas i mówił: jakie to szczęście, że mamy siebie, nie macie pojęcia, jakie to szczęście. Za to Amichaj sprzedawał ludziom chorym na serce abonament na Telemed i chociaż zdarzało mu się przy tym usłyszeć wspaniałe historie, zwłaszcza od ocalałych z Holocaustu, to raczej nie można powiedzieć, żeby ta praca dawała mu radość czy satysfakcję. Co kilka miesięcy ogłaszał, że rzuca Telemed i idzie na kurs shiatsu, ale coś mu zawsze przeszkodziło. Dali mu podwyżkę. Innym razem samochód służbowy. Potem ożenił się z Ilaną Płaczką. Potem urodziły mu się bliźniaki. Dlatego cała radość życia, która w nim buzowała, a której nie mógł uwolnić ani podczas rozmów z chorymi na serce starszankami, ani w łóżku z Ilaną, wybuchała na spotkaniach z nami, z trójką jego najlepszych przyjaciół, przybierając formę różnych świetnych pomysłów: a to żeby pojechać nad Jezioro Tyberiadzkie i uczcić dziesiątą rocznicę naszego wypadu do tamtejszego aquaparku Luna Gal, a to żeby zgłosić się do konkursu karaoke i opracować wersję a cappella piosenki Beatlesów. „Czemu Beatlesów?”, spytał Churchill, i to takim tonem, że od razu było wiadomo, co z tego wyjdzie. „A dlaczego nie? Nas też jest czterech”, odpowiedział Amichaj, chociaż słyhać było po jego głosie, że rozumiał: ten pomysł nie przejdzie, jak i wszystkie poprzednie. Kiedy Churchill nie poparł jakiejś inicjatywy, raczej nie miała ona szans. A kiedy chciał kogoś zmiażdżyć, robił to tak łatwo i skutecznie, że zaczynałeś współczuć prawnikom, którzy musieli mu stawiać czoło w sądzie. To właśnie Churchill założył w szkole naszą bandę. Nawet nie to, że „założył”, właściwie raczej my skupiliśmy się wokół niego, jak zbłąkane owieczki. Każda mina na jego szerokiej twarzy, każda rozwiązana sznurówka w tenisówkach, nawet sposób chodzenia – z tego wszystkiego było przekonanie o własnej wartości. Widać było, że Churchill ma jakiś wewnętrzny kompas. Wszyscy w tamtych czasach udawaliśmy pewnych siebie, ale on jako jedyny nie musiał. Dziewczyny aż przebierały nogami, kiedy przechodził, mimo że nie miał urody amanta; wybraliśmy go zgodnie na kapitana klasowej drużyny piłkarskiej, chociaż byli lepsi zawodnicy. Właśnie przy okazji gry w piłkę powstało jego przezwisko. Przed półfinałem szkolnych mistrzostw, w którym graliśmy przeciwko starszej klasie, zebrał nas i wygłosił przemówienie, żeby nas zagrzać do walki: że mamy przelać krew, pot i łzy. Kiedy skończył, prawie płakaliśmy. W czasie meczu daliśmy z siebie wszystko, walczyliśmy do upadłego, przewracaliśmy się na asfalt, a i tak przegraliśmy trzy zero z powodu błędów, które zrobił sam Churchill: raz kopnął piłkę do napastnika przeciwnej drużyny, raz nie udało mu się przyjąć podania na środku boiska, a

w końcu, jakby tego było mało, strzelił genialnego samobójca – próbował podać piłkę do naszego obrońcy, a kopnął ją prosto do bramki, na której stałem.

Po meczu nikt się na niego nie złościł. Jak można było złościć się na kogoś, kto zaraz po ostatnim gwizdku zebrał wszystkich pośrodku boiska i ze spuszczonego wzrokiem powiedział, że sam jest wszystkiemu winien? Jak można się było gniewać na gościa, który – żeby nam to wynagrodzić – zabrał całą drużynę na mecz Makabi Hajfa, a wszyscy wiedzieli, że płaci z własnej kieszeni, bo jego rodzice nie mają kasy? Jak można było się wściekać na kogoś, kto wkłada całe serce i duszę w pisanie życzeń urodzinowych, kto potrafi tak uważnie słuchać, kto jedzie aż na pustynię Negew, żeby cię odwiedzić podczas obozu z przysposobienia obronnego, kto pozwala ci mieszkać u siebie przez trzy miesiące, póki nie znajdziesz mieszkania w Tel Awiwie, i upiera się, że masz spać w jego łóżku, a on będzie spał na wersalce?

Nawet po tej historii z Ja'arą nie potrafiłem się na niego gniewać. Wszyscy byli przekonani, że się wścieknę, że dostanę furii. Amichaj zadzwonił do mnie, jak tylko się dowiedział.

– Churchill spieprzył sprawę, ale mam pomysł. Chodźmy zagrać w paintball i we trzech upieprzymy go całego farbą. Damy mu popalić. Już z nim rozmawiałem i się zgadza. Wchodzisz w to?

Ofir wyszedł ze spotkania w sprawie kampanii reklamowej trzywarstwowego papieru toaletowego, tylko po to, żeby mi powiedzieć:

– Stary, jestem z tobą. Masz pełne prawo się wpieniść, ale błagam, nie rób nic, czego byś potem żałował. Nawet sobie nie wyobrażasz, jakie to szczęście, że mamy siebie nawzajem.

Prawda jest taka, że nawet by nie musieli prosić. I tak nie potrafiłem wzbudzić w sobie gniewu. Jednego wieczora wręcz pojechałem do Churchilla, bo myślałem, że dramatyzm takiej sytuacji rozpali we mnie ogień, przez całą drogę powtarzałem „dupek, co za dupek”, ale kiedy już dotarłem pod jego dom, wcale nie miałem ochoty wchodzić na górę. Może gdybym zobaczył jego sylwetkę w oknie mieszkania, to ręce same zacisnęłyby mi się w pięści. A ja tylko siedziałem w samochodzie, na przemian spryskiwałem przednią szybę i włączałem wycieraczki, póki pierwszy długi promień słońca nie padł na kolektor do ogrzewania wody w zbiorniku na dachu. Wtedy odjechałem. Nie wyobrażałem sobie, że mógłbym uderzyć Churchilla. Mimo że sobie na to zasłużył. Mimo że kiedy podczas ostatniego Pucharu Świata spisaliśmy wspólnie nasze życzenia, to moje – wszystkie trzy – miały związek z Ja'arą.

Te życzenia to był pomysł Amichaja.

Kiedy Emmanuel Petit strzelił trzecią bramkę i stało się jasne, że to Francja zdobędzie puchar, a w powietrzu zawisło rozczarowanie, bo wszyscy kibicowaliśmy

Brazylii; kiedy zjedliśmy wszystkie upieczone przez Ilanę burekasy o smaku jej łez, rozbiliśmy wszystkie orzechy, a na stole została już tylko jedna częśćka melona i jeden kawałek fety, po które każdy się krępował sięgnąć, wtedy Ofir powiedział:

– Wiecie co? Właśnie sobie uświadomiłem, że to piąte mistrzostwa, które razem oglądamy.

A Churchill na to:

– Coś źle liczysz, najwyżej czwarte.

Więc zaczęliśmy liczyć wspólnie:

Meksyk 86 – oglądaliśmy go razem w domu ojca Ofira w Tiwonie. I gdy biedna, naiwna Dania przegrała pięć jeden z Hiszpanią, Ofir się całkiem popłakał, a jego ojciec powiedział, że tak to jest, jak chłopaka wychowuje matka. Finał mistrzostw w 1990 oglądaliśmy rozsiani po różnych miejscach, ale na półfinał spotkaliśmy się wszyscy u Amichaja. Nikt z nas nie pamięta, kto z kim grał, bo jego młodsza siostra cały czas chodziła po domu w kusej czerwonej koszulce nocnej, a nam, żołnierzom, jakoś nie wychodziło patrzenie w ekran telewizora. W 1994 byliśmy studentami i telawiwczykami. Pierwszy do wielkiego miasta przeprowadził się Churchill, a my za nim, bo chcieliśmy być razem, no i Churchill powiedział, że to jedyne miejsce, gdzie można być tym, kim się chce.

– Ale przecież mistrzostwa w dziewięćdziesiątym czwartym oglądaliśmy w szpitalu Rambam w Hajfie – przypomniał sobie Ofir.

– No tak – potwierdziłem.

W środku lata, w domu u rodziców, miałem najgorszy atak astmy w życiu. Podczas szalonej i histerycznej jazdy do szpitala chwilami byłem pewien, że umieram. Kiedy już mnie naszpikowali kroplówkami i zastrzykami i założyli mi maskę tlenową, lekarze powiedzieli, że mam przez kilka dni zostać na obserwacji.

Nazajutrz był finał. Włochy z Brazylią. Churchill w tajemnicy przede mną zebrał chłopaków, wsadził ich do swojego poobijanego garbusa, po drodze wstąpili do naleśnikarni w Kfar Witkin, żeby kupić moją ulubioną brzoskwiniową mrożoną herbatę i kilka butelek wódki, bo wtedy pozowaliśmy na jej wielkich amatorów, i dziesięć minut przed pierwszym gwizdkiem wparowali do sali, na której leżałem (przekupili ciecica butelką keglevicha, kiedy nie chciał ich wpuścić, bo było już po godzinach odwiedzin). Omal nie dostałem następnego ataku, jak ich zobaczyłem. Ale udało mi się uspokoić, wziąłem kilka głębokich wdechów z przepony, a potem na telewizorku wiszącym pod sufitem obejrzeliliśmy, jak Brazylia zdobywa puchar świata po stu dwudziestu minutach plus karne.

– No a teraz mamy dziewięćdziesiąty ósmy – podsumował Churchill. – Razem cztery Puchary Świata.

- Całe szczęście, że się nie zakładałem – powiedział Ofir.
- Największe szczęście, to że w ogóle jest Puchar Świata – dodałem.
- Bo dzięki temu czas nie jest monolitem, tylko dzieli się na kawałki: co cztery lata możemy się zatrzymać i zobaczyć, co się zmieniło.
- Niesamowite – stwierdził Churchill. Zawsze pierwszy rozumiał, o co mi chodzi, kiedy wyskakiwałem z takimi dywagacjami. Czasem tylko on jeden.
- A wiecie, dlaczego jeszcze mamy szczęście? Bo mamy siebie – rzekł Ofir.
- Nawet nie mamy pojęcia, jakie to szczęście – dokończyliśmy jego powiedzonko.
- Człowieku, nie wiem, w jaki sposób taka cipa jak ty może przeżyć z tymi wszystkimi facetami od reklamy – stwierdził Churchill, a Ofir się roześmiał:
- Tak to jest, jak chłopaka wychowuje matka.

A na to Amichaj:

- Mam pomysł.
- Poczekaj, na razie obejrzymy, jak podnoszą puchar – przerwał mu Churchill w nadziei, że jak już ceremonia się skończy, to Amichaj nie będzie pamiętał, co chciał powiedzieć.

Ale Amichaj nie zapomniał.

Czy wiedział, że to, co zaproponuje, stanie się prawdziwym proroctwem, które będzie nas prześladowało przez najbliższe cztery lata i – co najdziwniejsze – nie straci swej mocy?

Pewnie nie. Pod maską miłego i uległego człowieka krył się uparciuch. Jego determinacja kazała mu godzinami słuchać klientów, którym chciał sprzedać Telemed, dzięki niej umiał układać na balkonie puzzle z tysięcy kawałków i biegać dziesięć kilometrów dziennie. Bez względu na pogodę. Przypuszczam, że to przede wszystkim determinacja kazała mu odczekać, aż Didier Deschamps wzniesie nad głowę puchar i tłum zafaluje.

– Pomyślałem – dokończył Amichaj – że każdy z nas powinien napisać na karteczce, gdzie chciałby być za cztery lata. W sensie prywatnym, zawodowym, każdym. Przy następnym finale wyciągniemy karteczki i porównamy je z rzeczywistością.

– Fenomenalny pomysł! – zawołała z kuchni Ilana Płaczka.

Wszyscy spojrzeli w jej stronę. Przez te wszystkie lata, kiedy ją znaliśmy, nikt nigdy nie widział, żeby cokolwiek ją tak podekscytowało. Zawsze miała ten sam mdły wyraz twarzy (nawet na swoim ślubie; to dlatego na wideo z wesela jest tak dużo Amichaja tańczącego swój ulubiony taniec – który polega na klepaniu się po brzuchu – a tak mało jej) i zwykle kiedy byliśmy u Amichaja, po kilku minutach się od nas odłączała i zaszywała gdzieś w kącie z książką. Prawie zawsze była to jakaś praca z psychologii, coś

o współzależnościach między depresją i lękiem. Przyzwyczajaliśmy się do tej nienachalnej obecności Ilany i do jej chłodu w stosunku do Amichaja – a tu nagle taki entuzjazm?

Wychynęła ze swojej kryjówki i podeszła do nas.

– Właśnie czytam pracę amerykańskiego psychologa, który twierdzi, że właściwe zdefiniowanie celu to połowa sukcesu. Następne mistrzostwa są za cztery lata, tak? Czyli będziecie mieli po trzydzieści dwa. To dokładnie wiek gipsowy.

– Wiek gipsowy?

– Pojęcie, którego używa ten psycholog. Czas, kiedy osobowość twardnieje i zachowuje nadaną jej formę, jak gips.

Odczekała chwilę, żeby zobaczyć, jaki efekt wywarły jej słowa, po czym zawiedziona odwróciła się i wróciła do swojej kryjówki.

Amichaj zerknął na nas. Nie mogliśmy mu sprawić zawodu, skoro już raz udało się wzbudzić entuzjazm Ilany. Nie mogliśmy ostatecznie pogrzebać jego nadziei na to, że kiedyś w końcu ją uszczęśliwi.

– Dobra, przynieś papier – powiedziałem.

– Ale ustalmy jakieś zasady – zarządził Churchill. – Każdy pisze trzy rzeczy. Trzy krótkie zdania. Inaczej będziemy pisać bez końca.

Amichaj podał nam trzy grube książki psychologiczne jako podkładki, do tego kartki i długopisy.

Nie miałem trudności z pierwszym życzeniem. Pojawiło się gotowe w mojej głowie, w momencie kiedy Amichaj wyskoczył ze swoim pomysłem.

1. Podczas następnych mistrzostw chcę dalej być z Ja'arą.

Ale po pierwszym punkcie utknąłem. Próbowałem wyobrazić sobie, czego jeszcze mógłbym chcieć. Usiłowałem nadać marzeniom szerszą perspektywę, ale moje myśli wciąż wracały do Ja'ary, jej karmelowych włosów, delikatnych, smukłych ramion, jej zielonych oczu w obwódkach okularów; gdy je zdejmuję, to wiem, że zaraz będziemy...

Poznaliśmy się dwa miesiące wcześniej w kawiarni na wydziale nauk społecznych. Przyszła na początku przerwy obiadowej z dwoma chłopakami, niosła wielką tacę z małą butelką soku grejpfrutowego. Trzymała się prosto, szła sprężystym krokiem, w rytm którego kołysały się jej karmelowe włosy związane w kucyk, jak gdyby się spieszyła, by być już w innym miejscu; ci dwaj zaś człapali za nią ciężko w stronę stolika. Nie mogła sobie poradzić z otwarciem soku, ale nie poprosiła o pomoc. Rozmawiali o przedstawieniu, na którym byli poprzedniego wieczora. A raczej ona mówiła, bardzo

szybko, a oni na nią patrzyli. Dowodziła, że sztuka byłaby dużo lepsza, gdyby reżyser wykazał odrobinę więcej inwencji.

– Na przykład scenografia – rzekła i pociągnęła łyk soku. – Czemu w tym kraju scenografia zawsze wygląda tak samo? Nie mogliby wymyślić czegoś oryginalniejszego niż stół, stojący wieszak i fotel z targu staroci?

Potem mówiła o muzyce i o tym, że reżyser mógłby wydobyć z aktorów o wiele więcej, gdyby naprawdę żył swoją pracą i ją kochał. Dobitnie zaakcentowała obie sylaby w „kochał” i położyła dłoń na bluzce.

– Taaak – zgodził się ten siedzący naprzeciwko niej, ale nie odrywał wzroku od jej bluzki.

– Masz absolutną rację, Ja’ara – dodał drugi.

Potem obaj wstali i poszli na zajęcia, a ona została sama przy stoliku i nagle, przez ułamek sekundy, wydała się mała i samotna. Wyjęła z torby jakieś notatki, małym palcem poprawiła okulary, skrzyżowała nogi i zatopiła się w lekturze. Przed przewróceniem strony lekko dotykała palcem do języka, a ja patrzyłem na nią i myślałem sobie, że to niewiarygodne, jak seksowny może być taki gest, gest bibliotekarki, w wykonaniu odpowiedniej dziewczyny. I zastanawiałem się, jak wygląda ta poważna buzia, gdy jej właścicielka wybucha śmiechem. I czy ma dołeczki w policzkach. I myślałem, że nigdy się nie dowiem, bo nie starczy mi tupetu, żeby zacząć rozmowę.

– Ej – odezwała się, podniósłszy wzrok znad kartek – wiesz może, co to znaczy *revelation*?

Każda ułomność ma swój moment chwały. Nie inaczej było na przykład z moim daltonizmem. Mimo wstydu, którego dość się najadłem przez całe życie (– Dzieci, widzicie jasne anemony? Kto powiedział „nie”?), to właśnie ta przypadłość wybawiła mnie w odpowiednim momencie, kiedy oficer na komisji poborowej próbował zrobić ze mnie zwiadowcę.

Ta sama zasada sprawdziła się, gdy Ja’ara zadała mi pytanie. Lata surowego anglosaskiego wychowania, hektolitry herbaty z mlekiem, przewlekła emocjonalna obstrukcja, poczucie wyobcowania wpojone mi przez rodziców, którzy tu, w Lewancie, nigdy nie przestali się czuć przybyszami i jeszcze trzydzieści lat po przyjeździe z Brighton do Hajfy mówili mieszanką hebrajskiego i angielskiego...

W owej chwili to wszystko zadziało na moją korzyść.

Tonem eksperta objaśniłem, że *revelation* to wyjawienie lub ujawnienie czegoś, a gdy najwyraźniej usatysfakcjonowana moją odpowiedzią miała już wrócić do lektury, szybko dodałem, że może to też być objawienie. Zależnie od kontekstu.

Przeczytała mi całe zdanie. Potem jeszcze jedno, z którym też miała kłopot. Więc dałem jej swój numer, gdyby jeszcze potrzebowała pomocy. I – rzecz niebywała –

zadzwońiła do mnie tego samego wieczora, i rozmawialiśmy o różnych sprawach, a rozmowa płynęła jak wino, a potem zaczęliśmy się spotykać, całowaliśmy się, kochaliśmy i kładła głowę na moim brzuchu, gdy leżeliśmy na trawie przed Akademią Muzyczną, i wystukiwała rytm na moim biodrze, gdy przez otwarte okno sali prób dobiegały nas dźwięki fortepianu, i kupiła mi turkusową koszulę, bo „wystarczy już tej czerni”, i wciąż usiłowałem rozgryźć, jak to możliwe, że taka dziewczyna, która przeczy Churchillowej teorii trzech czwartych („Nie istnieje dziewczyna, która byłaby ładna, inteligentna, napalona i wolna. Zawsze brakuje jednej cechy”) – że taka dziewczyna wybrała sobie akurat mnie. Co prawda parę miesięcy przed naszym spotkaniem zerwała z jednym gitarzystą, który przez pięć lat w kółko ją zdradzał, a potem błagał, żeby do niego wróciła, no ale po uniwersytecie szwendało się dość facetów wyższych ode mnie i gotowych ukoić jej udręczone serce. Zresztą ta cała historia o zdradzającym gitarzyście nie trzymała się kupy. Kto by chciał zdradzać taką dziewczynę jak Ja’ara? Jak można było chcieć czegokolwiek innego niż tylko jej – więcej i więcej?

Amichaj pospieszał mnie, żebym kończył. Wszyscy pozostali odłożyli już długopisy.

Spojrzałem na swoje pierwsze zdanie i pod wpływem impulsu dopisałem:

2. *Podczas następnych mistrzostw chcę być mężem Ja’ary.*

3. *Podczas następnych mistrzostw chcę mieć z Ja’arą dziecko, najchętniej dziewczynkę.*

– Teraz oddajcie mi swoje karteczki – powiedział Amichaj – a ja włożę je do pudełka i przechowam do następnych mistrzostw.

– Czemu ty? – sprzeciwił się Ofir.

– Bo jestem najbardziej ustatkowany.

– Znaczy jak to ustatkowany? – najeżył się Ofir.

– Amichaj ma rację – wtrącił się Churchill, żeby załagodzić sprawę. – Ma żonę, mieszkanie, bliźniaki. Pozostali pewnie z dziesięć razy się przeprowadzą przed następnymi mistrzostwami, a przecież takie rzeczy bardzo lubią się gubić przy pakowaniu.

– Okay – zgodził się Ofir – ale najpierw przeczytajmy je na głos.

– Mowy nie ma! – zawołał Amichaj. – To zepsuje całą niespodziankę.

– Walić niespodziankę – odparował Ofir. – Chcę wiedzieć, co napisaliście. Inaczej nie dam wam swojej.

– Odroczona gratyfikacja to nie twoja bajka, co? – dogryzł mu Amichaj, a potem dodał pojednawczo: – Tak to jest, jak chłopaka wychowuje matka.

– A znasz bajkę o odroczonej gratyfikacji? – Ofir na to. – Był sobie człowiek, który odraczał gratyfikację. Odraczał, odraczał, odraczał i umarł.

– Mam pomysł – wtrącił się Churchill, żeby sprzeczka Ofira z Amichajem nie zdążyła przerodzić się w jedną z ich kłótni: niespodziewanych, bezsensownych awantur, podczas których niespodziewanie pokazywali bardzo nieprzyjemne strony swego charakteru. – Niech każdy przeczyta tylko jedno z trzech życzeń. Będzie i element niespodzianki, i uchylenie rąbka tajemnicy, które rozbudzi apetyt na dalszy ciąg. To chyba technika, którą stosujecie w reklamie, co, Ofir?

– Tak, nazywa się teaser – uściślił Ofir i zasepił się jak zawsze, kiedy wypływał temat jego pracy.

– To ja pierwszy. – Amichaj rozłożył swoją karteczkę. – „Podczas następnych mistrzostw będę miał własny gabinet medycyny alternatywnej”.

– Amen! – zaintonował Churchill, wyrażając to samo, co wszyscy sobie pomyśleliśmy. Gdyby życzenie się spełniło, może Amichaj przestałby wreszcie w kółko o tym gadać.

Następny był Ofir.

– „Podczas następnych mistrzostw nie będę już pracował w reklamie, tylko będę miał na koncie wydany zbiór opowiadań”.

– Opowiadań? – spytałem zdziwiony. – A mówiłeś, że chcesz nakręcić o nas film.

– No tak – przyznał Ofir – ale cały pomysł opierał się na tym, że jeden z nas ginie podczas służby wojskowej. A ty obiecałeś, że jeśli żadnemu z nas się to nie przytrafi, to...

– Jeśli jeszcze jest taka możliwość, mogę w każdej chwili umrzeć – zaproponowałem (i w tej samej chwili przeszedł mnie dreszczyk, jak zawsze, gdy rozważałem coś takiego).

– Spokojnie, nie ma potrzeby – odrzekł Ofir. – Ostatnio bardziej mnie kręca opowiadania. Mam kupę pomysłów, ale jak wracam z pracy o jedenastej, to nie mam siły włączyć komputera.

– No to, *jalla*^{*}, bierz się do roboty – zachęciłem go. – Do następnych mistrzostw zostały cztery lata. W razie czego tłumacza na angielski już masz.

– Dzięki. – Ofir poklepał mnie po plecach i oczy mu się zaszklily. – Nie masz pojęcia, jakie to szczęście...

Churchill szybko rozłożył swoją kartkę, żeby Ofir nie zdążył się rozkleić.

– „Podczas następnych mistrzostw – zaczął bardzo poważnym tonem – chcę mieć zaliczonych przynajmniej dwieście osiem dziewczyn”.

– Dokładnie dwieście osiem? – roześmiał się Amichaj. – Czemu nie dwieście dwadzieścia dwie? Albo bliżej trzystu?

* *Jalla* (arab.) – okrzyk zachęty: „Już! Dalej!” (przyp. tłum.).

– Policz sobie – wyjaśnił Churchill. – Cztery lata, pięćdziesiąt dwa tygodnie w roku, jedna dziewczyna tygodniowo, razem dwieście osiem. Żartuję. Naprawdę myślicie, że marnowałbym życzenie na coś, co i tak się spełni?

– Czyli co, po prostu nas wkręcałeś? – Amichaj zmarkotniał. Dla kogoś takiego jak on, skazanego na Ilanę Płaczkę, myśl o marzeniu, w którym pojawiło się dwieście osiem kobiet, musiała być elektryzująca.

– Oczywiście – roześmiał się z kolei Churchill i przeczytał życzenie z listy: – „Podczas następnych mistrzostw chcę mieć na koncie prowadzoną przez siebie ważną sprawę. W jakiejś ważnej dziedzinie. Chcę zaangażować się w coś, co doprowadzi do dużej przemiany społecznej”.

Ofir i Amichaj pokiwali z uznaniem głowami, a ja pomyślałem, że trochę będzie wstyd czytać na głos któreś ze swoich życzeń po tym, co właśnie powiedział Churchill.

– Twoja kolej – zwrócił się do mnie Amichaj. Spojrzałem na kartkę i pocieszyłem się, że przynajmniej nie muszę czytać wszystkich trzech.

– „Podczas następnych mistrzostw chcę dalej być z Ja’arą” – przeczytałem niemal szeptem.

Zgodnie z przewidywaniami wszyscy się na mnie rzucili:

– *Jalla, jalla*, ta twoja Ja’ara nawet nie istnieje – zaczął Ofir.

– Dopóki jej nie poznamy, życzenie jest nieważne – dorzucił Churchill opinię prawnika.

– Pewnie jest taka brzydka, że wstydzisz się ją pokazać. – Ofir uważnie patrzył, czy się zdenerwuję.

– Ma zeza i krzywe nogi – drażnił się Amichaj.

– I dupę jak lądowisko dla helikopterów.

– Cycki do kolan.

– Ręce drwała.

– Pewnie to facet, który zmienił płeć. Przedtem nazywał się Ja’ar.

– Okay, poddaję się – powiedziałem. – Zapraszam was we wtorek do mnie, to ją poznacie.

Ale już w poniedziałek odłożyłem spotkanie o kolejny tydzień, bo byłem chory, a potem znów przesunąłem termin, bo byliśmy zaproszeni na obiad do jej rodziców w Rechowot, a w końcu sama Ja’ara położyła kres temu ciągłemu odkładaniu, mówiąc półżartem:

– Zaczynam podejrzewać, że się mnie wstydzisz.

– Nie wygłupiaj się – odpowiedziałem.

– No to czemu nie chcesz mnie przedstawić kumplom?

– Bez konkretnego powodu. Po prostu nie było okazji.

Na co ona:

– Koniecznie chcę ich poznać. Tyle o nich mówisz.

– Nie zauważyłem.

– Praktycznie w każdym zdaniu. A w pokoju masz pełno zdjęć z nimi. Nieostrych, ale jednak. Co pięć minut któryś do ciebie dzwoni i godzinami rozmawiacie. Nie tak po męsku, konkretnie i praktycznie, to są prawdziwe, poważne rozmowy. Zdaje mi się, że łączy was bardzo silna więź, prawda?

– Nie wiem. Czasem też mi się tak zdaje. Że to coś na całe życie. W zeszłym roku pojechaliśmy wszyscy na obchody Dnia Pamięci do szkoły, do której chodziliśmy, i zobaczyłem, że wszystkie paczki przyjaciół z naszego rocznika się rozpadły. Kiedy wyła syrena, tylko my czterej staliśmy razem obok siebie. Prawdę mówiąc, nie mam pojęcia dlaczego. Może to siła bezwładności, może co innego, ale nawet teraz, po ośmiu latach w Tel Awiwie, ciągle czujemy, że jesteśmy razem. Ale czasem nie rozumiem, co nas łączy, nie widzę wytłumaczenia. A może to tak już jest z przyjaźnią: przypomina taniec polegający na ciągłym zbliżaniu się i oddalaniu. Jak myślisz?

– Cóż za frapująca analiza. Nie zmieniaj tematu. We wtorek zapraszamy ich na obiad – powiedziała łagodnie i zdjęła okulary.

– Dobrze – odrzekłem, bo jak tu powiedzieć „nie” tym zielonym oczom. Zresztą nie umiałem znaleźć żadnego powodu, by nie zapraszać kumpli, z wyjątkiem niejasnego przeczucia, że cała historia skończy się płaczem, ale złożyłem to na karb swojego wiecznego pesymizmu.

Kolacja okazała się spektakularnym sukcesem. Wszyscy trzej dosłownie w sekundę pożarli faszerowane warzywa, które przyrządziliśmy, a Ja'ara bez trudu znalazła wspólny język z każdym z chłopaków. Razem z Ofirem wyśmiewała się z całego świata marketingu (okazało się, że kiedyś pracowała jako asystentka producenta przy reklamie proszku do prania). Dyskutowała z Churchillem na temat pobłażliwości prokuratury wobec osób publicznych. Opowiedziała Amichajowi o akupunkturze, która wyleczyła ją – ku zaskoczeniu lekarzy – z mononukleozy. I cały czas mnie dotykała, głaskała po karku, kładła swoją dłoń na mojej, a dwa razy nawet pocałowała mnie delikatnie w szyję, jak gdyby nagle wyczuła to, co przez te wszystkie miesiące bycia z nią starałem się ukryć: że tak bardzo boję się ją stracić. Że nigdy przedtem w moim życiu nie pojawiło się nic tak ważnego jak nasz związek.

– No i? – spytałem, gdy tylko sobie poszli i jeszcze słyszeliśmy ich kroki na podwórku.

– Są cudowni – powiedziała Ja'ara i objęła mnie.

– W jakim sensie? – chciałem wiedzieć. Zacząłem zmywać naczynia. Na talerzach zostało jeszcze trochę szczątków warzyw, z których wydłubano nadzienie.

– Ten Ofir jest taki wrażliwy – dobiegł mnie z tyłu jej głos. – Od kiedy jest w branży reklamowej? Sześć lat? Nie jest łatwo pozostać sobą w tym cynicznym świecie. A ten drugi, Amichaj, ma tyle cierpliwości. Myślę, że naprawdę powinien zostać terapeutą. I wszyscy trzej chyba bardzo cię kochają – rzekła, przytulając się do moich pleców. – Więc jak widać, mam z nimi coś wspólnego.

– A Churchill? – Gdy zadałem to pytanie, poczułem, jak jej uścisk słabnie i ręce opadają wzdłuż ciała.

– Inteligentny facet – odpowiedziała z wahaniem.

– Ale...? – Odwróciłem się i spojrzałem jej w oczy. Ręce miałem wciąż całe w pianie.

– Nie ma żadnego „ale”. – Odsunęła się nieznacznie.

– W tonie twojego głosu było „ale” – nalegałem.

– Nieważne, nie powinno się oceniać kogoś po jednym spotkaniu.

Wiedziałem, że ma rację. O wiele łatwiej przykleić komuś etykietkę, niż powiedzieć sobie, że może ten ktoś jest bardziej skomplikowany, gdyby się uważniej przypatrzeć. Ale i tak chciałem wiedzieć.

– No, powiedz – naciskałem dalej. – Znam go tyle lat, że nie potrafię sobie wyobrazić, jaki może się wydawać na pierwszy rzut oka.

– Szczerze mówiąc, wygląda na zarozumiałego. Jak gdyby patrzył na waszą trójkę z łoży dla VIP-ów. Nie podoba mi się to. No i sposób, w jaki mówi o kobietach. Zauważyłeś, że kiedy wypowiadał się o politykach mężczyznach, za każdym razem używał słów „minister”, „burmistrz”, a jak o kobietach, to zawsze: „ten ptasi mózdzek” albo „ten blondasek”?

– Może i tak – odrzekłem chłodno. Chociaż sam o to prosiłem, teraz poczułem złość, że Ja’arze tak łatwo przyszło krytykować mojego przyjaciela. – Ale szkoda, że nie wiesz, jaką jest wspaniałą osobą – zaatakowałem ją. – Kiedy skończył studia prawnicze, miał oferty pracy z prywatnych kancelarii, oferowali mu bardzo przyzwoite pieniądze, ale wolał iść do prokuratury, bo uważał, że tam będzie mógł się zająć czymś wartościowym. A parę tygodni temu, podczas finału mistrzostw, każdy z nas napisał na kartce, co chciałby robić za cztery lata. Wszyscy mieliśmy jakieś egoistyczne życzenia i tylko on napisał, że chce robić coś ważnego, zmieniać izraelskie społeczeństwo, więc może... może powinnaś się trochę zastanowić, nim ocenisz jego zachowanie.

– A ty co napisałeś? – Oczy Ja’ary błysnęły uwodzicielsko zza okularów. Po raz pierwszy od początku naszego związku byłem na nią zły i, co dziwne, najwyraźniej jej się to podobało.

– Tajemnica. – Staralem się, żeby mój głos zabrzmiał zimno. – Jeśli chcesz wiedzieć, musisz wytrzymać ze mną do następnych mistrzostw, bo wtedy wyciągniemy kartki i odczytamy nasze życzenia.

– Nie ma sprawy. – Ja'ara przywarła do mnie i wsadziła swoje dłonie w tylne kieszenie moich džinsów. – Nie odstraszysz romantycznej dziewczyny miłością.

Dwa tygodnie później była z nim.

Istnieje kilka sprzecznych wersji mówiących, jak do tego doszło.

Churchill twierdzi, że wpadli na siebie na ulicy podczas przerwy obiadowej i ona powiedziała, że chyba mieli kłopot z porozumieniem podczas naszej kolacji, więc jeśli miałyby ochotę, to mogłyby go zaprosić na kawę, żeby zacząć znajomość jeszcze raz. Zgodził się, bo widział, że to dla niej ważne. Usiedli w kawiarni i rozmawiali, nie czując upływu czasu. W końcu, kiedy wstali, stwierdziła, że mówili o tylu sprawach i tyle tematów pozostało otwartych, że może spotkają się następnego dnia i dokończą rozmowę.

Ja'ara utrzymuje, że to on do niej zadzwonił, trzy dni po naszej kolacji, i powiedział, że odkąd ją poznał, bez przerwy o niej myśli i nie może spać. Ona na to, że nie wie, co powiedzieć, a wtedy on zaproponował spotkanie. Odpowiedziała, że co on sobie wyobraża, przecież nie będzie robiła czegoś takiego za moimi plecami. Ale zaczął błagać i dodał, że od paru dni kolejni złodzieje, gwałciciele i mordercy zostają uniewinnieni, bo on nie potrafi normalnie funkcjonować, odkąd ją zobaczył. Roześmiała się i zgodziła na spotkanie, ale na krótko, na kawę, i tylko ze względu na gwałcicieli. W końcu, kiedy wstali, Churchill stwierdził, że mówili o tylu sprawach i tyle tematów pozostało otwartych, że może spotkają się następnego dnia i dokończą rozmowę.

Przypuszczam, że Ja'ara raczej mówi prawdę.

Chciałbym wierzyć, że Churchill mówi prawdę.

Tak czy siak, dalszy ciąg był taki sam: spotykali się potajemnie przez tydzień, a w końcu ona przyszła do mnie i powiedziała, że nie wie, co robić. I że musi się trochę zastanowić. Przez całą rozmowę głowę miała opuszczoną i często mnie dotykała. Ale ani razu nie zdjęła okularów.

Zadzwonił wieczorem i mówił – jak zawsze – krótko i na temat. Opowiedział, co się stało. Przeprosił. Powiedział, że wie, że przeprosiny są guzik warte. Że zrozumie, jeśli będę chciał przez jakiś czas od niego odpocząć. I że mimo wszystko nie potrwa to długo, bo jestem jego najlepszym kumplem. I że właśnie dlatego to, co zrobił, jest tym bardziej nikiemne (powiedział „nikciemne” – nawet w takiej sytuacji potrafił być konkretny).

Oczywiście rzuciłem słuchawkę. Ale nawet po jego ostatnich słowach nie potrafiłem wzbudzić w sobie furii. Usłyszawszy je, czułem głównie ulgę.

Łódź mojego życia płynęła spokojnie (choć można by powiedzieć, że szorowała po dnie wyschniętego koryta), dopóki Ja'ara gwałtownie nią nie zakołysała. Utrzymywałem

się z tłumaczeń, które zamawiali u mnie studenci. Pieniądzy starczało na codzienne wydatki i na nic więcej, ale nie miałem ambicji, żeby się bogacić czy składać oszczędności. Szczerze, to nie miałem żadnych ambicji. W wieku dwudziestu ośmiu lat zupełnie nie wiedziałem, co chcę robić jako trzydziestolatek. Nawet najmniejsza pestka oliwki wie, jakie jest jej przeznaczenie, i bez wahania kiełkuje, by wyrosnąć na drzewo oliwne. Ja nie widziałem swojego celu. W wolnych chwilach, zazwyczaj stojąc w korkach na autostradzie Ajalon, pisałem swoją rozprawę filozoficzną *Metamorfozy. Wielkie umysły, które zmieniły zdanie*, a każdego lata przeglądałem informatory uniwersyteckie, żeby wybrać kolejny, bardziej praktyczny kierunek.

W chwili słabości udałem się do jednego z tych biur, które doradzają w sprawach wyboru zawodu. Dziewczyna z policzkami dziecka pełna dobrych chęci przejrzała wyniki moich testów i powiedziała, że wszystkie możliwości są dla mnie otwarte i mogę wybrać, co tylko chcę. Odrzekłem, że w tym właśnie sęk: nie chcę. A ona na to:

– I po to tu jestem. Mam pomóc panu zrozumieć, czego pan chce.

– Pani mnie nie rozumie. Chodzi o to, że ja niczego nie chcę. Jestem wyzuty z motywacji. Jestem koniem w boksie, który woli patrzeć, jak inne konie się ścigają, zamiast samemu ruszyć galopem.

Wytrzymała jeszcze dwa spotkania ze mną, po czym delikatnie zasugerowała, że może potrzebuję terapii. Kiwnąłem głową twierdząco, ale na terapię nie poszedłem. Po co? Zresztą chodzenie na terapię – czy to na mityngi AA, czy na trening samoświadomości na pustyni – zawsze wymaga najpierw uwierzenia, że człowiek potrafi się zmienić. Poza tym i tak wiedziałem, co powie terapeuta: chłód, który krępował moje relacje rodzinne, przełożył się na moją dzisiejszą obojętność i bezwład. Fakt, że w dzieciństwie nie przytulano mnie wystarczająco często, pozbawił mnie woli działania. (Zabawne, że prowadzący na warsztatach z kreatywnego pisania, na które teraz chodzę, twierdzi, jakoby chłód był „jedną z najpotężniejszych mocy, jakimi dysponuje pisarz”. Mówi, że im więcej żaru niesie treść, tym chłodniejszy powinien być narrator. Ale też zastrzega, że nie można za bardzo polubić tego chłodu. Trzeba wiedzieć, gdzie czynić wyłomy).

Tak czy owak, cały mój chłód roztopił się w chwili, gdy poznałem Ja'arę. Podczas tych miesięcy, kiedy byliśmy ze sobą, mój koń wyrwał się z boksu, niosąc na grzbiecie mnie, majtającego nogami po bokach siodła. Galopem pędziliśmy razem z Ja'arą do szkoły, do której chodziła jako dziecko; pokazała mi małe podwórko – w jej wspomnieniach wydawało się większe – na którym dziewczynki z klasy postanowiły wykluczyć ją z grupy; galopowaliśmy na przedstawienia, głównie po to, żeby była nimi zawiedziona i potem z wypiekami na twarzy mogła mi wyjaśniać, co zrobiłaby inaczej, lepiej; galopowaliśmy do Jerozolimy na całonocną imprezę, a gdy Ja'ara tańczyła, jej rozpuszczone włosy smagały mnie po twarzy, to bolało i było przyjemne, było przyjemne i bolało; zabrałem ją do swoich rodziców do Hajfy i patrzyłem, jak zjednuje ich sobie w

ciągu pięciu minut; galopowałem z nią wszędzie, dokąd tylko mnie zabrała, zgubiłem gdzieś swoją chłodną kalkulację i – teraz lżejszy – wędrowałem w odległe rejony mojej duszy i jej duszy. Co wieczór w łóżku opowiadała mi różne rzeczy. O tym, jak jeszcze długo dręczyło ją wspomnienie ostracyzmu ze strony dziewczynek w pierwszej klasie liceum i jak to nauczyło ją utrzymywać bezpieczny dystans od innych kobiet, jak tamten jej gitarzysta groził, że zrobi sobie krzywdę, jeśli ona go zostawi, a trzy tygodnie później sam odszedł. I wtedy po raz pierwszy w życiu nie wystarczyło mi samo słuchanie; powiedziałem jej, że przed nią nie było nic, że już się pogodziłem z perspektywą życia bez miłości, nie licząc miłości z kobietami, które wyobrażałem sobie co noc, a potem, za dnia, przepatrywałem ulice, sklepy, parki w poszukiwaniu takich, które wyglądałyby jak te z mojej wyobraźni. Z odpowiednią dozą autoironii opowiedziałem jej o swojej kolekcji wymyślonych kobiet, starając się stworzyć wrażenie, że one wszystkie to już przeszłość, a jednocześnie dręczyło mnie podejrzenie, że Ja'ara też istnieje tylko w mojej wyobraźni i że nasz wspólny szaleńczy galop musi się skończyć jak najbardziej realnym upadkiem. Nawet trochę tego pragnąłem. Czekałem na te pierwsze sekundy nagłej ciszy. A gdy w końcu spadłem...

Nie waliłem głową w ścianę. Nie połknąłem całego opakowania środków nasennych. Nie balansowałem na parapecie. Brałem więcej i jeszcze więcej tłumaczeń, żeby nie musieć myśleć, i powiedziałem Amichajowi, żeby nie zapraszał mnie na oglądanie meczów, bo nie mam na to ochoty.

– Ale to nie fair – oponował Amichaj – że Churchill zrobił, co zrobił, a to ty wypadłeś z grupy.

– Wcale nie wypadłem z grupy, tylko postanowiłem na razie się z wami nie spotykać – prawie wrzeszczałem, jak gdyby słowa wypowiedziane podniesionym głosem robiły się ważniejsze, a gdy Ilana Płaczka zadzwoniła pod pretekstem, że potrzebuje pomocy w tłumaczeniu jednego artykułu, ale potem przyznała się, że chciała mi tylko powiedzieć, jak bardzo wszyscy za mną tęsknią i że nie rozumie, czemu nie chcę przyjąć wsparcia, gdy najbardziej go potrzebuję... wtedy wyznałem jej, że po prostu nie potrafię. Powiedziała, że jeśli chcę, możemy się spotkać, jej głos był delikatny i pełen empatii, zupełnie inny od szorstkiego tonu, którego używała w obecności Amichaja, ale i tak odmówiłem.

– Dzięki, Ilana, dzięki, ale nie.

Prawdę powiedziawszy, nie było łatwo. Bez przyjaciół z Hajfy Tel Awiw znów zaczął być brzydkim, niegościnnym miastem, jakim wydawał mi się, zanim się tu przeprowadziłem. Zrobiłem to trochę wbrew sobie, po zakończeniu służby wojskowej, tylko dlatego, żeby spełnić dość pochopną obietnicę, którą złożyłem Churchillowi w ostatnie Święto Niepodległości, zanim powołano nas do armii.

Siedzieliśmy na trybunie stadionu i Churchill zarządził, że tym razem pojedziemy świętować do Tel Awiwu, a na to Ofir, że przeczytał w gazecie, że na placu Królów Izraela będzie impreza na wolnym powietrzu. Wtedy Amichaj powiedział, że pewnie wstęp będzie drogi, jak wszystko w Tel Awiwie, a Ofir odrzekł:

– Co ty, głupolu, przecież to jest otwarta przestrzeń, jak mogą kazać płacić za wstęp.

– Sam jesteś głupol, co za problem postawić naokoło barierki.

W tym momencie wtrącił się Churchill:

– Dosyć, jak każą płacić, to zapłacimy, to nasze ostatnie Święto Niepodległości przed poborem. – A gdy tylko to powiedział, wszyscy spojrzeli na mnie, bo byłem jedynym, który miał prawo jazdy, a jeszcze w dodatku mogłem wziąć samochód rodziców. Zgodziłem się, ale pod jednym warunkiem:

– Wyruszamy nie za późno, bo nie lubię prowadzić, jak jestem zmęczony.

Churchill poklepał mnie po plecach i rzekł:

– Jasne, Frid, pewnie.

Ale kiedy po niego podjechałem, w ogóle jeszcze nie był gotowy; potem podjechaliśmy pod dom Ofira, który zasnął przy filmie Felliniego i musieliśmy ściągać go z kanapy, szarpiąc za te jego kręcone włosy, i zrobić mu dwa kubki neski, a na koniec jeszcze Amichaj stwierdził, że zostanie w domu i pomoże bratu uczyć się do egzaminu, i nie dawał się przekonać, aż Churchill powiedział, że nie pojechać na Święto Niepodległości, to jak wypiąć się na własny kraj. W końcu Amichaj się poddał, ale i tak musieliśmy czekać jeszcze godzinę, aż weźmie prysznic i znajdzie ubranie, które zakryłoby plamę na jego szyi. Miał ją od czasu, gdy jego ojciec zginął od wybuchu miny w Libanie. Pod pewnym kątem plama wyglądała jak mapa Izraela, więc Amichaj wbrew swojej woli stał się pomocą naukową na lekcjach wychowania obywatelskiego i zaczął mieć okropne kompleksy na punkcie wyglądu. Czekaliśmy, aż przymierzy trzy koszule i spróbuje do nich dobrać trzy pary spodni, aż wreszcie odnalazł zadowalającą kombinację, i w końcu, o pierwszej w nocy, ruszyliśmy w drogę. Churchill mówił, że nie ma sprawy, każda impreza w Tel Awiwie i tak zaczyna się późno, a kiedy dojechaliśmy autostradą do węzła Glilot i stanęliśmy w gigantycznym korku, stwierdził:

– Pewnie wszyscy też jadą na plac Królów Izraela. Jestem pewien, że to będzie nasza najlepsza impreza w życiu.

Ale korek nie posuwał się naprzód, a w radiu usłyszeliśmy, że na szosie do Namir był wypadek i „występują duże utrudnienia w ruchu”. Ofir spytał:

– Czy to nie jest szosa do Namir?

– Co ty gadasz! – rzucił się na niego Amichaj. – To jest dwójka, autostrada z Hajfy.

– Kretyn z ciebie, autostrada z Hajfy i szosa do Namir to to samo.

– Sam jesteś kretyn, po co by mieli nazywać jedną drogę na dwa sposoby?

Churchill pochylił się do mnie i kiedy oni się kłócili, powiedział cicho:

– Skręć tu w prawo. – Zrobiłem, jak kazał, a wtedy zakomenderował: – Zaparkuj tu na chodniku. *Jalla*, idziemy, to musi być już niedaleko. – Energicznie zatrzęsnął drzwiczki i ruszył w stronę majaczących świateł wielkiego, obcego miasta, a my ruszyliśmy za nim, nie bardzo wiedząc, dokąd zmierzamy. Minęliśmy dzielnicę wysokich budynków z marmurowymi portierniami i podziemnymi parkingami, potem dzielnicę niskich budynków bez portierni i podziemnych parkingów, a przez całą drogę prawie nikogo nie spotkaliśmy, z wyjątkiem kilku wystraszonych dziewczyn w mini; Churchill mówił o nich „laski”:

– Niesamowite, ile lasek jest w tym mieście.

Ofir odrzekł tonem znawcy:

– Stary, jeszcze nic nie widziałeś. Jak przyjdziemy na plac, to zobaczysz, będziesz musiał założyć okulary przeciwsłoneczne, żeby ci nie wypaliło oczu. – Ale kiedy po półtorej godziny marszu spoceni i umęczeni dotarliśmy na plac, było kompletnie pusto. Stał tam tylko jakiś facet z transparentem STOP OKUPACJI! To było, jeszcze zanim nas powołano do wojska, nic nie wiedzieliśmy o żadnej okupacji, więc tylko zapytaliśmy protestującego o imprezę, a on odpowiedział, że nie, nie było żadnej imprezy, bo nie ma powodu do świętowania.

– Nie było imprezy? Jak to? – zwrócił się Ofir do nas, ignorując człowieka z transparentem. – Na sto procent czytałem w gazecie, że...

– Taa, może w „Marzeniach Nastolatków” – zadrwił Amichaj.

– Nie, przysięgam, czytałem w weekendowym „Jedi’ot Achronot”, w dziale „Siedem Dni” – bronił się Ofir.

– Tylko ty mogłeś to zrobić, Ofir – zaatakował go Amichaj – przecież „Siedem Dni” to wywiady z emerytowanymi generałami i piłkarzami, spis imprez jest w „Siedmiu Nocach”.

Spojrzałem na zegarek, pomyślałem, że czeka mnie jeszcze długa droga do domu, i wtrąciłem się:

– Jest czwarta, może powinniśmy już wracać?

Ale Churchill rzucił mi miazdzące spojrzenie i odpowiedział:

– Zwariowałaś? Wracać? Jest Święto Niepodległości! Musimy znaleźć jakąś imprezę! Koniecznie!

– Ee... Chłopaki... Strasznie chce mi się pić – wymamrotał Amichaj i zaraz dodał:

– Słuchajcie, wstąpmy gdzieś i kupmy coś do picia!

Ale Churchill się nie zgodził i ruszył dalej, a my za nim, bo zawsze szliśmy za nim, nie tylko dlatego, że go podziwialiśmy, ale i dlatego, że była z niego taka potężna pasja życia, zaraźliwa i radosna. A kiedy przeszliśmy kawałek ulicą Friszmana – Amichaj upierał się, że to od nazwiska koszykarza z klubu Hapoel Tel Awiw, ale Ofir powiedział, że to by nie miało sensu, bo nie nazywa się ulic nazwiskami żyjących osób – usłyszeliśmy muzykę taneczną dobiegającą z któregoś mieszkania. Churchill zarządził:

– Idziemy na górę.

– Jak to? Nikogo tam nie znamy – zdziwił się Amichaj.

– I o to chodzi – wyjaśnił Churchill. – Nikogo nie znamy w tym mieście, więc możemy być, kim tylko chcemy.

A Ofir dodał:

– Jak nam otworzą, to spytamy: „Cześć, jest już Dani?”. To imię i męskie, i żeńskie, w dodatku międzynarodowe, będzie łatwo udawać, że jesteśmy czyimiś znajomymi.

Spojrzałem na zegarek i pomyślałem o prostym, monotonnym odcinku drogi za Haderą; tam była spora szansa, że zasnę za kierownicą, pomyślałem też, że jest coś wstydliwego, by nie rzec upokarzającego, w takim wciskaniu się komuś na imprezę, ale i tak poczłapałem za chłopakami na trzecie piętro, zatykając nos, żeby się nie porzygać od smrodu moczu bijącego ze ścian, schodów i okien, i zastanawiałem się, jak w tym mieście wyglądają imprezy, pewnie inaczej niż u nas, ludzie na pewno tańczą inaczej, ale kiedy Churchill nacisnął dzwonek i rozległ się mechaniczny świergot, i drzwi się otworzyły, okazało się, że w mieszkaniu nie ma żadnej imprezy, tylko jedna dziewczyna z burzą włosów i odważnym dekoltem. Rzuciła nam spojrzenie, które było zarazem martwe i spragnione miłości – dziś, po dziesięciu latach w tym mieście, znam bardzo dobrze takie spojrzenie, ale wtedy zdziwiła mnie jego wewnętrzna sprzeczność.

– Czego sobie życzycie? – spytała, związując włosy w koński ogon. Mówiła bardzo rzeczowo, jakby była przyzwyczajona, że ktoś dzwoni do jej mieszkania o wpół do piątej rano. Jak gdyby była kelnerką, a my gośćmi w barze.

– Cześć, jest już Dani?... – zaczął Ofir, ale Churchill wszedł mu w słowo i powiedział wprost, że usłyszeliśmy z dołu muzykę i po prostu pomyśleliśmy, że jest impreza.

– Impreza? – Dziewczyna otaksowała go spojrzeniem od stóp do głów, zatrzymując się dłużej na jego szerokiej piersi. – Tak, w zasadzie mam tu imprezę, ale prywatną.

– Ściśle prywatną. – Churchill z uśmiechem wskazał puste mieszkanie za jej plecami.

– Tak – odwzajemniła uśmiech – doskonale to ująłeś.

– A... czy jest szansa, żeby się wprosić na tę ściśle prywatną imprezę? – spytał, opierając się o futrynę.

Dziewczyna rozpuściła włosy, znowu je związała i rzekła:

– Nie wiem. W ogóle was nie znam.

– O, to się da naprawić – nie ustępował Churchill. – Ja jestem Joaw. A to moi koledzy ze szkolenia pilotów wojskowych: Ofir, Amichaj i Juwal.

– Ze szkolenia pilotów? – spytała dziewczyna zaskoczona, ale bez entuzjazmu, jak gdyby słyszała już w życiu każde możliwe kłamstwo.

– Tak. Mamy przepustkę na czterdzieści osiem godzin i chcieliśmy pójść na jakąś imprezę, ale nic nie mogliśmy znaleźć. No i trafiliśmy tu, do ciebie.

– Nie mam pojęcia, jak ci się to udało, ale wzbudziłeś moje współczucie – powiedziała i odsunęła się na bok, żeby zrobić nam przejście. Wchodząc, musnąłem łokciem jej talię i poczułem smużkę perfum, zupełnie innych niż te, których używały dziewczyny w Hajfie, kiedy zapraszaliśmy je na randki, i poczułem nagłą ochotę, żeby się odwrócić i na parę chwil wtulić głowę w jej piersi, wdychając ten cierpki zapach. Po dwóch piosenkach zaciągnęła Churchilla do sypialni, a my we trzech zostaliśmy w salonie. Trochę poudawaliśmy sami przed sobą, że tańczymy, ale w końcu pokapowaliśmy się, jakie to głupie, więc ściszyliśmy muzykę, usiedliśmy na czarnej skórzanej sofie pośrodku pokoju, a Amichaj rzucił szybkie spojrzenie na drzwi sypialni i powiedział:

– To inaczej niż myślę, prawda?

A Ofir mu odpowiedział:

– Jak w filmach.

A na to ja:

– Ofir, koniecznie powinieneś umieścić tę scenę w swoim filmie.

– Bo wiele lat przedtem, zanim spisaliśmy swoje życzenia, Ofir mówił, że po powrocie z wojska chce zrobić film o naszej czwórce, coś jak *Blues pod koniec lata*^{*}, i że to będzie wielki hit. Co jakiś czas brał z sobą kamerę wideo, szedł z nami na plażę i filmował, jak gramy w siatkówkę, jak rzucamy się w fale, i mówił, że „zbiera materiał”, a my byliśmy przekonani, że w końcu robi ten film, bo chłopak dosłownie kipiał talentem, i to on pisał scenariusze wszystkich przedstawień na święto Purim w szkole i w drużynie skautów, a raz zajął drugie miejsce w kraju w konkursie na scenariusz, lepszy od niego okazał się tylko chłopak z Akademii Sztuk im. Telmy Jelin, który dziwnym zbiegiem okoliczności miał tak samo na nazwisko jak jeden z jurorów.

– Wiesz, Frid, to niezła myśl, żeby wstawić taką scenę do filmu.

– Poklepał mnie po plecach. – Całkiem niezła. Mimo że... cała praca na nic, jeśli

* *Blues lachofesz hagadol* (1987) – izraelski film o grupie młodych Izraelczyków spędzających swoje ostatnie wakacje przed służbą wojskową (przyp. tłum.).

któryś z nas nie zginie w czasie służby. Ktoś musi umrzeć, inaczej nie będzie filmu.

– A czemu? – zaatakował go Amichaj, może dlatego, że jego ojciec naprawdę zginął, kiedy był w wojsku. Wtedy Ofir znów użył argumentu, że we wszystkich udanych filmach i książkach izraelskich od czasu utworzenia naszego państwa ginie jakiś żołnierz i ten moment jest zawsze najbardziej poruszający:

– Cwilicz w *Bluesie pod koniec lata*. Ori w *Szedł przez pola*. Jehoram Gaon w *Operacji Jonatan*. – Ofir wyliczał na palcach przykłady, potem zagłębił się w szczegóły, które jasno dowodziły jego tezy, aż Amichaj usnął, a Ofir uspokoił się dopiero, jak obiecałem, że jeśli żadnemu z nas nie przydarzy się przypadkowa śmierć w armii, to biorę zadanie na siebie. Głowa Ofira opadła na ramię jego wiecznego oponenta i zostałem jedyną przytomną osobą w pokoju tej dziewczyny. Nie znałem jej imienia, ale już wiedziałem, jakie wydaje dźwięki, gdy ma orgazm. Albo gdy udaje.

Wstałem, przeszedłem się po pokoju. Nie był podobny do żadnego z tych, które widziałem w życiu, a nawet i w snach. Na ścianach wisiały wielkie obrazy w jaskrawych jasnych barwach. Nie jakieś plakaty czy obrazki za pięćdziesiąt szekli, tylko prawdziwe, profesjonalne obrazy. Coś mi mówiło, że namalowała je sama, ale nie było jak tego sprawdzić. Na półkach z książkami stały brzydkie rzeźby z papier mâché i sądziłem, że też ona je stworzyła. Nie znalazłem ani jednej znajomej książki z wyjątkiem *Małego Księcia* i poczułem się jak ignorant. Miała mnóstwo książek o sztuce, tomy poezji, bardzo mało powieści. Wybrałem tomik pod tytułem *Wiersze o miłości i seksie* Dawida Awidana i przypomniałem sobie, jak w szkole nauczyciel od literatury coś o nim wspominał, ale nigdy go nie przerabialiśmy. Pierwszy wiersz przeczytałem na stojąco, a potem nie potrafiłem już usiąść. „Taka piękna kobieta i taki brzydki mężczyzna/A wyszła za niego. Zbrodnia” – to pierwsze linijki, które zrobiły na mnie wrażenie. Następny wiersz miał tytuł *Dwie sekszabawki*. Trudno mi było stwierdzić, czy mi się podoba taka poezja, ale nie umiałem przestać powtarzać sobie półgłosem nowo przeczytanych fraz: „Lolita Splendita”, „niezawodne seksualne zwierzątko”, „silne chwile słabości”, „wstaliśmy, gotowi, by ruszyć”. Parę sobie nawet przepisałem na kartkę znalezioną w kuchni, żeby pokazać potem Churchillowi i spytać, co o tym sądzi.

– To skandal, że nie przerabiają tego w szkole – brzmiała jego opinia. – Nauczyciele literatury wolą uczyć o martwych poetach, bo mają o nich gotowce. – Dodał też, że trzymanie w domu tej książki to bardzo w stylu takiej dziewczyny jak Atalaja (okazuje się, że tak miała na imię).

– Czemu? – spytałem, bo było słyhać, że chce, żebym spytał. Otworzył okno, wystawił łokieć w postkoitalnym błogostanie i opowiedział, że Atalaja od kilku lat ma romans z żonatym facetem, który akurat parę godzin przed naszym przybyciem zadzwonił, że nie może się wymknąć z domu i z nią spotkać. Musiała się wytańczyć, żeby przeszła jej złość, bo inaczej chybaby eksplodowała, albo i skoczyła z okna... no i w tym momencie zjawiliśmy się my, tacy czyści i niewinni w naszych dżinsach i T-shirtach, że aż musiała

dotknąć tej delikatnej niewinności, którą sama traciła, w miarę jak jej romans grzązł w bagnie kłamstw, a ona nie mogła się z niego wydobyć, nie mogła zostawić tamtego mężczyzny, bo zostałaby sama, zupełnie sama.

Następnie Churchill opisał w najdrobniejszych szczegółach, o czym rozmawiali i co robili w sypialni, a ja mu nie przerywałem, bo słuchanie go było podniecające i pozwoliło mi nie zasnąć na odcinku za Haderą, a gdy zjechaliśmy w ulicę Freuda, słońce malowało górę Karmel na sennozłoty kolor.

– Patrz, Frid – powiedział Churchill – nikogo nie ma na ulicach, to miasto jest martwe. Martwe. Musimy się stąd wyrwać, jak tylko skończymy służbę. Jeżeli zostaniemy, to w ciągu kilku lat popadniemy w homogenię.

– Homogenię?

– Staniemy się tacy sami jak wszyscy. Będziemy chodzili do pracy, wracali do domu, wyhodujemy sobie brzuszki, zaciągniemy kredyty. Nie możemy na to pozwolić. Rozumiesz?!

– Jasne, Churchill – zgodziłem się. Ale jemu to nie wystarczyło: jak odwieźliśmy Ofira i Amichaja, kazał mi przysiąc, że po wojsku przeprowadzimy się razem do Tel Awiwu, bo beze mnie nie starczy mu ikry, żeby to zrobić.

Byłem zaskoczony, że ten wielki Churchill tak bardzo mnie potrzebuje, i trochę dziwnie się czułem, kiedy musiałem przysiąc, że zrobię coś za cztery lata. W dodatku dwie godziny wcześniej obiecałem Ofirowi, że dla dobra jego filmu zginę podczas służby w wojsku. Ale Churchill zagroził, że jak nie przysięgnę, to on wysiada – a że byłem bardzo już zmęczony tym całym Świętem Niepodległości, to przysięgłem. My, poddani Imperium Brytyjskiego, mamy swoje świętości. O piątej jest *teatime*, a dane słowo zobowiązuje. Trzy miesiące po zakończeniu służby stawiłem się u Churchilla, przejrzelśmy ogłoszenia „Poszukuję osoby do wynajęcia mieszkania na spółkę” z informatora dla studentów i odtąd przez wszystkie lata nigdy, w żadnym z sześciu moich telawiwskich mieszkań, nie czułem się u siebie. Choć z drugiej strony z biegiem czasu przestałem się czuć w tym mieście jak gość i nawet przywiązałem się do niektórych miejsc, gdzie spędzaliśmy we czterech czas: daleki brzeg Jarkonu, gwarny skwer przed filmoteką, amerykańska kolonia przy szosie do Jaffy. Ale nawet owe drobnostki już mnie nie cieszyły, gdy wydarzyła się cała ta historia z Ja’arą.

Bez moich przyjaciół z Hajfy ulice Tel Awiwu wyglądały znów jak ślepe zaułki. Wybrzeże wydawało się hotelowym westybuliem. Ludzie chodzący po deptaku zdawali się tak beznadziejnie różni ode mnie. Ich radość życia – powierzchowna. Materialistyczna. Żałosna. Śmiałem się z nich i zazdrościłem im zarazem. Czułem się czystszy niż oni. Głębszy. A jednocześnie widziałem w nich jakąś cudowną lekkość, której nigdy mieć nie będę, gdyż w głębi serca na zawsze pozostanę chłopcem z Hajfy.

Rozpaczliwie zastanawiałem się, czy chłopakom żal, że nie przychodzę na corocznego wiosennego grilla. Że nie oglądam z nimi *Bluesa pod koniec lata* jak w każdy Dzień Pamięci. Odkryłem, że oglądanie piłki samemu jest smętne i nudne, zwłaszcza kiedy gra Izrael. Jak trudno w tym wieku zdobywać nowe przyjaźnie. Starłem się zakumplować ze swoimi klientami, z niektórymi nawet chodziłem do irlandzkiego pubu niedaleko plaży. Ale to nie było to. Musiałem im za dużo wyjaśniać, bo nie potrafili od razu zrozumieć, o co mi chodzi. To wszystko trąciło interesownością. Zresztą każdy miał napięty plan dnia (to pewno nie przypadek, że większość przyjaźni rodzi się w liceum i na wyjazdach. Wtedy jest mnóstwo czasu, żeby się do siebie zbliżyć).

Skutek tych wyjść do pubu był taki, że jeszcze bardziej tęskniłem za kumplami.

A za Churchillem najbardziej.

Po licencjacie wybraliśmy się we dwóch do Ameryki Południowej. Ofir akurat zaczął pracę w agencji reklamowej i bał się, że go wyleją, jak weźmie za długi urlop, a Ilana Płaczka była już w ciąży, więc Amichaj też wypadł, no i zostaliśmy tylko Churchill i ja. Ja i Churchill. W nocy. W dzień. W pokojach śmierdzących szczynami. Na indiańskich targowiskach skrzących się od kolorów. Na węzłowych dworcach autobusowych, gdzie nie było informacji. Czekaliśmy całymi godzinami, żeby potem jechać całymi dniami.

Podczas takiej podróży zostajesz skonfrontowany z prawdziwą naturą swojego towarzysza, a on z twoją. W domu, na co dzień, można wszystko jakoś ukryć, załagodzić, rozładować. W podróży wszystko wychodzi na wierzch, nie ma mowy, żeby coś przyklepać czy ugłaskać.

Na przykład nigdy wcześniej nie zdawałem sobie sprawy, jak bardzo Churchill uzależniony jest od czyjejś uwagi. Zawsze byłem przekonany, że całym swoim zachowaniem mówi: „Idę własną ścieżką, sam i bez pomocy”. Dopiero podczas naszej wyprawy po raz pierwszy uświadomiłem sobie, że Churchill nie istnieje bez cudzych opinii. Gdy przez kilka dni nikogo nie spotykaliśmy, zapadał się w sobie, zwieszał głowę i nawet mówił z niejakim wahaniem.

Nigdy sobie nie wyobrażałem, że ja z kolei mam takiego fioła na punkcie porządku. Każdą najgorszą norę, w której nocowaliśmy, starałem się zmienić w dom. A kiedy Churchill rzucał ubrania na podłogę, kazałem mu je podnosić, jakbym był jego matką, co wkurzało go do tego stopnia, że w pewnym momencie postanowiliśmy dla dobra naszej przyjaźni nocować w oddzielnych pokojach, chociaż wychodziło drożej. Kolejną rzeczą, której Churchill nie mógł ścierpieć, była moja całkowita niezdolność do normalnego funkcjonowania bez wypicia porannej *tea with milk*. Za to mnie doprowadzało do szału jego ciągłe narzekanie na miejscową ludność.

– Spójrz na bogactwa naturalne, które tu mają – wołał, wskazując wodospad palcem przez okno autobusu – nie do wiary, że nic z tym nie robią. – Pozwól mi się napawać krajobrazem, myślałem, odsuwając się nieco od niego, ale on nie odpuszczał: –

Oczywiście, są biedni, leniwi, nie są w stanie sami sobie pomóc. Nie mają potrzeby zmiany własnego położenia.

Przez pierwsze tygodnie próbowałem z nim dyskutować („Może to po prostu inny sposób na życie? Może sami tak chcą?”), a potem już tylko siedziałem cicho. Słuchałem jego zrzędzenia („Jaka koszmarne droga. Czy to taki wielki problem ją wyremontować? To nie żaden sposób na życie, tylko normalne nieróbstwo”), a ja błagałem niebiosa, żeby się zamknął. Albo żeby zaczął w tym autobusie zadreć kogo innego.

Lecz mimo wszystko podczas całej wyprawy nie rozdzieliliśmy się ani na dzień. Mimo wszystko po powrocie byliśmy sobie bliżsi. Może dlatego, że jak pisze Arystoteles, ludzie naprawdę się znają dopiero wtedy, gdy zjedli razem beczkę soli, a może ponieważ każdy z nas przynajmniej raz miał szansę się przekonać, że może polegać na tym drugim.

Gdy wróciliśmy z wyprawy, Churchill opowiadał naokoło, jak to uratowałem mu życie, kiedy napił się soku z kaktusa San Pedro. Myślę, że trochę konfabulował – ja po prostu poszedłem zobaczyć, co u niego. To było osiem godzin po tym, jak wyszedł gdzieś z bukłakiem zielonego soku, który Indianie pili, żeby rozmawiać z bogami. Każdy by zrobił to samo na moim miejscu. Wychodząc z chaty, w której nocowaliśmy, powiedział, że idzie się napić soku z kaktusa, ale mam się nie martwić, bo nie ma mowy, żeby to na niego w jakikolwiek sposób podziało. Uwierzyłem. W końcu to był Churchill. A gdy ruszałem, żeby go poszukać, byłem przekonany, że zastanę go pływającego nago z dwiema Izraelkami w którejś z sadzawek na ranczu, gdzie mieszkaliśmy.

Rzeczywiście, był nagi. Ale sam. Ubabrany własnymi wymiocinami. Miał drgawki i dostał bardzo poważnego ataku paranoi. Zdaje się, że bogowie faktycznie do niego przemówili i kazali mu się rozebrać. Naokoło pagórka, gdzie stał, widział pełno tygrysów z głowami koni. Był przekonany, że wszystko, co mówi, rozbrzmiewa niewiarygodnie głośno i słyhać go na całym świecie. Martwił się, czy nie usłyszą go rodzice w Izraelu. Choć właściwie to przyszli do niego trochę wcześniej, po tym jak zwymiotował. A wtedy on powiedział ojcu, co sądzi o nim i jego kobietach. Ale teraz się bał. Nie, nie ojca, tylko indiańskich bogów. Są na niego źli, a on nie rozumie czemu. Chciało mu się pić, jak gdyby czterdzieści lat szedł przez pustynię. Ale nie był w stanie wziąć do ust ani kropli wody, więc może bym wypił za niego, to znaczy zamiast niego.

Odkręciłem swoją butelkę z wodą i wmusiłem w niego zawartość. Pomogłem mu się ubrać i odprowadziłem go na ranczo. Potem uważnie obserwowałem w oczekiwaniu, aż działanie narkotyku osłabnie, i zadbałem, żeby odpowiednio dużo jadł i pił. W nocy, kiedy już się zdawało, że wydobrzeł, dostał napadu lęku, że jeśli zaśnie, to po obudzeniu nie będzie umiał odróżnić snu od jawy. Obiecałem, że w każdej chwili będzie mógł mnie zawołać, gdy tylko będzie chciał się przekonać, czy to nie sen. Wołał mnie kilkanaście razy. Za każdym razem wstawałem, podchodziłem do jego łóżka i głaskałem go po głowie, aż znów zasnął.

– Wierz mi, *amigo*, nie zapomnę ci tego do końca życia – powiedział mi dwa dni później, gdy jechaliśmy na pace ciężarówki z powrotem do miasta. Siedzieliśmy oparci o plecaki, a promienie słońca tańczyły na naszych nagich torsach.

– To nic takiego.

– Przeciwnie – upierał się. – Gdybyś nie wyszedł mnie szukać, odwodniłbym się. W najlepszym razie. A jeszcze mogli się zjawić *bandidos*, ogolić mi *pauchos*, a na deser strzelić w serce, znaczy się w *corazon*.

– Przesadzasz.

– Wcale nie.

– Zresztą i tak byłem ci to winien po Cuzco.

– Nie, no przecież to był drobiazg.

Nieprawda. To wcale nie był drobiazg, i tak samo uważał miejscowy lekarz (a zarazem aptekarz, agent turystyczny i jedyna osoba w miasteczku znająca angielski). Kiedy zacząłem mieć gorączkę trzydzieści dziewięć i cztery, a do tego dreszcze, zbadał mnie na zagraconym zapleczu swojej apteki.

– Ma pan „gorączkę gringo” – orzekł i wytłumaczył, że większości turystów się to przytrafia. – Nie ma na to lekarstwa, potrwa od tygodnia do miesiąca. – Jedyne leczenie miało polegać na tym, żebym leżał spokojnie i czekał, aż mi przejdzie. – A ty, duży – zwrócił się do Churchilla – czuwaj przy nim. Każ mu pić, co parę godzin mierz temperaturę, a jak wzrośnie powyżej czterdziestu, natychmiast mnie wezwij, bo to znaczy, że choroba weszła w drugie stadium.

Churchill ściśle stosował się do zaleceń.

Pod koniec pierwszego tygodnia spotkał w Posada dziewczynę imieniem Keren, którą znał ze studiów. Wtedy miała chłopaka, ale teraz była wolna. Zaczęli razem jadać śniadania, a wieczorem, gdy już spałem, wychodzili do miasta.

Churchill opowiadał o niej z błyskiem w oku. Trzeba zaznaczyć, że nigdy wcześniej nie słyszałem, by tak mówił o dziewczynie.

– Ta Keren jest wyjątkowa. Ma jakąś tajemnicę.

Parę dni później nagle przestała się pojawiać w jego opowieściach. Spytałem dlaczego i odpowiedział, że wyjechała. Ruszyła w dalszą podróż.

– Czemu nie pojechałeś razem z nią?

– Prosiłem, żeby została jeszcze trochę, póki nie wydobrzejesz, to pojedziemy razem. A ona na to: „Co ma się stać, to się stanie” i „Jeśli pisane nam jest się spotkać,

jeszcze się spotkamy”.

– Jednak trzeba było z nią pojechać. Przecież miała w sobie tajemnicę.

– Gówno prawda – odrzekł Churchill ze złością. – Udawała, żeby mnie zauroczyć.

Nic nie odpowiedziałem. To jego „gówna prawda” świadczyło, że rozstanie z Keren było naprawdę niełatwe. Termometr zrobił „piiiip” i Churchill wyjął mi go z ust.

– No, kolego, zdrowiejesz. Trzydzieści osiem i sześć. – A po chwili dodał jakby sam do siebie: – Dziewczyny przychodzą i odchodzą. Przyjaciele zostają.

Przypomniałem mu to zdanie, gdy zadzwonił, żeby się przyznać, do historii z Ja'arą.

Zamilkł. Nie zaprzeczył, że sam to kiedyś powiedział. Nie twierdził, że cytuję zdanie wyrwane z kontekstu.

Wspominałem tę uwagę nawet w swoich wewnętrznych dialogach, które z nim później prowadziłem. Co się stało? – pytałem. Co się zmieniło przez trzy lata od tamtego czasu? Zmieniły ci się priorytety, czy po prostu stałeś się takim bucem?

Nigdy nie odpowiedział. Tak to już jest z wewnętrznymi dialogami, że możesz wygadywać, co chcesz, a nikt ci nie odpowie. Skrycie pragnąłem, żeby przegrał wszystkie swoje sprawy, i to nie tak po prostu, tylko w jakiś najbardziej kompromitujący sposób. Bo źle przygotował świadków. Bo zgubił foliową torebkę z najważniejszym dowodem rzeczowym. Bo obrońca zaskoczył go precedensem, który powinien znać byle student prawa, a teraz Churchill musiał się ze spuszczoną głową tłumaczyć przed panią prokurator okręgową.

Życzyłem mu tego wszystkiego, a zarazem tęskniłem za nim. Jego wewnętrzny ogień był na swój sposób inspirujący. Tęskniłem za tym, jak całkowicie poświęcał uwagę rozmówcom, choćby był bardzo zajęty, zmęczony czy w podłym nastroju. Za tymi szybkimi spojrzeniami i uśmiechami, które mi rzucał, ilekroć wypowiedziałem na głos jakąś prywatną uwagę, a on w ten sposób dawał mi do zrozumienia, że wie dokładnie, co mam na myśli: że widział ten film, czytał tę książkę lub tak samo jak ja dostrzega absurd sytuacji, którą wszyscy biorą poważnie.

Zresztą od jednego z tych spojrzeń zaczęła się nasza przyjaźń. To było podczas tygodniowego obozu z przysposobienia obronnego na początku szkoły średniej. Wszystkie młodsze klasy pojechały na południe kraju i przez pięć dni bawiliśmy się w wojsko. Przebrali nas w mundury, podzielili na oddziały i kurewsko wymęczyli. A my podporządkowaliśmy się bez mrugnięcia okiem. To znaczy: większość się podporządkowała, tylko kilkoro nie dało się zgnoić, bo byli zdania, że nie należy przesadzać z gorliwością. No bo skoro i tak nas kiedyś wezmą w kamasze, to po co samemu w nie włączyć już w liceum?

– Słuchajcie, myślicie, że dostaniemy przepustkę na weekend? – zapytałem w stołówce podczas jednej z krótkich przerw w ćwiczeniach, ale nikt się nie zaśmiał z żartu. Tylko Churchill.

– Sądzę, że nie ma wątpliwości. Zapewne! – odpowiedział, przedrzeźniając szczekliwy głos naszego dowódcy, rzucił mi łobuzerskie spojrzenie, a gdy przerwa na posiłek dobiegła końca, spytał mnie, nikogo więcej, czy razem z nim chcę się urwać z parady. Zawahałem się (co innego wyśmiewać regulamin, a co innego go łamać), ale powiedział, że dokładnie wszystko sprawdził i nie mają nad nami żadnej formalnej władzy. – Naprawdę, jeśli nie pokażemy się na paradzie, nic nam nie mogą zrobić. Nic a nic.

Dałem się przekonać i zostaliśmy w stołówce. Miało to posmak buntu. Jedliśmy batoniki i rozmawialiśmy o tym, że Rona Rawiw wygląda fantastycznie nawet w mundurze, i o tym, że filmowa wersja *Diuny* nie była ani w połowie tak dobra jak książka, i dlatego lepiej uczyć się jeździć z ręczną skrzynią biegów niż z automatyczną. Churchill perorował, a ja głównie słuchałem, ale wykazał zainteresowanie tymi kilkoma wypowiedzianymi przeze mnie zdaniem, a ja poczułem zachętę, by mówić więcej, niż mam w zwyczaju. Nie wiem czemu, opowiedziałem mu, że raz w tygodniu grywam w szachy w klubie seniora. A on zamiast się ze mnie wyśmiewać, zaproponował, żebym w sobotę zagrał z nim.

– O ile dostaniemy przepustkę – przypomniałem mu, a on się roześmiał. Pomyślałem sobie, jakie to z jego strony uprzejme śmiać się dwa razy z tego samego niezbyt zabawnego żartu. Po wspólnej partii szachów w sobotę namówił mnie, żebyśmy poszli do pubu Mała Hajfa, bo do portu przyplłynął lotniskowiec Szóstej Floty, więc do baru przyjdzie pewnie sporo amerykańskich marynarzy, upiją się i będą śpiewać na całe gardło „Bye, bye Miss American pie”.

– Musisz to zobaczyć – powiedział.

Od tego czasu byliśmy przyjaciółmi. Wcześniej też miałem przyjaciół, ale samych podobnych do mnie: niskich ponuraków, którzy podpierali ściany na imprezach, a na przerwach czytali magazyny o fantastyce. Którzy znali na pamięć skład Makabi Hajfa, włącznie z rezerwowymi, ale nigdy nie byli na meczu, którzy umieli się ze wszystkiego wyśmiewać wspaniałymi zdaniem złożonymi, ale zaczynali się jąkać, jak tylko spojrzęła na nich jakaś dziewczyna.

Churchill nie bał się dziewczyn. W ogóle nie bał się życia i rzucał się w nie wplaw, kraulem i z otwartymi oczyma. Choć w głębi duszy wiedziałem, że nigdy nie będę taki jak on, wierzyłem, miałem nadzieję, że stopniowo, po tylu wspólnie spędzonych godzinach, trochę tej pasji życia spłynie też na mnie i przestanę traktować dziewczyny jak marmurowe boginie. Że przestanę podpieierać ścianę i wyjdę na środek sali, gdzie wszyscy tańczą.

Po tym, jak Ja'ara ode mnie odeszła, znów poczułem – jak gdyby tych dziesięciu lat wcale nie było – że stoję pod swoją ścianą, pogrążony w wygodnym ponuractwie.

Głupio się przyznać, ale parę razy wręcz podchodziłem do telefonu, żeby zadzwonić do Churchilla. Raz nawet zacząłem wykręcać numer. Wiedziałem, że on jeden na świecie zrozumiałby bez tłumaczenia, czemu nie mogę patrzeć na reklamy z pięknymi kobietami w okularach, czemu ilekroć w tłumaczonym artykule pojawiało się słowo *revelation*, odsuwałem na bok plik kartek, i czemu każda randka z inną dziewczyną wydawała mi się kompromisem.

Ale wiedziałem też, że może to ona odbierze telefon.

Więc nie zadzwoniłem.

Raz, kiedy odwoziłem klientowi tłumaczenie, zobaczyłem ich. To było na ulicy Dziedziectwa Beniamina, niedaleko sklepów tekstylnych. Ich auto stało na światłach przede mną. Z początku nie byłem pewien, czy to oni, więc pozwoliłem, żeby mój samochód delikatnie i bezszelestnie, jak kawałek materiału zsuwający się z krzesła, potoczył się do przodu, aż nasze zderzaki prawie się dotknęły, ale wciąż nie byłem na sto procent pewien, w końcu nie widzieliśmy się parę miesięcy. Ale potem, tym gestem, który dobrze pamiętałem, zdjęła okulary i nachyliła się do niego. Pocałowali się. Zrobiło się zielone światło, a oni wciąż się całowali. Mogłem na nich zatrzeć, powinienem to zrobić, ale siedziałem cicho i patrzyłem, jak ona gładzi go po włosach, a jego dłoń przytrzymuje ją za kark, jak oboje zamykają oczy, jak jej ramię lśni, jak jej karmelowe włosy układają się w zagłębieniu między tym lśniącym ramieniem a szyją i jak jego palce bawią się koniuszkami tych włosów. Zielone światło zmieniło się na żółte, a ja nadal nie zatrzeć. On wciąż ją całował, ona powoli odchyliła głowę i wyobraziłem sobie jej małe piersi w rozcięciu bluzki, a potem już się nie całowali, tylko trwali przytuleni, aż zapaliło się czerwone. Obejmował ją ramionami, oparł głowę na jej piersi, a jej ramię znów lśniło; podniósł głowę, pocałował delikatnie jej nagą skórę, potem lekko przygryzł, a ona gładziła go po głowie, jakby przynaglając, by gryzł mocniej, głębiej, a w końcu on podniósł na chwilę głowę i zobaczył, że znowu zapaliło się zielone...

Roześmiali się. Niemal słyszałem ten śmiech mimo zamkniętych szyb. Śmiali się ze swej lekkomyślności, a może z tego, jak Churchill popisuje się swoją słynną sztuczką, naśladowaniem dziennikarza, który z powietrza donosił o sytuacji na drogach – wydając ustami dźwięk helikoptera, jednocześnie mówi o parze, która zaczęła całować się w samochodzie i zablokowała ruch na całej ulicy Dziedziectwa Beniamina.

A może powiedział jej o życzeniu, które napisałem na swojej kartce. Może właśnie to ich tak rozbawiło, zanim ruszyli?

Mimo że ktoś za mną trąbił, odczekałem jeszcze parę chwil, żeby odjechali wystarczająco daleko. Jak najdalej. Dopiero wówczas ruszyłem. Moje serce było zimniejsze niż zamrażnięty trup.

Nie spotykałem się z kumplami prawie pół roku.

Nie wzruszyły mnie błagania Amichaja, pozostałem nieczuły na pokusy (Liga Mistrzów! Czterdziestocalowy ekran!! Burekasy o smaku łez pieczone przez Ilanę Płaczkę!!!).

Na nic się zdały nawet jego groźby (jak ty nie przyjdiesz, to my przyjdziemy do ciebie. Jak nie otworzysz, wyważymy drzwi).

Ale kiedy zadzwonił i powiedział, że Ofir miał załamanie, wszystkie moje mocne postanowienia runęły jak piramida z pomarańczy w supermarkecie i pojechałem prosto do szpitala.

Metamorfozy: Wielkie umysły, które zmieniły zdanie – nieukończona rozprawa filozoficzna Juwala Frida (fragment)

Co skłoniło Wittgensteina, który wszak twierdził, że słowa mają wartość, tylko jeśli reprezentują rzeczywistość, by nagle po wielu latach powiedzieć: „Zrobiłem błąd, namacalna rzeczywistość w ogóle nie jest istotna, znaczenie słów bierze się wyłącznie z «gry konkretnego języka», którego część stanowią, a zatem, wbrew mym dawnym tezom, nie należy pytać, w jakim stopniu słowa pasują do świata, lecz: co ludzie robią ze słowami”?

Czy zaszła tu, jak się zazwyczaj uważa, powolna, stopniowa metamorfoza, która doprowadziła do tej całkowitej zmiany koncepcji Wittgensteina? A może był jeden konkretny moment, gdy filozof złapał się za głowę i zawołał: „*Grosser Gott!*”? Czy ta zmiana zaszła, gdy budował siostrze dom w Wiedniu, a może podczas jednej z lekcji, w czasach gdy był niezbyt lubianym w szkole nauczycielem w austriackiej wiosce? A może objawienie spłynęło na niego, gdy przypatrywał się jednej z gier, którymi tak lubił się posługiwać jako metaforami ilustrującymi jego idee? Wyobrażam sobie, jak siedzi na głównym korcie w Wimbledonie w 1934 roku i ogląda mecz o mistrzostwo między Fredem Perrym a Jackiem Crawfordem. Głowy widzów odwracają się w tę i z powrotem, śledząc ruch białej piłki odbijanej w tę i z powrotem, w tę i z powrotem. Nagle jedna z głów zastyga w bezruchu. Wittgenstein uświadamia sobie, że popełnił błąd.

Zastanawia mnie, czy słowo „błąd” wyświetliło się na ekranie jego myśli, zanim obudził się w panice zlany potem, czy może najpierw obudził się w panice zlany potem i dopiero wtedy pojawiło się słowo „błąd”.

Ile odwagi musi wykazać człowiek, by zaprzeczyć własnym ideom? (Zwłaszcza ideom, które stały się publicznie znane. I znalazły wyznawców. I sprawiły, że Wittgenstein zyskał szacunek akademickich filozofów na całym kontynencie).

Ile odwagi, desperacji, desperacko brutalnej szczerości wobec samego siebie musi wykazać człowiek, by móc wszystko odrzucić? By zacząć od początku?

Na pierwszym zdjęciu od prawej na ścianie w moim pokoju stoimy z Ofirem plecami do siebie i trzymamy węże do tankowania benzyny, jak gdyby to były pistolety. Jak gdybyśmy za chwilę mieli zrobić dziesięć kroków, obrócić się na sygnał sekundantów i strzelić do siebie. Obaj jesteśmy w kombinezonach z logo stacji benzynowej i wyglądamy – przynajmniej ja – jak w przebraniu. W tle widać górę Karmel, ale to akurat nic dziwnego. Niemal wszędzie w Hajfie w tle jest albo góra Karmel, albo morze.

Tydzień po skończeniu służby wojskowej zaczęliśmy z Ofirem pracować u jego ojca w stacji paliw. Ofir twierdził, że to jest „praca o pierwszorzędym znaczeniu” i jeśli przepracujemy pół roku, dostaniemy dofinansowanie od wojska.

– Poza tym – podsunął mi jeszcze jeden argument – na stację benzynową co raz przyjeżdżają kobiety w czerwonych brykach i czasem lubią, żeby przystojniak w kombinezonie sprawdził coś więcej niż tylko poziom oleju i płynu w chłodnicy. Właśnie tak ojciec poznał swoją drugą żonę. I trzecią. – Prawdę mówiąc, tak samo ojciec Ofira poznał jego matkę: chciała tylko dopompować koła.

Po dwóch tygodniach zostaliśmy wylani. Ojciec Ofira twierdził, że pracujemy za wolno i za dużo gadamy. Taka praca jest dla prawdziwych chłopaków, a nie takich, których wychowywała matka.

Szczerze mówiąc, poczułem ulgę. Opary benzyny to nie jest to, co astmatycy lubią najbardziej. A jedyna kobieta w czerwonym samochodzie, jaka się przez ten czas pojawiła, wściekła się na mnie, że nie umyłem jej przedniej szyby.

Za to Ofir bardzo przeżył całą sprawę. Mówił, że najbardziej żał mu tego dofinansowania od wojska, bo myślał, że sobie uskłada na wyjazd do Tajlandii. Ale ja wiedziałem, że historia z pracą na stacji benzynowej była tylko kolejną próbą zbliżenia się do ojca.

Nigdy nie przestał próbować. Rok po tej porażce zebrał całe pieniądze, które uskładał na Tajlandię, i zaprosił ojca na męską wyprawę po wschodniej Turcji. Wyłożył mi cały plan wieczorem przed wyjazdem: będziemy spać w namiocie i gotować na kuchence turystycznej. Wreszcie będziemy mogli się naprawdę poznać!

Pierwsze niepokojące sygnały pojawiły się na lotnisku. Ojciec uważał, że nie wypada wchodzić do samolotu w dzinsach przetartych na kolanach. Ofir odparł, że nie widzi powodu, żeby się stroić przed podróżą samolotem.

– Rób, jak uważasz – burknął ojciec – ale twoje spodnie mnie osobiście obrażają.

Ofir poszedł do łazienki się przebrać. Pocieszał się, że początki zawsze bywają

trudne. Ale później, gdy już zaczęli wędrować po górach, było tylko gorzej. Ojciec nie pojmował, czemu muszą robić takie długie przerwy, które rozbijają rytm marszu, a Ofir był zdania, że właśnie te chwile, gdy zdejmujesz plecak, siadasz i napawasz się krajobrazem, a wiatr chłodzi twoje spocone plecy, to najpiękniejsze momenty wyjazdu.

– Wiesz co – rzekł ojciec – decydujemy na przemian, kiedy będziemy kończyć przerwy.

– Świetnie – odparł Ofir, przekonany, że nareszcie znajdują nić porozumienia. Ale później, gdy zeszli z gór do miasta uzupełnić zapasy, kłopoty znów się zaczęły. Ojciec nie rozumiał, jak można chodzić po nieznanym mieście bez mapy. Ofir uważał, że na tym właśnie polega magia poznawania nowego miejsca: nie wiesz, dokąd zmierzasz, tylko idziesz przed siebie i chłoniesz dźwięki, zapachy, kolory.

– Wiesz co, jeśli przeszkadzam ci w tym twoim chłonięciu, to radź sobie beze mnie – wybuchł wreszcie ojciec, a Ofir po tygodniu utarczek był w takim stanie, że odpowiedział:

– Tak, tato, dokładnie tak zrobię. – I ostatni tydzień wyjazdu spędzili w Stambule, osobno.

Nawet na lotnisko nie pojechali razem, bo Ofir chciał wziąć taksówkę, a ojciec powiedział, że to matka go tak rozpieściła, taksówka to wyrzucanie pieniędzy, a na to Ofir, że to jego własne pieniądze i będzie je wydawał, na co będzie chciał. W samolocie było to samo: cios, cisza, cios, cisza, aż w końcu ojciec Ofira przesiadł się na inne miejsce.

Ale nawet po fiasku tej wyprawy, choć tak bolesnym, Ofir się nie poddał. Po krótkiej przerwie podjął kolejną próbę, uzbrojony w nowe przemyślenia:

– Błąd polegał na tym – klarował mi – że próbowałem zmusić ojca do robienia rzeczy, które ja lubię. Jutro idę kupić model samolotu, a w niedzielę wybierzemy się razem na ulicę Freuda.

W każdy sobotni poranek na otwartej przestrzeni przy wjeździe do miasta (tam, gdzie obecnie wyrosło centrum handlowe) ojcowie z synami puszczały modele samolotów. Gdy ojciec Ofira był jeszcze z jego matką, parę razy namawiał synka, żeby tam z nim poszedł. Ale Ofir wolał zostać w domu z mamą i grać w scrabble'a. Nawet po latach, gdy trzecia żona zdążyła już urodzić dwie córki, ojciec Ofira wciąż chodził tam sam, puszczał swój samolot i słuchał podekscytowanych głosów cudzych dzieci.

– To będzie świetny sposób, żeby domknąć ten krąg – ciągnął Ofir. – Nic mu nie powiem, chcę, żeby to była niespodzianka. Fantastyczny pomysł, nie?

– Absolutnie – poparłem go. Zastanawiało mnie, czemu to zawsze on wychodził z inicjatywą zbliżenia, ale jego zapał był tak niewinny, tak wzruszający, że też mi się udzielił. Życzyłem Ofirowi jak najlepiej.

– Szkoda, że nie widziałeś jego miny, kiedy mnie zobaczył z modelem samolotu – opowiadał podniecony, gdy zadzwonił do mnie w sobotę wieczorem.

– Był zaskoczony?

– Był w szoku.

– A potem?

– Potem?

– No, jak puszczaliście samoloty.

– Nieźle... Mieliśmy... Jego samolot i mój miały małą kolizję, a ten jego kosztował dziesięć tysięcy szekli. Rozbiły się na drodze. Wtedy ojciec powiedział, że może już bym sobie poszedł. Nie chciał, żebym mu pomagał zbierać kawałki. Ale mówię ci, jego mina... kiedy mnie tam zobaczył... Powiedział, że bardzo to docenia. A dzisiaj przyszedł mi do głowy genialny pomysł. Wiesz, że po drugiej stronie drogi, naprzeciwko ojca otworzyli nową stację benzynową? Podkradają mu klientów. To jest klasyczny problem, który może rozwiązać dobra kampania reklamowa. Rozmawiałem z działem kampanii wizualnych u nas w agencji i zgodzili się zrobić to dla mnie za darmo. Rozumiesz? Za miesiąc pojawię się u ojca z gotową kampanią, która pomoże mu odzyskać starych klientów i sprowadzi sporo nowych!

Ofir wykorzystał cały talent i przez półtora miesiąca szykował kampanię stacji benzynowej ojca: naklejki, plakaty, billboardy, ulotki, ale kiedy nazajutrz miał pójść i zaprezentować rezultat swojej pracy...

Ojciec poczuł potworny ból w dolnej szczęce, poprosił sekretarkę, żeby umówiła go do dentysty, a godzinę później przewrócił się na wykładzinę w biurze i zmarł.

Zawał.

– Gdyby wykupił subskrypcję Telemedu, może udałoby się go uratować – szepnęła do mnie Amichaj na pogrzebie.

A Ofir, niczym model samolotu, poszybował nad otchłanią, która zawsze oddzielała go od ojca, skazany na wieczne domysły, czy wspaniała kampania mogła odnieść sukces i dokonać tego, czego nie udało się dokonać innymi sposobami, i czemu, do cholery, potrzebna była do tego aż kampania reklamowa, czy ojciec nie mógł go po prostu kochać?

Kiedy dotarłem na oddział, na którym leżał Ofir, wszyscy już tam byli.

Churchill. Amichaj z wielkim magnetofonem, Ilana Płaczka i jakiś facet z agencji reklamowej, który rozmawiał przez komórkę.

W powietrzu unosił się ostry zapach rosółu z kury. W telewizji ktoś w białym fartuszkucy uczył, jak się robi steki w sosie teriyaki. Nogi odmówiły mi posłuszeństwa, nie

mogłem postąpić ani kroku naprzód. Ani w tył. Poczułem ciepłą falę szczęścia na widok przyjaciół, lecz jednocześnie wezbrała mi w gardle uraza, którą tłumilem od pół roku, i zimny, niepowstrzymany wstręt na widok Churchilla.

Amichaj przejął inicjatywę i ruszył ku mnie ze swoim magnetofonem. Churchill za nim, w bezpiecznej odległości.

– Jego matka jest w środku – pospieszył Amichaj z wyjaśnieniem. – Jak wyjdzie, to wpuszczą nas.

– Jak on się czuje? – spytałem, pilnując się, by patrzeć tylko na Amichaję.

– Chyba będzie żył.

– Ale jak... Co to znaczy, że miał załamanie?

– Dwa miesiące temu zaproponowali mu awans na kierownicze stanowisko. Nie chciał. Mówił nam nieraz, że nie chce być dyrektorem. Że pracował w ośmiu agencjach reklamowych i zdążył się przekonać, że cały ten biznes to jedno wielkie manipulowanie ludźmi, żeby kupowali rzeczy, których nie potrzebują, a skoro on sam nie wierzy, że to, co robi, jest ważne, to jak miałyby do tego przekonywać innych?

– Okay – starałem się nie okazać frustracji, że mnie nie było, kiedy to wszystko się działo – ale co to ma wspólnego z załamaniami?

– I to właśnie jest trochę dziwne. – Amichaj zaczął się bawić przyciskami magnetofonu. – Dwa tygodnie non stop gadał o manipulowaniu ludźmi, a potem nagle dzwoni do Churchilla i mówi: „Stary, możesz mi pogratulować”.

– Ja na to: „No to, gratulacje, stary” – Churchill po raz pierwszy od początku rozmowy zwrócił się do mnie, choć nie spojrzał mi w oczy. – „Ale powiedz mi, o co chodzi”. A on odpowiedział, i słychać było, jaki jest z siebie dumny: „Rozmawiasz z nowym creative directorem agencji Sieradzki & Siedlecki”.

– Czyli że niby ten dyrektor to Ofir? – spytałem.

Obaj kiwnęli głowami.

– Czekać, to kiedy miał to załamanie? Co to w ogóle jest załamanie? Co to znaczy?

– Lekarze nazywają to „epizodem psychotycznym” – odpowiedziała Ilana Płaczka. – W Stanach Zjednoczonych niemal pięć procent mężczyzn przynajmniej raz w życiu przeżywa załamanie. A nie zapominajmy, że mowa o mężczyznach, więc pewnie jest mnóstwo przypadków, których nie zgłoszono.

– Ty jesteś od tego specjalistką, prawda? – zwróciłem się do niej.

Oczy jej rozblęły i zarumieniła się. Miałem wrażenie, że nawet jej piersi zrobiły się odrobinę większe.

– Chodzi o to – zaczęła cichym głosem eksperta – że Ofir był w ostatnim czasie pod silną presją. Jeśli weźmiemy dodatkowo pod uwagę jego niestabilną sytuację emocjonalną, która ma swój początek w dzieciństwie, to takie załamanie jest tego wszystkiego jedynym logicznym następstwem.

– Naturalnie – przytaknęliśmy wszyscy, chociaż zobaczyłem, że Churchill już nabiera powietrza, żeby zgłosić sprzeciw. Dokładnie wiedziałem, co będzie chciał powiedzieć: „Każdy przestępca zwała winę na swoje trudne dzieciństwo i w ten sposób determinizm staje się ostatnią deską ratunku dla wszystkich złych ludzi. A weźmy na przykład Australię, do której zsyłano więźniów: wbrew temu, czego byśmy oczekiwali na podstawie tej deterministycznej teorii, tamtejsze statystyki dotyczące przestępczości są niższe od średniej”.

Ale tym razem się powstrzymał i pozwolił Ilanie mówić dalej.

– Na szczęście – kontynuowała – takie załamanie, jakie miał Ofir, najczęściej mija po kilku dniach odpoczynku. Najprawdopodobniej tak będzie i w tym przypadku.

Matka Ofira wyszła z sali i podeszła prosto do mnie. Rok temu, po wielu latach pracy jako sekretarka w szpitalu, postanowiła pójść na kurs mediacji. Facet, z którym mieszkała, próbował ją zniechęcić, wyśmiewał ją i twierdził, że nie ma sensu w jej wieku zmieniać zawodu, a zresztą i tak nie znalazłaby pracy. Ale ona się nie poddała. Nawet wtedy, gdy okazało się, że jedyny kurs, na który mogłaby się zapisać, jest w Tel Awiwie. Na prośbę Ofira pomogłem jej przebrnąć przez biurokratyczny labirynt i od tego czasu bardzo mnie lubiła.

– Bardzo miło, że przyszliście – powiedziała.

– Martwimy się o niego – odrzekłem (i przemknęło mi przez myśl, że zadziwiająco szybko wróciłem do formy „my”).

– Wejdźcie tam. Czeka na was.

Ofir leżał na łóżku, biały jak punkt do rzutów karnych jednaście metrów od bramki. Spod koca sterczały stopy, płaskie i długie jak płetwy. Bujne jasnobrązowe loki, dzięki którym wszystkie dziewczyny myślały, że Ofir jest dzieckiem rolników z moszawu i kiedyś odziedziczy gospodarstwo, teraz były smętnie oklapnięte. Na jego twarzy malował się smutek, którego przedtem nie było.

Pochyliłem się, żeby go przytulić. Przypomniałem sobie, że ostatni raz, kiedy kości Ofira tak wbiły mi się w ciało, miał miejsce na pogrzebie jego ojca.

– Ale ze mnie dupa – powiedział, jak go puściłem.

– No, trochę – uśmiechnąłem się.

– Coś we mnie w środku jest spaprane. Jakiś, kurwa, ważny mechanizm nie działa

jak trzeba.

– Bzdura – odezwał się Amichaj.

– Nie zachowuj się jak mazgaj – dodał Churchill.

– Ludzie po prostu tak mają, co nie? Właśnie dlatego, że są ludźmi – podsumowałem.

– Brakowało mi tych twoich złotych myśli. – Ofir posłał mi zmęczony uśmiech.

– A mnie brakowało ciebie – odrzekłem.

– Wiesz co – powiedział do mnie po cichu – chyba trochę przegiąłeś. Jasne, że mogłeś się na nas obrazić. Ale pół roku?

Pokiwałem głową zrezygnowany,

– Szkoda, że nie umiesz docenić tego, co masz – ochrzaniał mnie dalej, ale zdawało mi się, że mówi też częściowo o sobie. – Naprawdę szkoda, bo nie masz pojęcia, jakie... – i w tym momencie, zanim zdążył dokończyć swoje słynne powiedzonko, usnął.

Nie dziwią mnie ludzie, którzy zasypiają, słuchając. Sam kiedyś usnąłem na wykładzie „Praca równoległa” podczas służby w wojsku i wskutek tej małej drzemki zostałem wywalony z kursu oficerskiego, co położyło kres mojej błyskotliwej karierze zawodowego żołnierza, którą mój ojciec (i tylko on) sobie dla mnie wymarzył. Ale nigdy nie widziałem, żeby ktoś zapadł w sen w momencie, gdy jego usta jeszcze wypowiadały słowa.

Pielęgniarka, wysoka kobieta, chuda jak strzykawka, wyjaśniła, że to z wyczerpania. I że Ofir musi teraz przede wszystkim odpoczywać.

Amichaj postawił magnetofon na szafce przy łóżku i spytał, czy moglibyśmy coś puścić Ofirowi.

– To nie najlepszy pomysł – odrzekła siostra i obrzuciła sprzęt wrogim spojrzeniem.

– Tylko jedną rzecz – błagał Amichaj. – Nagraliśmy to specjalnie dla niego, żeby go podnieść na duchu.

– Przykro mi. – Pielęgniarka była nieubłagana. – To wbrew przepisom.

Amichaj rozgoryczony zabrał magnetofon z szafki. Być może właśnie w tej sekundzie zostało zasiane to ziarno, dzięki któremu przed upływem dwóch lat twarz Amichaja zaczęła być znana w każdym izraelskim domu. Trudno powiedzieć.

Ale Ilana Płaczka i Churchill wyglądali, jakby poczuli wielką ulgę.

Dopiero później, w stołówce w podziemiach szpitala, wyjaśnili mi, przed czym uratowała nas interwencja pielęgniarki. Amichaj znalazł w jakimś pudle u siebie w piwnicy starą kasetę z nagraniami piosenek, które śpiewaliśmy na przedstawieniu z okazji

zakończenia szkoły. Wpadł na pomysł, że staniemy koło łóżka Ofira i chórem odśpiewamy balladę o nauczycielu chemii, na melodię starego przeboju *Big in Japan* (Gdzie jest mój tlen? No gdzie? Gdzie jest mój tlen? Kto wie? Szymon, powiedz, gdzie mój tlen).

– Może to zrobimy, jak już go wypuszczą? – zaproponowałem (i to tylko dlatego, że była z nami Ilana i nie chciałem się przy niej nabijać z pomysłu męża).

Po dwóch tygodniach zatelefonował Amichaj: Ofir wrócił do domu, w czwartek wszyscy czterej się spotykamy, żeby oglądać mecz Makabi. Zaraz dostanę mejla z tekstem *Szymon, powiedz, gdzie mój tlen*, żebym sobie powtórzył słowa. Mam je na wszelki wypadek przećwiczyć sam przynajmniej ze dwa razy.

Nie było żadnego „wszelkiego wypadku”. W czwartek nic Ofirowi nie zaśpiewaliśmy.

Okazało się, że we wtorek złożył wymówienie, pobrał wszystkie oszczędności zgromadzone przez siedem lat pracy w reklamie, kupił bilet na samolot, pożyczył od Churchilla plecak i zarezerwował łóżko w hostelu na pierwszą noc.

Na lotnisku w Tel Awiwie oglądał reklamy, żeby ocenić ich skuteczność. Na lotnisku w Ammanie w Jordanii tylko przelotnie rzucił na nie okiem. Na lotnisku w Delhi na reklamy nawet nie spojrział.

Opowiedział nam to wszystko, okropnie przejęty, przez telefon.

– Niby wszystko super – dodał – tyle że w Indiach dosłownie roi się od Izraelczyków upalonych ziołem. W dodatku zajeżdża krowim łajnem i smażonym żarciem. No i hałas. Nie wyobrażacie sobie, jak tu jest głośno. Posłuchajcie. – Odsunął słuchawkę od ucha i skierował w stronę ulicy. Z innego kontynentu dobiegi nas ryk silników. – Słyszycie? To jeszcze nic. Szkoda, że nie słyszycie krów. A wiecie co? Tu są dzieci od urodzenia trzymane w skrzyniach po to, żeby miały skrzywione miednice i lepiej zarabiały jako żebracy. Potworne, co nie?

– Potworne.

– Szczerze, to nie widzę nic uduchowionego ani w tym życiu tutaj, ani w sracze – wyznał. – Jak tak dalej pójdzie, jadę do Tajlandii. Albo wrócę do Izraela. Jeszcze nie wiem.

Tak czy owak, było dla niego bardzo ważne, żeby pozostać z nami w kontakcie. No bo byliśmy w zasadzie jego najbliższą rodziną. Obiecał, że będzie dzwonić w każdy pierwszy czwartek miesiąca po meczu Makabi. I bardzo mu zależało, żebyśmy byli wszyscy trzej, kiedy zadzwoni.

Churchill i ja nie byliśmy przekonani, czy spełni obietnicę. Trudno przecież umawiać się na taki dokładny termin, kiedy się jest w podróży. Zwłaszcza po Indiach. Ale

Amichaj się uparł, że musimy dać Ofirowi szansę. Więc w najbliższy pierwszy czwartek miesiąca obejrzelśmy razem mecz i dziesięć minut po ostatnim gwizdku zadzwonił telefon.

W ten sposób powstał rytuał, który trwał prawie rok. W każdy pierwszy czwartek miesiąca spotykaliśmy się we trzech, żeby obejrzeć mecz Makabi Hajfa, Amichaj kupował dla mnie brzoskwiniową mrożoną herbatę, Churchill zatrzymywał się po drodze, żeby zrobić zapas orzeszków, a ja przynosiłem butelkę czystej (rodzina jednego studenta, który zamawiał u mnie tłumaczenia, zajmowała się importem alkoholu, więc chłopak płacił mi w naturze). Nie paliliśmy zioła, bo to zwykle Ofir je zdobywał, a teraz, jak go nie było, nikomu się nie chciało. Zresztą Amichaj miał już dosyć narzekania Ilany na przyprawiający o mdłości (jak to ujęła) smród, który utrzymywał się potem w mieszkaniu. Mnie z kolei drażniło, że robienie skrętów wyszło z podziemia i stało się społecznym obowiązkiem. A Churchill, choć wcale się do tego nie przyznawał, odetchnął z ulgą. Wcześniej, ile razy puszczaaliśmy jointa w obieg, czuł się rozdarty: z jednej strony lubił palić, ale z drugiej cały czas żył w strachu, że zaraz wtargnie policja, złapie go na gorącym uczynku i tak się skończy jego obiecująca kariera prawnika.

Podczas meczu byliśmy podzieleni na trzy obozy: Amichaj kibicował drużynie Makabi, bo „reprezentują nasz kraj w Europie”, Churchill zawsze był kibicem przeciwnej drużyny, bo „Makabi to monopolista i należałoby złożyć na nich skargę do urzędu antymonopolowego”, a mnie wynik był obojętny. Koszykówka, w przeciwieństwie do piłki nożnej, zawsze wydawała mi się zbyt przewidywalna, zbyt grzeczna, za bardzo przypominała mnie, więc nigdy się nią nie emocjonowałem. Popijałem swoją mrożoną herbatę, napełniałem szklanki reszcie i czekałem na koniec transmisji. Na telefon od Ofira. Amichaj specjalnie kupił telefon z głośnikiem i mikrofonem, żebyśmy wszyscy mogli mówić bez przekazywania słuchawki, ale przede wszystkim po to, żebyśmy mogli razem słuchać. Ofir miał ogromną potrzebę dzielenia się wszystkim, co go spotkało, bo: „Inaczej nie miałbym pewności, że to się naprawdę zdarzyło”. I wcale nie zważał na to, ile musi wydawać na te rozmowy, bo: „Nie po to pracowałem siedem lat w reklamie, żebym teraz musiał sobie żałować”.

Z każdą rozmową, miesiąc po miesiącu, słyszeliśmy, jak się zmienia.

To dziwne. Kiedy przyjaciel jest na miejscu i spotykasz go co dzień, zmiany, które w nim zachodzą, są tak drobne, że nawet ich nie zauważasz. Ale w takiej sytuacji jak ta...

Najpierw coś się stało z rytmem jego wypowiedzi. Mówił wolniej. Ważył słowa, jakby każde z nich zasługiwało na głęboki namysł (w połączeniu z opóźnieniem, które jest normalną rzeczą przy rozmowach telefonicznych na tak duże odległości, dawało to czasem dziwaczne efekty: robił pauzę przed każdym słowem. Byliśmy pewni, że już zakończył zdanie, i coś odpowiadaliśmy, a nasza odpowiedź, też opóźniona, mieszała się z dalszym ciągiem jego zdania, który właśnie do nas dotarł).

Potem zaczął mówić dużo o przyrodzie. Opowiadał, jak to siedział przez dwa dni nad jeziorem w dolinie Parvati i patrzył na jeden kwiat lotosu.

– Dopiero kiedy człowiek znajdzie się blisko natury – mówił – potrafi poczuć prawdziwą częstotliwość świata i się do niej dostroić. W Hajfie była przynajmniej góra Karmel, morze... A od czasu przeprowadzki do Tel Awiwu nie mieliśmy żadnej łączności z ziemią, powietrzem ani drzewami. Przecież odsunięcie się od natury jest wbrew naturze. W miastach jest coś chorego – twierdził. – Jakiś taki szum w tle, który nie pozwala wsłuchać się we własny wewnętrzny głos.

– Nie przesadzaj – przerwał mu raz Churchill, kiedy już nie wytrzymał. – Miasta spełniają ludzką potrzebę trzymania się razem. Zresztą gdyby miasta nie były dobrym wynalazkiem, to nie odniosłyby takiego sukcesu.

Choć przyznaliśmy Churchillowi rację, to już w sobotę wybraliśmy się na wycieczkę w pasmo Karmelu, choć bez związku z ostatnią rozmową. Po raz pierwszy od lat zeszliśmy doliną rzeki Kelah do kamiennego mostu, a potem wróciliśmy pod górę do Małej Szwajcarii. Do butów nawłaziło nam pełno błota zmieszanego z igłami sosnowymi, wymyślaliśmy legendy o tym, skąd pochodzi nazwa drzewa truskawkowego, oddychaliśmy zapachem sosen i dębów i zachwycaliśmy się tym, że jesień to nie zwykłe słowo, ale prawdziwa pora roku.

Po kolejnych paru miesiącach wędrowania Ofir zdecydował się osiąść w jednym miejscu, gdzie wziął udział w warsztatach „Medytacja przez dotyk”.

– Zasadza się to na przekonaniu – tłumaczył – że najlepszą drogą do osiągnięcia wewnętrznej jasności jest całkowite poświęcenie się innej osobie poprzez ciało.

Nie dzielaliśmy jego entuzjazmu.

Byliśmy gotowi się założyć że kiedy następnym razem zadzwoni, okaże się, że dał spokój z tymi warsztatami, by wziąć udział w jakichś innych. Jeszcze w liceum to zawsze on namawiał nas do wyjścia z fajnej imprezy, żeby iść na inną, lepszą. Miał platfusa i mówił, że bolą go stopy od stania w miejscu. W wojsku pierwsze, co robił po przybyciu do nowej jednostki, to pisał prośbę o przeniesienie. W ten sposób podczas służby zdążył być kierowcą czołgu, analitykiem zdjęć lotniczych, meteorologiem, ogrodnikiem w kwaterze dowództwa, podoficerem do spraw żołnierzy wierzących i podoficerem do spraw kobiet-żołnierzy. Nigdy nie kupował biletów powrotnych na autobus czy samolot, mimo że wychodziłoby mu taniej – zaplanowany powrót uważał za zbyt duże zobowiązanie. Z dziewczynami miał stały scenariusz: najpierw dwa tygodnie gorącej namiętności, potem irytujące, natrętne pytania, czy może dałoby się jednak znaleźć kogoś lepszego. Z biegiem lat opracowaliśmy niemal naukową metodę przewidywania zmian w życiu Ofira: w momencie gdy zaczynał mówić o kimś lub o czymś z wielkim entuzjazmem, wiedzieliśmy, że wkrótce przestanie się tym czymś (lub kimś) interesować. Wiedzieliśmy,

że te egzaltowane peany były jego ostatnią próbą utrzymania swoich płaskich stóp w miejscu, zanim poniosą go gdzieś indziej.

– Mój mistrz od medytacji twierdzi, że mam wrodzony talent! – pochwalił się. – Nawet pozostali uczestnicy mówią, że mam jakieś prądy w dłoniach. Wystarczy, że kogoś dotknę, i już czuje się lepiej!

– Super – odpowiedzieliśmy. Ale wątpliwości zostały. Z całej naszej czwórki to Ofir był najmniej skłonny do bliskości. Gdy kogoś obejmował, to zawsze jakby bez przekonania. Gdy podawał dłoń, była wiotka i niezdecydowana. A jak ktoś wyciągnął rękę, żeby dotknąć jego ramienia, albo przysuwał swoją twarz za blisko do jego, Ofir instynktownie się wycofywał, jakby w obawie przed ciosem. A może ten odruch został mu po jakichś dawnych przeżyciach?

– Co? – oburzył się Amichaj. – Ofir się zajmie medycyną alternatywną? To przecież było moje życzenie!

– Spokojnie, nie podniecaj się, za dwa dni mu się znudzi – uspokoił Amichaja Churchill i przypomniał mu o naszej Teorii 360 Stopni, zgodnie z którą każdy, kto zmienia się zbyt gwałtownie, wykonuje pełne koło i w końcu staje się na powrót sobą. – Zresztą wiesz co? – dodał. – I tak nie wierzę w tę gadkę o człowieku, który żyje w mieście i „nie ma łączności z własnym ciałem”. To jakieś sranie w banie.

Przyznałem mu rację. Ale i tak, choć bez żadnego związku z tą rozmową, w sobotę rano poszedłem się przebiec po deptaku wzdłuż plaży. Nie robiłem tego już od wielu lat. Tuż przed skrzyżowaniem z ulicą Friszmana zobaczyłem znajomą szeroką twarz człowieka nadbiegającego z przeciwka.

– Pobiegnijmy razem – rzekł Churchill, truchtając w miejscu.

Ja też truchtałem w miejscu i miałem już całkiem sporą zadyszkę, a Churchill, ku mojej frustracji, wcale nie był zmachany. Nawet to przychodziło mu z łatwością.

– No, chodź – rzekł, patrząc mi prosto w oczy – pobiegnij ze mną.

W ciągu ostatnich kilku miesięcy spotkaliśmy się parę razy, ale nigdy nie spotkały się nasze spojrzenia. Pomyślałem, że wytrzymam jego wzrok i zmuszę go, by pierwszy odwrócił oczy. Te oczy, którymi mrugał mi podpowiedzi na egzaminach wstępnych (jedno mrugnięcie – odpowiedź 1, dwa mrugnięcia – odpowiedź 2). Te oczy, które skłoniły Ja'arę, by poszła z nim wtedy na kawę.

– No, biegniesz? – spytał tonem, który był zarazem przymilny i arogancki.

– Nie. Biegniemy w przeciwnych kierunkach – odpowiedziałem i ruszyłem dalej w stronę Jaffy.

Po kilku tygodniach medytacji przez dotyk w opowieściach Ofira pojawiło się imię Maria.

Powiedział, że poznali się podczas jednej z sesji na warsztatach. Leczył ją dotykiem, a ona nagle zaczęła płakać. Ofir przestraszył się i przeprosił. Myślał, że sprawił jej ból. Ona na to: „Oczywiście, że nie. To łzy szczęścia”. Był zaskoczony: „Jak można płakać ze szczęścia?”. Z kolei ona dziwiła się jego zaskoczeniu. Jak to? Nigdy nie czuł się tak szczęśliwy, że musiał dać temu upust? Przyznał się, że nie. „Zamieńmy się miejscami”, zaproponowała. Wyciągnął więc swoje długie nogi na macie i po kilku dotknięciach Marii poczuł, jak coś w nim gwałtownie wzbiera. Jak gdyby jakaś moc drzemała w nim zaklęta przez długi czas i nareszcie wydostała się na wolność. Okazało się jednak, że ten stan uniesienia nie jest czysto duchowy. A miał na sobie cienkie szarawary. Poprosił ją więc, żeby przestała. Sprawił jej tym przykrość. „Czy zrobiłam coś nie tak?”, spytała, a on na to: „Nie, tylko że...” – i wyjaśnił jej szeptem, w czym rzecz. Spojrzała w stronę jego podbrzusza i wybuchnęła dzikim, niepowstrzymanym śmiechem, a Ofir, właśnie z powodu tego bezczelnego śmiechu, momentalnie się w niej zakochał.

– Niesamowite – próbował nam tłumaczyć – że w niej jest coś takiego... czystego. Może dlatego, że jest z Danii. A może dlatego, że ona to ona. Nie wiem. Ale ma taką zdolność do szczęścia, coś, czego nie spotkałem nigdy u żadnej Izraelki. A w dodatku jest cudowną matką. Powinniście zobaczyć ją razem z córką.

– Córką?!

– Siedem lat. Mały geniuszek. Nazywa mnie Ofi.

– Ofi?

– Takie zdrobnienie.

– Taa, zdrobnienie. A co ta jej córka tam robi?

– Podróżują razem. Jak dwie przyjaciółki. Ojciec dziecka zostawił Marię, jak była w ciąży, i odtąd żyją sobie tylko we dwie.

– Jakie to wzruszające.

– No pewnie. No, dobra, muszę kończyć. Obiecałem dziewczynce, że kupię jej burfi.

– Burfi?

– Takie ciasto z biszkoptów, karmelu i bananów.

– Blee.

– Co: blee? Skąd wiecie, że musi być niedobre?

– Spoko, to klasyczna wakacyjna przygoda – orzekł Churchill, gdy się rozłączyliśmy.

– Zgadzam się ze swym uczonym przedmówcą – dołączył się Amichaj. – Znam „Ofiego” dobrze i wiem, że w końcu sam zrozumie, w jakie burfi wdepnął.

– Właśnie – zachichotał Churchill. – Jak zadzwoni następnym razem, będzie już z kimś innym.

– Szkoda tylko dziewczynki – powiedziałem. – Marii nic nie będzie, ale to dziecko...

– A ja jestem przekonana, że wszyscy się mylicie – wtrąciła Ja’ara. – Zawsze popełniacie ten sam błąd.

– Zatem powiedz nam, skarbie, gdzie zbłądziliśmy. – Churchill złożył ręce jak do modlitwy.

– Nie bierzecie pod uwagę możliwości, że Ofir naprawdę się zmienił i że dzięki tej podróży dzieje się z nim coś dobrego. Jesteście tacy przyzwyczajeni do myśli, że Ofir jest zabawny. Wiecie, co mi to przypomina? Grupkę starych działaczy z Partii Pracy, którzy spotykają się co piątek w barze w Achuzat Ha-Karmel w dystrykcie Hajfy i traktują rosyjskiego kelnera z góry, tak jakby wciąż rządzą w mieście.

– Nie ma czegoś takiego jak Achuzat Ha-Karmel, jest Achuza i Środkowy Karmel – poprawił ją Churchill.

– Oj dobra – odpowiedziała Ja’ara i rzuciła w niego poduszką. A trafiła we mnie.

Kiedy Ja’ara po raz pierwszy dołączyła do naszych rozmów z Ofirem, stało się to przez przypadek.

Zazwyczaj gdy Churchill oglądał z nami mecz koszykówki, Ja’ara spotykała się ze swoją jedyną przyjaciółką, a potem on w drodze powrotnej do domu zgarniał Ja’arę. Ale raz przyjaciółka zapomniała o umówionym spotkaniu i gdzieś wyszła. Ja’ara zadzwoniła do Churchilla spod klatki schodowej i powiedziała, że już dwie i pół godziny chodzi po okolicy i czy Churchill może mnie spytać, czy pozwolę jej wejść na górę, bo musi zrobić siusiu. Nie chciałem jej torturować, więc powiedziałem, że okay. A kiedy weszła, zachowywałem się tak, jakbym wcale przez ostatni rok celowo jej nie unikał. Podeszedłem, pocałowałem ją w oba policzki, zaprosiłem do salonu i udawałem, że jej obecność sprawia mi radość, a nie ból.

Zaraz. Czemu kłamię? Na warsztatach z kreatywnego pisania prowadzący mówił, że szczerść, zwłaszcza jeśli się pisze w pierwszej osobie, jest jedną z podstawowych spraw. „Weźcie światło i rozjaśnijcie wnętrza, ciemne zakamarki. Wydobądźcie to, co brzydkie. To, co nie nadaje się do pokazania. Nie ma nic bardziej odstręczającego niż «ja», które próbuje lukrować to, co nieprzyjemne”, ostrzegał. I proszę, właśnie dokładnie to robię. Zachowuję się jak dziecko z typowego anglosaskiego domu, w którym się wychowałem:

próbuję ukryć żalną, wstydliwą prawdę. Otóż nie musiałem udawać radości na widok Ja'ary. Bo naprawdę się cieszyłem, że ją widzę, że mogę ją pocałować w policzek, poczuć zapach jej włosów, poznać jej bezkompromisowe opinie na każdy temat, słuchać jej ciętych ripost, słów wyrzucanych jak z karabinu maszynowego, jej pewnego siebie tonu – i wiedzieć, że za tym wszystkim kryje się ogromna delikatność i wrażliwość i że kiedy Ja'ara dochodzi, to wydaje dźwięki, jakby płakała, jak gdyby orgazm napełniał ją smutkiem, a potem coś w środku w niej pęka i lubi się wtedy zwinąć w kłębek obok ciebie jak mała dziewczynka, podciągnąć kolana pod brodę, położyć ci rękę na piersi...

Wiedzieć to wszystko i rozmawiać z nią po cichu, gdy pozostali w skupieniu oglądają mecz; pytać, co u niej słyhać, i znowu usłyszeć, że musi „jeszcze tylko uzbierać dziewięćdziesiąt jeden tysięcy dolarów”, żeby „w końcu pojechać do Londynu i studiować wiedzę o teatrze”. Zastanawiać się, czemu dziewięćdziesiąt jeden, a nie dziewięćdziesiąt. I czemu do Londynu. Oczywiście nie na głos. I nie mówić, że zobaczyłem nowy ślad po oparzeniu na jej kciuku i że wiem, skąd się wziął: o sekundę za długo trzymała zapaloną zapałkę. A za to mówić że na pewno będzie świetną reżyserką. I wiedzieć, jak podejrzliwie unosi brwi ponad okularami: „Naprawdę? Naprawdę tak uważasz?!”. I powiedzieć: „Tak, jestem przekonany”. I opowiedzieć, co tam słyhać u mojego uroczego ojca, kłamać o tym, co u mnie, obserwować jej czoło, widzieć delikatną małżowinę lewego ucha prześwitującego spod włosów, czuć coś, czuć coś prawdziwego po tych wszystkich mdłych randkach, na które chodziłem, odkąd mnie zostawiła...

Ale i to nie jest naga prawda. Muszę zedrzeć z niej jeszcze jedną warstwę kłamstwa. Powiedzieć o upokorzeniu. O przyjemności płynącej z upokorzenia. O tych chwilach później, gdy Ja'ara zaczęła już przychodzić regularnie. A Churchill sądził, że już mi tym nie sprawi przykrości, i pozwalał sobie na dotykanie Ja'ary. Moje oczy podążały za jego ręką głaszczącą ją po kolanie. Po udzie. I przepęłniało mnie słodkie, popieprzone uczucie.

– Słuchaj, nie musisz się na to godzić – szepnęła mi raz Ilana w drzwiach, dotykając lekko mojego ramienia. Zaskoczyła mnie jej troska i udałem głupiego:

– Na co?

– Jestem pewna, że jeśli poprosisz Churchilla, to będzie umiał się powstrzymać.

Przygryzłem wargę i nic na to nie odrzekłem, no bo jak miałem wyjaśnić, że patrzeć na nich przypomina oglądanie jakiegoś chorego, okrutnego reality show: choć wiesz, że to chore i okrutne, nie możesz się powstrzymać i oglądasz.

Ale to też nie wszystko. Mogę zdzierać kolejne warstwy, aż dotrę do samego jądra.

A tam, w głębi, tkwiła zenująca nadzieja. Wciąż liczyłem, że związek Ja'ary i Churchilla to krótkotrwały romans. Te drobne rysy, które dostrzegałem – jej skłonność do sprzeczenia się z nim o wszystko, jego bezczelne gapienie się na każdą kobietę, jaka tylko pojawiła się na horyzoncie – te rysy zamienią się w pęknięcia, powiększą się, staną rowem

tektonicznym szerokim jak Dolina Jordanu, aż któregoś dnia Ja'ara zapuka do moich drzwi, ubrana w niebieską spódnicę, którą wie, że lubię, albo jasne dżinsy (miałem kilka scenariuszy, przerabiałem i dopieszczałem je w myślach), a ja ją wpuszczę i wtuli swój zimny nosek w moją szyję, i powie: „To był błąd. Wybrałam nie tego, co trzeba. Czy jeszcze mogę zmienić zdanie?”.

Za to Ofir zdania nie zmienił.

Wbrew naszym prognozom w kolejnej rozmowie znowu opowiadał o Marii, a następnym razem na naszą prośbę dał ją do telefonu. Jej głos był czysty i szczęśliwy, całkiem taki, jak sobie wyobrażaliśmy na podstawie słów Ofira, ale tłumaczyliśmy mu potem, że uroczy głos to nie wszystko, że powinien ją tu sprowadzić, a my wydamy ostateczny werdykt. Roześmiał się i odrzekł, że bardzo by chciał, ale byłby problem, co zrobić z dziewczynką – dlatego zamierza wrócić z nimi obiema do Kopenhagi. I spróbuje zamieszkać tam na stałe.

– Co?? – wyrwało się Churchillowi. – Jesteś pewien, że to dobry pomysł? Dwa miesiące temu jeszcze w ogóle nie wiedziałeś, że Maria istnieje.

A ja spytałem:

– Słuchaj, „Ofi”, czy to nie ty zapisałeś na karteczce z życzeniami, że chciałbyś wydać tom opowiadań? Po jakimu je napiszesz? Po staroduńsku?

– To jest właśnie problem zachodniego stylu życia – wyjaśnił Ofir cicho. – Stawiamy sobie cele, a potem stajemy się ich niewolnikami. Tak bardzo chcemy je osiągnąć... i nie zauważamy, że tymczasem one się zmieniają.

– Słusznie – powiedziała Ja'ara.

– W Indiach – ciągnął Ofir – mają takie powiedzonko: *sab kuch milega*, „wszystko jest możliwe”. Na początku doprowadzało mnie ono do szału, potem zrozumiałem, że tak tu wygląda życie. Wstajesz rano i wieje okropny monsun, a potem nagle w ciągu paru sekund przestaje i mamy niebo bez najmniejszej chmurki. Wsiadasz do autobusu w środku najbardziej żółtej pustyni na świecie, a po sześciu godzinach wysiadasz w najbardziej zielonej dolinie na świecie. Nie mówiąc o tym, że autobus nigdy nie rusza punktualnie. A jak spytasz kogoś na przystanku, o której przyjedzie autobus, to usłyszysz: „Za jakiś czas” i to jest prawda. W ogóle tutaj czas płynie całkiem inaczej.

– Inaczej? Czyli jak?

– Dam przykład. Przyznacie sami, że w Izraelu złapanie muchy jest bardzo trudne. Otóż tutaj muchy latają tak wolno, że łapie się je bez problemu. Albo coś takiego: stłuczka dwóch samochodów albo samochodu i rikszy. Nikt nie wyskakuje z mordą, tylko po prostu jadą dalej. W dodatku trafiają się osobliwe przypadkowe spotkania, które przeczuwasz dosłownie chwilę wcześniej. O, na przykład wczoraj nagle przypomniałem sobie o sekretarce, która była przy moim ojcu tego dnia, kiedy miał zawał, i pomyślałem:

ciekawie, co u niej słyhać. A pół godziny później jej córka zjawia się w moim hoteliku. Jak kogoś spotykają takie rzeczy, to człowiek zdaje sobie sprawę, że zamiast siłować się z rzeczywistością, lepiej raczyć się tym, co życie samo nam podaje, dać się nieść nurtowi. Przecież w końcu... *sab kuch milega*.

– Słusznie – powiedziała Ja'ara po raz drugi,

– Co „słusznie”? – Churchill był już zdenerwowany. – On tu porzuca przyjaciół i to ma być słusznie? Rok temu powiedziałeś, że jesteśmy dla ciebie jak rodzina, a teraz mówisz, że dasz się ponieść jakiemuś nurtowi i nie wracasz do Izraela?

– Nie powiedziałem, że nie wracam. Choć przyznaję, że tak bardzo nie tęsknię. Ani za krajem, ani za ludźmi.

– Przypominam ci, że my też się zaliczamy do tych ludzi.

– Za wami tęsknię.

– To o co chodzi? Nie kapuję.

– Nieważne, to zbyt skomplikowane. Nie na telefon.

– A masz w tej chwili inny sposób niż telefon?

– Chodzi o to... Miałem przez ten rok dużo czasu... Dużo myślałem. Doszedłem do wniosku, że nic się nie dzieje przypadkowo. Wiecie, czemu miałem wtedy to załamanie? Bo spojrzałem w otchłań.

– Jaką otchłań?

– Każda kreatywna osoba stąpa po wąskiej kładce nad rzeką strachu. Strachu, że któregoś dnia to przestanie do niego przychodzić.

– Co?

– Pomysły. Że któregoś dnia stracisz inwencję. Uderzysz kijem w skałę, ale nie wytryśnie żadne źródło. Cała sztuka w tym, żeby nie pozwolić sobie na myślenie o tym dniu. Żeby nie patrzeć w otchłań.

– To po co patrzyłeś?

– Bo... Rany, na samą myśl czuję się przygnębiony. Nie do wiary, że stoję tu po drugiej stronie Himalajów i wam to opowiadam.

– No, wyduś to.

– Tamtego dnia musiałem wylać z pracy jedną pracownicę, brzydką kobietę, bo któryś z ważnych klientów powiedział szefowi, że nie chce na nią patrzeć za każdym razem, jak do nas przychodzi. Chwilę po tym, jak wyszła ode mnie z gabinetu cała zapłakana, pokłóciłem się z dyrektorem działu produkcji i wrzeszczałem na niego jak opętany, że ma obniżyć cenę, bo inaczej osobiście zadbam, żeby nigdy więcej nie znalazł

pracy w tej branży. A potem miałem mieć spotkanie i zaprezentować jakiś wspólny projekt kampanii dla naszego największego klienta. I nagle – pustka. Przeraziłem się, że nadszedł ten moment, że wszystko skończone, moja studnia wyschła. Zamknąłem się w ubikacji, żeby na spokojnie pomyśleć, skoncentrować się, może jeszcze przyjdzie mi do głowy jakiś pomysł, ale czułem tylko tętnienie krwi w skroniach, czułem tylko tętnienie krwi w skroniach i w czole, czułem tylko tętnienie krwi w skroniach, w czole i w karku. Słyszałem, że mnie wołają i wołają, i wołają, aż nagle... nagle przestałem słyszeć.

– Nie mówiłeś nam o tym.

– Nie mówiłem, bo... nie miałem pełnego obrazu sytuacji.

– A jaki jest ten pełny obraz?

– Załamałem się, bo doszedłem do kresu wytrzymałości. A to dlatego, że wszystko ze mnie wyszali. A wyszali dlatego, że byłem elementem opresyjnego systemu, który wykorzystuje słowa do tego, żeby sprzedawać. Ten system... to nie jest coś odosobnionego, to część całego naszego społeczeństwa. To czysta agresja. Zaczyna się od dominacji, od tego, że chcemy rządzić innymi ludźmi, i to się potem przekłada na każdy najmniejszy drobiazg: na to, jak prowadzimy samochód, jak się zachowujemy w kolejce w sklepie.

– A w Kopenhadze tego nie ma? Ani innych denerwujących rzeczy?

– *Pata-nahi.*

– *Pata-co?*

– *Pata-nahi*, może tak, może nie. Skąd mam wiedzieć, skoro nigdy nie byłem w Kopenhadze?

– Mówię wam, to przez tę Marię – orzekł Churchill, kiedy się rozłączyliśmy. „Opresyjny system”? „Zaczyna się od dominacji”? Przecież „Ofi” nigdy w ten sposób nie mówił. Nakładła mu głupot do głowy. Ona jest typowym przykładem wrażliwego Europejczyka, który przrzucił się z antysemityzmu na antyizraelskość.

– Ale Ofir ma w zasadzie rację – wtrąciła cicho Ja’ara.

– Oczywiście – odpowiedział Churchill ze złością. – Tylko że ucieczka nie rozwiąże problemu. Powinien zostać tu z przyjaciółmi i walczyć. Zaangażować się. Wpływać na bieg spraw, które są ważne.

– To jest twój sposób – mówiła Ja’ara, osłaniając się, żeby nie dostać w twarz poduszką – i nie możesz narzucać go innym.

Zamilkliśmy. W telewizorze dziennikarz na boisku robił wywiad z zawodnikiem Makabi, który próbował wytłumaczyć, czemu przegrali. Palce Ilany wystukiwały kolejne strony doktoratu na maszynie w jej kryjówce. Jeden z bliźniaków zaczął płakać przez sen.

Amichaj poszedł go utulić, a ja pomyślałam, że Ofir zawsze miał w sobie coś takiego, co mówiło: jestem tu tylko przelotnie, jestem wolnym strzelcem. I pomyślałam jeszcze o tej jego skłonności do lekkiej, całkiem niepotrzebnej konfabulacji. Raz na przykład powiedział nam, ile zarabia netto w swojej agencji, a naprawdę to była kwota brutto. A kiedy nie miał ochoty iść z nami do miasta, mówił, że ma wysoką temperaturę, i prosił, żebyśmy my przyszli do niego. Z kolei kiedyś zobaczyliśmy na skwerku przed filmoteką śliczną dziewczynę i powiedział, że kiedyś się z nią spotykał, a potem Amichaj poznał ją przypadkiem, bo sprzedawał jej ojcu abonament na Telemed, i okazało się, że nigdy nie słyszała o żadnym Ofirze. Po tylu latach takiego bezsensownego, dziwaczego wciskania kitu czułam, że nie mogę mu do końca wierzyć (jak to ujął Churchill: są ludzie, z którymi możesz grać przez telefon w nożyce-kamień-papier. Ale nie z Ofirem Złotoczyńskim).

Choć przyznać musiałam, że życie bez Ofira Złotoczyńskiego będzie z pewnością znacznie nudniejsze. Bez wieczornych rozmów telefonicznych co sobota, kiedy zgadywaliśmy nagłówki działu sportowego w niedzielnych gazetach. Bez niespodziewanych telefonów w środku dnia: „Stary, włączaj radio, leci nowa piosenka tego czy tamtego zespołu”. Bez wspólnych wyjść na koncerty grup, których same nazwy – Circus Video Art albo Jam Session O Wschodzie Słońca Na Wysypisku – wystarczały, by stwierdzić, że ich muzyka jest do dupy. Bez tych jego dziwnych pomysłów, jak wtedy, kiedy raz namówił mnie, żebyśmy poszli razem szkicować nagie modelki, chociaż żaden z nas nie potrafi rysować, albo kiedy poprosił, żebym usiadł przy sąsiednim stoliku w kawiarni, do której zaprosił jakąś dziewczynę, i żebym zza gazety ukradkiem się jej przyjrzał, bo to już piąta randka, a on się ciągle nie może zdecydować.

Bez Ofira będzie całkiem inaczej, pomyślałam. Choć z drugiej strony – nie było go już prawie rok. A człowiek umie się do wielu rzeczy przystosować.

– Mam pomysł – powiedział Amichaj, jak wrócił z pokoju dzieci. – Zamieścimy ogłoszenie: „Szukamy przyjaciela”. A pod spodem: „Trzech przyjaciół z dzieciństwa szuka zastępstwa za czwartego, który wyjechał za granicę”.

– „Wymagania: dzieciństwo spędzone w Hajfie. Dodatkowy atut: miłość do piłki nożnej” – uzupełnił Churchill ze śmiechem.

– Fenomenalnie! – Ja’ara zapaliła się do pomysłu. – Pomogę wam przy castingu.

– Każemy im śpiewać *Szymon, powiedz, gdzie mój tlen* – zaproponował Amichaj. – Najpierw solo, potem razem z nami.

– Będziemy pytać o rodzinę – dodałam z udawanym entuzjazmem. – Im więcej siostr, tym lepiej.

Ja’ara spojrzała na mnie przeciągle. Pomyślałam: pewnie jest jej przykro, że są inne kobiety poza nią, którymi mógłbym się interesować.

– Wiecie, kto by się wam naprawdę przydał, chłopaki? Przyjaciel majsterkowicz. Przecież wy wszyscy macie po dwie lewe ręce. Wiecie, co robi pan mecenas Churchill, jak się zatka zlew?

– Co?

– Woła mnie.

– Tak – zgodził się Churchill. – Potrzebujemy przyjaciela, który będzie mechanikiem. Naprawdę by nam się przydał.

– „Wymagania: dzieciństwo spędzone w Hajfie. Dodatkowy atut: miłość do piłki nożnej. Preferowani mechanicy” – podsumował Amichaj i dodał, że jego zdaniem małe ogłoszenie nie powinno być zbyt drogie i gdybyśmy się zrzucili, to wyszłoby najwyżej po sto szekli na głowę. A gdyby miało kosztować więcej, to można zamieścić ogłoszenie w Sieci za darmo.

– Świetnie, zajmiesz się tym? – odparliśmy. I pewnie rzeczywiście zrealizowalibyśmy ten pomysł, zwłaszcza że od żartowania na ten temat zrobiło nam się lepiej, gdyby nie to, że po tygodniu Ja'ara i Churchill ni stąd, ni zowąd obwieścili, że się pobierają, a dwa tygodnie przed ślubem Ofir zadzwonił z równie zaskakującą nowiną, że ma zamiar pojawić się na uroczystości.

Istnieje okropny zwyczaj, żeby państwo młodzi dawali przyjaciołom zdjęcia z wesela i pisali na odwrocie parę serdecznych słów. Ja'ara i Churchill podjęli słuszną decyzję, żeby nie wręczać mi nic takiego. Dlatego jedyna moja fotografia z tej uroczystości to zdjęcie, które po kryjomu zrobiła córeczka Marii i które Ofir dał mi w sekrecie, dwa tygodnie później, w zaklejonej kopercie. Wyglądam całkiem okay i to właśnie jest dziwne. Mam oczy, nos, skórę, koszulę, guziki. Nie da się odgadnąć, co się dzieje w środku. Patrzyłem na tę fotografię setki razy i próbowałem znaleźć jakiś szczegół: opuszczone powieki, zwieszoną głowę, bladą cerę. I nic. Stoję z drinkiem w dłoni, szeroko uśmiechnięty. Życzę parze młodej wszystkiego najlepszego.

Na weselu wyznaczono „strefę alternatywną”, składającą się z dwóch łóżek. Lokalizacja była doskonała: między szwedzkim stołem a sztucznym jeziorkiem. Ofir, w obszernym białym stroju, stał przy jednym łóżku, a Maria przy drugim. Była to duża kobieta z dużym uśmiechem, dużym naszyjnikiem z dużych paciorków. Jej córeczka stała przy wejściu i nalewała każdemu, kto stanął w kolejce, mocną, gorącą herbatę z glinianego dzbana.

Ustawiłem się razem ze wszystkimi. Mogłem pomachać do Ofira, żeby wpuścił mnie bez czekania, ale nie tak mnie wychowano.

Kiedy przyszła moja kolej, Ofir wskazał na swoje łóżko (odetchnąłem z ulgą, bo cały czas siedziała mi w głowie opowieść Ofira, co mu się przydarzyło, kiedy Maria zaaplikowała mu swoje zabiegi, i bałem się, że ze mną mogłoby być to samo).

– Połóż się na brzuchu, Juwal-dzi – powiedział. – Oddychaj powoooli i głęboooko.

– Pamiętaj, że mam astmę – ostrzegłem zaniepokojony. – Czy ta terapia nie szkodzi astmatykom?

– To nie żadna terapia – delikatnie położył mi dłonie na plecach – tylko mały masaż, żebyś się rozluźnił. Coś mi się widzi, że przydałoby ci się rozluźnienie, co?

– W sumie tak.

Ten ślub był jak grom z jasnego nieba. Zazwyczaj takie rzeczy rozwijają się według ustalonego porządku: ludzie się poznają. Idą najpierw do jednych, potem do drugich rodziców na piątkową kolację. Spędzają weekend w domku w Galilei. Decydują się zamieszkać razem. Biorą psa. Albo kota trikolora. Bardzo poważnie myślą o zerwaniu. Doprowadzają wszystkich naokoło do furii tym swoim niby niezdecydowaniem. I dopiero wtedy zaczynają szukać sali na wesele i firmy cateringowej i kłócić się o listę gości.

A tutaj – wszystko poszło jakoś zbyt szybko. Skończył się mecz Makabi, zadzwonił Ofir i zaraz na początku rozmowy Churchill oznajmił, że ma coś ważnego do powiedzenia i że to świetnie, że Ofir akurat dzwoni, bo usłyszy nowinę w tym samym momencie co wszyscy. No, może z półtorasekundowym opóźnieniem...

– Ale o co chodzi??? – wrzasnęliśmy wszyscy niecierpliwie. Byliśmy przekonani, że dostał nominację na prokuratora okręgowego. Albo od razu na sędziego sądu najwyższego.

I wtedy wziął Ja'arę za rękę. Jego grube palce splotły się z jej szczupłymi. I zanim wypowiedział pierwsze słowo, coś wezbrało mi w piersi.

Po ich wyjściu spytałem Amichaja, czy coś wcześniej wiedział, a on przysięgał na swoje dzieci, że pierwsze słyszy. Wtedy Ilana Płaczka odezwała się ze swojego kąta, że nawet nie wydawali się specjalnie szczęśliwi, gdy obwieszczali nam tę nowinę, i że Churchill jest zbyt dziecinny na małżeństwo, może zresztą po prostu Ja'ara zaszła w ciążę i nie chce jej usuwać, ale w takim razie postępuje bardzo głupio, choć nic w tym dziwnego, biorąc pod uwagę jej konstrukcję psychiczną, która zawiera czynnik autodestrukcji.

Dopiero podczas wieczoru kawalerskiego, parę dni przed weselem, dowiedzieliśmy się, o co naprawdę chodziło.

Churchill nie chciał robić prawdziwego wieczoru kawalerskiego. Mówił, że bez Ofira to nie to samo. Zresztą, przypomniał nam, nasz ostatni wieczór kawalerski nie skończył się dobrze.

To było przed ślubem Amichaja. Poszliśmy do słabo oświetlonego klubu w równie słabo oświetlonej dzielnicy przemysłowej. Pomysł nie podobał nam się od samego początku, ale Amichaj utrzymywał, że jego koledzy kiedyś poszli do tego lokalu i byli zadowoleni. Usiedliśmy całą czwórką przy zarezerwowanym stoliku pod sceną. Wokół nas siedziało pełno facetów, którzy z zapalem klaskali. Z tyłu sali stał jakiś ultraortodoks, który się masturbował i kołysał jak lulaw na wietrze. Zamówiliśmy dużo alkoholu i ze względu na Amichaja próbowaliśmy się dobrze bawić, ale muzyka była okropna i w ogóle samo miejsce wprawiało nas w przygnębienie. Zwłaszcza tancerki. Ich oczy były puste, ruchy – przewidywalne, a najbardziej żenujące było, kiedy usiadły nam na kolanach i zaczęły rzeczowym tonem wymieniać ceny. Pięćdziesiąt szekli za pomacanie tyłka. Sto za dotknięcie piersi. Dwieście za pójście do osobnego pokoju. Nie dotykaliśmy i nie płaciliśmy, więc przeszły do innego stolika, gdzie mogły liczyć na zarobek. Po szybkiej wymianie spojrzeń poprosiliśmy o rachunek, zapłaciliśmy i wstaliśmy, żeby wyjść. Uciec. Ale dwóch wykidajłów zastąpiło nam drogę w drzwiach i spytało, dokąd się wybieramy. Churchill odpowiedział w imieniu całej naszej czwórki, że świetnie się bawiliśmy, dziękujemy, dobranoc. A oni na to, że nic nie zapłaciliśmy tancerkom. Churchill wyjaśnił, że nie zapłaciliśmy, bo niczego od nich nie chcieliśmy. Mamy do tego prawo. Ale

bramkarze napaarli na niego i powiedzieli, że nikt nie wychodzi z klubu, zanim nie zapłaci tancerkom. Nie wyglądali na rozgniewanych, co było tym bardziej niepokojące. Pamiętam, jak dłonie zacisnęły mi się w pięści w kieszeniach dżinsów i przeraziłem się, zdawszy sobie sprawę, że choć miałem ochotę wyjść stamtąd bez szwanku, to równie mocno pragnąłem pobić się z tymi facetami. Nie czułem tego od czasów intifady, kiedy to po raz pierwszy odkryłem, co tkwi głęboko we mnie (a może to tkwi w każdym mężczyźnie?), ale nie mam ochoty wspominać intifady. Churchill wynegocjował kompromis: zapłacimy bramkarzom trzysta szekli i nas puszczą.

– Inaczej byłoby mordobicie – tłumaczył nam potem na ulicy. – Nie żebym się bał, ale jak dochodzi do bójki, to nigdy nie wiadomo, jak się skończy. Mogła przyjechać policja i zgarnąć wszystkich, a to by oznaczało koniec mojej pracy w prokuraturze.

Zgodziliśmy się z nim i poprzysięgliśmy sobie: nigdy więcej żadnych wieczorów kawalerskich. I pewnie dotrzymalibyśmy postanowienia, gdyby nie to, że Ofir zapowiedział swój przyjazd.

– Maria koniecznie chce – wyjaśnił. – Mówi, że nie mogą nie być na ślubie najlepszego przyjaciela. Zresztą bardzo, bardzo chce was poznać i zwiedzić Izrael. Nawet jeśli ostatecznie zdecydujemy się zamieszkać w Danii, to i tak chciałaby zobaczyć miejsce, gdzie urodziłem się i dorastałem, i chce też zobaczyć, jakie warunki panują w obozach dla palestyńskich uchodźców.

– Fantastycznie! – zachwyciliśmy się. A Amichaj dodał, że na czas pobytu w Izraelu mogą się zatrzymać u niego. Powiedział to tylko przez uprzejmość i sądził, że tak to zrozumieją, ale kilka tygodni przed ślubem po prostu zjawili się w jego mieszkaniu.

Ilana starała się nie okazać zdziwienia na widok trójki stojącej w drzwiach i próbowała grać na zwłokę, żeby Amichaj wyszedł z łazienki, zanim wpuści niespodziewanych przybyszów. Spostrzegła, że mają dziwnie mało bagażu, że dziewczynka wygląda jak aniołek z malowideł w kościołach, że Ofir jest jakby wyższy i przystojniejszy, a jego oczy promienieją radością spod gęstwy loków i że wspiera się na ramieniu kobiety, jak gdyby stanie sprawiało mu trudność.

– Riksza przejechała mi po stopie – wyjaśnił, uprzedzając pytanie Ilany. – Ostatniego dnia w Delhi, trzy godziny przed odlotem.

– Coś okropnego – odrzekła Ilana, wciąż przytrzymując drzwi i blokując przejście.

– *Sab kuch milega* – dodał Ofir z zakłopotaniem, a ona nie zrozumiała, czemu zwraca się do niej w jakimś dziwnym języku.

– Stary!!! – zakrzyknął Amichaj, wypadłszy z łazienki, i porwał Ofira w objęcia. – Jesteś! Nie do wiary! Jak super, że przyjechałeś!

Kiedy już skończyli się ścisnąć, przytulać i poklepywać, Ofir wszedł do środka i przytulił Ilanę. Ona z kolei uściskała jego dziewczynę, która z jakiegoś powodu też

koniecznie chciała się ścisnąć ze wszystkimi. Ilana pomogła gościom się rozpakować a potem wzięła Amichaja na stronę, zamknęła się z nim w pokoju bliźniaków i powiedziała:

– Jedna noc. I tylko dlatego, że nie wyrzucimy kulejącego człowieka na ulicę. Z twoimi kolesiami wytrzymałam dziesięć lat, ale tego już za wiele.

– Jedna noc – poddał się Amichaj.

Zostali dwa tygodnie.

Pierwszego wieczora Ilana trzymała się na uboczu, zasłonięta angielską książką *Depresja jako predyktor myśli lękowych*. Izolowała się od nas, a my nie zwracaliśmy na nią uwagi, bo byliśmy do tego przyzwyczajeni. Natomiast Maria dziwiła się, że osoba przebywająca w tym samym pokoju nie uczestniczy w rozmowie, więc siadła koło Ilany i próbowała ją zagadnąć o książkę. Opowiedziała, że jako nastolatka stale cierpiała na zimowe depresje, bo zimą w Danii są bardzo krótkie dni. Bardzo jej to utrudniało życie, gdy była nastolatką, choć właściwie czemu „gdy była nastolatką”? Aż do czasu wyjazdu do Indii zimowa depresja dopadała ją z różną mocą co roku.

– Każdej zimy miałam myśli samobójcze – opowiadała Ilanie z jasnym uśmiechem, a Ilana położyła jej dłoń na ramieniu, spojrzała w oczy i powiedziała:

– To musiało być dla ciebie bardzo trudne.

A Maria nie odsunęła dłoni Ilany. I powiedziała:

– Tak, gdy się jest nastolatką, jakoś to jeszcze można znieść, wszyscy naokoło flirtują ze śmiercią, ale jak zostałam matką, wszystko zrobiło się bardziej złożone. Ciężka na mnie odpowiedzialność.

– Tak – przytaknęła Ilana Płaczka – świetnie cię rozumiem.

W tym samym momencie, gdy my kłóciliśmy się o repertuar piosenek na wesele, między tymi dwiema kobietami zapaliła się iskierka, która czyni z ludzi przyjaciół.

Córeczka Marii także okazała się darem niebios. Zawsze chciała mieć młodsze rodzeństwo i nagle jej życzenie spełniło się w dwójnasób. Ona i bliźniacy stali się nierozłączni. Oczywiście obaj się w niej zakochali i zaczęli zabiegać o jej względy z całym swoim zapalem sześciolatków, a ona starała się być miła dla obu po równo i zawsze każdemu zostawiała odrobinę nadziei. W ten sposób obaj nie przestawali jej wielbić.

Matki nagle uwolnione od konieczności zajmowania się dziećmi zaczęły spędzać mnóstwo czasu ze sobą i lepiej się poznawać. Maria wprowadziła Ilanę w tajniki kuchni wegetariańskiej i całymi godzinami razem pichciły wspaniałe dania z tofu i czerwonej soczewicy, Ilana oprowadziła Marię po uniwersytecie i wtajemniczyła ją w najnowsze metody badawcze w swojej dziedzinie. Maria namówiła Ilanę do pójścia z dziećmi na plażę (Amichaj przecierał oczy ze zdumienia: od dziesięciu lat Ilana nie chciała się na to

zgodzić, bo morze jest zbyt zanieczyszczone), a po powrocie wszyscy byli cali szczęśliwi i umorusani, Ilana przekonała Marię, żeby przyszła na spotkanie grupy wsparcia dla nastolatków z depresją i opowiedziała o swoich doświadczeniach. Wzięła ją na imprezę pod hasłem Kobiety Idą Na Całość, a potem na spotkanie grupy Kobiety Przeciwko Okupacji.

– Nie czujesz się trochę zbędny? – spytał Ofir Amichaja podczas jednej z ich wspólnych kolacji przy rozłożonym stole jadalnym, po tym jak Ilana zacytowała Marii jakieś kolejne skomplikowane zdanie po angielsku, pełne zawodowego żargonu, które najwyraźniej obie świetnie rozumiały.

– Właśnie, kochanie, ostatnio obaj czujemy się tu troszkę niepotrzebni – rzekł Amichaj do żony, robiąc żalostną minę.

– No bo rzeczywiście jesteście niepotrzebni! – odrzekła Ilana i wybuchnęła perlistym śmiechem. Śmiechem Marii.

Amichajowi odebrało mowę ze zdziwienia. Przyszło mu do głowy, że właściwie śmiech całkiem do jego żony pasuje. A potem pomyślał: Niesamowite, tyle lat na próżno próbowałem ją uszczęśliwić a tu nagle w naszym domu pojawia się Maria i bez wysiłku wzbudza w niej tę radość.

– Może powinniście sobie jakoś zorganizować czas – dokończyła Ilana z cieniem uśmiechu wciąż igrającym w kąciку ust. – Za dwa dni macie ślub przyjaciela. Nie chcecie jakoś tego uczcić w męskim gronie?

– Świetna myśl – odrzekł Amichaj, po czym we dwóch zadzwonili do mnie, a potem razem podjechaliśmy po Churchilla, który zgodził się pod jednym warunkiem: bez striptizu, bez tancerek i nie pozwalamy mu za dużo wypić, bo pojutrze się żeni i nie ma zamiaru wpakować się w jakieś kłopoty. Obiecaliśmy, że będziemy go pilnować, choć wiedzieliśmy z góry, że jeśli się uprze i zacznie pić, to powstrzymać go będzie trudno. To jest ktoś, komu nie sposób się przeciwstawić, i faktycznie: gdy przy trzecim drinku Ofir próbował coś powiedzieć, Churchill rzucił mu spojrzenie, które odebrało nam wszystkim ochotę na dyskusje. A potem wypił czwartego drinka. I piątego.

Przy szóstym wyjawiał nam tajemnicę.

Okazało się, że już po tym, jak Ja'ara i on zaczęli ze sobą być, dalej potajemnie widywał się z Szaroną, urzędniczką, z którą przez ostatnich kilka lat okazjonalnie sypiał.

– Nawet nie wiem czemu – powiedział i spojrzał nam po kolei głęboko w oczy, jakbyśmy byli ławą przysięgłych, którą on próbuje przekonać, żeby go ułaskawiła. – Nie chodzi o seks, nic z tych rzeczy. Seks z Szaroną w ogóle się nie umywa do tego, co robiliśmy z Ja'arą. Może się przestraszyłem? Jak wam to wytłumaczyć? – rzekł i zawiesił wzrok na mnie. – Czasem gdy jestem z Ja'arą, nie mogę uwierzyć, że to się dzieje naprawdę, że na świecie jest ktoś taki jak ona. I że wybrała akurat mnie. No i pewnie

chciałem sobie zostawić jakąś furtkę, w razie gdyby ona zmieniła zdanie. A może po prostu jestem pojebem, tak samo jak mój ojciec.

Nie wiedzieliśmy, co odpowiedzieć. Po raz pierwszy w ciągu tylu lat znajomości widzieliśmy Churchilla, który stracił pewność siebie.

– W każdym razie Ja'ara się dowiedziała. Siedziała w kawiarni i podsłuchiwała rozmowę dwóch dziewczyn przy sąsiednim stoliku. Trzeba mojego pecha, że to była Szarona ze swoją najlepszą przyjaciółką. A to był właśnie dzień, kiedy Szarona już nie mogła się powstrzymać i musiała komuś opowiedzieć o naszym Sobotnim Klubie Kulturalnym, jak to między sobą nazywaliśmy.

– Aj – jęknął Amichaj.

– To jest mały kraik. – Churchill pokiwał głową. – Wróciłem do domu i odsłuchiwałem wiadomość od Ja'ary: „Wpadnij, musimy porozmawiać o Szaronie”. Nie wydawało się, żeby było jej przykro. Przeciwnie. Z jej głosu zrozumiałem, że już podjęła decyzję. Jadąc do niej, obmyślałem linię obrony. Postanowiłem zaproponować, że dobrowolnie poddam się karze. Przyznałem się do wszystkich zarzutów i poprosiłem o nadzwyczajne złagodzenie wyroku. Powiedziałem, że doszła do głosu pozostałość dawnego Churchilla, ale od kiedy jesteśmy ze sobą, stałem się innym człowiekiem. A Szarona to tylko resztką przeszłości, która się za mną ciągnie. Ja'ara na to, że nic jej to nie obchodzi, resztką czy nie resztką, bo od czasu tej historii z gitarzystą, który przez pięć lat ją zwodził, postanowiła, że już nigdy żaden mężczyzna jej w ten sposób nie potraktuje. Bez względu na to, jak bardzo by go kochała. I wyprosiła mnie.

– I wtedy się oświadczyłeś? – spytał Ofir, drapiąc się po czaszce. Wyglądał na zdumionego tą opowieścią. Jak gdyby w jego nowym świecie przepełnionym czystą energią nie było miejsca na zdrady.

– Nie, no co ty – odrzekł Churchill. – Szkoda, że nie widzieliście jej, jak otworzyła drzwi. W ogóle nie było o czym mówić. A kiedy następnego dnia pojawiłem się u niej bez zapowiedzi, z pierścionkiem i padłem w progu na kolana, to powiedziała: „Żartujesz chyba” i się odwróciła.

– I bardzo dobrze – wyrwało mi się.

Amichaj spojrział na mnie ze złością.

– Gdyby od razu się zgodziła, to nie byłoby takie interesujące – tłumaczyłem się. Miałem uczucie, jak gdybym wsadzał sobie coraz głębiej do gardła własną stopę.

– Zaraz, no to jak ją w końcu namówiłeś? – przerwał mi szybko Ofir, żebym przestał brnąć.

– Zdziwisz się – odpowiedział mu Churchill. – To ma związek z tobą.

– Ze mną? – Ofir aż się odsunął do tyłu. Cała ta heca była dla niego coraz

dziwaczniejsza.

– A właśnie z tobą. Ja'ara powiedziała, że jeśli w mojej naturze leży zdrada, to ślub mnie nie wyleczy. A ja na to: „Ludzie potrafią się całkowicie zmienić. Weź chociażby Ofira. Kto by pomyślał rok temu, że będzie nosił luźne białe szaty i robi się taki spokojny”.

Spojrzelśmy po sobie z Amichajem. O ile pamiętałem, to Churchill najmniej dawał wiarę w autentyczność Ofirowej przemiany.

– I że niby to ją przekonało? – spytał Amichaj z powątpiewaniem.

– Nie, ale wtedy pierwszy raz zobaczyłem to coś w jej oczach: taki rodzaj spojrzenia, który świadczy, że ta osoba da się przekonać. Potem przez tydzień płakałem i błagałem, i przynosiłem prezenty, aż w końcu się zgodziła, ale pod dwoma warunkami: po pierwsze, ślub będzie w obrządku reformowanym i ceremonię odprawi kobieta rabin. Po drugie – ani słowa moim kolegom o tym, w jakich okolicznościach zdecydowaliśmy się pobrać. Powiedziała tak: „Mają myśleć, że jesteś we mnie taki zakochany, że już nie mogłeś się doczekać”. A ja pocałowałem ją w usta i powiedziałem, że to przecież prawda.

– Więc czemu nam o tym opowiadasz? Czemu łamiesz przyrzeczenie?

– To wasza wina – naskoczył na nas. – Nie chciałem mieć wieczoru kawalerskiego, bo wiedziałem, że tak będzie, jak się upiję. A wyście się uparli.

Milczeliśmy. Amichaj i Ofir wbili wzrok w podłogę. Ja nie.

– No i teraz jestem w waszych rękach – powiedział i spojrzał na mnie. W jego oczach dostrzegłem błysk pijaństwa. – Możecie zachować tę całą rozmowę dla siebie. Albo możecie wszystko opowiedzieć mnie... Znaczący: jej.

– Czemu byśmy mieli to zrobić? – Amichaj pospieszył, by go uspokoić. – Jesteśmy twoimi przyjaciółmi.

– To by była głupota, gdybyśmy się wygadali – dodał Ofir. – To wbrew kierunkowi miłości.

Ja nie powiedziałem nic. Pomyślałem o *Metamorfozach* Owidiusza, o kruku, który stał się czarny, odkąd naskarzył na jednego z bogów.

Pozostali spojrzeli na mnie wyczekująco. Wyglądało to tak, jak gdyby kelner przyniósł rachunek w restauracji, wszyscy już zapłacili za siebie i czekali, aż ja dorzucę swoją część.

– A ty ją w ogóle kochasz? – spytałem.

– Oczywiście – obruszył się Churchill. – Co to w ogóle za pytanie?

– Bo jak to wszystko opowiadałeś, to brzmiało, jakbyś mówił o którejś ze swoich spraw. Jakby głównym twoim celem było przekonanie sędziego.

Spojrzał na mnie ze smutkiem.

– Ja po prostu tak mówię – rzekł. – Moje słowa zawsze brzmią, jakbym był zimny i wyrachowany. Ale wy jesteście moimi kumplami, powinniście wiedzieć... No... A zwłaszcza ty. – Jego wzrok spoczął na mnie.

Nalał sobie następne piwo; drżały mu ręce i uronił trochę na stół.

– Bez niej jestem zagubiony – powiedział i zobaczyłem łzę w kącie jego oka. – Kompletnie.

Amichaj i Ofir popatrzyli na niego z niepokojem, nie wiedzieli, jak się odnieść do tego nowego, nieznanego Churchilla.

Czyżby coś naprawdę w nim pękło? A może to tylko kolejna z jego sztuczek, które wyćwiczył w salach sądowych, obliczona na to, byśmy dochowali tajemnicy? Tak czy owak, to „zwłaszcza ty” w moim przypadku zadziałało. Wykonałem gest „gęba na kłódkę” i powiedziałem:

– Okay, Churchill, z mojej strony nie masz się czego obawiać.

Ale za to grzecznie odmówiłem bycia jedną z czterech osób niosących chupę nad parą młodą. Muszą być jakieś granice. Stałem sobie nieco z boku i podczas gdy kobieta rabin odprawiała ceremonię, myślałem, jaka to szkoda, że Ja'ara włożyła szkła kontaktowe, w okularach jest jej bardziej do twarzy. Choć i tak jest olśniewająca. Jej urok nie polegał na zewnętrznym pięknie, tylko na przeciwieństwach: naiwności i błyskotliwości, stanowczości i delikatności, przekorze i powadze. To one właśnie tworzą Ja'arę. I pomyślałem też, że oprócz pana młodego jestem na tej uroczystości jedynym facetem, który spał z panną młodą. I że to nędzna pociecha. Jakie to żalosne: po dwóch latach wciąż jestem w niej zakochany. Lepiej tu było nie przychodzić. Ale musiałem. Ta rabinka sądzi, że jest nie wiadomo jaka zabawna. Za to życzenia, które odczytał Ofir, były wspaniałe; szkoda, że po tylu latach pracy w reklamie nabrał niechęci do słów.

Takie myśli chodziły mi po głowie, podczas gdy przemieszczałem się od swojego stołu do stołu pod nazwą „nie wiemy, gdzie ich posadzić więc posadzimy ich razem z innymi, których nie wiemy, gdzie posadzić” – przy którym siedzieli moi mama i tata.

Churchill zaprosił też matki Amichaja i Ofira, ale przyszli tylko moi rodzice, bo „nie wypadałoby się nie zjawić”. Matka, jak zwykle, zarażała wszystkich swoim tryskającym optymizmem, przygotowując ojcu grunt pod pytania, czym się zajmują pozostałe osoby przy stole – a stamtąd już prosta droga do wręczenia wizytówki naszej rodzinnej drukarni. Oboje cmokali unisono, wyrażając niezadowolenie ze wzmożonych środków bezpieczeństwa („Co za czasy, że nawet na weselu człowiek musi się czuć zagrożony”), i wciąż na mnie patrzyli: matka z wyrazem ślepego uwielbienia, a ojciec – z niezadowoleniem przechodzącym w rozpacz.

Zawsze tak było. Kiedy przynosiłem ze szkoły świadectwo, ona zawsze zachwycała się stopniami z literatury i historii, a on martwił się fizyką i matematyką. Ona uznała, że studia na wydziale humanistycznym w Tel Awiwie to „wspaniały pomysł!”, a on nie rozumiał, czemu akurat humanistyka („Do niczego ci się to nie przyda! Z czego będziesz żyć? Co z ciebie wyrośnie?”).

„Co z ciebie wyrośnie?” było jego stałym pytaniem, które zadawał, siedząc w fotelu i krojąc jabłko albo gruszkę na równiutkie cząstki. Ale podczas wesela zobaczyłem w jego oczach daleko poważniejszy zarzut: jak mogłem mu to zrobić i stracić Ja’arę?

W momencie gdy swym tanecznym krokiem przekroczyła próg naszego domu w Hajfie, zdobyła serce mojego ojca. Dwie godziny później, przy stole, stała się rzecz niesłychana: po raz pierwszy w życiu ojciec zażartował. Ja’ara się roześmiała, dosłownie zwijała się ze śmiechu. A on się zaczerwienił. Nigdy przedtem nie widziałem, żeby zaczerwienił się z innego powodu niż ze złości.

Potem spytał, czy nie zmarzła. Może chce, żeby podkręcić ogrzewanie? Albo przynieść jej koc? Albo pożyczyć jakiś sweter mojej matki?

– Dziękuję, wcale nie jest zimno – odpowiedziała ze śmiechem. – Już teraz wiem, skąd państwa syn ma takie wytworne maniery.

Później zatopili się w rozmowie o tym, jak wspaniały jest brytyjski teatr i że izraelski nie dorasta mu do pięt (mój ojciec był pracownikiem sceny na West Endzie? A kiedy dokładnie? Jaka szkoda, że wcześniej o tym nie wiedziała), a gdy zaintonowali duet z jakiegoś musicalu Andrew Lloyda Webbera, matka i ja uznaliśmy, że tego już za wiele. Wstaliśmy, żeby wynieść naczynia do kuchni.

– Co to było?! – spytałem potem Ja’arę.

– Po prostu twój ojciec zawsze marzył o córce. – Jak zawsze miała na wszystko proste i wygodne wytłumaczenie.

– Tak, wiem – odparłem, myśląc, że być może faktycznie córka byłaby lekarstwem na jego wieczne napięcie i powściągliwość. Może i ja bym nawet trochę na tym skorzystał.

(Raz, jeszcze w podstawówce, gdy wracałem ze szkoły, złapał mnie deszcz. To był jeden z tych deszczy typowych dla Hajfy: rzęsiwszy i padający większymi kroplami niż w Tel Awiwie. Nie miałem parasola i do domu dotarłem przemoknięty do suchej nitki. Był wtorek, dzień, gdy całe miasto robi przerwę w pracy o dwunastej, więc ojciec był akurat w domu. Gdy stanąłem w drzwiach, jego mina mówiła: „O mój Boże”, ale z ust wydobyło się tylko: „Brzydka pogoda, co?”. Posadził mnie przed dużym grzejnikiem naftowym, który psuł się z początkiem każdej zimy, wyłuskał mnie ostrożnie i delikatnie ze wszystkich warstw ubrania i dokładnie wytarł wielkim zielonym ręcznikiem przyniesionym z łazienki. Jego ruchy były długie i staranne, a dłonie łagodne. Skończył dopiero, gdy na moim ciele nie został już nawet najmniejszy mokry ślad, i choć zaczęło mi

być nieznośnie gorąco od siedzenia tak blisko grzejnika, uparł się, że owinie mnie drugim, suchym ręcznikiem, żebym, broń Boże, nie dostał jakiegoś zapalenia płuc czy czegoś podobnego.

Przez następne cztery tygodnie we wtorki celowo zapominałem o wzięciu z domu parasola, w nadziei że spadnie deszcz).

– Poczekaj. – Wbił mi paznokcie w ramię podczas jednego z moich postojów przy jego stole. – Chcę cię komuś przedstawić. To jest Janke’le Richter.

Facet w moim wieku, w garniturze i pod krawatem, uścisnął mi dłoń tak mocno, że zabolalo.

– Janke’le pracuje w branży hi-tech – wyjaśnił ojciec. – Opowiedział mi, że prowadzą specjalny program dla ludzi, którzy chcą się przekwalifikować, tak jak ty.

– Ja?

– No, dla takich, co studiowali leżenie na zielonej trawce – rzekł ojciec, puszczając oko do Richtera. – Powiedziałem, że pewnie będziesz ciekaw usłyszeć coś więcej o tym ich programie.

A ja chciałem przede wszystkim stamtąd zniknąć. Pragnąłem tego jak niczego na świecie. Albo może chciałem wskoczyć do sztucznego jeziora i w coś się zamienić, jak w *Metamorfozach*: w łabędzia, lilię wodną, człowieka mającego cel w życiu. I pewnie w desperacji naprawdę rzuciłbym się do tej wody, gdyby nie Ofir i „medytacja przez dotyk”.

Ten chłopak naprawdę miał jakieś prądy w dłoniach.

W zasadzie to po prostu położył mi je na ramionach. No, może troszkę tam nimi poruszał. W pewnym momencie może dotknął mojego karku. I już. A gdy wstałem z tego jego łóżka, czułem, że cała gorycz, zgromadzona we mnie od początku wieczoru, się rozplynęła. Moje ciało stało się lekkie i przepełniał je wzbierający ocean miłości.

– Człowieku – powiedziałem, rzuciwszy się Ofirowi na szyję – ty musisz otworzyć gabinet. Jesteś naprawdę niezły.

– Naprawdę? – uśmiechnął się. – Nawet nie masz pojęcia, jakie to dla mnie ważne, że słyszę to właśnie od ciebie. No bo jednak pochwały od obcych to nie to samo co od przyjaciół.

– Twój facet jest fenomenalny! – powiedziałem do Marii, by Ofir widział, że mówię poważnie.

– Wiem – odrzekła i spojrzała na niego błyszczącymi oczyma (może to ten masaż wpłynął na moje postrzeganie rzeczywistości, ale przez moment miałem wrażenie, że miłość tych dwojga przybrała materialną postać i unosi się między nimi w powietrzu).

– Bardzo się cieszę, stary, że ci się udało – powiedziałem po krótkim milczeniu.

– Wiem.

I nie było potrzeby mówić nic więcej. Bo obaj rozumieliśmy, że pod tym jego szczęściem kryły się dawne niewesołe chwile: załamanie, śmierć ojca... Ale to właśnie dzięki nim obecne szczęście zyskiwało prawdziwą wartość.

– Przyjdziecie potańczyć za jakiś czas? – spytałem.

– Pewnie.

Kilka piosenek później Maria i jej córeczka dołączyły do nas i tańczyliśmy w nie całkiem okrągłym kółku, wirowaliśmy, dotykając się lekko, szczęśliwi, zgrzani, jednocześnie popijając ze szklanek i ochlapując się przy tym niechcący; unieśliśmy Churchilla i Ja'arę na rękach i kazaliśmy im się pocałować w powietrzu. Naśladowaliśmy sławny taniec Amichaja, jedyny, który umiał: poklepywanie się po brzuchu; wyliśmy na całe gardło *Szymon, powiedz, gdzie mój tlen*, piosenkę *Jehudim*: „Jeśli wyjedziesz, weź mnie z sobą”, którą zamówiła Ja'ara, a potem zestaw kawałków Bruce'a Springsteena na życzenie Churchilla. Wtedy też na parkiet ruszyło kilka osób z pokolenia naszych rodziców, ale szybko wymiękli, jak puszczono trance. Generalnie nie przepadam za taką muzyką, ale tej nocy, gdy Ja'ara pozbyła się butów na szpilkach i zaczęła tańczyć na wprost mnie, i co chwila muskały mnie jej rozwiane włosy, dałem się porwać, czując, jak rytm muzyki ściga się z biciem mojego serca; zamknąłem oczy, żeby nie myśleć, żeby zapomnieć, gdzie jestem, żeby przez parę chwil być tylko rytmem, rytmem, rytmem...

Gdy znów je otworzyłem, naprzeciwko mnie tańczyła Ilana Płaczka. Nie byłem pewien, czy to nie przywidzenie. Zazwyczaj gdy szliśmy gdzieś tańczyć, nie chodziła z nami, a jeśli przypadkiem znalazła się na jakiejś imprezie, siadała sobie z boku i czekała, aż Amichaj się nad nią zlituje, rzuci nam przepraszające spojrzenie i zabierze ją do domu.

Teraz też z początku nie chciała tańczyć. Siedziała sama przy stole przyjaciół pary młodej i nakładała sobie palcami kolejne kawałki sernika. Chciała już iść do domu. Do dzieci, do swojej pracy naukowej. Nie rozumiała, czemu Amichaj uparł się przyjechać jednym samochodem. Siedziała i siedziała, i nikt do niej nie podchodził, bo wszyscy byliśmy przyzwyczajeni, że ta dziewczyna taka już jest. Ale nie Maria, która w końcu się do niej przysiadła. Zaczęła wypytywać o ludzi przy sąsiednim stole. A Ilana podzieliła się wszystkimi istotnymi ploteczkami, w najdrobniejszych szczegółach. W jej głosie pobrzmiwała jeszcze gorycz, ale już nie siedziała taka przygarbiona. I wtedy Maria zaproponowała:

– Trochę się wstydzę iść samej tańczyć z chłopakami, może pójdziemy razem?

– Nie, raczej nie – odrzekła Ilana.

A Maria lekko dotknęła jej ręki i spytała:

– Może tylko ten jeden raz, dla mnie?

Dziwne, jak niektóre obrazy pozostają wyryte w naszej pamięci.

Kilka miesięcy później, w Hajfie, wszyscy uniwersyteccy koledzy Ilany wspominali, jaką była poważną i sumienną osobą, studenci opowiadali, że zawsze chętnie pomagała, a jej matka mówiła nam, że Ilana jeszcze w dzieciństwie była bardzo odpowiedzialna, aż wręcz czasem zdawało się, że zbyt odpowiedzialna...

A ja wspominałem ten moment podczas wesela, gdy otworzyłem oczy i zobaczyłem na wprost siebie Ilanę, jak podryguje z rozczulającą nieporadnością, z uśmiechem na piegowatej buzi, ze zsuniętymi ramiączkami, a zawsze idealnie związany koński ogon tańczy dziko w rytm ruchów głowy.

Metamorfozy: Wielkie umysły, które zmieniły zdanie – rozprawa filozoficzna Juwala Frida (fragment wstępu)

Jeśli przyjąć hipotezę, że jedną z cech świata dostępnego poznaniu zmysłowemu jest jego nieustanna zmienność (Za moim oknem poruszają się liście. Słońce, które w południe było wysoko i pośrodku nieboskłonu, teraz zbliża się do widnokregu.) i jeśli zaakceptować fakt – a nie mamy innego wyjścia – że nasze umysły nigdy, ani na moment, nie przechodzą w stan spoczynku (gdy piszę ten wstęp do swojej rozprawy, przemyka mi przez głowę myśl o nadchodzącym meczu ulubionej drużyny piłkarskiej), wówczas okaże się, że jedyny sposób, by zrozumieć naturę istnienia wszechświata, to próba opisania reguł tej zmienności, sformułowania swoistego „zapisu ruchu” życia i świadomości. Ergo...

Niniejsza praca nie zajmuje się dobrze znanymi spójnymi teoriami kilku filozofów, lecz w szczególności skupia się na momentach ich zawahania, umysłowej i emocjonalnej niepewności. Nie tylko dlatego, że jest w tym coś ludzkiego i poruszającego, ale i po to, by rozważyć tezę, że to właśnie tu – w wahaniu i w późniejszym żalu, że brak wiedzy doprowadził do zmiany – może leżeć klucz do zrozumienia prawdziwej natury myśli.

(I znów, proszę wybaczyć, przychodzi mi do głowy moja ulubiona gra zespołowa, choć tym razem w charakterze metafory: nikt, kto chce pojąć magię piłki nożnej, nie może po prostu spytać o rozstawienie zawodników czy o wynik meczu. Prawdziwa natura futbolu leży bowiem nie w wyniku, tylko w ruchach pomiędzy zdobytymi bramkami. W ruchu piłki. Stopa, stopa, głowa. Zwłaszcza zaś w tych momentach, kiedy nagle, bez widocznego powodu, gra zmienia kierunek).

W albumie prawie na żadnym zdjęciu nie ma Ilany Płaczki. Miała kompleksy, że nie jest fotogeniczna czy coś takiego.

Choć...

Czasem patrzę na jakieś zdjęcie i od razu wiem, że to ona je zrobiła.

Jest na przykład seria trzech fotografii, jak oglądamy przegrany mecz Izraela z Cyprzem podczas kwalifikacji do Pucharu Świata w dziewięćdziesiątym ósmym. Na pierwszej siedzimy we czterech w pełnym oczekiwania napięciu, na drugim skaczemy na równe nogi po haniebnie spartolonej okazji izraelskiego napastnika, a na trzecim widać, jacy jesteśmy zgnębieni, bo decydujący mecz skończył się porażką naszych. Trzecie zdjęcie jest szczególnie udane, bo Ilana mistrzowsko uchwyciła ten okropny bezwład, który ogarnia ciało kibica, gdy jego drużyna przegra. Ofir rozwalony na kanapie przyciska do piersi poduszkę. Churchill masuje sobie skronie. Amichaj słucha komentatora podsumowującego mecz, próbuje się jakoś pocieszyć. Ja uśmiecham się lekko i z goryczą.

Sądząc po tym, na ilu zdjęciach widać Amichaję, to nie kto inny, tylko Ilana musiała fotografować uroczystość zaprzysiężenia Churchilla po zdanych egzaminach adwokackich. Amichaj w chwili wywołania nazwiska Churchilla. Amichaj podaje Churchillowi togę. Amichaj na tle zachodu słońca, z tyłu widoczna Dolina Krzyża Świętego. Na każdym z ujęć jest sfotografowany pod takim kątem, że nie widać jego znamienia na szyi. I na każdym wygląda odrobinę lepiej niż na żywo.

Z parami nigdy nic nie wiadomo. Może nam się zdawać, że znamy tych dwoje całkiem dobrze, ale nie mamy pojęcia, co się dzieje między nimi po wyjściu gości. Ilana Płaczka nigdy nie okazywała Amichajowi czułości przy innych ludziach. Pamiętam, jak ją poznaliśmy. Najpierw przez kilka tygodni non stop o niej opowiadał. Że spotkał swoją drugą połówkę. Fantastyczna dziewczyna. Zjawiskowa. Błyskotliwa. Elektryzująca. Ożeniłby się z nią choćby jutro, gdyby się zgodziła. Mieliśmy po dwadzieścia jeden lat i śluby były dla nas jakąś abstrakcją, czymś, co przydarza się starszemu rodzeństwu czy kuzynom. Lecz Amichaj był tak nakręcony, że z trudem mogliśmy zachować obojętność. Pamiętam, że gdy miał ją nam przedstawić, poszedłem nawet do fryzjera. Churchill włożył swoją randkową koszulę, a Ofir się nie spóźnił (zanim poznał Marię i został „Ofim”, nigdy nigdzie nie przychodził na czas).

– Poznajcie moją przyszłą żonę – Amichaj z dumą przedstawił nam chudą dziewczynę, która weszła do pokoju. Po kolei uścisnęliśmy jej dłoń, która była wiotka i jakby wycofana. Ilana patrzyła smętnym wzrokiem, jak gdybyśmy już zdążyli sprawić jej jakąś przykrość. Nie była brzydka, ale miała bardzo bladą twarz, całą piegowatą i okoloną

cienkimi, sztywnymi włosami. Wydawała się zgarbiona i skulona, na sobie miała beżowe spodnie z paskiem wysoko na brzuchu, jakie noszą starsze kobiety.

Może ma fascynującą osobowość, pomyśleliśmy w duchu. Ale na wszystkie nasze zachęcające pytania odpowiadała jakimiś burknięciami. Sama o nic nie pytała, nie śmiała się z żartów. Nie zrobiły na niej odpowiedniego wrażenia ani inteligencja Ofira, ani elokwencja Churchilla. W połowie wieczoru wyszła do łazienki i długo, bardzo długo nie wracała.

– Niesamowita, prawda? – spytał nas Amichaj, gdy poszła do domu (bo nagle bardzo pilnie musiała już iść).

Churchill milczał. Zawsze twierdził, że każda półprawda jest całym kłamstwem. Zerknąłem na Ofira. Otworzył usta i bałem się, że nie oprze się pokusie, by rzucić którąś z tych swoich złotych myśli, coś w stylu „nieziemsko beznadziejna”. Więc szybko odezwałem się pierwszy:

– Tak, stary. Ta twoja Ilana to jest coś. Teraz rozumiem, czemu z takim zachwytem o niej mówiłeś. Naprawdę. Wyjątkowa dziewczyna.

Musimy dać jej trochę czasu, myślałem sobie. Taka paczka jak my może się wydawać przerażająca: prywatne żarciki, wspólne doświadczenia i porozumienie bez słów.

Ale okazało się, że Ilana zachowała swój dystans przez wiele lat – dopóki nie zjawiała się Maria. Zawsze zostawiała nas samych w dużym pokoju, a sama zaszywała się u siebie albo zajmowała bliźniakami, albo rozmawiała ze studentami przez telefon. Przychodziła tylko po to, żeby postawić na stole własnoręcznie upieczone burekasy lub żeby zrobić nam zdjęcia, a czyniła to jakby z zewnątrz, jakbyśmy byli jej obiektami badawczymi.

Amichaj za to stale okazywał jej względy. Głośno, tak żeby słyszała, obwieszczał nam jej kolejne sukcesy naukowe: Ilana dostała grant na trzy lata! Studenci w ankiecie uznali ją za najlepszą wykładowczynię w historii wydziału!! Chcą jej dać pełny etat nauczyciela akademickiego!!!

Co chwila wychodził do niej i sprawdzał, czy czegoś nie potrzebuje. A kiedy czasem przechodziła przez duży pokój, zawsze był dla niej czuły, dotykał, głaskał, prawil komplementy.

Ona nigdy w naszej obecności nie dotknęła Amichaja.

Ale gdy widzę w albumie dobre zdjęcie, wiem, że to Ilana je zrobiła.

Wszystko zaczęło się od zupełnie drobnej operacji plastycznej.

– Nie rozumiem, po co ci to – upierał się Amichaj. – Moim zdaniem masz

wspaniały nos. Taki latynoski. Zmysłowy...

– Chyba mnie naprawdę bardzo kochasz, skoro uważasz, że mój nos jest zmysłowy – odrzekła Ilana Płaczka. – Jest brzydki, ale nie o to chodzi.

– To o co? – Teraz Amichaj już naprawdę nic a nic nie rozumiał.

– O to, że w ciągu ostatnich miesięcy przeszłam głęboką przemianę i mam potrzebę jakoś to uzewnętrznić.

– To wszystko przez tę twoją Marię – naskoczył Amichaj na Ofira nazajutrz. I był to tylko po części żart.

Leżeliśmy w wielkich hamakach w drewnianym domu na plaży w Michmoret, który Ofir wynajmował razem z Marią i jej córeczką. Maria urządziła nowe mieszkanie ze smakiem. W salonie stanęły jasne drewniane meble, na ścianach wisiały delikatne thanks, buddyjskie obrazy, kupione – pochwaliła mi się – od artysty, który je malował. Na podłodze rozłożyła duży dywan, a do siedzenia służyły dwie wielkie poduszki, w które człowiek się przyjemnie zapadał. Sama zrobiła regały i ustawiła na nich imponującą kolekcję płyt kompaktowych Ofiego oraz kilka skórzanych bębenków, parę wielgachnych chodaków, hinduskie zeszyty, szampony i mydełka firmy Himalaya.

Mógłbym tak opisywać i opisywać, a i tak nie dałbym rady oddać tej specyficznej muzyki, którą Maria przepełniła ich nową siedzibę, którą tchnęła we wszystkie sprzęty i która rozbrzmiewała jednym słowem: dom.

– Wiesz, bardzo się cieszę, że wkładasz w urządzenie wnętrza tyle serca, mimo że lada dzień będziemy się przeprowadzać do Danii – rzekł raz Ofir z czułością do Marii, widząc, że bierze ze skrzynki narzędziowej garść wkrętów.

– Ofi, kochanie, nie słyszałeś? Nie jedziemy do Danii – odrzekła, nie odkładając wkrętów.

– Nie? – Ofira замуrowało.

– Mnie się tu podoba. Większość ludzi mówi po angielsku, jest jasno przez cały rok, a w dodatku Bóg zesłał mi Lanę.

– Ale przecież postanowiliśmy spróbować zamieszkać w Kopenhadze – zdziwił się Ofi.

– Ha, i to jest właśnie problem zachodniego sposobu myślenia – odparła słowami, które brzmiały jakoś znajomo. – Podejmujemy decyzje, a potem zostajemy ich niewolnikami. Tak bardzo się staramy je zrealizować, że nie zauważamy, jak tymczasem stają się nieaktualne.

– Czekaaj, czekaaj – próbował jeszcze ratować swoje marzenie o wspaniałym życiu w

Skandynawii. – A okupacja? Warunki życia Palestyńczyków? Już cię to tak nie boli?

– Przeciwnie. Teraz, jak się zaczęła druga intifada, tym bardziej muszę zostać. Muszę dalej chodzić z Laną na spotkania kobiet. Musimy pilnować, żeby podczas tej wojny ludzie po obu stronach zachowali człowieczeństwo, żeby nie zamienili się w zwierzęta.

Co wtorek Maria z Ilaną chodziły na spotkania Kobiet Przeciwko Okupacji. W co drugą sobotę jeździły na wojskowe punkty kontrolne na Zachodnim Brzegu dokumentować łamanie prawa. W poniedziałki spotykały się, żeby pracować nad artykułem Ilany: *Zmagania z zimową depresją. Przypadek duński*. W każdą środę zabierały dzieci do parku Jarkon albo na czystą plażę w Michmoret. Czwartek natomiast był dniem pracy nad promowaniem gabinetu terapii dotykowej, który Maria i Ofir otworzyli u siebie w domu (już kilka tygodni po otwarciu było niezwykle trudno się zapisać. Zaczęło się od tego, że Ilana rozreklamowała ich numer telefonu w środowisku uniwersyteckim, trapionym przez rozmaite dolegliwości fizyczne. I ruszyła lawina. Ale Maria i tak postanowiła dalej spotykać się w czwartki, żeby „nie stracić rozpędu”).

Tak więc przez całe tygodnie Ilana Płaczka co dzień znajdowała się w obrębie światła roztaczanego przez Marię. Musiało to jakoś na nią wpłynąć.

Przestała wreszcie nosić swoje beżowe spodnie i zaczęła ubierać się w sukienki, które ładnie uwydatniały jej figurę.

Zdarzało jej się uśmiechnąć.

Podczas naszych spotkań już się nie izolowała. Przeciwnie: siadała koło Marii i co pewien czas włączała się do rozmowy (co prawda zazwyczaj krytykowała, ale lepsze takie uczestnictwo niż żadne).

A nawet poświęcała czas na przygotowywanie zdrowych posiłków (prawdę mówiąc, tęskniłem za jej domowymi burekasami).

Wykazała niejakię zainteresowanie piłką nożną i nawet czyniła rozczulające wysiłki, by zrozumieć, od czego zależy, kiedy jest spalony, a kiedy nie.

Dowiedziała się, że od lat po cichu nazywamy ją Ilaną Płazką, i zamiast się rozbeczeć, wybuchnęła śmiechem – no a wtedy przezwisko straciło rację bytu.

– Kochana, zmieniasz się dosłownie w oczach – powiedział jej raz Amichaj. Leżeli już w łóżku. Gdzieś na ulicy zawył autoalarm, potem znów zapadła cisza.

– Nie przesadzaj – odpowiedziała Ilana.

– Ale naprawdę – Amichaj nie dawał za wygraną. – Coś się z tobą dzieje.

– No i? Jak ci się to podoba? – spytała i pogłaskała go po piersi.

– Podoba mi się. To znaczy... Kocham cię... Eee... Cieszę się, że jesteś

szczęśliwa... Tyle że...

– Tyle że co? – Postanowiła to z niego wyciągnąć.

Nic nie odpowiedział. Już myślała, że zasnął, gdy odezwał się zduszonym głosem:

– Tyle że to nie ja jestem tego przyczyną.

Ilana cieszyła się, że w ciemności nie widać jej uśmiechu.

– Jak to? – spytała, starając się, by jej głos zabrzmiał poważnie.

– To wszystko dzieje się dzięki Marii. Zaczęło się wtedy, kiedy ją poznałaś. A ja tyle lat próbowałem... Jakoś sprawić, żebyś była bardziej... I nic.

– Może właśnie czasem potrzebny jest ktoś nowy – powiedziała ostrożnie Ilana. – Spoza kręgu..

Amichaj odsunął dłoń żony ze swojej piersi i zwinął się w kłębek, Ilana przywarła do niego całym ciałem. Nie chciała, żeby się odsuwał. Autoalarm znów zaczął wyć.

– Ale co... – Zabrakło mu słów. – Co konkretnie... Co takiego ona robi, a ja nie?

– Nie o to chodzi, że coś robi – mówiła Ilana, gładząc go po plecach. – Po prostu jest moją przyjaciółką. Pierwszy raz w życiu mam prawdziwą przyjaciółkę i teraz... Teraz całkiem inaczej na wszystko patrzę.

– A ja nie jestem twoim przyjacielem?

– Ty jesteś moim facetem, którego kocham. A ona jest przyjaciółką. To dwie różne rzeczy.

– W sensie?

Ilana westchnęła. Najwyraźniej będzie musiała powiedzieć to, co chciała przemilczeć.

– Ty jesteś taki pogodny. Dlatego się w tobie zakochałam. Pamiętam, jak wszedłeś do biura spraw personalnych w naszej jednostce i zacząłeś rozmawiać z oficerem, a ja patrzyłam, jak wywijasz rękami, i pomyślałam sobie: to jest mój wymarzony chłopak, wesoły bez względu na to, co przyniesie życie.

– Przecież Maria też jest bardzo pozytywną osobą.

– Tak. Ale ona była także na tym drugim biegunie. Po ciemnej stronie. Spadła w otchłań, wydobyła się z niej i dziś nie boi się w nią spoglądać. Ty nigdy byś sobie nie pozwolił na spadnięcie w tę otchłań.

– Mówisz to tak, jakbyś mnie obwiniała – rzekł Amichaj, a w głowie na moment pojawiło mu się wspomnienie: chłopiec, który zawsze musi być wesoły, wspina się na kolana pogrążonej w żałobie mamy, głaszcze ją po twarzy i mówi: „Mamo, czemu się nie

uśmiechasz? Gdzie się podział twój uśmiech?”.

– Nic podobnego. – Ilana zaczęła wodzić palcem po jego szyi. – Właśnie za ten optymizm cię kocham.

Amichaj czuł się nieswojo ze wspomnieniem, które go nawiedziło.

– No więc... Maria zaliczyła tę otchłań i dlatego teraz... No właśnie: co?

– Czuję się przy niej taka zwyczajna. Czuję, że jestem okay. Że mój smutek jest okay. Że moja ociężałość to nic strasznego. Że jeśli muszę się czasem skryć przed światem, to to też jest okay. Przy Marii czuję zrozumienie. Pełne zrozumienie.

– A przy mnie nie? – spytał Amichaj, nie panując nad sobą. – Masz poczucie, że ja cię nie rozumiem? – Ilana przytuliła się mocniej do jego pleców.

– Rozumiesz. Tylko inaczej.

Teraz to już naprawdę nic nie rozumiał. Ogarniała go czarna rozpacz. Czuł się, jak gdyby dwie godziny rozmawiał z potencjalnym klientem i nic mu nie sprzedał. A potem nagle poczuł, że ręka jego żony wędruje między jego nogi.

– Jesteś moim facetem – jej szept rozgrzał mu ucho. – Jesteś wszystkim, czego pragnę.

Ale Amichaj odmówił współpracy. Co to, to nie: nie da się go tak łatwo kupić. Odsunął jej dłoń i zwinął się jeszcze ciaśniej, obrażony. Starał się obrazić tak bardzo, żeby trafić do otchłani, o której mówiła Ilana. Tylko że ona się nie poddawała. Zaczęła masować jego czuły punkt trzy palce poniżej pępka, ocierała się udem o jego udo i lizała znamię w kształcie Izraela na jego szyi – od Galilei do Ejlatu, pomalutku...

– Twój głos brzmi, jakbyś był zamęczony na śmierć – powiedziałem mu przez telefon dwa dni później (ustalaliśmy, kto kogo podwozi, kiedy będziemy jechać do Michmoret).

– Ilana napastuje mnie seksualnie – poskarżył się.

Zdziwiłem się, bo z naszej czwórki Amichaj był ostatnim do mówienia o tych rzeczach. Choć sądząc po tym, jak szeroko otwierał oczy, gdy Churchill snuł opowieści o swoich podbojach, można było sądzić, że temat go jak najbardziej interesuje. Właściwie nigdy go o to nie pytałem – zawsze jakoś uważałem za oczywiste, że jeśli nic nie mówi, to pewnie nie ma nic do powiedzenia.

– Napastuje seksualnie? To tylko pogratulować! – ucieszyłem się.

– No nie wiem – rzekł z powątpiewaniem, po czym streścił mi ich nocną rozmowę.
– Wszystko fajnie, tylko że... – Westchnął.

– Tylko że co?

– No dobra, powiem co, ale ani słowa Ofirowi, okay? Ostatnio, ile razy się kochamy, mam takie dziwne wrażenie, jakby Maria była razem z nami. Jakby Ilana fantazjowała o Marii, kiedy jej dotykam.

– Chyba masz obsesję.

– Obsesję? To jak wytłumaczysz fakt, że nagle, po ośmiu latach, mnie odkryła? To znaczy... mojego... Nie żeby wcześniej nie chciała, ale rozumiesz, nie w taki sposób.

– Po prostu jest teraz w lepszym nastroju – próbowałem go uspokoić. – Jest szczęśliwa dzięki przyjaźni z Marią, a ty na tym korzystasz. Czym tu się martwić?

– No nie wiem... – nie dawał się przekonać. – A w ogóle co to za pomysł z tym całym Michmoret? Wiesz, że będziemy stali półtorej godziny w korku. Nie rozumiem, czemu Ofir musiał się wyprowadzać tak daleko od nas.

– Amichaju! Nie poznaję kolegi! – zaśmiałem się. – Co to za marudzenie? Facet postanowił żyć zgodnie z wartościami, w które wierzy. Według niego miasta są materialistyczne i demoralizujące, więc nie chce w nich mieszkać. Całkiem do rzeczy.

– Pewnie masz rację, bez sensu się czepiam.

Amichaj całą siłą woli postanowił wytrwać w pozytywnym nastawieniu i udało mu się to przez dwadzieścia cztery godziny. Bo gdy usłyszał, że Ilana chce sobie zoperować nos, znów grunt usunął mu się spod nóg. Przez całą drogę do Michmoret zamęczał mnie i Churchilla:

– Z jej nosem jest wszystko w porządku.

– Na co jej to?

– Te wszystkie operacje... to jak stawanie do konkursu z Bogiem. Dziś nos, jutro twarz, a za parę lat ludzie będą sobie wymieniać całe ciało na inne.

– A co jak wyjdzie brzydko? Pamiętacie Kalanit Kalter od nas z klasy? Ona sobie zrobiła operację.

– Nie rozumiem, do czego jej to potrzebne.

– Wcześniej takie rzeczy nie były dla niej ważne.

– Z jej nosem jest wszystko w porządku, prawda?

Tuż przed Netanją Churchill eksplodował.

– Zamknąłbyś się, co? – rzucił takim tonem, że Amichaj umilkł i nie odzywał się aż do Michmoret. Ale przetrwał to w sobie i w końcu, kiedy leżeliśmy na hamakach, powiedział do Ofira niby w żartach, że to wszystko wina Marii.

Ofir odpowiedział mu, że powinien się zastanowić, zanim coś powie. Wtedy Amichaj się wkurzył:

– Panie ważniak, to, że ci się zaczęło dobrze powodzić z tym twoim gabinetem, to jeszcze nie znaczy, że masz prawo traktować przyjaciół z góry.

Ofir głęboko zaczerpnął powietrza, jakby jego dawne wojownicze ja próbowało wydostać się przez usta na zewnątrz. Pokołysał się w hamaku, potem wstał. Wziął z półki jeden z hinduskich bębenków, przez chwilę wybijał jednostajny rytm, po czym odstawił instrument z powrotem. Na koniec się odezwał:

– Maria powiedziała Ilanie tylko tyle, że jej zdaniem nos jest okay, ale jeśli operacja ma ją uszczęśliwić, to powinna się jej poddać. Bo czasem nie umiemy wyjaśnić, dlaczego pewne rzeczy są dla nas źródłem szczęścia, i nie zawsze musi to być logiczne.

– Uszczęśliwić? – przedrzeźniał go Amichaj. – Pierwsze słyszę, żeby takie rzeczy były dla Ilany ważne. Znam ją i zapewniam cię, że nigdy nie zwracała uwagi na takie bzdety.

– To nie są bzdety – odrzekł Ofir odrobinę ostrzejszym tonem. – Ludzie, którzy posiadli zrozumienie, twierdzą, że nadchodzące tysiąclecie będzie epoką ciała. Zresztą... jeśli to bzdety, Amichajdzi, to czemu tak ukrywasz swoje znamię?

Amichajowi opadła szczęka. Nigdy w życiu nie wspominaliśmy o jego znamieniu w kształcie Izraela. Między przyjaciółmi obowiązują pewne niepisane zasady. (Nie rozmawiać z Amichajem o znamieniu na szyi. Nie rozmawiać o moim niskim wzroście. Nie dawać prezentów na urodziny, natomiast owszem, wysyłać kartki z życzeniami. Nie zdradzać wyniku meczu, jeśli przyjaciel nagrał go sobie na wideo, żeby obejrzeć później. Można wyrażać swoje zdanie o prywatnym życiu przyjaciela, ale na koniec dodać: „Słuchaj, stary, to twoja decyzja”. Nie zastanawiać się, czyja tym razem kolej, żeby zadzwonić. Nie podliczać skrupulatnie rachunków, bo i tak to wszystko się wyrównuje. Nie pożyczać ode mnie książek, bo mam obsesję, że się zabrudzą. Nie pożyczać płyt od Ofira, bo nawet w nowym, uduchowionym wcieleniu pozostał stuprocentowym materialistą, jeśli chodzi o swoją kolekcję – liczącą około dwóch tysięcy sztuk, z rozmaitych gatunków, w tym sporo unikatów – i niech Bóg ma w swej opiece tego, kto wyjmie płytę z pudełka i nie włoży z powrotem, a tym bardziej tego, kto by się odważył sponiewierać książeczkę z tekstami. Nie chwalić tylko jednego z bliźniaków Amichaja – zawsze obu. Nie dyskutować z Churchillem o polityce, bo zawsze cię przegada. Nie słuchać Ofira, kiedy tłumaczy, jak gdzieś dojechać, bo raz przez to wylądowaliśmy aż w Dżeninie na Zachodnim Brzegu. Nie odbijać przyjacielowi dziewczyny. Ja’ara jest tu wyjątkiem. Cieszyć się z osiągnięć przyjaciela, nawet jeśli w duchu się mu zazdrości. Nie mówić „brachu”, „staruszku” ani nie używać żadnych innych ładnych słówek zamiast naszego ulubionego „stary”. Nie okłamywać przyjaciela. Choć z drugiej strony nie zawsze mówić mu całą prawdę. Nie plotkować. Nie izolować się. Nie wyjeżdżać. I wreszcie – nie wprowadzać do grupy nowych ludzi, nie żebyśmy mieli coś przeciwko nowym, tylko że musieliby się nie wiadomo jak długo uczyć tych zasad).

– Bądź tak dobry – powiedział w końcu Amichaj przez zaciśnięte zęby – i przestań do mnie mówić „dzi”. I ani słowa więcej o tym znamieniu. Powtarzam ci, że Ilana i to całe halo z operacjami plastycznymi to dwie różne bajki.

– Może po prostu nie wszystko wiesz o Ilanie – odparł Ofir.

– A może ty nie wszystko wiesz o Marii – zaatakował go Amichaj. – Ile jesteście ze sobą? Dwa tygodnie?

– A może obaj się zamkniecie – uciszył ich Churchill. – Miałem główniany tydzień i naprawdę nie mam ochoty słuchać kłótni dwóch głabów. Przyjechałem tu obejrzeć mecz.

Popatrzyłem na niego. W ciągu godziny po raz drugi zachował się wobec nas nieuprzejmie, co było do niego zupełnie niepodobne. Jego charyzma opierała się na spokoju, nie musiał nic mówić. Nawet na sali sądowej zawsze zachowywał chłód i nie odzywał się częściej niż potrzeba. Zwykle pozwalał przeciwnikowi pogrzyźć się samemu.

To pewnie przez tę nową sprawę, którą mu przydzielili, pomyślałem. O wielkim znaczeniu społecznym, tak jak sobie wymarzył i napisał na karteczce z życzeniami. Dyrektor generalny jakiejś państwowej instytucji został oskarżony o przyjęcie łapówki w formie usługi seksualnej w zamian za udostępnienie terenu pod inwestycję budowlaną i teraz się bronił, twierdząc, że próbuje go zrobić pewien biznesmen, któremu on nie dał się przekupić. Wyższy rangą prokurator nagle zachorował i musiał zrezygnować z prowadzenia tej sprawy, więc zastąpił go jego asystent, czyli Churchill, na polecenie prokurator okręgowej. Oczywiście zaraz w prokuraturze zaczęli gadać: że jak to, taki młody, a już dostaje taką ważną sprawę. Ale prokurator okręgowa, która od początku szykowała Churchilla do większych rzeczy, kazała mu się tym nie przejmować i zająć pracą.

Obserwowałem go teraz, jak z właściwą sobie determinacją łuska pestki słonecznika: za każdym razem jedno precyzyjne ściśnięcie w zębach. Mam nadzieję, że mu się uda, pomyślałem. I w tej samej chwili głosik wewnątrz mnie szeptał: „Żeby przegrał, żeby przegrał”.

Razem z pozostałymi zwróciłem oczy w stronę telewizora. Przez pierwszych parę sekund obserwowałem, jak zawodnicy kopią piłkę w tę i z powrotem, ale nie byłem w stanie odróżnić drużyn – jedni grali w czerwonych koszulkach, drudzy w zielonych, a przy moim rodzaju daltonizmu nie rozróżniam akurat tych dwóch kolorów. Na szczęście zaraz spostrzegłem, że jedni mają czarne spodenki, a drudzy białe, więc już mogłem śledzić przebieg gry, który zresztą mi się podobał: w pierwszych minutach drużyna grająca bardziej defensywnie, i ogólnie gorzej, przez przypadek zdobyła bramkę. Przez resztę meczu druga drużyna, lepsza, mająca więcej polotu i staranniejsze przygotowanie, próbowała wyrównać stratę. Na szczęście tuż przed końcem im się udało: strzelili jednego po drugim dwa gole i wygrali.

– Któż powiedział, że w futbolu nie ma sprawiedliwości? – uderzył w patetyczną nutę komentator.

A Amichaj powiedział:

– Ci goście z Barcelony nie grają. Oni tańczą.

– Prawdziwy taniec współczesny – zgodził się Churchill, a ja dodałem:

– W pewnym momencie piłka nożna wchodzi na taki pułap estetyczny, że staje się sztuką.

– Kto chce czaj? – spytał Ofir, wstawszy z hamaka.

Gdy piliśmy słodko-ostry napój, który zdaje się rozpląwać po całym ciele, Maria z córeczką wróciły z wizyty u Ilany.

– Ofi! Ofi! – zawołała dziewczynka i pobiegła prosto w ramiona Ofira, jak gdyby z trudem zniosła kilkugodzinną rozłąkę i żeby się uspokoić, musiała natychmiast przytulić się do jego piersi. Spytał, jak było u Ilany, a córka Marii opowiadała o tym, jak razem z bliźniakami przeprowadzała doświadczenia chemiczne: jak zmieszali ocet z sodą oczyszczoną i wybuchł malutki wulkan. Jak wrzucili skrobię do szklanki jodyny i jodyna zmieniła kolor. Ofir słuchał uważnie, głaskał dziecko po włosach i dopytywał o szczegóły jak prawdziwy tata. W tym czasie Maria przytuliła każdego z nas.

Z początku, zanim przywykliśmy do tych jej długich uścisków, byliśmy mocno zbici z tropu. Patrzyliśmy ponad jej ramieniem, pytając Ofira wzrokiem, kiedy, na miłość Buddy, ta kobieta wreszcie nas puści. Ale później wręcz się od tego uzależniliśmy. Każdy z nas odwzajemniał uścisk, kładł głowę w zagłębieniu między ramieniem a szyją Marii, czuł, jak przenika go jej ciepło, przytulał się do jej dużych piersi – i gdyby przy powitaniu pominęła któregoś z nas, to na pewno sam by się upomniał.

Tym razem kolejka Amichaja wypadła na końcu. Mimo że wcześniej, pod nieobecność Marii, rzucał pod jej adresem oskarżenia, to nie próbował wymigać się od przytulenia. Przeciwnie. Jego uścisk był najdłuższy, najbardziej serdeczny, jak gdyby oboje włożyli w niego całą miłość do Ilany. I zaraz atmosfera w drewnianym domu w Michmoret zrobiła się swobodniejsza. Ofir dolał nam czaju. Komentatorzy w telewizji mówili o meczu rewanżowym za dwa tygodnie, a Churchill ogłosił:

– Powiem wam teraz coś, co zawsze mówił Ofir.

– Zaczyna się od „Nie macie pojęcia”? – zgadł Amichaj.

– Nie macie pojęcia, w jakim byłem stanie, kiedy tu przyjechałem – rzekł Churchill z powagą. – Ta sprawa... Nie bardzo mogę mówić o szczegółach... Ale chciałem wam powiedzieć, że jak was tu wszystkich widzę... To naprawdę mi lepiej... Od razu umiem spojrzeć na wszystko z dystansu... Przypominam sobie, co jest naprawdę ważne w życiu.

Milczeliśmy.

Mogliśmy spytać, co właściwie go spotkało w ciągu tygodnia. Jakoś próbować pomóc. Ale ton jego głosu nie zachęcał do dalszych pytań (a może zadziałała siła przyzwyczajenia i uważaliśmy, że jest jak skała). Nic więc nie mówiliśmy, sącząc nasz czar.

W końcu Amichaj spojrział na Ofira i odezwał się:

– Wiesz, miałeś wtedy rację.

Ofir pogłaskał dziewczynkę po główce i odparł:

– Już nie pamiętam, co mówiłem.

– Może i lepiej – roześmiał się Amichaj, a my dostrzegliśmy tę iskierkę w jego oku i już wiedzieliśmy, że tylko czekać, jak wyskoczy z kolejnym pomysłem.

I faktycznie, kilka dni później obdzwonił nas i zaprosił na uroczyste pożegnanie starego nosa Ilany. Mieliśmy się wspólnie wybrać na koncert Kameleonów.

– A potem pójdziemy coś wypić i porobimy sobie zdjęcia z nosem Ilany – planował Amichaj podekscytowany. – Zrobimy z nich album pamiątkowy.

Kameleony to był taki „nasz” zespół. Naturalnie, każdy z nas słuchał jakiejś swojej ulubionej muzyki. Amichaj lubił ścieżki dźwiękowe z filmów i nastrojowe ballady izraelskie. Ofir, jak jeszcze robił w reklamie, słuchał dobrego rapu, a potem, po powrocie z Indii, przerzucił się na muzykę instrumentalną. Z kolei Churchill zawsze był zdania, że ważny jest tekst, więc za dnia preferował Ehuda Banaja, a nocami Meira Ariela. Ja wolałem grupy brytyjskie. The Smiths. Później Stone Roses. A jeszcze później lubiłem po prostu piosenki, nie zespoły. W każdym razie nie miałem specjalnie serca do muzyki izraelskiej z wyjątkiem Kameleonów, którzy wydali pierwszą płytę, kiedy byliśmy w wojsku. Grali przepięknie. Przez całą służbę wojskową w naszych rozmowach przewijały się cytaty z *To nie jest czarno-białe*. Służyły też zawsze jako pierwsze zdania kartek urodzinowych. Pamiętam jedne życzenia od Churchilla, które zaczynały się od słów: „I musisz pamiętać, zawsze pamiętać, że wiosna kiedyś się skończy”. Teraz już nie umiem sobie przypomnieć, czemu tak napisał. Może to było po powrocie z naszej wspólnej wyprawy, kiedy nie wiedzieć czemu popadłem w jakieś przygnębienie graniczące z depresją*. W każdym razie pozostaliśmy Kameleonom wierni, nawet gdy zaczęli nagrywać

* Pamięć tym akurat razem zawodzi pana Frida. Cytat z piosenki zespołu Kameleony nie znalazł się w życzeniach urodzinowych, lecz w liście, który wysłałem mu za pośrednictwem pana Amichaja Tanuriego, naszego wspólnego przyjaciela. W tamtym czasie pan Frid służył w kompanii pilnującej bezpieczeństwa w Judei i Samarii i przydzielono mu, wraz z dziewięcioma innymi żołnierzami, posterunek na dachu budynku w mieście Nablus. W dalszej części niniejszej książki pan Frid dokładnie opisuje tygodnie spędzone na tym dachu, a nawet cytuje fragmenty listu, który do mnie wówczas napisał. List ów wzbudził mój uzasadniony niepokój. Pan Frid zawsze zachowywał się bardzo powściągliwie, jeśli chodzi o uzewnętrznianie swojego cierpienia; zwykle uciekał się do autoironicznego humoru i w ten

kolejne, już nie takie dobre płyty. A nawet gdy na jednym koncercie, na którym akurat byliśmy, dwaj wokaliści się pobili.

– Ja im wierzę – w ten sposób Churchill próbował wytłumaczyć Ja’arze, czemu jesteśmy tacy przywiązani akurat do tej grupy. – Piosenki mają coraz gorsze, ale ja wciąż im wierzę.

– Moim zdaniem widzicie w Kameleonach swoją młodość. – Ja’ara miała własne wytłumaczenie. – Chodzi o to, że słyszycie ich zawsze podwójnie: jako ludzie, którymi jesteście teraz, i jako osiemnastolatki, którymi byliście kiedyś.

Pewnie oboje mieli rację. Lecz i tak odpowiedziałem Amichajowi, że nie idę ani na koncert, ani na imprezę pożegnalną nosa Ilany.

– Ale czemu? – spytał zawiedziony.

– No ile można słuchać Kameleonów? Mam ich już potąd – skłamałem. – Zresztą wszystkie ich nowsze piosenki są takie telawiwskie. Nie ma w nich już nic z Hajfy.

– A ty to może nie mieszkasz od siedmiu lat w Tel Awiwie? – naskoczył na mnie Amichaj. – No nic, nie masz ochoty iść, twoja sprawa. Spotkamy się po koncercie.

– Nie wiem – starałem się jakoś wykręcić. – Może. A czemu tak ci zależy, żebym był?

– No jak to? – Amichaj podniósł głos. – Jesteś moim przyjacielem. Moim i Ilany. Nie rozumiem, o co ci chodzi. Że będą trzy pary i ty sam?

– Szczerze? Tak – odrzekłem, choć nie całkiem była to prawda.

– Cieszę się, że wam się układa, ale czasem mi niezręcznie, jak jestem jedynym singlem.

– No tak – odparł już łagodniej. Po chwili milczenia dodał: – Tylko pamiętaj, że wszystko jest płynne.

– W jakim sensie?

– Coś ci opowiem. Wczoraj zadzwonił do mnie pan Bas z Domu Spokojnej Starości w Rison le-Cijon i mówi tak: „Bardzo pana przepraszam, mam nadzieję, że mnie pan pamięta”, a ja pomyślałem sobie: Jasne, jak mógłbym zapomnieć. Pięć godzin, wyobrazasz sobie? Pięć godzin ze mną rozmawiał, kiedy rok temu chciałem mu sprzedać

sposób chronił siebie oraz rozmówców. Jednak we wspomnianym liście widoczne było, że cierpienie i niepokój są zbyt wielkie, by dało się je obrócić w żart. Podczas lektury zdałem sobie sprawę, że ogarniająca go rozpacz może mieć nieodwracalne skutki.

Wówczas, podobnie jak dzisiaj, myśl o życiu, czy w ogóle o świecie, bez niego zdawała się niepojęta, nieznośnie smutna. Każdą komórką mojego ciała pragnąłem dobrać właściwe słowa, by mój list zdołał go pocieszyć. Jak się okazuje, tym, co wywarło na nim niezatarte wrażenie, był cytat z piosenki Kameleonów. (J.A.)

abonament na Telemed. Opowiedział mi całe swoje życie, łącznie z pobytem w lesie wśród partyzantów, a na koniec bezwstydnie mówi, że nie ma wcale zamiaru kupować tego abonamentu. Bo i po co? „Kto przeżył obóz, ten ma serce tak silne, że wytrzyma wszystko”. A wczoraj dzwoni do mnie i pyta, czy oferta jeszcze aktualna. Ja na to, że oczywiście. „A specjalna zniżka dla osób urodzonych w Austrii?” „Tak, wszystko aktualne, a co się stało? Zmienił pan zdanie?” „Zaszły nowe okoliczności”, mówi i pyta, czy mogę przyjechać do niego od razu tego samego dnia, bo to bardzo pilne. Przyjeżdżam i co się okazuje? Kilka miesięcy temu do zakładu przyszła nowa pensjonariuszka, imieniem Szulamit, i jak to ujął pan Bas, zrodziła się „wielka miłość, jakiej nigdy jeszcze w życiu nie zaznałem”. „Przez pięćdziesiąt lat żyłem z moją żoną Chają”, opowiada. „Mieliśmy dobre życie. Zbudowaliśmy dom i założyliśmy rodzinę. Ale nigdy nie zaznałem takich uczuć jak to. Nawet sobie nie wyobrażałem, że coś takiego w ogóle jest możliwe”. Powiedziałem mu, że to wspaniale, i w ogóle próbowałem cieszyć się jego szczęściem. Ale widzę, że jest trochę blady. Wtedy on mówi: „Moje serce” i kładzie rękę po niewłaściwej stronie klatki piersiowej. „Wystarczy, że wypowiem jej imię, a zaczyna walić jak młot. Ona co prawda jest młoda, ale ja już nie”. Tylko na to czekałem. Postanowiłem skierować rozmowę na właściwy tor: „I od tego właśnie jest Telemed”. Rozłożyłem przed nim prospekty, dokumenty, zacząłem tłumaczyć, czemu lepiej mieć złotą kartę niż zwykłą. Już wygląda na to, że go przekonałem, już zaczyna się podpisywać, kiedy ktoś zapukał do drzwi. Wchodzi Szulamit, ta jego młoda kobieta. „To jest właśnie ten chłopiec od Telemedu”, przedstawia mnie pan Bas, a ja podaję jej rękę. Babka ma przynajmniej z siedemdziesiąt lat i nie jest z tych, co to się mówi, że w ich twarzy wciąż widać dawne piękno. Raczej ma w sobie coś szatańskiego. Pan Bas podał jej rękę, żeby pomóc jej usiąść, i normalnie cały drżał. Bałem się, że mi tu zaraz zejdzie na serce. Ale nie. Trzymają się za ręce, ona patrzy na niego ze spokojem i mówi: „Zda mi się, żeśmy oboje odmłodnieli”.

– Niezły język – powiedziałem z uznaniem.

– Otóż to – zgodził się Amichaj. – A najlepsze, że to jest zaraźliwe. Nawet teraz, jak ci o nich opowiadam, to ich słowa same mi wychodzą w tym stylu.

– Fajna historyjka.

– Ale rozumiałeś morał? – spytał Amichaj.

– Na przykład, że jeśli poczekam do dziewięćdziesiątki, to może wtedy odmłodnieję?

– Nie, że teraz ty jesteś sam, a my mamy swoje kobiety. Ale przyjaciółmi będziemy przez całe życie. A wszystko jest płynne i wszystko może się zmienić.

Nie mam pojęcia, czemu to powiedział. Takie filozofowanie było znacznie bardziej w stylu Ofira. Może jako wytrawny sprzedawca chciał pokonać mój opór za pomocą zdania, z którym się chętnie zgodzę.

Nie wierzę też za bardzo w jakiś tam mistycyzm (choć jestem gotów uznać, że czasem coś w środku w nas przepowiada nam, co się dopiero wydarzy).

W każdym razie nie poszedłem na uroczyste pożegnanie starego nosa Ilany.

Trzy tygodnie wcześniej poznałem pewną dziewczynę.

Miała na imię Chani. Tłumaczyłem dla niej na angielski artykuł *Upadek ZSRR: rewolucja czy ewolucja?* i spodobał mi się jej brak pewności siebie. Większość moich zleceniodawców w ogóle nie wstydziła się swoich zamówień, jakby nie widzieli nic żenującego w tym, że płacą mi za robotę, którą w zasadzie powinni wykonać sami. Za to Chani podczas pierwszego spotkania, kiedy ustalaliśmy termin skończenia pracy, jąkała się i czerwieniła ze wstydu.

– Zrobiłabym to sama, naprawdę, ale z tym moim angielskim... Tam, gdzie się wychowałam, w ogóle nie uczą angielskiego i dopiero teraz próbuję nadgonić. Bardzo się staram... Rozumiesz? – tłumaczyła się.

Na tle wszystkich przebojowych dziewczyn, z którymi spotykałem się po rozstaniu z Ja'arą, naiwność Chani była taka ożywcza. Poza tym miałem ochotę się dowiedzieć, jak jej włosy, zawsze związane w prosty koński ogon, wyglądają, gdy je rozpuści. Kiedy więc przyniosłem jej gotowe tłumaczenie, spytałem, czy miałyby ochotę jeszcze się spotkać, prywatnie – a ona się zgodziła.

Podczas tej „prawdziwej” randki okazało się, że to miejsce, gdzie „w ogóle nie uczą angielskiego”, to ultraortodoksyjna społeczność w mieście Bnej Brak i że Chani od roku jest niewierząca. W zasadzie jej odejście od wiary było stopniowym procesem i zaczęło się, jeszcze gdy była nastolatką. Patrzyła na swoją matkę, widziała jej życie i myślała, że chciałaby czegoś więcej. Z początku nawet nie ubierała tego w słowa, było to raczej mgliste przecucie, pragnienie, którego nie potrafiła zaspokoić. A nie miała z kim o tym porozmawiać, bo tam, gdzie dorastała, nie pierze się własnych brudów poza domem.

I tak, powoli, zaczęła wieść podwójne życie. Pozornie była porządną uczennicą ortodoksyjnej żeńskiej szkoły, ale w sekrecie czytała takie książki jak *Spinoza i inni heretycy* z drugiej strony, *Kochanek lady Chatterley*.

– W zasadzie – opowiadała – w głębi serca utraciłam wiarę, jak miałam osiemnaście lat. Ale dopiero trzy lata później zjadłam pizzę.

– Pizzę?

– Niekoszerną. To było w Giwatajim. Jadłam tak prędko, że poparzyłam język roztopionym serem, i byłam przekonana, że to kara boska. To opóźniło moje odejście od

religii jeszcze o kilka miesięcy. Wtedy kupiłam sobie szarawary, rozumiesz, jako coś pośredniego między spódnicą a prawdziwymi spodniami. Nosiłam je oczywiście tylko na uniwersytecie. A rok temu sprawiłam sobie pierwszą w życiu parę džinsów... No i niebiosa wcale nie runęły mi na głowę! Te wszystkie rzeczy coraz bardziej mi się podobały, w miarę jak je robiłam. Aż w końcu wyprowadziłam się z domu.

– To wszystko musiało wymagać wielkiej odwagi – powiedziałem (a w duchu dodałem, że na jej miejscu pewnie do dziś tkwiłbym w Bnej Brak).

– Pod koniec to już nie była kwestia odwagi. Po prostu nie miałam innego wyjścia.

– Może tak już jest w życiu – zastanawiałem się na głos. – Musisz cierpieć, dotrzeć do dna, odbić się od niego i dopiero wtedy możesz się zmienić.

– No nie wiem – odrzekła. – To brzmi okropnie pesymistycznie. Zawsze jesteś takim pesymistą?

Ku mojemu wielkiemu zaskoczeniu, mimo nieśmiałości, która przebijała z każdego jej gestu, tego wieczora poszliśmy ze sobą do łóżka.

– Tylko musisz zrozumieć – powiedziała, rozwiązując koński ogon i rozpuszczając kaskadę miodowozłotych włosów – że mam pięć lat zaległości w stosunku do reszty klasy. Naprawdę muszę jeszcze dużo nadgonić.

Nie byłem jej pierwszym facetem, ale byłem pierwszym, który dał jej przyjemność. Tak mi w każdym razie powiedziała. Poza tym jej entuzjazm nowicjuszki był zaraźliwy. Wszystko, co robiliśmy, było dla niej nowe. Przede wszystkim – seks oralny. Hotel w Ain Kerem, samotna ławka przy urwisku nad brzegiem morza w Bejt Janaj... Wszystkie te „magiczne” miejsca były dla niej magiczne naprawdę, bez cudzysłowu. Nigdy przedtem nie była na nocnym spektaklu *The Rocky Horror Show*. Była pewna, że Ehud Banaj i Meir Banaj to ten sam piosenkarz. A na sylwestra chciała iść do Koloseum. Wy tłumaczyłem jej, że ten klub zamknięto dawno temu. Odrzekła, że wie o tym, ale w gazetach, które matka zakazywała jej brać do ręki, przez tyle lat czytała o imprezach sylwestrowych w Koloseum, aż w końcu w jej fantazjach uformowało się bardzo realistyczne wyobrażenie tego sylwestra, kiedy będzie tańczyła do upadłego w rytm muzyki DJ Ilana Ben-Szachara (żadnego innego) i ostatecznie, na dobre zerwie z religią.

– To słuchaj... Może sprawdzimy, czy Ben-Szachar nie gra w sylwestra w jakimś innym klubie? – zaproponowałem. Lecz ona, co było niepodobne do niej, pokręciła głową, mówiąc, że to by nie było to samo.

Tak więc w wigilię nowego milenium wystroiliśmy się, wzięliśmy discmana i głoścniczkę oraz składankę przebojów z lat osiemdziesiątych wybranych przez Ilana Ben-Szachara i udaliśmy się w miejsce, gdzie kiedyś działał klub Koloseum. Gdy dotarliśmy na pustą i zapyziały jak zwykle plac Atarim, Chani wcale się nie przejęła, bo cały czas

pielęgnowała w pamięci swoje idealne wyobrażenie i miała zamiar je zrealizować w najdrobniejszych szczegółach.

O jedenastej dwadzieścia weszliśmy przez wybite okno do pustego wnętrza nieczynnego klubu. O jedenastej dwadzieścia pięć podłączyliśmy głośniczki do discmana, a Chani zaczęła machać włosami w takt *Girls on Film* Duran Duran. Za pięć dwunasta wyłączyliśmy płytę, a włączyliśmy radio, żeby usłyszeć odliczanie do dwunastej.

Równy o północy pocałowaliśmy się. Był to długi, długi pocałunek, pośród poniewierających się wokół kabli, potłuczonych szyb, kawałków tynku, podartych plakatów Grace Jones i butelek, z których dawno wywietrzały ostatnie ślady zapachu piwa.

O wpół do pierwszej, gdy już opuściliśmy plac, zadzwoniła jej matka.

To był rytuał. Matka dzwoniła co wieczór i pomstowała na Chani, lecz tym razem, jak gdyby jej matczyne czujniki na odległość wykryły, że córka tak dobrze się bawi, krzyczała głośniejszym głosem niż zazwyczaj:

– Jesteś kurwą, Chana, wiesz o tym? Nie? Doprawdy? No to wytłumacz mi, proszę, czym się różnisz od zwykłej kurwy?

– Mamo... – próbowała oponować Chani.

– Nie, nie, wytłumacz mi. Żyjesz z mężczyzną, śpisz w jego domu. Wiesz co? Jesteś nawet gorsza niż kurwa, bo kurwa przynajmniej dostaje za to pieniądze. A ty to robisz za darmo.

– Mamo, wystarczy.

– Co „wystarczy”? Nie mów mi, że wystarczy, przecież słyszę tę muzykę w tle. Czy ty wstydu nie masz, dziewczyno? Świętujesz chrześcijański Nowy Rok? To może od razu się ochrzcij! Zresztą ten twój mężczyzna nie jest Żydem, prawda?

Chani milczała. Już nawet nie miała siły powtarzać „wystarczy”, więc tylko oddychała ciężko do słuchawki, słuchając coraz bardziej obelżywych słów matki. Aż w końcu nastąpiło stałe zakończenie rozmowy:

– Nie będę z tobą więcej rozmawiać. Więcej do ciebie nie zadzwonię.

– Nie rozumiem – powiedziałem, gdy matka się rozłączyła. – Czemu jej nie powiesz, że jestem Żydem?

Szliśmy bez pośpiechu ruchliwymi ulicami. Z mijanego budynku dobiegała piosenka Robbiego Williamsa.

– Nie wiem – odparła Chani zgnębiona.

– W zasadzie to nie rozumiem, czemu pozwalasz jej w ten sposób się do ciebie odzywać. Po co w ogóle odbierasz?

– Ona w ten sposób... To jest jej sposób, żeby podtrzymać więź ze mną.

Z następnego budynku też słyhać było kawałek Robbiego Williamsa. Rytmiczny, radosny, wspaniały.

Chani przytuliła się do mnie mocno, choć nie trzęsła się i nie płakała.

– Przepraszam, że popsułam nam wieczór.

– Nic nie popsułaś. – Objąłem ją ciaśniej ramieniem i poczułem delikatne ciepło w piersi. Takie jak po kieliszku wódki. Nie byłem pewien, jak to nazwać. Smutek? Żal? Miłość? I nie miałem pojęcia, jak długo to potrwa. Bałem się, że wszystko pryśnie, gdy spotkam Ja'arę. Nawet gdyby wokół wszyscy mówili tylko o nosie Ilany. Nawet gdybyśmy mieli z Ja'arą przez cały wieczór nie zamienić ani słowa.

Myśli o Ja'arze nie dawały mi spokoju, nawet gdy zacząłem się regularnie spotykać z Chani. A nawet stały się bardziej dokuczliwe. Myślałem o Ja'arze, całując się z Chani w Koloseum. I kochając się z nią. Myślałem o Ja'arze, kiedy byliśmy razem z Chani w hotelu w Ain Kerem. Przypomniałem sobie, że zamierzałem z nią tam pojechać, ale nigdy nie było okazji. Wyobrażałem sobie, jakie by to było uczucie, gdyby teraz to ona siedziała naprzeciwko mnie, patrząc na mnie swoimi zielonymi oczyma. I gdyby zaraz miała zdjąć okulary.

Wstydzilem się tych myśli. Podobnie jak tego, że od czasu do czasu wyciągałem z szafy skarpetkę, którą Ja'ara zapomniała zabrać: czerwoną z żółtym paskiem. Nic specjalnego, z wyjątkiem tego, że należała do Ja'ary, ale to właśnie wzbudzało u mnie nagłą, rozpaczliwą tęsknotę, ilekroć dotykałem tej cienkiej tkaniny, miałem ją w palcach (to jedyna na poły normalna perwersja, do której się przyznam, a o bardziej wstydlivych rzeczach piszę już w nawiasie. Bo była jeszcze kaseta wideo z wesela i wiedziałem dokładnie, w której sekundzie filmu pojawia się Ja'ara. I były krzesła, na których siadała podczas naszych spotkań z przyjaciółmi, a gdy wstawała, szybko zajmowałem zwolnione miejsce i czułem jeszcze wgłębienie, które zostawiły jej pośladki. I parę innych rzeczy).

– Sorry, stary, tym razem poradzicie sobie beze mnie – powiedziałem Amichajowi.

– Mówi się trudno.

– I życz żonie szczęścia.

– Co ty wygadujesz? To prosty zabieg, właściwie kosmetyka. Idzie tam na dziewiątą, a o piątej po południu już będzie w domu.

My czterej zakopani w piasku, wystają tylko głowy. Kędzierzawe, rozczochrane włosy Ofira. Szeroka, ostrzyżona na jeża czaszka Churchilla. Okrągła głowa Amichaja. I moja, w rozmiarze „S”. Najpierw przez trzy godziny kopaliśmy groby w lipcowej spiekocie na Południowej Plaży, a potem kobieta, która miała nas filmować, spędziła jeszcze półtorej godziny na zasypywaniu nas i uklepywaniu piasku. Miało to wyglądać tak, jakbyśmy nie mogli się wydostać. Nie pamiętam, co to miał być za produkt, w każdym razie występowaliśmy w spocie reklamowym, który Ofir przygotowywał na zaliczenie kursu. Ubezpieczenie na życie? Krople do nosa? Graliśmy ludzi, którzy zaraz umrą (podczas montażu Ofir wstawił jeszcze ujęcie sępów krążących po niebie, wycięte z jakiegoś westernu), i każdy z nas miał wyrecytować parę linijek wyrażających żal za tym, czego nie udało nam się zrobić w życiu. Nie pamiętam swojej kwestii. Przypominam sobie tylko, że Amichaj mówił:

– Jedna kobieta. Odkąd skończyłem dwadzieścia dwa lata, spałem tylko z jedną kobietą. Co za zmarnowane życie.

Nie potrafił wypowiedzieć tego z wewnętrznym przekonaniem, którego oczekiwał Ofir; ujęcie trzeba więc było powtarzać w nieskończoność; mnie potwornie swędziało nos i nie miałem jak się podrapać, a kobieta z kamerą, koleżanka Ofira z kursu, co chwila lała nam do ust wodę mineralną, żebyśmy się nie odwodnili. Gdy poczułem nieprzyjemne zimno idące od stóp ku udom i biodrom, miałem wrażenie, że to chłód śmierci, że tak się czuje człowiek, który umiera, i pomyślałem, co by to było, gdybym teraz umarł, w samym środku kręcenia spotu. To przykre, ale właściwie się nie przejąłem – co prawda nie miałem zamiaru zaraz umierać, ale w tym akurat momencie, gdy moje życie donikąd nie zmierzało, a ściślej: zmierzało donikąd, nie obchodziło mnie, czy umrę, czy nie. Te myśli zapewne odbiły się na mojej twarzy, bo tydzień później, gdy Ofir pokazał na zajęciach zmontowany materiał, prowadzący zwrócił uwagę, że żaden z zakopanych w piasku facetów nie wygląda, jakby miał zaraz umrzeć, z wyjątkiem pierwszego od lewej, tego z małą głową, który pewnie jest zawodowym aktorem.

To Ofir zadzwonił, żeby mi powiedzieć.

– Stało się coś straszego. – Jego głos był tak zduszony, że nie od razu rozpoznałem, kto mówi.

– Ale jak... co... – mamrotał Churchill. – To... niemożliwe...

– Jakieś rzadkie powikłanie... Przy znieczuleniu... Zator... – powtórzyłem mu, co

usłyszałem od Ofira.

– Pogrzeb jutro o pierwszej na cmentarzu w Hajfie – poinformował nas Ofir dwie godziny później. – Może spotkajmy się przy bramie.

– Możemy zadzwonić do Amichaja? – spytałem. – Odbierze?

– W ogóle nie rozmawia. Nie tylko z nami, z nikim – relacjonowałem Churchillowi.
– Brat Ilany wszystkim się zajął.

– Będę na ciebie czekał przed domem o dwunastej – powiedział mi Ofir. – Chyba pojedę sam. Maria nie... Maria się zupełnie załamała. Nie wiem, czy do jutra da radę się pozbierać.

– Minęliśmy Haderę, gdzie jesteście? – Churchill i Ja'ara zadzwonili do nas z samochodu.

– Właśnie wyjechaliśmy z Michmoret – odpowiedziałem. – Będziemy chwilę po was.

– To może mamy się zatrzymać gdzieś przed Hajfą i coś kupić? Co się przynosi na pogrzeb? – spytał Churchill.

Ofir siedział na tylnym siedzeniu, tuż przy Marii, która w końcu postanowiła pojechać; przez całą drogę jej ciałem wstrząsał gwałtowny szloch.

– Powiedz, żeby kupili wieniec – powiedział, przechyliwszy się przez siedzenie. A po dłuższej chwili spytał: – Słuchaj, ty też masz wrażenie, że wszystkie te samochody jadą na pogrzeb Ilany?

Amichaj podczas pogrzebu milczał. Otoczyliśmy go półkolem, gdy stał nad grobem. Ofir położył mu rękę na prawym ramieniu, Churchill na lewym, a ja podtrzymywałem go z tyłu. W cyprysowej alejce zgromadziło się dużo ludzi. Znałem tylko kilkoro. W powietrzu czuło się dziwne gorąco i wilgoć, jak w Ameryce Południowej. Po lewej stronie od grobu Ilany zobaczyłem nagrobek w kształcie gitary i pomyślałem, że to dobrze, bo Amichaj będzie mógł tu łatwo trafić nawet za dwadzieścia lat. Mój dziadek leży na wielkim cmentarzu w Cholonie i w każdą rocznicę jego śmierci, gdy wybieramy się na grób, szukamy go przez kilka godzin, a w zeszłym roku babcia zemdląła podczas tych poszukiwań i zrezygnowaliśmy. Pomyślałem, że chciałbym się teraz rozplakać, gdy kantor rozdiera niebiosą modlitwą El Malej Rachamim, i przypomniałem sobie, jak raz Amichaj mi powiedział, że ze wszystkich jego przyjaciół Ilana lubi właśnie mnie. Nigdy nie rozumiałem dlaczego. Za co miałyby mnie lubić? Nigdy nie rozmawialiśmy dłużej niż

pięć minut. Może to z powodu tego dziennika, który dla niej pisałem przed pięcioma laty. Prowadziła wtedy badania o myślach depresyjnych w codziennym życiu i poprosiła każdego z nas, żeby przez tydzień prowadził dziennik i zapisywał w nim najskrytsze myśli.

– Mam za małą grupę mężczyzn – powiedziała, wręczając nam kartki z instrukcją.

Wzięliśmy je przez grzeczność, ale tylko ja w końcu zacząłem prowadzić ten dziennik. Nie robiłem tego od dziesiątego roku życia – wtedy pisałem na przemian po angielsku i hebrajsku, żeby olśnić potencjalnego czytelnika swoją dwujęzycznością – ale w chwili gdy wziąłem długopis, słowa popłynęły zadziwiająco łatwo. To było kilka miesięcy po powrocie z naszej wyprawy do Ameryki Południowej, a ja jakbym wciąż jeszcze nie zdążył wyleczyć się z jetlagu. Wciąż jeszcze nie zdołałem popaść w ten bezwład, który pozwala godzić się na małe kompromisy na każdym kroku. Napisałem właśnie o tym. I o samotności, która dokuczała mi nawet w serdecznym towarzystwie przyjaciół. I o piątkowych kolacjach z rodziną, kiedy mimo bardzo przyjemnej atmosfery nie padało ani jedno zdanie na osobiste tematy. I o tym, że – to było jeszcze przed poznaniem Ja'ary – nigdy naprawdę nie kochałem żadnej dziewczyny. Co ze mnie wyrośnie?

Zapisywałem także mniej istotne myśli, nawet te głupawe. Dlaczego prezenterzy telewizyjni nigdy nie kichają na wizji? Dlaczego pod piaskiem na plaży jest woda? Czy podczas masturbacji wszyscy fantazjują tak szczegółowo jak ja, czy też może wystarcza im ogólny zarys fabuły?

Nie ukrywałem niczego, nawet własnego nazwiska. Nie przeszkadzało mi, że Ilana to przeczyta. Może nawet trochę tego chciałem.

– Miałaś w sobie coś, co powodowało, że ludzie chcieli się przed tobą otwierać – zaczęła mowę jedna ze studentek Ilany. Czytała z kartki, powoli, uroczyście, ale po tym pierwszym zdaniu nagle nie wytrzymała i rozplakała się. Nie była w stanie dokończyć.

Potem mówił brat Ilany. Zwracał się wprost do niej, jak do żyjącej osoby; mówił, że choć był starszy, to zawsze się o niego troszczyła. Błagał, by dalej, z góry, czuwała nad nim.

Przemawiała też matka. Ale jej podobieństwo do Ilany było tak uderzające – szczupła figura, koński ogon, nos – że nie umiałem się skupić na tym, co mówiła. Docierały do mnie tylko strzępki zdań: córeczka... urodziłaś się z miłości... do miłości powrócisz... jak... gdy byłaś malutka... czemu nie powiedziałam... twoją duszę...

Później zapadła cisza. Niektórzy zerkali na Amichaja w oczekiwaniu, że też coś powie, ale nie otworzył ust. Ani wówczas, ani przez siedem dni żałoby w domu rodziców Ilany w Hajfie. Cały czas siedział na czarnym plastikowym krześle i patrzył przed siebie.

Gdy ktoś do niego mówił, nie odpowiadał. Czasem kiwał głową, ale raczej wszystkich ignorował.

W tym milczeniu było coś przerażającego. Przecież to Amichaj był tym pozytywnym facetem, sypiącym nowymi pomysłami. Najdziwniejszym tancerzem na świecie, który wcale się tym nie przejmował. Człowiekiem, który budził takie zaufanie, że potrafił zdrowemu jak koń trzydziestolatkowi wcisnąć abonament na Teleded.

– Jest w szoku – powiedział Churchill. – Obserwowałem taką reakcję u ludzi, którzy usłyszeli wyrok dożywocia.

– Obwinia siebie – wyraził przypuszczenie Ofir. – Pamiętacie? Był przeciwny tej operacji. Poza tym, jego ojciec zmarł, gdy Amichaj był jeszcze chłopcem. I nigdy nie miał szansy przeżyć po nim żałoby. Więc może teraz...

– Nic nie rozumiecie – przerwała Maria. – Nigdy naprawdę nie poznaliście Ilany. Pewnie dlatego teraz tak trudno wam to pojąć... Ale on ją kochał. Ich miłość była wielka, piękna. Nigdy nie miałam... Nigdy w życiu nie widziałam mężczyzny, który tak kochał żonę.

Ofir położył Marii dłoń na ramieniu. Zignorowała ten gest.

Podczas tygodnia żałoby prawie się z nią nie widywaliśmy. Sama, nieproszona, zajęła się bliźniakami. Rozmawiała z nimi. W miarę możliwości tłumaczyła im, co się wydarzyło. Głaskała ich i przytulała. Ubierała, rozbierała i karmiła. Odwołała wszystkie wizyty w gabinecie i wstawiała codziennie o szóstej, żeby na siódmą piętnaście być w Hajfie. Organizowała bliźniakom czas, zabierała je na plażę, na plac zabaw, do sklepu. Bo niedobrze, żeby małe dzieci cały dzień spędzały wśród czarnych plastikowych krzeseł.

Z początku rodzina Ilany nie wiedziała, jak reagować na to poświęcenie. Ale Amichaj wytłumaczył im, patrząc przed siebie niewidzącym wzrokiem, że to chyba dobre rozwiązanie. I że nie ma potrzeby o tym dyskutować. Od tej pory rodzina odpowiadała na zaciekawione pytania gości, że ta duża blondynka to „serdeczna przyjaciółka Ilany” i że „dzieci są z nią bardzo związane”. Ofir jednak nie bardzo chciał się pogodzić z tą sytuacją.

– Nie musisz tego robić – powtarzał wciąż Marii.

Aż pewnego ranka, kiedy starał się ją namówić, żeby raz zrezygnowała z jechania do Hajfy i trochę odpoczęła, może zajęła się gabinetem – wybuchnęła.

– Nic nie rozumiesz! – wrzeszczała. – W ogóle nic nie rozumiesz!

– Co? Czego nie rozumiem? – spytał przestraszony.

Nigdy wcześniej nie podnosiła na niego głosu.

– Ja chcę umrzeć – odpowiedziała przerażająco zimnym tonem. – Chcę umrzeć, Ofi. Te dzieci są jedyną rzeczą, która mnie przed tym powstrzymuje. Jestem im potrzebna i

będę żyć tak długo, aż ich ojciec znów będzie sobą. A potem? Nie wiem. Nie wiem, rozumiesz? Nie wiem, czy chcę dłużej żyć.

W ciągu siedmiu dni sziwy Amichaj tylko dwa razy wychynął z kokonu swojej rozpacz.

Za pierwszym razem wtedy, gdy ni stąd, ni zowąd objawił się Szachar Kohen. Należał do naszej paczki, zanim poszliśmy do wojska. Gdy wsadzili go do wojskowego więzienia za pozostawienie broni bez nadzoru, poszliśmy go odwiedzić, ale później zwolnili go na podstawie opinii psychiatry i pojechał do Londynu studiować prawo. Tyle w każdym razie powiedziała jego siostra, która została w Hajfie. Sam Szachar Kohen zerwał wszystkie kontakty z nami. Nie pisał, nie dzwonił, nie mejlował. Później matka Ofira mówiła, że widziała go w metrze w Paryżu, jak grał na harmonijce. Nie zmienił się bardzo, tylko zapuścił długie włosy. Ale kiedy go zagadnęła, zachowywał się, jakby jej nie znał. Potem dwie niezależne osoby widziały go w klubie tanecznym w Amsterdamie, gdzie był didżejem. Parę innych osób, które wybrały się do Budapesztu, widziało go (albo kogoś, kto wyglądał identycznie), jak wchodzi na uczelnię weterynaryjną. Na statku na Galapagos ja i Churchill poznaliśmy przepiękną Niemkę lesbijkę. Dowiedziawszy się, że jesteśmy z Hajfy, spytała, czy znamy Szachara Kohena. Odparliśmy półgębkiem, że tak, a ona na to, że Szachar jest ważną figurą w berlińskim środowisku gejowsko-lesbijskim, gra na basie w zespole wykonującym covery Abby, animuje wydarzenia kulturalne i robi wywrotowe plakaty. Wyjaśniliśmy, że Szachar Kohen to w Izraelu dość powszechne imię i nazwisko, a nasz Szachar Kohen z pewnością nie jest gejem, to niemożliwe. Gdyby był, to na pewno byśmy coś podejrzewali. Nie, każdy, tylko nie on: to, jak opowiadał o zaliczaniu dziewczyn... Niemka posłała nam uśmiech pełen tak wyniosłej pobłażliwości, że do końca rejsu staraliśmy się jej unikać.

Ale po powrocie do Izraela Amichaj powiedział, że spotkał kogoś z liceum, kto znał kogoś, kto twierdził, że Szachar Kohen zeszłego lata był w kraju i widziano go, jak idzie za rękę z jakimś facetem wyglądającym na goja. Powoli oswajając się z tymi sensacjami, przypomnieliśmy sobie, że nigdy nie rozumieliśmy, czemu w jego pokoju wiszą cztery plakaty z Freddie Mercurym. A wtedy usłyszeliśmy historię, która nas zbiła z pantałyku. Dawna znajoma z Hajfy, która kiedyś pracowała w prokuraturze razem z Churchillem, chciała przez jakiś czas pobyć sama, więc pojechała do rezerwatu w kraterze Ramon. Żeby jednak nie czuć się zbyt samotna, wzięła z sobą psa. Po kilku godzinach w pustynnej spiekocie delikatne zwierzę, nieprzyzwyczajone do życia poza miastem, zaczęło mieć drgawki i wymiotować. Kobieta spanikowana pojechała zaraz do Micpe Ramon. Spytała o weterynarza i wysłano ją do niejakiego doktora Luisa. Ale w gabinecie urzędował nie kto inny, jak Szachar Kohen, który utrzymywał, że nie ma bladego pojęcia, kim jest Szachar Kohen. Na dowód pokazał swój dyplom wydany przez uczelnię weterynaryjną w Turynie – widniało na nim, zapisane dużymi łaćńskimi literami, nazwisko Ricardo Luis. Zajął się psem niezwykle profesjonalnie i uratował mu życie. Potem zaproponował obojgu, że

mogą u niego przenocować, a gdy prawniczka płaciła za wizytę, niby przypadkiem dotknął jej ręki, biorąc kartę kredytową, na koniec zaś wspomniał mimochodem o zestawie olejków do aromaterapii, które ma w łazience – innymi słowy, zalecał się do kobiety jak stuprocentowy heteroseksualista.

Perspektywa wyjaśnienia tajemnicy Szachara Kohena zelektryzowała nas. Postanowiliśmy czym prędzej ruszyć na zwiady do Micpe Ramon. Po drodze pięć razy robiliśmy postój, bo chłodnica w garbusie Churchilla się przegrzewała. Znajoma miała rację: w Micpe Ramon rzeczywiście był weterynarz i rzeczywiście mówił bez śladu obcego akcentu mimo włoskiego nazwiska Ricardo Luis. Tylko że przed kilkoma dniami zamknął gabinet i zniknął.

– To jest Micpe – tłumaczyli nam cierpliwie mieszkańcy. – Takie rzeczy wciąż się tu zdarzają.

Ale myśmy już stracili cierpliwość. Po tej żalostnej wyprawie postanowiliśmy raz na zawsze uznać Szachara Kohena za mit. Symbol. Ideę. Przestaliśmy go szukać, a za to zaczęliśmy używać jego nazwiska jak dzokera w grach karcianych:

- Czemu cię nie było w piątek?
- Poszedłem na piwo z Szacharem Kohenem.
- Halo? Gdzie jesteś? Za dwie minuty zaczyna się mecz.
- Przepraszam, zagadałem się z Szacharem Kohenem.
- Ilu było rannych w tym ataku terrorystycznym?
- Szachar Kohen i pięć innych osób.

Z czasem to nazwisko pojawiało się w coraz dziwniejszych kontekstach i w końcu miało tak niewiele wspólnego z pierwowzorem, że niemal zapomnieliśmy o istnieniu takiej osoby, która kiedyś przecież była naszym znajomym. Dlatego gdy podczas szuwy nagle wszedł do pokoju, nawet Amichaj okazał zaskoczenie. Nie wyrzekł ani słowa, lecz wysoko uniósł brwi.

– Stary, usłyszałem, co się stało, i natychmiast przyjechałem – powiedział Szachar Kohen, miażdżąc Amichaja w uścisku. Potem podszedł kolejno do wszystkich krewnych Ilany i też ich przytulił. Robił to w taki sposób, w jaki przytula się najbliższych, kochanych ludzi. – Jaka straszna tragedia, jaka okropna tragedia – mamrotał i nawet uronił łzę.

Po czym usiadł, poprawił swój jasny krawat, wygładził ciemny garnitur i zadał kilka pytań o Ilanę. Z początku kierował je do Amichaja, ale spostrzegłszy, że nie uzyska odpowiedzi, zwrócił się do innych. Chciał wiedzieć, co się dokładnie stało. Jaki ciąg wydarzeń doprowadził do jej śmierci. Pytał, jaką była osobą. Zebrani odpowiadali chętnie i ze szczegółami. Wszyscy byli dla niego bardzo uprzejmi, jak gdyby reprezentował rząd

lub inną władzę i miał możliwość naprawienia tej potwornej straty. Lub przynajmniej nadania jej sensu.

Słuchaliśmy tej wymiany zdań. I próbowaliśmy dopasować wszystkie opowieści o Szacharze Kohenie, które docierały do nas przez lata, do tego świetnie ubranego osobnika, mówiącego łagodnym, stonowanym głosem.

– A co tam u ciebie? – Churchill pierwszy odważył się odezwać (gdyby tego nie zrobił, ja zadałbym pytanie, bo napięcie było już nie do zniesienia).

– W porządku, wszystko dobrze – odrzekł Szachar Kohen oględnie; może krępowało go opowiadanie o sobie.

– A gdzie... Co... Co porabiasz? – spytałem.

– Prowadzę interesy.

– Jakie? – nie dawałem się spławić.

– Z zagranicą – odpowiedział i popatrzył po zebranych w pokoju, jakby chciał się im poskarżyć, że zmuszamy go siłą do mówienia.

Ale ja nie miałem zamiaru go teraz wypuścić z garści. Skoro nadarzyła się okazja, by sprawdzić, co naprawdę robił, żal byłoby ją zmarnować. Niestety, nagle wtargnęła cała grupa krewnych z kibucu Giwat Ha-Makam i na dłuższą chwilę pokój wypełnił się gwarem („Bardzo współczuję!”, „Jaka wielka strata!”) i szuraniem krzeseł, żeby wszyscy mieli gdzie usiąść.

Gdy tumult ucichł, Szachar Kohen nachylił się do Amichaja i rzekł:

– Coś dla ciebie przywiozłem, ale zostawiłem to na dole w samochodzie. Zejdiesz ze mną na chwilkę?

Z ciekawością wyczekiwaliśmy reakcji Amichaja. Od początku żałoby nie ruszył się z miejsca: w dzień siedział na czarnym plastikowym krzesełku koło drzwi do kuchni, w nocy kładł się na dywanie i nie dał sobie nawet położyć materaca. Lecz oto ku naszemu wielkiemu zaskoczeniu nie odmówił prośbie Szachara Kohena. Wstał, a my ruszyliśmy za nim.

Szliśmy z tyłu zaintrygowani, choć też zaniepokojeni. Zdawało się, że nogi nie zdołają udźwignąć ciężaru jego straty i że w każdej chwili może się przewrócić.

Szachar Kohen poprowadził go do swojego samochodu. Wbrew temu, czego moglibyśmy się spodziewać po biznesmenie robiącym zagraniczne interesy, jeździł zwykłym subaru kombi. Otworzył bagażnik i naszym oczom ukazał się imponujący widok: dziesiątki małych czerwonych inhalatorów w białych tekturowych pudełkach. Wyglądały trochę jak moje inhalatory z ventolinem.

– Czyli importujesz leki? – spytałem.

– Mniej więcej – odrzekł Szachar Kohen z nieszczerym uśmieszkiem. – To jest gaz rozweselający. Bardzo teraz trendy na imprezach w Europie. Dopiero się przebija do Izraela. – Wyjął jeden inhalator z pudełeczka i powiedział: – Kupuję to po dwa dolary w Lublanie i sprzedaję po pięćdziesiąt szekli w Tel Awiwie.

– A jak to działa? To znaczy: jaki daje efekt? – spytałem.

– Spróbuj. – Wręczył mi inhalator.

– Dzięki, ale ja mam astmę – wymówiłem się.

– Ja się staram raczej ograniczać do substancji naturalnych – pośpiesznie dodał Ofir.

– Bardzo bym chciał spróbować – rzekł ze smutkiem Churchill – ale wiesz, pracuję w prokuraturze... Jesteśmy na środku ulicy i gdyby ktoś mnie zobaczył... Ten twój biznes nie jest do końca legalny, co?

Amichaj wyciągnął rękę i wziął inhalator.

– Trzy krótkie wdechy – poinstruował Szachar Kohen. – Odczekaj chwilę i weź jeszcze jeden, długi, głęboko do płuc.

Amichaj wykonał polecenia. Wstrzymując oddech, czekał na efekty, ale upłynęła dłuższa chwila i nie zaobserwowaliśmy najmniejszego drgnienia mięśni jego zgnębionej twarzy.

Szachar Kohen nie stracił rezonu.

– Nie kręci ci się trochę w głowie? – spytał, a Amichaj potaknął. – Tak się czasem dzieje za pierwszym razem, mózg się musi przyzwyczaić. Weź jeszcze kilka sztuk i spróbuj za dwie godziny. W końcu zadziała, jeszcze nigdy nie miałem reklamacji.

Amichaj wziął parę inhalatorów i podziękował skinieniem głowy. Szachar Kohen wyciągnął złotą wizytówkę i zakreślił jeden z wydrukowanych na niej numerów.

– To mój prywatny telefon – powiedział do Amichaja, po czym, ku naszemu zaskoczeniu, wsiadł do samochodu. – Jak coś, to dzwoń. A wy – wychylił się do nas przez okno – nie bądźcie fiutami, odezwijcie się czasem.

Jakiś tydzień później zadzwoniliśmy do niego, bo chcieliśmy się poskarżyć, że Amichaj wciąż się nie śmieje.

Nagrany głos poinformował nas, że numer został wyłączony.

Po kilku miesiącach zobaczyliśmy w gazecie zdjęcie człowieka, który wyglądał dokładnie jak Szachar Kohen, a pod spodem było napisane, że weterynarz nazwiskiem Ricardo Luis został oskarżony o nielegalny obrót artykułami medycznymi i skazany na dwa lata więzienia.

Ale minęło pół roku i Amichaj dostał kartkę z Australii, z Sydney. Szachar Kohen

swoim pochylonym charakterem pisma, który zapamiętaliśmy ze szkoły, donosił, że dużo myśli o Amichaju i ma nadzieję, że u niego wszystko dobrze. Pocztówka kończyła się słowami: „Przekaż chłopakom, że za nimi tęsknię. Do zobaczenia wkrótce”.

Drugi raz, kiedy Amichaj wstał ze swojego krzesła, to gdy przyszedł Sadat.

Akurat tego dnia miał miejsce atak terrorystyczny, już trzeci w tym tygodniu. Każdy, kto wchodził do domu, składał kondolencje, a potem dzielił się najnowszymi informacjami o liczbie rannych i o trwającym pościgu za terrorystami.

Dlatego kiedy zjawił się Sadat – zgarbiony, z zapadniętymi policzkami, ze strachem w oczach – wszyscy instynktownie się spięli, jak oddział żołnierzy na sygnał alarmowy.

Przestraszyliśmy się jeszcze bardziej, kiedy nie podając ręki Amichajowi ani nikomu z rodziny, usiadł na jednym z krzeseł, wbił wzrok w swoje buty i nie odezwał się słowem.

– Przepraszam pana... Kim pan jest, jeśli mogę spytać? – Ja’ara pierwsza odważyła się go zagadnąć. Głos jej lekko drżał.

– Ja... Przepraszam... To jest sziwa dla Ilany, tak? Ja... Na punkcie kontrolnym. Jej koleżanki mi powiedziały, co się stało. A ja powiedziałem: muszę iść. Porozmawiać. One mi dały adres.

– Jak pan się nazywa? – spytał Churchill nieznoszącym sprzeciwu tonem, jak gdyby przesłuchiwał świadka.

– Przepraszam. Nie powiedziałem. Nazywam się Sadat...

– A na nazwisko?

– Co? A... Sadat Khuria.

– A co pana łączyło z Ilaną? – zapytała szybko Ja’ara, zanim Churchill zdążył zadać kolejne napastliwe pytanie (jednocześnie położyła mu rękę na biodrze, żeby go trochę pohamować).

– Nic nie łączyło – odpowiedział Sadat, z ulgą przenosząc wzrok z Churchilla na nią. – To znaczy... Łączyło, ale... Nie jesteśmy przyjaciółmi, tylko... Raz... Ilana mi bardzo, bardzo pomogła.

Wszyscy zebrani przysunęli się z krzesłami, żeby lepiej słyszeć. Ci, którzy byli w kuchni, oderwali się od pracy i przyszli do pokoju. Nawet Amichaj się nachylił.

– Miałem – zaczął Sadat, ale zaraz urwał, żeby dobrać słowa. – Ja mam nowotwór. Muszę jeździć na leczenie... Do szpitala w Izraelu. Biorę leki, które są tylko tutaj. Wojsko wypuszcza mnie na miesiąc, na dwa miesiące. Ale raz przychodzę na punkt kontrolny i żołnierz mnie nie puszcza. Czemu? Mój kuzyn z Gazy jest zamieszany we wrogie

działania. Tak to się nazywa. I żołnierz mówi, że dlatego nie mogę iść. Idę do oficera. Oficer też nie pozwala. Tak było trzy tygodnie, każdego dnia idę tam i nie wypuszczają. Czasem śpię w samochodzie robotników. Czasem śpię na ziemi przy punkcie kontrolnym. Bo chcę być pierwszy w kolejce. Ale oni mnie nie puszczają. A w tym czasie nowotwór... Wtedy Ilana... Ilana stoi przy punkcie kontrolnym. Widzi mnie. Daje butelkę wody. Pyta, co się stało. Ja opowiadam, a ona mówi, że się zajmie. I się zajęła.

– Jak? – spytał Churchill. – Jak się zajęła? – Jego ton nie był już tak natarczywy, raczej zadowolony.

– Nie wiem. Jednego dnia przychodzę na punkt kontrolny i ona mówi, że wszystko ustalone. Zabiera mnie teraz do szpitala.

– Kto? Ilana? Ilana zabrała pana do szpitala?

– Tak, powiedziała mi, że była w sądzie i pytała i że nie mają prawa tego robić. A oprócz tego... Mówi żołnierzom, że odpowiada za to, że mnie weźmie i tego samego dnia odwiezie.

– Amichaj, wiedziałeś o tym wszystkim? – spytał Churchill, ale nie uzyskał odpowiedzi.

Sadat spojrział na Amichaję z zainteresowaniem.

– Pan jest Ami... Pamiętam, jak mówiła do pana przez telefon. Kiedy jechaliśmy samochodem. Pan... *Ja'ani**... Pan jest jej mężem?

Amichaj powoli kiwnął głową.

– Pan miał... Wyjątkową żonę. Dla niej dzisiaj nie idę do szpitala, tylko przyszedłem tu. Żeby pan wiedział... Ona dla mnie była... nie tylko dla mnie... dla wielu... jak anioł.

Amichaj nic nie odpowiedział. W oczach błyszczały mu łzy.

Podniósł się z krzesła, podszedł do Sadata i zarzucił mu ręce na szyję. Z jego piersi wydobył się długi, przerażający szloch, a potem jeszcze przez pewien czas dygotał w ramionach Sadata.

– Cały czas miałam wrażenie, że to się nie dzieje naprawdę – przyznała się później Ja'ara. – Ten Arab... że się tak nagle zjawił... To było jak scena w filmie.

– Sziwa ma w sobie coś takiego, że... – urwałem, nie umiejąc znaleźć właściwego słowa.

– Tak – zgodziła się.

* *Ja'ani* (arab.) – czyli (przyp. tłum.).

Podwiozłem ją do Tel Awiwu. Przyjechała do Hajfy z Churchilllem, ale on pół godziny później został nagle wezwany do prokuratury, bo jeden z głównych świadków oskarżenia postanowił odwołać zeznania.

Ja'ara w obecności wszystkich zapytała, czy w takim razie może się zabrać ze mną, a mnie było niezręcznie odmówić przy ludziach. Wyszliśmy o piątej po południu, przy wyjściu z budynku Ja'ara zatrzymała się na chwilę, żeby zdjąć zwykłe szkła i założyć korekcyjne okulary przeciwsłoneczne, a ja automatycznie zatrzymałem się razem z nią, wciąż przyzwyczajony do tych postojów. Uśmiechnęła się do mnie i oboje wiedzieliśmy dlaczego. Moje mięśnie twarzy pozostały napięte aż do chwili, gdy doszliśmy do samochodu i otworzyłem jej drzwi kluczykiem, jak dżentelmen, choć mogłem skorzystać z pilota. Już w środku, kiedy musiałem się pochylić, żeby otworzyć blokadę, powiedziałem „przepraszam”, ale mimo że Ja'ara odsunęła nogę, musnąłem dłonią jej udo i przeprosiłem jeszcze raz.

Jechaliśmy powoli ulicą Freuda i spojrzałem na morze. Z góry Karmel morze wydaje się tak ogromne, że natychmiast człowiek sobie przypomina, że lądy zajmują tylko jedną czwartą powierzchni kuli ziemskiej. Słońce zbliżało się do nieboskłonu. Nie było ani jednej chmurki. Pomyślałem, że od dwóch lat nie byłem sam na sam z Ja'arą i że chociaż zmieniła perfumy, to jej własny zapach jest wciąż taki sam. Czysty zapach.

Żadne z nas się nie odzywało aż do palm w Atlit.

Wtedy zaczęła mówić o tym Arabie. I że to okropne, co się dzieje. Że przez tyle lat była nadzieja na jakąś zmianę, ale teraz znów jesteśmy w błędnym kole. A co gorsza, nikogo już to nie obchodzi.

Przez ułamek sekundy przypomniałem sobie ten okropny mecz podczas mistrzostw w 1990, który oglądaliśmy w wojsku, podczas pierwszej intifady, i powiedziałem, że nieprawda, że nikogo nie obchodzi, tylko po prostu nie wiemy, jak sobie z tym radzić, więc wolimy o tym nie myśleć.

– Ale to siedzi w środku w człowieku – odrzekła Ja'ara. – Ignorujemy to, ale tkwi w nas i wychodzi przy innych okazjach.

Pomyślałem o artykule, który akurat tłumaczyłem, o tym, jak radzieccy uczeni wiele lat negowali istnienie chromosomów. Autor artykułu opisywał, jak przez kilka dekad Rosjanie ignorowali chromosomy, bo teoria o dziedziczeniu nie pasowała do stalinowskiej ideologii, według której to środowisko, a nie dziedziczenie, jest w całości odpowiedzialne za ewolucję. Zastanawiałem się, czy nie powiedzieć o tym artykule, tylko nie miałem pomysłu, jak go podczepić pod temat rozmowy.

Siedziałem więc cicho.

– Zresztą nie rozumiem – ciągnęła Ja'ara – czemu tak kurczowo się trzymamy tego cholernego miejsca. Nie moglibyśmy się przenieść do jakiegoś bardziej normalnego kraju?

– Tu są nasi przyjaciele – odpowiedziałem automatycznie.

– Jasne, ale kiedy słyszę o takich przypadkach jak z Sadatem, to zadaję sobie pytanie, czy przyjaciele to wystarczająco mocny powód.

– Nie wiem – odparłem zgodnie z prawdą.

– To dobrze, że są tacy ludzie jak Ilana, którzy ratują nasz honor. Mam wrażenie, że zupełnie się z nią rozminęłam, w ogóle jej nie znałam. Nie wiem, czasem mi się zdaje, że mnie nie znosiła.

– Naprawdę cię nie znosiła – potwierdziłem i oboje się roześmialiśmy.

I zamilkliśmy.

I poczułem to coś wzbierające w mojej piersi.

Kiedy minęliśmy zjazd na Zichron Ja'akow, odezwała się:

– Zapomniałam już, jak przyjemnie się z tobą jeździ. Prowadzisz tak spokojnie. Kiedy jadę z twoim przyjacielem, jestem cała spięta. On ma taki nawyk...

– Że hamuje zawsze w ostatniej chwili – dokończyłem.

– Właśnie, w ostatnim ułamku sekundy – uśmiechnęła się.

– Jest teraz koszmarnie zarobiony, co? – spytałem, żeby podtrzymać wątek narzekania na Churchilla.

– Tak. – Poprawiła się na siedzeniu. – Nie ma czasu na nic innego.

– To w końcu bardzo ważna sprawa... Nielegalna sprzedaż gruntu, przekupstwo w postaci usługi seksualnej... Każda z tych dwóch rzeczy sama w sobie jest ciężkim przestępstwem.

– Ale... Sama nie wiem.

– Czego? – Obrzuciłem ją długim spojrzeniem.

– Patrz na drogę.

„To przestań być taka ładna”, ledwo się powstrzymałem przed odpowiedzią, która zawsze padała w tym miejscu rozmowy, gdy byliśmy ze sobą.

– Czasem się zastanawiam... – Urwała. – Wiesz, te karteczki, na których napisaliście, co chcielibyście osiągnąć do następnych mistrzostw. Powiedział mi, co napisał na swojej.

– No i?

– Pewnie pomyślisz, że to głupie, ale czasem mam wrażenie, że zrealizowanie tego życzenia stało się jego obsesją. Kilka razy mi to nawet mówił: „Byłoby bardzo niedobrze,

gdybym nie dotrzymał danej sobie obietnicy”.

– Na tym przecież chyba polega sukces w życiu? Wyznaczasz sobie cel i do niego dążysz.

– Tak – odrzekła, odwróciwszy głowę do okna – ale jest w tym też coś obsesyjnego.

Minęliśmy Haderę i nieco zwolniłem, żeby podróż nie dobiegła końca zbyt wcześnie. Ja’ara milczała, wpatrując się w nocny krajobraz.

– Obsesja to nazwa perfum – powiedziałem.

– Co?! – Zwróciła głowę z powrotem w moją stronę.

– Była kiedyś taka książka, *Obsesja to nazwa perfum*.

– Czytałeś ją?

– Nie, tylko przypomniał mi się tytuł.

Znów zaczęła patrzeć w okno. Głupek z ciebie, zrugalem sam siebie w myślach. Sądziłem, że jeszcze pamięta. Raz kiedyś pojechaliśmy na pustynię Synaj i graliśmy w taką grę. Jedno z nas mówiło tytuł książki, a drugie miało podać tytuł innej, zaczynający się na tę literę, na którą kończył się tytuł podany przez pierwszą osobę. Czyli teraz mogłaby powiedzieć: *Makbet*. Albo: *Mistrz i Małgorzata*. Jest ileś książek, które zaczynają się na „m”. Ale w ogóle nie skojarzyła, o co mi chodzi.

– Jesteście takimi prawdziwymi chłopakami z Hajfy – odezwała się nagle (byliśmy kawałek za Haderą, akurat minęliśmy połowę drogi z Hajfy do Tel Awiwu).

– Dlaczego? W jakim sensie? – spytałem, jakby to było jakieś oskarżenie.

– Cały ten wasz pomysł z życzeniami podczas Pucharu Świata... I to, jak się teraz zachowujecie w stosunku do Amichaja... To bardzo charakterystyczne dla Hajfy.

– Ale mów konkretniej, bo nie rozumiem, co to znaczy „charakterystyczne dla Hajfy”.

– Nie umiem. – Zamilkła. Dopiero gdy mijaliśmy Netanję i myślałem, że już zarzuciła temat, powiedziała: – Zależy wam.

– Co?

– Chciałeś, żebym wytłumaczyła, na czym polega ta wasza „hajfskość”. Więc znalazłam dobrą definicję: zależy wam. Troszczycie się o siebie nawzajem w taki staromodny sposób. Dziś nikomu na niczym nie zależy, tylko na pieniądzech.

– No nie, za bardzo generalizujesz. Nawet w Jerozolimie znalazłoby się parę osób, którym zależy.

– Przeciwnie. Żeby być kimś takim jak wy, trzeba się urodzić w Hajfie. A wręcz

powiedziałabym, że zostaliście tylko wy czterej. Świat wokół was stawał się coraz bardziej cyniczny i okrutny, a wasza czwórka trzymała się razem i troszczyliście się o siebie nawzajem.

– Ale chyba na tym polega przyjaźń? Taka oaza, w której zapominamy o istnieniu pustyni... Albo tratwa, złożona z mocno związanych bali. Albo kraik otoczony przez wrogów. Nie sądzisz?

– Nie mam pojęcia – odparła. – Wiesz, że nigdy nie miałam przyjaciół.

Nic nie powiedziałem, tylko przestroiliśmy radio na inną stację. Zdawałem sobie sprawę, co zawsze następuje po „nigdy nie miałam przyjaciół”, a nie miałem ochoty kolejny raz odbywać tej rozmowy. Musiałbym ją okłamać, że jej brak przyjaciół wynika ze zwykłego pecha albo przykrego zbiegu okoliczności, choć oboje doskonale wiedzieliśmy, że po prostu nie była gotowa ofiarować swojej przyjaźni komuś, kto nie byłby w niej zakochany.

– Powiedz – po chwili milczenia odwróciła się do mnie całym ciałem (silna woń drzew cytrusowych wypełniła samochód mimo zamkniętych szyb) – co ty napisałeś?

– Gdzie? – udałem, że nie rozumiem.

– Na swojej karteczce. Jakie były twoje życzenia?

– Churchill ci nie powiedział?

– Nie dałam rady tego z niego wyciągnąć.

– To ode mnie tym bardziej ci się nie uda – powiedziałem i wcisnąłem mocniej gaz.

– Dobrze – odparła z tak dobrze mi znaną łagodnością w głosie. – Jeśli nie chcesz mówić, nie musisz. Po prostu byłam ciekawa... Tak mało mówisz o sobie i pomyślałam, że może... A może powiesz mi chociaż jedną rzecz? Jesteś blisko spełnienia swojego życzenia? Myślisz, że ci się uda?

– Nie ma mowy. Z każdym dniem się od tego oddalam.

– Przykre... Smutno mi, że tak mówisz. – A potem dotknęła leciutko mojego ramienia i dodała z uśmiechem: – Ale do następnych mistrzostw jeszcze sporo czasu, prawda?

– Prawie dwa lata.

– Więc kto wie.

– Kto wie – powtórzyłem. Ramię, którego dotknęła, płonęło. I nie przestało płonąć, niczym skóra spieczona przez słońce, aż dojechaliśmy do Tel Awiwu. Do ich mieszkania.

– Nigdy u nas nie byłeś – ni to spytała, ni to skostatowała.

– Nie było okazji – odrzekłem i pomyślałem, że choć faktycznie nigdy nie

wszedłem do ich mieszkania, dokładnie wiem, jak wygląda.

Na ścianie w dużym pokoju wisi wielki czerwony kilim, który on przywiózł z Boliwii i zawsze brał ze sobą, przeprowadzając się do kolejnych mieszkań. W rogu stoi jej mała toaletka, która jakimś cudem utrzymuje ciężar zgromadzonych na niej przedmiotów. Nad toaletką wisi jej kolekcja plakatów z londyńskich przedstawień teatralnych. W przeciwległym rogu – obowiązkowo kilka przywiedłych kwiatków w doniczkach (on zawsze miał ambicję hodowania w domu roślin, ale nigdy nie starczało mu zapachu, żeby o nie dbać). W lodówce dietetyczna cola, dietetyczny sprite i chudy ser w plasterkach, bo on się boi, że utyje tak jak ostatnio jego ojciec. W apteczce tabletki nasenne, bo ona się boi, że nie będzie mogła zasnąć. Mały telewizor, bo on uważa, że posiadanie dużego jest niemoralne. Nad telewizorem duże zdjęcie z widokiem Londynu, bo gdy ona była mała, pojechała tam z rodzicami i chce zacząć tam studia, jak zbiera dziewięćdziesiąt jeden tysięcy dolarów. W sypialni wielkie łóżko, takie, jak ona lubi. A przy łóżku, obok jego szerokich, przydeptanych kapci – jej, małe i delikatne. W jasnej pościeli jeszcze utrzymał się jej zapach: jej skóry, włosów, potu, soków...

– Chcesz wstąpić i się czegoś napić? – wyrwała mnie z zamyślenia. Jej głos brzmiał raczej uprzejmie.

Tak, pomyślałem. Oczywiście, że chcę. Chcę wejść na górę. A na schodach chcę cię złapać w tali. I pocałować zmysłowo w kark, dokładnie tam, gdzie zaczynają się plecy. Potem, już w mieszkaniu, chcę zanurzyć nos w twoich włosach i wdychać twój zapach, wąchać go, aż zamieni się w smak, a potem, cały czas stojąc za twoimi plecami, chcę rozpiąć twoją białą bluzkę. Pierwsze dwa guziki powoli, resztę jednym szarpnięciem. Bo już nie mogę. Bo już nie mogę, nie mogę, nie mogę...

– Nie, dzięki, chyba już pojedę do domu.

(Raz, na szkolnej wycieczce, pisałem do dziewczyny na jej plecach. Wodziłem palcami po jej cienkiej bluzce i, litera po literze, zapisałem jej imię. Nie miałem odwagi napisać tego, co naprawdę chciałem).

Jeszcze zanim dotarłem do domu, zadzwoniłem z samochodu do Chani. Wybierając numer, już wiedziałem, że robię błąd. Że to nie najlepszy moment. Ale i tak poprosiłem ją, żeby do mnie przyjechała. A ona, jak zawsze, się zgodziła. I jak zawsze, zastukała do drzwi, ostrożne puk-puk – choć tyle razy jej powtarzałem, że może wchodzić bez pukania. Otworzyłem. Stała w progu, piękna, z rozpuszczonymi włosami, bo tak właśnie lubię. I z głębokim, całkiem nieortodoksyjnym dekoltem. Czekala, aż ją przytulę. Więc ją przytuliłem. Mocno. Właśnie dlatego, że nic nie czułem, przytuliłem ją jak najmocniej. A ona powiedziała:

– Jejku, warto było opuścić owczarnię, choćby dla samego tego uścisku. – Nie

wiedzieć czemu, to „opuścić owczarnię” mnie zirykowało. Nie mogła powiedzieć normalnie, „zrezygnować z religii”, czy coś w tym rodzaju?

Nagle zaczęło mnie w niej irytować wszystko. Piękna hebrajszczyzna. Naiwność. Oczywiście sny symbolizujące tęsknotę za domem i matką, które chciała, żebym jej rano tłumaczył. Dwa uroczę zdarzenia, które mi opowiedziała: o taksówkarzu, który słuchał mantr medytacyjnych w taksówce, i o facecie w bibliotece, który zasnął z głową na talmudycznym traktacie *Maseket Bawa Mecja* – nawet te historyjki mnie denerwowały. Nie wiedziałem, co począć z tą irytacją, bo po pierwsze, takie uczucie rzadko mi się zdarza, a po drugie, przecież Chani niczym tu nie zawiniła. Więc zacząłem jej dotykać, rozbierać ją, w nadziei że dzięki temu zapomnę. Ale to wszystko było takie mdłe i szybko się skończyło. Choć miałem ochotę na więcej, skończyłem ledwo po minucie. Nie miała mi za złe, powiedziała, że było naprawdę miło, czym zdenerwowała mnie jeszcze bardziej. W jednej chwili zapragnąłem, żeby sobie poszła i zabrała wszystkie swoje rzeczy, które się u mnie poniewierały: szampon, mydło, koszulę, szczotkę do włosów, infantylne segregatory z serduszkami. Chciałem, żeby wsadziła to wszystko do worków na śmieci i zostawiła mnie w spokoju samego ze skarpetką Ja'ary.

Wyczuwała to. Wyczuwała, że coś w środku przeżuwam, i próbowała wysondować, o co chodzi.

– Jak tam w Hajfie? Co u Amichaja?

– Nic, bez zmian – odburknąłem.

– To bardzo miło, że tam codziennie jeździsz.

W tym momencie podniosłem na nią głos:

– Co to znaczy: miło? „Miło” nie ma tu nic do rzeczy, Amichaj to mój przyjaciel.

Oczywiście się wystraszyła i rzekła:

– Właśnie to miałam na myśli. – A po chwili milczenia dodała: – Wszystko w porządku? Jesteś dzisiaj jakiś nieswój.

Spojrzałem jej prosto w oczy, zebrałem się na odwagę i odpowiedziałem, że kocham inną kobietę i że w moim sercu nie ma miejsca na nikogo nowego.

Znowu opowiadałem to tak, jak bym chciał, żeby wyglądało.

Oczywiście do niczego się jej nie przyznałem. Powiedziałem, że jestem zmęczony i tyle. Ze porozmawiamy jutro. Ale następnego dnia nie odbierałem od niej telefonów i nie oddzwoniłem. I kolejnego dnia też nie.

Wybrałem najbardziej tchórzliwe wyjście. I najbardziej okrutne.

Trzeciego dnia rano jednak odebrałem.

– Wybierasz się do Hajfy – powiedziała.

- Tak.
- Dziś jest ostatni dzień szarzy, prawda?
- Prawda.
- Chcesz, żebym pojechała razem z tobą?
- Nie, raczej nie.

W słuchawce zapadła długa cisza i pomyślałem, że jeśli ta rozmowa jeszcze się przeciągnie, to wyjdę za późno i utknę w korku.

- Chciałam spytać... – Zawahała się.
- Tak? – ponagliłem ją.

– Koleżanki mi mówią, że chcesz ze mną zerwać. Że tak to się odbywa u niewierzących. Wiesz, ja nie mam doświadczenia w tych sprawach.

Poczułem, jak mimowolnie budzi się we mnie ciepła czułość. Może właśnie dlatego, chcąc zdusić to niepokorne uczucie, odpowiedziałem wyjątkowo niemiło:

- Może twoje koleżanki mają rację.

(Gdybym powiedział po prostu „Twoje koleżanki mają rację”, i tak byłoby to okrutne. Ale dodając „może” na początku, zasiałem w niej wątpliwość, której mogła się uchwycić, tak jak rozbitek na środku oceanu chwyta się deski, a ona utrzymuje go na powierzchni, póki on nie umrze z wychłodzenia).

Tego dnia droga na północ wyglądała jeszcze piękniej niż zazwyczaj. Przez okno wpadał chłodny wietrzyk i nie musiałem włączać klimatyzacji. Czułem, że postąpiłem słusznie. Nie poszedłem na ustępstwo. Nie zdecydowałem się na kompromis. Zerwałem związek, w którym nie było miłości.

A jednak gdzieś koło Hadery, może z powodu bliskości elektrowni, moje uczucia odwróciły się o sto osiemdziesiąt stopni i przez parę minut myślałem, że zrywając z Chani, zmarnowałem szansę. Bo przecież wtedy w sylwestra była taka chwila, kiedy moje serce niemal się dla niej otworzyło. I myślałem też, że łatwiej snuć rojenia o dawnych miłościach, niż poświęcić się nowej. Ale gdy skończyła się piosenka w radiu i puszczone reklamy, to chwilowe uczucie ustąpiło miejsca poprzedniemu. Wygodniejszemu.

Rozmyślałem nad tym nagłym zwrotem aż do Atlit. Jak trudno wiedzieć coś na pewno. Niemal wszyscy z mojego otoczenia mają kłopot z określeniem, co tak właściwie czują, i bez końca się oszukują. Może to zresztą znak czasów? Może nasze pokolenie ma tyle możliwości, tyle rzeczy odwraca naszą uwagę, że się gubimy, tracimy z oczu własną, wewnętrzną drogę. A na przykład nasi rodzice wiedzieli, czego pragną, bo nie mieli zbyt wielkiego wyboru, choć być może za tym wszystkim krył się wielki smutek lub

przynajmniej nieokreślona tęsknota za straconą szansą, a my, ich dzieci, nie potrafiliśmy zrozumieć, co oni naprawdę czują (a nawet jeśli potrafiliśmy, to woleliśmy nie rozumieć)?

Minąłem Atlit i teoretyczne dywagacje ustąpiły miejsca bardziej praktycznej kwestii: czy Ja'ara przyjedzie na ostatni dzień szywy?

W pokoju Ja'ary, w domu rodziców, wisiało jej wielkie zdjęcie jako dziecka. A pisząc „wielkie”, mam na myśli odbitkę rozmiarów plakatu, oprawioną w czerwoną ramę i zawieszoną nad łóżkiem. Pamiętam, że jak pierwszy raz spaliśmy wspólnie w tym pokoju, miałem poczucie, że dziewczynka z portretu patrzy na nas, i dodawało to posmaku perwersji wszystkiemu, co wtedy robiliśmy. Ja'ara na zdjęciu jest śliczną dziewczynką o karmelowych włosach ozdobionych wstążką, o figlarnych, nie całkiem niewinnych oczach i o białych łydkach wystających z ciemnych dżinsowych szortów. Ale nawet uroda tego dziecka nie jest całkiem przekonującą odpowiedzią na pytanie, czemu zdjęcie było tak ogromne i czemu wisiało w pokoju Ja'ary jeszcze długo, długo po tym, jak jej dzieciństwo dobiegło końca.

– Nie próbuj znajdować uzasadnienia, Juwal – odparła, gdy ją o to spytałem. – Wisi, bo dobrze się przy nim czuję, i tyle.

Lubiła jeździć z wizytą do domu rodziców w Rechowot i nie rozumiała, czemu moje wyprawy do Hajfy wprawiają mnie w takie podenerwowanie, i to zanim jeszcze w ogóle zacznę się zbierać do wyjazdu. Ani czemu kiedy ruszaliśmy w drogę powrotną do Tel Awiwu, zawsze oddychałem z ulgą. Trzeba przyznać, że jej rodzina traktowała ją jak księżniczkę. Miała trzech starszych braci, którzy ją ubóstwiali i wpadali w zachwyty, ilekroć przekraczała próg domu.

– Braciszku, a ty jeszcze dasz radę zobaczyć własne stopy? – drażniła się z najstarszym, poklepując go po brzuszku, który wyhodował przy biurku w pracowni architektonicznej. Potem wachała policzki średniego i mówiła, że od tej wody po goleniu kręci jej się w głowie. A na koniec podchodziła do najmłodszego i przytulała go specjalnym „łabędzim uściskiem”, który wymyślili jako dzieci: każde wtykało szyję w zagłębienie między szyją i ramieniem drugiego.

Wszyscy trzej na wyścigi komplementowali ją, rozśmieszali, rozpieszczali. Ale żaden nie miał szans z jej ojcem, który w pracy był ich surowym zwierzchnikiem, a w domu – głównodowodzącym w okazywaniu uwielbienia dla Ja'ary. To wszystko utwierdzało ją w jej kobiecości i wyposażało w bardzo praktyczną wiedzę, jak postępować z mężczyznami. Choć zarazem sposób, w jaki ją traktowali, umniejszał ją, skazywał na rolę gejszy. Krępował niezliczonymi jedwabnymi nićmi tę jej część, która się wyrывała, by uciec.

Nazywali ją „nasza malutka Ja'ara”. Chodziła na wykłady z tematyki genderowej, dyskutowała o niezależności, feminizmie i samorealizacji, miała wyrobione zdanie na niemal każdy temat, a oni wciąż widzieli w niej „naszą malutką Ja'arę”, którą traktowali z

nieco protekcyjną troską.

Nie wyczuwała tego. Chciała być ich malutką Ja'arą, uwielbiała piątkowe kolacje, a ja kochałem ją i podejrzewałem, że cała moja diagnoza dotycząca jej rodziny to tylko zamaskowana zazdrość, bo ona miała szczęśliwą rodzinę, a ja nie. Tak czy owak, wiedziałem, że niedługo zbiera dziewięćdziesiąt jeden tysięcy dolarów i odjedzie ruchomym chodnikiem na lotnisku, machając na pożegnanie ojcu i braciom, potem wsiądzie do samolotu i polecą do Londynu spełnić swoje marzenia. Później ja też dojadę i zamieszkać razem z nią w jasnym, ciepłym mieszkaniu w Golders Green, dlatego że to zawsze lepiej mieć przy sobie kogoś, kto mówi płynnie po angielsku. No i oczywiście dlatego, że wciąż będziemy parą.

Jeśli chodzi o zdjęcia Ja'ary dorosłej, to mam zaledwie pięć czy sześć. I tylko na jednym jesteśmy oboje.

To było podczas wycieczki do Hajfy. Chodziliśmy ze sobą już kilka tygodni i chciałem jej pokazać, że Hajfa nie jest taka, jak myśli. Namówiłem ją, żeby wzięła sobie dzień wolnego, i pojechaliśmy na północ, ale w Atlit skręciliśmy w prawo, żeby Ja'ara po raz pierwszy wjechała do miasta wijącą się wśród lasu drogą z Bejt Oren.

– Jejku – zawołała zachwycona – to wygląda jak zupełnie inny kraj!

– Czekaj, najlepsze dopiero przed tobą.

Zatrzymaliśmy się na postój w tym miejscu na grani masywu, skąd po obu stronach widać morze, a potem pojechaliśmy trasą mojego dzieciństwa: do świątyni bahaistycznej. Wcześniej sprawdziłem godziny otwarcia i teraz zaparkowałem na dziedzińcu, skąd mogliśmy podziwiać zapierający dech widok mieniących się białym marmurem schodów wykutych z matematyczną precyzją i pięknie utrzymany, kolorowy ogród, symetrycznie okalający budynek. Ukradkiem dołączyliśmy do grupy turystów, by posłuchać, jak przewodnik bahaita tłumaczy, że:

– Piękno ogrodu ma oddziaływać na patrzącego jak muzyka w tle: zapewniać nieświadomą harmonię, która pozwoli wsłuchać się w siebie.

– Nie wiem, co powsadzali między te rośliny – szepnęła mi Ja'ara na ucho, a gdy turyści trochę się oddalili, położyła mi głowę na ramieniu i dodała: – Ale wiesz co? Ta nieświadoma harmonia to prawda. Od momentu, kiedy tu przyjechaliśmy, jestem o wiele spokojniejsza i myślę sobie, że to szkoda, że bahaici nie mają swojego ośrodka kultury w Tel Awiwie. – Pocałowała mnie w usta. – Dziękuję, naprawdę dziękuję, że mi pokazałeś to miejsce.

Później, gdy już stamtąd odjechaliśmy, uśmiechnęła się i stwierdziła:

– Wiesz co? Ty powinieneś zostać bahaitą. Jesteś uporządkowany, jesteś esteta...

– Niezły pomysł, ale jest jedno ale. Zdaje się, że bahaita może się ożenić tylko z bahaitką.

– Dla ciebie jestem gotowa przejść na bahaizm – roześmiała się.

Szliśmy promenadą służącą zarazem jako taras widokowy. Wcześniej spacerowałam tędy z innymi dziewczynami i zawsze obiecywałam sobie, że kiedyś tu wrócę z tą jedną, którą będę naprawdę kochał, i oto teraz Ja'ara była tu razem ze mną.

– Spójrz w dół – powiedziałem – tam widać port i stare miasto w Akce, te góry w tle to Galilea, a jeszcze dalej jest już Syria.

– Robi się chłodnawo. – Pamiętam, że tak powiedziała, więc oddałem jej swoją kurtkę, chociaż sam trochę marzłem, a Ja'ara ją włożyła i objęła mnie od tyłu swoimi szczupłymi rękami. Wychyliliśmy się przez barierkę i patrzyliśmy, jak nad zatoką zapada zmierzch, w domach zapalają się lampy, a drogami zaczyna płynąć rzeka świateł samochodów.

– Jaki wspaniały dzień zaplanowałeś – odezwała się.

I pamiętam, że wtedy pomyślałem, jakie to niesamowite, że do tej pory wszystko idzie zgodnie z planem, bo zazwyczaj kiedy mam dokładny rozkład dnia i konkretne oczekiwania, to coś musi się nie udać i wszystko szlag trafia... Ale tym razem nie. Od momentu wyjścia z domu każdy punkt programu idzie gładko, pogoda dopisuje, choć zapowiadali deszcz, i nawet – czego obawiałem się najbardziej – nie spotkaliśmy nikogo ode mnie z liceum. Jednak później, gdy już wracaliśmy do auta, minął nas samochód i ze środka ktoś ubrany w biały podkoszulek wrzasnął coś, co zrozumieliśmy jako: „Odwal się od tej panny!”, choć uznaliśmy, że to byłoby dziwaczne i pewnie się przesłyszeliśmy, a ten gość tak naprawdę krzyknął „Makabi Hajfa pany!” czy coś w tym stylu. Zresztą na naszym wspólnym zdjęciu nie widać ani tego dziwnego incydentu, ani tego, że dwa tygodnie później Ja'ara mnie zostawiła.

Wyglądamy jak para turystów z Europy, spędzająca miesiąc miodowy w Hajfie: Ja'ara ma to swoje poważno-figlarne spojrzenie, które tak wszystkich zawsze pociągało, a ja wyglądam na wyższego niż w rzeczywistości. W dolnym rogu fotograf (strażnik z centrum handlowego Panorama, którego Ja'ara namówiła, żeby na chwilę opuścił posterunek) uchwycił wielki biały statek wchodzący do portu, a może wychodzący w morze. Na zdjęciu nie bardzo to widać.

Ja'ara nie zjawiała się w ostatni dzień żałoby. W ogóle było mniej osób i większość czarnych krzeseł pozostała czarna. Przyszli głównie krewni ze strony Amichaja i może właśnie z racji obecności niewielu świadków wypłynęła kwestia finansowa.

Zresztą już wcześniej kilkakrotnie próbowano ją poruszyć. Raz wysoki człowiek spytał cichym głosem, czy mają zamiar składać pozew. Z kolei jakaś krewna z Giwat Ha-Makam

opowiedziała o kobiecie od nich z kibucu, której zrobiła się brzydka blizna po laserowej depilacji i wypłacono jej sto tysięcy szekli odszkodowania. Tylko że to było przed prywatyzacją i kibuc ją wykiwał, zagarniając wszystkie pieniądze. Opowiedziawszy to, krewna spojrzała na Amichaja, ale on wciąż milczał. To jego milczenie, z początku przerażająco wymowne, wysysające z pokoju całe powietrze, z upływem dni spowszedniało: wszyscy je szanowali, ale stopniowo nauczyli się je lekceważyć.

Aż ostatniego dnia...

Ciotka Ilany, nie zwracając się do nikogo wprost, powiedziała, że radziła się prawnika w swojej firmie i że prawdopodobnie można by liczyć na przynajmniej milionowe odszkodowanie. Albo i większe!

Jakiś daleki kuzyn Amichaja, także nie mówiąc do żadnej konkretnej osoby, dorzucił, że dużo zależy od adwokata. Warto zainwestować w dobrego, bo to się opłaci.

Owdowiały księgowy, który każdego dnia sziwy opowiadał ze szczegółami – nie bacząc na nietakt – jak ciężko mu było po śmierci żony, wyciągnął z kieszeni na piersi wieczne pióro, odkręcił skuwkę i powiedział, że do odszkodowania trzeba też doliczyć pieniądze z polisy na życie, co razem da dwa miliony szekli albo więcej.

– Milion, dwa miliony, co za różnica – mruknął pod nosem brat Ilany. – Nic nam jej nie zwróci.

Ale matka Ilany zaoponowała: przynajmniej dzieci będą miały zapewniony byt.

Matka Amichaja wydała westchnienie ni to smutku, ni to zaskoczenia:

– Dwa miliony to masa pieniędzy. Może wreszcie przeprowadzicie się do większego domu...

Brat Ilany przerwał jej, już nie po cichu, tylko na głos:

– Do jakiego większego domu?! Po co im teraz większy dom? Lepiej już, żeby wpłacili pieniądze na lokatę.

Księgowy znów zdjął skuwkę z pióra i rzekł:

– Przepraszam, że się wtrącam, ale dom to inwestycja, która będzie bardzo korzystnie procentowała. Zwłaszcza że teraz ceny nieruchomości poszły w dół z powodu intifady.

Matka Ilany podniosła głos:

– Jak tak można! Nie wstyd wam? Jest oczywiste, że pieniądze trzeba wpłacić na fundusz powierniczy.

Wtedy matka Amichaja, która podczas całej sziwy starała się nie okazywać matce Ilany swej niechęci – a starała się tak bardzo, że na każdym kroku właśnie ją okazywała – w końcu nie wytrzymała i wybuchła:

- Dla kogo oczywiste, dla tego oczywiste.
- Co pani chce przez to powiedzieć? – spytała, a jej oczy się zwęziły.
- Dokładnie to, co pani usłyszała.

Wówczas Amichaj powoli podniósł się z krzesła, po raz pierwszy od tygodnia, otworzył usta i powiedział:

– Dosyć.

Ponieważ nie uczestniczyłem w rozmowie o pieniądzach, przez cały czas obserwowałem jego twarz.

Z początku oczy miał puste, zapadnięte. Brodę opuszczoną. Wyglądał, jakby się poddał, jakby słowa do niego nie docierały. Potem chyba jakaś wypowiedź przebiła się do jego świadomości, bo uniósł brwi i zaczął śledzić wymianę zdań. Po chwili dolna warga zaczęła mu drżeć i próbował ją przygryźć, ale drżenie udzieliło się też górnej wardze.

Wtedy wstał.

Zajrzałem mu w oczy, spodziewając się dostrzec w nich dziki gniew. Ale nie: ku mojemu zaskoczeniu błysnęła w nich tak dobrze mi znana iskierka, która zwiastowała narodziny kolejnego wspaniałego pomysłu.

– Dosyć. Nie będę tego słuchał. Zarabiam wystarczająco dużo, żeby zapewnić dzieciom byt. Jeżeli uda się uzyskać odszkodowanie albo pieniądze z ubezpieczenia, to mam zamiar przeznaczyć je na coś innego... Coś, na co przeznaczyłaby je sama Ilana.

– Na przykład? – spytał brat Ilany z lekkim zdziwieniem.

– Nie wiem jeszcze. – Pytanie zbiło Amichaja z tropu. – Może założę organizację non profit. Albo coś innego. Zastanowię się.

– Non profit? Po co? – nie ustępował brat.

– Mówię, że nie wiem – odparł niechętnie Amichaj, po czym usiadł i na powrót pogrzył się w milczeniu.

– Taa, jasne – Churchill nie krył sceptycyzmu, gdy zadzwoniłem do niego i opowiedziałem o pomysle Amichaja.

– On teraz nie jest całkiem sobą – stwierdził Ofir. – Miałem pacjentów w podobnej sytuacji jak on, nie możemy brać poważnie wszystkiego, co mówi.

Jednak w miesiąc po śmierci Ilany Amichaj zadzwonił do każdego z nas.

– Spotykamy się u mnie – obwieścił. – Muszę się was poradzić w sprawie tej

organizacji.

– No nie wiem – rzekł do mnie Churchill z powątpiewaniem.

– Kolejny naciągany pomysł w stylu Amichaja Tanuriego. Przecież on nawet jeszcze nie wymyślił, co by miała robić ta organizacja. Mówię ci: skończy się na tym, że będzie chciał razem z nami śpiewać *Szymon, powiedz, gdzie mój tlen*.

– Liczy na moje doświadczenie copywritera – pożalił mi się Ofir – a ja, szczerze mówiąc, już wyszedłem z wprawy, jeśli chodzi o... rozumiesz, o słowa.

– To nie ma znaczenia – próbowałem ich przekonywać. – Wasz przyjaciel potrzebuje pomocy, więc mu pomóżcie. Potem przyjdzie czas na pytania.

Kilka godzin przed umówionym spotkaniem Amichaj zadzwonił, żeby je odwołać. W tle usłyszałem głośnik ryczący jakąś dziecięcą piosenkę.

– Mieliśmy ciężką noc – tłumaczył. – Wydaje mi się, że do dzieci dopiero teraz zaczyna docierać, co się stało. Noam wołał ją przez sen, a rano Nimrod powiedział, że nie idzie do szkoły, jeśli mamusia nie wróci.

– I co mu powiedziałaś?

– Że nie musi iść do szkoły. Ale wtedy Noam powiedział, że też nie idzie.

– Oczywiście.

– Krótko mówiąc, obiecałem, że zabiorę ich do wesołego miasteczka. Nie wiem, kiedy wrócimy. I w jakim stanie. Więc może odłożymy to na przyszły tydzień. Dasz znać chłopakom?

– Może i lepiej – głośno myślał Ofir. – Po co ma marnować swoje... *chi*.

– Widzisz, a nie mówiłem, że z pomysłów Amichaja nigdy nic nie wychodzi? – triumfował Churchill, a potem nie pojawił się na pierwszym, historycznym spotkaniu organizacji non profit, które na przekór naszemu sceptycyzmowi odbyło się tydzień później.

– Gdzie Churchill? – spytał Amichaj, gdy ja i Ofir usiedliśmy. Maria z córeczką poszły do pokoju bliźniaków, odprowadzane zatroskanym wzrokiem Ofira. Szeroki uśmiech Marii przygasł ostatnio i już nas nie przytulała na powitanie. Zupełnie zaniedbała gabinet. Którejś nocy Ofir wstał do toalety i zastał Marię zapłakaną w salonie. Usiadł przy niej, zaczął zbierać językiem łzy z jej twarzy, a gdy trochę się uspokoiła, powiedział, że może pojedą do Danii, może tam będzie jej lepiej, ale to ją tylko rozzłościło, znów zaczęła płakać i powiedziała:

– Nic nie rozumiesz, ty naprawdę nic nie rozumiesz, w Danii dzień trwa teraz siedem godzin. – I mówiła, że ciemność jest dla niej groźna. Boi się, że ciemność do niej wypełni, wypełni ją od środka, a poza tym są przecież bliźniaki, nie można ich tak po prostu zostawić.

Jeździła do Amichaja trzy razy w tygodniu, żeby z nimi pobyc, a oni bardzo się cieszyli z jej przyjazdów. Może wyczuwali dzięki swej dziecięcej wrażliwości, że podczas gdy inni dorośli tylko im współczuli, Maria ich także potrzebowała. A może chodziło o to, że jej córeczka, w której obaj się kochali, też przyjeżdżała i teraz, gdy zabrakło matki, desperacko uchwycili się miłości do tej dziewczynki.

– Gdzie Churchill? – spytał Amichaj ponownie.

– Chciał przyjechać – odparłem wymijająco – ale jest zajęty tą, wiesz, sprawą w sądzie.

Przez ułamek sekundy dostrzegłem w jego oczach gorzki ból.

– Szkoda. Zależało mi szczególnie na jego opinii.

Milczeliśmy, czekając, aż przetrawi niemiłą nowinę. Naprzeciwko nas na ścianie dużego pokoju wisiało zdjęcie Ilany. Poważnej. Piegowatej. Stanowczy nos. Lekki grymas niezadowolenia (z życia? z siebie?). Spośród wszystkich jej zdjęć Amichaj zdecydował się wyróżnić akurat to jedno, na którym wcale nie wyszła korzystnie, tylko właśnie taka, jaka była. Nagle za nią zatęskniłem, za tymi prostymi, miłymi, osobistymi pogawędkami, które moglibyśmy odbyć i nigdy się nam nie udało; za jej własnoręcznie pieczonymi burekasami; za przenikliwymi analizami psychologicznymi; za jej cichą, niewytłumaczalną sympatią do mnie.

– No więc tak – zaczął Amichaj, nachylając się ku nam. – Okazuje się, że pieniędzy z odszkodowania nie będzie tyle, ile myślałem. Klinika przyznaje, że Ilany nie poinformowano o możliwości wystąpienia komplikacji, ale w dokumencie, który podpisała, znaleźli jakąś klauzulę, która ich chroni. Krótko mówiąc, ostatecznie, razem z pieniędzmi z polisy wyszło kilkaset tysięcy szekli. Ale to nie ma wpływu na mój plan. Chcę założyć organizację non profit, która będzie reprezentować prawa pacjenta.

– Pacjenta? Jak to? – spytaliśmy.

Spojrzał nam obu w oczy.

– Kiedy pacjent trafia do szpitala... Kiedy karetka... Kiedy karetka wioząca Ilanę przyjechała do szpitala, ratownicy wwieźli ją na wózk do izby przyjęć, a ja biegłem za nimi. Ledwo nadązałem. Zatrzymał mnie strażnik i zażądał przepustki. Krzyczałem, że to jest moja żona, że przyjechałem razem z nią. A wtedy on: „Proszę nie krzyczeć”. I specjalnie długo mnie legitymował. Dopiero po całej minucie udało mi się wejść, ale nikt

nie wiedział, gdzie jest Ilana. Pielęgniarki wysłały mnie do izby przyjęć. W izbie przyjęć odesłano mnie do pielęgniarek. Nikt nic nie wiedział. Dopiero jakiś pacjent na korytarzu, rozumiecie? Pacjent! Powiedział, że może nie mieli czasu jej rejestrować i zabrali ją prosto na OIOM. Popędziłem na OIOM i rzeczywiście tam była. Chciałem wejść do środka, żeby ją zobaczyć, ale powiedzieli, że nie mogę. Że to zabronione. Spytałem więc, co mam teraz zrobić. Kazali mi się i czekać, aż po mnie przyjdą. Czekałem chyba wiele godzin. Nie wiem, czy rzeczywiście, ale czas ciągnął się w nieskończoność. No więc czekałem, jak pies pod drzwiami domu, powiedzmy przez godzinę, i nikt nie przyszedł ze mną porozmawiać. Nagle jakiś lekarz, który był tam w środku, krzyczy: „Jest tutaj Tanuri?? Ta-nu-ri!”. To, w jaki sposób wypowiadał moje nazwisko... Nie umiem tego wytłumaczyć... Jakby sobie żartował. Już samo to źle mnie do niego nastroiło. Potem podszedł do mnie, nie przedstawił się i z miejsca zaczyna wypytywać o Ilanę. Na co chorowała? Uczulenia na leki? Choroby dziedziczne? Odpowiadałem, ale cały czas czekałem, aż powie mi, co się dzieje. A on nic. W końcu sam zapytałem. „Co z nią?” A on nie odpowiedział, zaczął się wykręcać, zachowywać, jakby mnie tam wcale nie było... I nagle odwraca się, odchodzi. W tym momencie straciłem panowanie, chwyciłem go z tyłu za fartuch i mówię: „Ma pan odpowiedzieć na moje pytanie, panie doktorze!”. A on odtrącił moją rękę, w zasadzie to mnie uderzył, i odpowiedział: „Ręce przy sobie, panie Tanuri”. „Przecież nic nie robię... Tylko chciałem spytać...”, ale on mi przerwał: „To nie moja wina, że poszłicie do prywatnej kliniki zamiast na chirurgię plastyczną w prawdziwym szpitalu, mam rację?”. Tu się naprawdę wściekłem, nie rozumiałem, co to ma do rzeczy, więc pytam go prosto z mostu, jakie ma kwalifikacje i czy w ogóle jest uprawniony do zajmowania się takimi przypadkami. On znowu nie odpowiedział. Wtedy ja mówię, że domagam się niezależnej opinii innego lekarza. Wtedy on przez chwilę nic nie mówił, a potem uśmiechnął się oblesnie i powiedział: „To bierz pan żonę i jedź pan z nią do innego szpitala”.

– Tak ci powiedział? – nie mógł uwierzyć Ofir.

– Dokładnie tak.

– Nie do wiary.

– Kiedy zniknął, podeszła do mnie pielęgniarka i kazała się nie martwić, bo doktor Gabriński to znakomity lekarz. „Jest pan w dobrych rękach”, tak powiedziała, co jeszcze bardziej mnie wkurwiło, bo ostatnia rzecz, której bym się spodziewał, to że jestem w dobrych rękach. Usiadłem w korytarzu i pomyślałem, że zaraz albo zwariuję, albo umrę. Nie było do kogo ust otworzyć. Nikt nie przyszedł... Aż do rana. I cały czas ten zapach leków i twarogu. Co kilka minut docierały do mnie na zmianę fale smrodu: lekarstw i białego sera. Od tej pory nie mogę patrzeć na biały ser. Na sam dźwięk nazwy przypomina mi się tamten korytarz: siedzę jak jakiś bezdomny, jak żołnierz, którego zapomnieli zluzować, i nagle o piątej nad ranem przychodzi inny lekarz, nie ten Gabriński. Jak tylko zobaczyłem jego minę, wiedziałem, że...

Amichaj nie mógł dalej mówić, bo się zakrztusił. Obraz, który wspominał, musiał być zbyt bolesny.

Nalaliśmy mu wody do szklanki. Nie tknął jej nawet. Odkasznął i ciągnął dalej:

– Ten drugi lekarz był już w porządku, ale tamten Gabriński... Gdzie on musiał nagle iść o piątej rano? Nie starczyło mu odwagi, żeby ze mną porozmawiać. Nawet... A to, że w ogóle nie pofatygował się, żeby do mnie wyjść... I to...

– Może akurat przeprowadzał jakiś skomplikowany zabieg. – Ofir próbował znaleźć wytłumaczenie.

– Nie. Nie ma żadnego usprawiedliwienia. Mógł znaleźć kogoś, kto by go na chwilę zastąpił, a sam powinien przyjść ze mną pomówić.

Milczeliśmy. Przez otwarty balkon zawiął zimny wiatr, ale nikt nie wstał, żeby zamknąć. Wiszące pod sufitem dzwonki, które Maria zrobiła dla Ilany, zakołysały się i delikatnie zadźwięczały.

– Ale wiecie, co wam powiem? – kontynuował Amichaj po dłuższej przerwie, teraz już spokojniejszym, cichszym głosem. – Tak to właśnie jest w państwowej służbie zdrowia. Pacjent to niedogodność, a ludzie, którzy mu towarzyszą, to klęska żywiołowa. Wierzcie mi, widziałem to na własne oczy. Razem ze mną w korytarzu siedziała rodzina Etiopczyków. Nie mówili po hebrajsku, więc nawet jak już ktoś w końcu do nich wyszedł, nic nie rozumieli. Jak to jest, że w całym szpitalu nie ma nikogo, kto by mówił po amharsku? Przecież to nie do pomyślenia.

Przytaknęliśmy w milczeniu, bo nie mieliśmy już odwagi się odzywać.

– Wszystko zależy – mówił dalej – od dobrej woli lekarza. A przecież lekarze wcale niekoniecznie muszą być złymi ludźmi, tylko pracują w okropnych warunkach: długie dyżury, przemęczenie. Lekarz kształci się dwanaście lat, ale w programie nauki w ogóle nie ma szkolenia z kontaktu z pacjentami. Niektórzy mają dobre podejście sami z siebie, a inni nie. Dlatego kiedy ktoś trafia do szpitala, to jest jak loteria. Zależnie od tego, jaki lekarz będzie akurat na dyżurze, albo potraktuje cię troskliwie i ze współczuciem, albo nie.

– Czekaj, nie rozumiem. – Bałem się, że się pogubię. – Czyli twoja organizacja non profit będzie walczyć z establishmentem lekarzy czy go wspierać? I co to ma wspólnego z chirurgią plastyczną? To dwie różne bajki, nie?

– Racja – odparł Amichaj, lecz w jego głosie wciąż brzmiała pewność siebie. – Cały pomysł nie jest jeszcze dopracowany. Ale jesteście moimi przyjaciółmi i chciałbym znać wasze zdanie. Jak wam się to widzi? Taki na razie ogólny zarys pomysłu?

Nie odezwałem się. Z jednej strony, przypomniałem sobie swoje poważne ataki astmy i bezradność, gdy próbowałem wytłumaczyć zniecierpliwionym lekarzom, co mi jest (jak najkrócej, bo każde słowo kosztowało mnie drogocenny łyk powietrza). Raz dali

mi szpitalną koszulę, która miała z tyłu rozcięcie i nic mi o tym nie powiedzieli, a ja przeszedłem w niej przez pół oddziału do dyżurki pielęgniarek. Innym razem dali mi historię choroby, żebym ją zaniósł na inny oddział. Zjrzałem do teczki i zobaczyłem, że lekarz, który nie miał żadnych kwalifikacji do stawiania takiej diagnozy, napisał: „Lekka skłonność do melancholii”.

Ale z drugiej strony, żaden lekarz nigdy nie zachował się wobec mnie po chamsku. Protekcyjnie tak, ale nie po chamsku.

A jednak, z trzeciej strony, to, co opowiedział Amichaj...

Hmm, organizacja non profit... Co ja wiem o takich rzeczach?

– Pierwszorzędny pomysł – odrzekł Ofir. – Dokładnie tego uczy medycyna alternatywna: należy leczyć pacjenta holistycznie, a nie traktować jako zbiór objawów.

Obaj spojrzeli na mnie, ciekawi mojej opinii. Nawet Ilana zerkała ze ściany.

– Uważam, że pomysł bardzo by się jej podobał – powiedziałem, wskazując zdjęcie (a zarazem pomyślałem, że pewnie wolałaby organizację pomagającą Palestyńczykom w punktach kontrolnych, ale wiedziałem, że nie ma sensu poruszać tego tematu, bo Amichaj z pewnością nie chciałby mieć nic wspólnego z taką organizacją. Jego ojciec zginął z rąk Palestyńczyków w Libanie).

– Tak, mnie też się tak wydaje. – Amichaj zerknął przelotnie na zdjęcie Ilany, jak gdyby się bał, że jeśli dłużej zatrzyma na nim wzrok, to portret go wciągnie. Pochłonie.

– Dobra. Czyli co dalej? – spytał Ofir.

– Widzimy się tu za dwa tygodnie. Przez ten czas spotkam się z paroma osobami, podowiaduję się, co trzeba załatwić przy zakładaniu takiej organizacji. Przecież nie mamy o tym zielonego pojęcia.

– A my? Nasze zadanie?

– Na razie zostawcie wszystko mnie – zakończył Amichaj.

– Myślisz, że coś z tego będzie? – spytał mnie Ofir, gdy wszyscy czworo (Maria z córeczką, on i ja) wyszliśmy już na ulicę.

– Szczerze? Nie. Ale co za różnica? Najważniejsze, że Amichaj ma jakieś zajęcie, coś, co zajmuje mu myśli.

– Dobrze, że są bliźniaki – dodał Ofir. – To dzięki nim utrzymuje głowę nad powierzchnią. Potem może się pozbiera, ale teraz, gdyby nie to, że musi codziennie wstać i zająć się dziećmi, to nie wiem, co by było.

– Te dzieci... – Maria westchnęła. – Z nimi... Sama nie wiem.

– Jak się trzymają? – spytałem.

– Nimrod jeszcze jako tako. Płacze, mówi, że tęskni za Ilaną. Czyli wszystko tak, jak powinno być. Martwię się o Noama, jest zbyt spokojny. Dusi wszystko w sobie. To bardzo niedobrze dla dziecka.

– Dla dorosłego też – wtrącił się Ofir. – Widzieliście, jak się zachowuje Amichaj? Przez trzy godziny nie wypił ani kropli wody. A to jego znamię na szyi? Zauważyliście, że cała Galilea zniknęła? Jak to się mogło stać? A balkon? Widzieliście, że otworzył balkon? Ledwo dwa lata temu wydali razem z Ilaną czterdzieści tysięcy szekli, żeby go zamknąć na głucho. I jeszcze te puzzle, dwa tysiące kawałków! I wiecie, co układa? Titanica! Rozumiecie? To są znaki ostrzegawcze, mówię wam. Ja też przez coś takiego przechodziłem. Zachowuje pozory, ale musimy go stale obserwować. Bo jeśli, broń Boże, cokolwiek sobie zrobi nigdy sobie tego nie wybaczymy.

Metamorfozy: Wielkie umysły, które zmieniły zdanie – nieukończona rozprawa filozoficzna Juwala Frida (fragment)

W lipcu 1901 roku filozof Bertrand Russell wraz z małżonką gościli u swoich przyjaciół, państwa Whiteheadów, w ich domu w Oksfordzie. Wieczorem Russellowie wyszli, a wróciwszy, ujrzeni z przerażeniem, że pani Whitehead leży na kanapie i najwyraźniej cierpi straszliwe bóle. Jęczy, zwinięta w kłębek. Przez parę chwil skręca się z bólu i znów zwija się w kłębek. Russell chce do niej podejść, ale pan Whitehead go powstrzymuje.

– Nic nie możemy zrobić – wyjaśnia. – Evelyn jest chora na serce. Musimy czekać, aż atak minie.

Stojąc i patrząc na kobietę jęczącą z bólu na kanapie, Russell przeżywa dramatyczną przemianę wewnętrzną (sam w autobiografii nazywa ją nawróceniem). W przeciwieństwie do innych zmian, które dotychczas zachodziły w jego poglądach i sposobie myślenia, nawrócenie, które nastąpiło tej nocy, nie wynikało z żelaznej logiki ani z precyzyjnie rozwiązanych równań. Jak sam pisze, w ciągu tych kilku minut przypatrywania się pani Whitehead grunt usuwa mu się spod nóg i nagle – wedle jego własnego świadectwa – rozumie wszystko. Rozumie, że ludzka dusza jest nieskończenie samotna w swoim bólu. Że samotność jest nie do wytrzymania. Rozumie, że jedyny sposób, by zgłębić i poznać tę na wskroś osobistą samotność, to bezwarunkowa miłość, taka, jakiej uczą księża, i że każdy uczynek, który nie zrodził się z takiej miłości, jest szkodliwy i bezcelowy. Stąd filozof dochodzi do wniosku (zabawne, że ten z pozoru mistyczny tok myśli Russella w tym miejscu staje się logiczny, niemal jak dowód w matematyce), iż wojna jest złem, edukacja szkolna to skandal, wszelka przemoc zasługuje na potępienie, a w stosunkach międzyludzkich należy zgłębić jądro samotności drugiej osoby i przemawiać wprost do niego.

W ciągu kilku miesięcy od tamtego wydarzenia Russell żył z poczuciem, że spłynęło nań objawienie, które pozwala mu wnikać w najtajniejsze myśli wszystkich osób mijanych na ulicy. Z czasem te mistyczne wrażenia osłabły, ale Russell nigdy nie zapomniał owej chwili u Whiteheadów i twierdził, że właśnie ona legła u podstaw jego przemiany z imperialisty w pacyfistę. Ten sam Russell, wychowany w konserwatywnej rodzinie, od najmłodszych lat utwierdzany w przekonaniu o nadrzędnej potrzebie zachowania imperium brytyjskiego w całości, ten sam Russell, który zaledwie dwa lata wcześniej, w 1899 roku, całym sercem życzył Wielkiej Brytanii zwycięstwa w okrutnej wojnie zmierzającej do wyparcia Burów z Afryki Południowej, stał się w ciągu pięciu minut – jak sam twierdzi – pacyfistą, który bronił obdźektorów, a później stanowczo opowiadał się przeciwko przystąpieniu Wielkiej Brytanii do pierwszej wojny światowej...

Oprócz tej fotografii z Amichajem, na dachu, nie mam żadnych zdjęć z intifady. Nie sędzę, żeby to, co robiliśmy w Nablusie, Dżabalii czy w Rafah, miało kiedykolwiek wzbudzić we mnie nostalgię. Może też dlatego nie mam żadnych przyjaciół z wojska. Na przykład ojciec Ofira trzy razy do roku spotyka się z kumplami z Korpusu Pancernego i każdego spotkania wyczekuje z niecierpliwością już miesiąc przedtem. Ojciec Churchilla ma trzech kolegów z Korpusu Spadochroniarzy, a jeden z nich niedawno sfinansował drugiemu leczenie za granicą. Mam wrażenie, że dla nich, jak i dla wielu ludzi z ich pokolenia, wojsko było glebą, na której wyrosła przyjaźń. Ze mną jest całkiem inaczej. Moich przyjaciół poznałem jeszcze przed wojskiem. Gdy przypadkiem wpadnę na kogoś, z kim razem służyłem na terenach okupowanych, staramy się jak najszybciej zakończyć rozmowę, bo pewnie obaj odczuwamy duży dyskomfort. Choć całkiem możliwe, że tylko ja, może to ta moja skłonność do robienia wszystkiego na opak. Bo na przykład Amichaj do dziś podtrzymuje przyjaźnię z wojska i gdyby go spytać, opowiedziałby zupełnie inną historię intifady niż ja. Byłaby to opowieść o braterstwie broni, o krzyżowaniu planów terrorystom, o zasadzie „zabij, zanim ciebie zabiją”; opowiedziałby o tym, że dzięki wojsku poznał Ilanę, że wyrwał się z rodzinnego bagna i z roli, którą musiał w nim grać, że w ciągu tych trzech lat po raz pierwszy od śmierci ojca poczuł, że żyje...

Ale to ja jestem tu narratorem i chcę opowiedzieć, że podczas mojej służby w wojsku było zbyt wiele niechlubnych momentów, a ten, którego najbardziej się wstydzę, miał miejsce podczas Pucharu Świata w 1990 roku. Stacjonowałem wtedy na dachu nieotynkowanego betonowego budynku na przedmieściach Nablusu.

Nawet moi przyjaciele nie znają tej historii. Sam nie miałem zamiaru jej tu przytaczać – tak bardzo dałem się uwieść nieskazitelnemu obrazowi samego siebie, który tu kreślę – lecz wyznanie to już w kilku miejscach książki dobijało się, żeby je wypuścić, a teraz wylatuje ze mnie niczym pocisk z karabinu.

Mieliśmy spędzić na tym dachu w Nablusie trzy dni, a w końcu zostaliśmy trzy tygodnie. Mieli nam raz w tygodniu dostarczać żywność, ale przynosili tylko racje polowe. Byliśmy tak zmęczeni i głodni, że w końcu zacząłem zerkać na pozostałych dziewięciu żołnierzach, którzy tkwili razem ze mną, i zastanawiać się, który z nich byłby najsmaczniejszy po upieczeniu. Nie miałem wątpliwości, że gdyby przyszło co do czego, sam skończyłbym w roli pieczeni. Cała reszta znała się wcześniej, bo byli razem na przysposobieniu, a ja dołączyłem dopiero tydzień przed wyjazdem do Nablusu, gdy wyrzucono mnie z kursu oficerskiego. Wszyscy – nie wiem skąd – wiedzieli, że wyleciałem za spanie na wykładzie, więc dokuczali mi, wrzeszcząc mi prosto w ucho: „Frid, pobudka!”, ilekroć zdawało im się, że przysypiam. Dawali mi też najgorsze godziny wart i celowo się

spóźniali, gdy przychodzili mnie zmienić. Mieli skądś specjalne przydziały, które rozdzielali między sobą, a mnie nigdy nic nie dali. Naśmiewali się, że piszę tyle listów do dziewczyny.

Nie miałem dziewczyny. Ale kiedy mnie spytali, do kogo tak zawzięcie piszę, nie mogłem się przyznać, że to do Churchilla i Ofira, więc wymyśliłem dziewczynę imieniem Adwa, która służyła w bazie wywiadu pod egipską granicą i tęskniła za mną tak okropnie, że musiałem codziennie pisać do niej listy, żeby się nie martwiła. Nienawidziłem siebie za to, że kłamię. Nienawidziłem długich godzin obserwacji, która miała na celu namierzenie wrogo nastawionych dzieci. Nienawidziłem nocnych aresztowań, kiedy wchodziliśmy do obcych domów, srając w gacie ze strachu. Nienawidziłem wulgarnych i rasistowskich dowcipów. I tego, że sam też je opowiadałem.

Ale najbardziej w świecie nienawidziłem siebie za ten mecz Anglia-Kamerun.

To był pomysł Dorona. To on powiedział:

– Widzicie ten dom z telewizorem? Może by tam pójść, zrobić przeszukanko i przy okazji obejrzeć mecz Anglia-Kamerun?

Pamiętam, że się uśmiechnąłem. Pomyślałem, że to żart. Ale wtedy sam porucznik Harel spytał:

– Anglia z Kamerunem? O której zaczynają?

– Transmisja jest od teraz, a mecz zacznie się za pół godziny.

– To będzie na pewno świetny mecz – odparł Harel, po czym bez słowa zaczął czyścić swoją broń i szykować się do wyruszenia na patrol. W milczącym porozumieniu wszyscy, z wyjątkiem chłopaka, który pełnił wartę, wzięliśmy broń, kamizelki, uformowaliśmy dwie kolumny i ruszyliśmy na równoległą ulicę, w stronę domku, w którego oknach migotał niebieski poblask telewizora.

Kiedy teraz towarzyszę żołnierzowi Juwalowi w jego marszu, czuję ten zapach terenów okupowanych, przypominający zapach podkoszulka po nocy spędzonej przy ognisku. Widzę flagę palestyńską znowu powiewającą na słupie elektrycznym, choć dzień wcześniej kazaliśmy ludziom ją zdjąć. Widzę hasła wypisane czarną farbą na murach i kawałki popalonych opon. Czuję ścieki płynące ulicą, gęste i śmierdzące, które lepią się do moich podeszew. I wreszcie, jakby to było wczoraj, a nie dziesięć lat temu, w moim sercu wzbiera strach, że zaraz ktoś zrzuci na nas z dachu blok betonu albo lodówkę.

Nieliczne osoby, które mijaliśmy, przyspieszały kroku i oglądały się nerwowo. Dwu-, trzyletnie dzieci obserwowały nas z ciekawością, ale już w oczach cztero-, pięciolatek dało się dostrzec lęk. Odwróciłem od nich wzrok i zacząłem patrzeć na buty żołnierza idącego przede mną. Próbowiałem sobie wmówić, że to, co zaraz zrobimy, wcale

nie musi być takie straszne, może nawet wyniknie z tego coś dobrego: usiądziemy pospołu z mieszkańcami domku, do którego się kierowaliśmy, i obejrzymy mecz, i na dziewięćdziesiąt minut zniknie dzielący nas mur, nie będziemy okupantami i okupowanymi, kamienującymi i kamienowanymi, Żydami i Arabami – tylko po prostu ludźmi. Razem obejrzymy mecz Pucharu Świata.

Ale w momencie, gdy wtargnęliśmy do tego domu, wszystko się posypało.

Rodzina oglądała teleturniej i nie rozumiała, czemu porucznik Harel tak nalega, żeby zmienić kanał. Co to ma wspólnego z przeszukaniem?

– Mój bratanek z Jordanii... – próbował tłumaczyć ojciec rodziny. – On... *ja'ani*... on jest w tym teleturnieju. Dlatego to bardzo ważne... Bardzo chcemy obejrzeć do końca. Jeszcze tylko kilka minut... Proszę, niech panowie siadają. – Wyjaśnienia pana domu brzmiały rozsądnie i sensownie, jednak nasz dowódca uważał inaczej i nagle, bez powodu, walnął mężczyznę w twarz.

Dwaj synowie, którzy do tej pory nie odzywali się i nic nie robili, teraz stanęli po obu stronach ojca, a wtedy Doron wskazał na jednego z nich i krzyknął:

– Ej, to ten chujek, który wczoraj zrzucił na nas blok betonowy z dachu!

W tym momencie zaczęliśmy robić w domu rozpierduchę: pozzrucaliśmy na ziemię wszystko oprócz telewizora: wazon, zdjęcia, naczynia, lampy. Chłopak, który zrzucił na nas blok betonowy (a może to wcale nie on?), leżał skuty kajdankami w kącie ze zwichniętą ręką. To Doron mu ją zwichnął, dokładnie w taki sposób, jak uczył nas instruktor krav magi tydzień wcześniej. Pamiętam ich urywane oddechy, kiedy się mocowali, a później przekleństwa mamrotane pod nosem przez jedną ze starszych kobiet. Pamiętam, jak kolbami i rękami zapędziliśmy ją wraz z resztą rodziny do małego pokoiku sąsiadującego z salonem.

A potem zaczęliśmy się bawić pokrętem na telewizorze, aż trafiliśmy na właściwy kanał.

Mówiąc, że robiliśmy to wszystko, mam na myśli również siebie. Jasne, były okoliczności łagodzące. Byłem dzieciakiem. Dziewiętnastoletnim chłopcem! No i wykonywałem rozkazy, żołnierz musi przecież wykonywać rozkazy. Nawet Rabin mówił: „Połamcie im kości”, ten sam Icchak Rabin, którego potem zamordowali. To co miałem robić ja, chłopak z Hajfy? Zresztą nie podniosłem na nikogo ręki, przysięgam. Kiedy Doron bił tamtego chłopaka, ja popchnąłem (zbyt mocno? zbyt skwapliwie?) staruszkę i dzieci do drugiego pokoju, żeby ich też nie pobił. Kiedy indziej, w Dżeninie, zobaczyliśmy leżącego na ulicy Palestyńczyka trafionego gumowym pociskiem i dowódca powiedział:

– Zostawcie tego dupka, niech tu zdechnie.

Ale ja krzyknąłem, że jestem sanitariuszem, ukląknąłem przy rannym i starałem się zatamować obfite krwawienie. W końcu mi się udało i ocaliłem mu życie, i miałem gdzieś, że potem cała kompania przeżywała mnie „Juwal miłośnierny” i „Juwal komuch” i że za niesubordynację cofnęli mi przepustki.

Ale z drugiej strony – to ja siedziałem w dużym pokoju u tamtej rodziny z Nablusu i oglądałem mecz Anglia-Kamerun. Wyciągnąłem nogi i oparłem je na nie swoim fotelu. Cieszyłem się, kiedy Anglia wyrównała na 2:2 (chyba nawet wstałem z wrażenia). Ja też, tak jak pozostali, jadłem pite i hummus, które wygarnęliśmy z lodówki, i zgodziłem się z resztą, że ci Arabowie to umieją robić dobry hummus. Ja też słyszałem jęki dobiegające z kąta, gdzie leżał skuty kajdankami chłopak. I błagania kobiet, które chciały, żeby wypuścić je do toalety. Ja też widziałem, jak porucznik Harel podchodzi do telewizora i podkręca głośność, żeby nie przeszkadzały nam te hałasy.

Ja też chciałem jeszcze trochę zostać po meczu i obejrzeć powtórki goli. A potem jeszcze trochę, żeby posłuchać komentarzy i wywiadów.

Później, gdy już wróciliśmy na nasz dach, dostałem nagle mdłości na myśl o tym, co właśnie zrobiliśmy, i o tym cholernym Pucharze Świata. Usiłowałem sobie wmówić, że to było tylko jednorazowe potknięcie, ale wiedziałem, że to nieprawda – że przez ostatnie trzy tygodnie wszyscy staliśmy się brutalni. Wierciłem się w śpiworze, nadaremnie szukając pozycji, w której moje sumienie potrafi zasnąć. Niespodziewanie przyszło mi do głowy, że może wyjście nie istnieje. Nie ma przyszłości. Nagle w ciemności nocy stało się jasne, że nikt nie przyjedzie nas złuzować. Zostanę na tym dachu, z tymi ludźmi, do końca życia. Pewnie to przekleństwo, które wymamrotała stara Arabka, nim zamknęliśmy ją w drugim pokoju, będzie mnie prześladować do końca moich dni.

Wypełzłem ze śpiwora i poszedłem w najodleglejszy kąt dachu, gdzie nikt mnie nie widział. Małymi kroczkami jak Charlie Chaplin podreptałem do samej krawędzi, spojrzałem w dół i zadałem sobie pytanie, co by to było, gdybym teraz skoczył i położył temu wszystkiemu kres.

Ofir miałby temat na swój film – taka słodko-gorzka odpowiedź wyłoniła się z głębi mojej pamięci. Przecież obiecałem mu, że jeśli żaden z nas nie zginie w wojsku, to się poświęcę. Ponownie spojrzałem w dół. Za nisko, pomyślałem. Przy moim pechu mógłbym przeżyć i tylko być sparaliżowany.

Stary!

Co tam słyhać w wywiadzie? – pisałem tej nocy do Churchilla, świecąc sobie latarką trzymaną w drugiej ręce. – Nie rozumiem, co tu w ogóle robię. Nie

rozumiem, kto z kim walczy. Przestałem rozumieć, co znaczy „ja”. Nie rozumiem, jaka jest różnica między mną a zwierzęciem. Nie rozumiem, jak się tu znalazłem. Nie rozumiem, czemu zataiłem, że mam astmę, żeby nie wysłali mnie do służby na tyłach. Nie rozumiem, dlaczego mimo zmęczenia nie potrafię usnąć. Nie rozumiem, czemu mam ochotę krzyczeć, a nie wydobywa się ze mnie żaden dźwięk. Nie rozumiem, co tu jest to rozumienia. Nie rozumiem, czemu nikt nie przyjedzie nas stąd zabrać. Nie rozumiem, czemu już mi wszystko jedno, czy nas zabiorą. Nic nie rozumiem.

Jesteś w wywiadzie. Pewnie będziesz wiedział. Pewnie będziesz umiał mi to wytłumaczyć.

Trzy tygodnie po tym, jak nas tu zostawili, transporter znów zajechał przed budynek, żeby nas zabrać. Zmierzchało i akurat pełniłem wartę. Zobaczyłem, że z transportera wysiada ktoś, kto wygląda jak Amichaj. Pomyślałem, że mam zwidy. Amichaj? Niemożliwe. Przecież on nawet nie jest w tej dywizji. Musi być już ze mną bardzo źle, skoro zwidują mi się przyjaciele.

Ale to naprawdę był on. Miał MAG-a przewieszzonego przez ramię, poznałem od razu te szerokie ramiona i energiczny chód. Przez parę chwil dźwięk znajomych kroków rozbrzmiewał echem na schodach, a potem wyłonił się na tle zachodzącego słońca, które rozświetlało od tyłu jego włosy, nadając mu niemal boski wygląd.

– Wiedziałem! – krzyknął i rzucił się biegiem ku mnie. – Wiedziałem, że cię tu znajdę! Mówiłem chłopakom, że zaraz poznają mojego najlepszego przyjaciela! – Zmiażdżył mnie w uścisku, po czym przedstawił żołnierzom, którzy przybyli razem z nim, żeby nas złuzować. Podali mi kolejno rękę i z tych uściśnień dłoni wyczułem, że jako przyjaciel Amichaja zyskuje u nich dużo punktów.

– Niesamowite! – cieszył się dalej Amichaj. – Kto by pomyślał, że uda nam się spotkać. Churchill i Ofir nie uwierzą. Choć, zrobmy sobie zdjęcie, żeby był dowód.

– Frid, rusz dupę, czekamy na ciebie! – wołali z dołu żołnierze z mojego oddziału. Ale nagle przestali mnie obchodzić. Wraz z przybyciem Amichaja poczułem się na powrót człowiekiem.

Zdjęcie wygląda jak jedna z tych reklam „przed i po”, tyle że w tym przypadku to „po” wygląda koszmarnie. Nieogolony. Zmęczony. Z niebieską plamą atramentu koło kieszeni na piersi. Kaprawy wzrok. A „przed”, czyli Amichaj, prezentuje się doskonale: w czystym mundurze, z wyposażeniem lśniącym nowością, śmiało spogląda w obiektyw.

Nie znam się na fotografii, ale sądzę, że ze wszystkich zdjęć w albumie to jedno miałoby szansę trafić na jakąś wystawę czy do galerii. Ze względu na miękkie światło tuż

po zachodzie i bijący w oczy, choć wówczas przez nas niedostrzegany, kontrast między mną a Amichajem. A także ze względu na tło: w kadrze przypadkiem znalazł się pięcioletni palestyński chłopiec, który obserwował nas z sąsiedniego dachu.

Po zrobieniu zdjęcia Amichaj przekazał mi list od Churchilla i drugi raz mnie objął.

– Zjawiłeś się w samą porę, stary – szepnąłem mu do ucha. – Miałem już naprawdę dosyć. Bardzo się cieszę, że to akurat ty przyjechałeś, bo ty najlepiej potrafisz mi uświadomić, że jest jeszcze dobro na tym świecie.

(A może wcale mu tego nie powiedziałem i tylko teraz, pisząc to, wymyślam, co dobrze byłoby wtedy powiedzieć).

Zszedłszy z dachu, przyłączyłem się do pozostałych, którzy czekali na mnie na ulicy. Ściemniło się, a mieliśmy przed sobą przerażającą podróż w ciemności do bazy, gdzie stacjonował nasz batalion.

– Skąd on cię zna, ten gość z MAG-iem? – spytał mnie któryś z chłopaków, gdy transporter ruszył.

– Amichaj? To mój przyjaciel z cywila.

Chyba wtedy po raz pierwszy z całą odpowiedzialnością nazwałem go przyjacielem.

Nasza przyjaźń nie zrodziła się w jednym momencie, jak z Churchillem, tylko powstawała przez lata. Stopniowo. Od jednego zdarzenia do kolejnego. Jednym z nich było na przykład to spotkanie w Nablusie. Innym – wizyta w domu u rodziny Amichaja w Ramat Hadar.

Mój pierwszy przyjaciel z lat dziecińczych, Oren Aszkenazy, też mieszkał w Ramat Hadar. Bardzo mu tego zazdrościłem i błagałem rodziców, żebyśmy przeprowadzili się do pustego mieszkania nad ich mieszkaniem.

– Po co mielibyśmy się przeprowadzać do Ramat Hadar? – spytała moja mama z pobłażliwym uśmiechem, a ja tłumaczyłem podniecony:

– Przed blokiem jest wielkie podwórko, na którym można grać w piłkę nożną i frisbee. W każdej klatce schodowej jest winda, która jeździ z takim strasznym gwizdem. Bloki na osiedlu mają po dwanaście pięter i jak się wjedzie na samą górę, to jest się tak wysoko, że czasem widać chmury. To znaczy, chmury są niżej niż ty.

Jadąc tam w odwiedziny do Amichaja, nie byłem już dzieckiem. Rodzina Aszkenazych przeprowadziła się do Ameryki, a ich osiedle wyglądało całkiem inaczej. Budynki były złowrogie: zbyt wielkie, zbyt szare, jak te domy w filmach Kieślowskiego.

Stałem na brzydkim mostku łączącym parking z wejściem do budynku, spojrzałem na osiedlowe podwórko, którym tak się zachwyciałem, i teraz dopiero

spozstrzegłem, że otaczają je wysokie betonowe mury. Nie było stamtąd wyjścia. Jak w więzieniu.

Nie bawiło się ani jedno dziecko. Tylko pośrodku stał staruch w łachmanach i gadał do siebie na głos, choć zbyt cicho, żebym mógł zrozumieć słowa. Czy był tu już i gadał do siebie, gdy bawiliśmy się na tym podwórku jako dzieci? Czy raz zabrał nam piłkę i nie chciał oddać? A może to pamięć płata mi figle?

Postałem jeszcze kilka minut, a potem sięgnąłem do kieszeni po karteczkę z numerem klatki schodowej, w której mieszkała rodzina Tanurich.

Na ścianie w dużym pokoju wisiało ogromne zdjęcie mężczyzny w mundurze. Był to ojciec Amichaja, choć zupełnie niepodobny do syna. Miał jasne włosy i ciemną pewność siebie. Bystry, przebiegły wzrok. Zauważyłem, że w pokoju nie ma innych zdjęć. Wisiały tylko dyplomy i podziękowania z różnych jednostek wojskowych, w których służył: *W uznaniu... W podziękowaniu za... Z życzeniami sukcesów w nowej jednostce... Od kolegów z kompanii... batalionu... dywizji...* Pamiętam, że to nie matka podawała do stołu, tylko Amichaj, i że talerz matki przez cały posiłek był pusty. Miało się wrażenie, że od dawna nic nie jadła i że silniejszy przeciąg mógłby ją wywiać z pokoju razem z krzesłem. Co jakiś czas zerkała na zgaszony ekran telewizora; byłem pewien, że kazała go wyłączyć ze względu na mnie, żebym nie pomyślał, że rodzina Tanurich potrzebuje telewizji, by wspólnie spędzać czas. Bardzo się starała podtrzymać rozmowę. Pytała mnie o szkołę, o drukarnię ojca, o plany, a ja widziałem, ile wysiłku kosztuje ją każde z tych pytań.

Chciałem jakoś pocieszyć tę kobietę o wielkich brązowych oczach, dzięki którym jej piegowata twarz wyglądała trochę jak buzia dziecka. Chciałem nią potrząsnąć. Ocalić ją. (Ja? Dwadzieścia lat od niej młodszy? Ja miałbym ją ocalić?)

Ale tylko odpowiadałem na kolejne pytania.

W pewnym momencie bracia Amichaja zaczęli się bić (może chcieli uwolnić matkę od obowiązku konwersacji z gościem?). Amichaj tolerował to przez kilka chwil a potem rzekł cicho:

– Gaj, Szaj, wystarczy. – A Gaj i Szaj natychmiast przestali i posłusznie usiedli na swoich krzesłach.

Spojrzałem na niego zdumiony. Nie do wiary, że ten sam niepewny siebie, zahukany chłopiec, którym Amichaj był przy nas, i dojrzały mężczyzna obdarzony autorytetem, którego ujrzałem teraz, to jedna i ta sama osoba.

Później, przez pierwszych parę lat od przenosin do Tel Awiwu, przyjaźń powstawała powoli, budowana cegiełka po cegiełce z małych uczynków. Na przykład ilekroć prosiłem

go o pomoc w przeprowadzce, zawsze był do dyspozycji. Nie spóźniał się trzy godziny, jak Ofir. Ani nie próbował, jak Churchill, przekonać mnie, że lepiej wynająć firmę przeprowadzkową, bo to koniec końców i tak wyjdzie taniej.

Ile razy pilnie potrzebna była niania – najczęściej wtedy, gdy Ilana miewała te swoje humory i Amichaj musiał ją „zabrać gdzieś na świeże powietrze” – przyjeżdżałem i czytałem bliźniakom bajki, zmieniałem pieluchy, myślałem z rozrzewnieniem, jak bardzo sam chciałbym mieć dzieci, potem mi przechodziło, gdy tylko zaczynały ryczeć, a potem znów się rozczulałem, kiedy już usnęły.

Raz w tygodniu, pomiędzy jedną a drugą rozmową z potencjalnymi subskrybentami Telemedu, Amichaj wpadał do mnie. Zawsze miał z sobą pyszne ciastka pieczone przez Ilanę. Zawsze sam chciał robić kawę. Zawsze padał na kanapę z tym samym westchnieniem ulgi: a *mechaje*.

Rozmowa, która następowała po kawie, była koszmarnie przewidywalna: opowiadał o jakimś nowym sposobie, dzięki któremu pozbędzie się znamienia na szyi, ja odpowiadałem, że nikt poza nim przecież nie zwraca na to uwagi i że gdyby nie to, że jest żonaty, to mnóstwo kobiet miałoby na niego chętkę. Potem ja opowiadałem o kolejnej nieudanej randce, a on podejrzanie skwapliwie zgadzał się ze mną, że ta dziewczyna i tak nie była warta zachodu. Co pewien czas pojawiały się najnowsze doniesienia o sukcesach akademickich Ilany i wygłupach bliźniaków, narzekania na pracę dla Telemedu, puste słowa o tym, że czas wszystko rzucić i zająć się shiatsu, w kółko te same dywagacje o Makabi Hajfa i reprezentacji Izraela.

Nierzadko przyłapywałem go na spoglądaniu ukradkiem na zegar.

Ale mimo to zawsze się cieszyłem, widząc go przez wizjer w drzwiach tydzień później.

Szerokie ramiona, oczy o ziemistej barwie. I poczucie, że wszystko będzie dobrze.

Po śmierci Ilany odwiedzał mnie dalej. Ale przestał mówić. Skończyły się rozmowy o znamieniu, o Makabi, o reprezentacji. Uściskawszy mnie w progu, przechodził do pokoju, siadał na kanapie i milczał. Z początku próbowałem go zagadywać:

– Chcesz porozmawiać?

– Tak, ale... – powoli zmuszał słowa do opuszczenia ust – ...to boli.

– Napijesz się czegoś?

– Nie.

– Coś do jedzenia?

– Nie, stary, dzięki.

– To... Co mógłbym dla ciebie zrobić?

– Nic. Siedź... Posiedź ze mną.

No to z nim siedziałem. Raz w tygodniu. Na kanapie. Milczeliśmy wspólnie. Na ścianie naprzeciwko wisiała ramka ze zdjęciem naszej czwórki. Na stoliku stały ciastka ze sklepu. Czasem, patrząc w przestrzeń, zaczynałem myśleć o jakimś słowie, na którym utknąłem podczas tłumaczenia, albo o czekach od klientów, które miałem spieniężyć; czasami starałem się skoncentrować i odgadnąć myśli Amichaja albo wysłać mu telepatycznie jakąś własną myśl: „Stary, przestań się obwiniać, nie mogłeś jej zabronić pójścia na ten zabieg, a zresztą nikt nie mógł przewidzieć, co się stanie” albo „Wiesz co, Amichaj, jesteś naprawdę silnym facetem. Każda inna osoba, także ja, nie wytrzymałaby takiego bólu i jak Egeria w *Metamorfozach* zamieniłaby się w źródło”.

Ale bez względu na to, jakie wiadomości mu słałem telepatyczną drogą, po półgodzinie zawsze wstawał z kanapy i ruszał do drzwi. Zazwyczaj po prostu ścisnął mnie i wychodził bez słowa. Tylko raz odwrócił się na chwilę w progu i rzekł:

– Juwal, to zostaje między nami, dobrze?

– Naturalnie – obiecałem, choć nie rozumiałem, co niby ma zostać między nami.

A on, już na klatce schodowej, oparł się o ścianę, uśmiechnął żałośnie i rzekł:

– Jesteś... jesteś przyjacielem.

Gdy dwa tygodnie później otworzył nam drzwi, znamię na szyi niemal całkiem zniknęło. Śmierć Ilany dokonała tego, czego nie zdołały dokonać najrozmaitsze kuracje i zabiegi. Teraz już nie tylko Galilea przestała być widoczna, ale i pustynia Negew, Samaria, Judea – w zasadzie z wyjątkiem tego kawałka równiny Szaron, gdzie leży Tel Awiw, po mapie Izraela, która przez tyle lat podkopywała Amichajową pewność siebie, nie został nawet ślad.

Bardzo schudł. Koszula na nim wisiała, twarz zrobiła się pociągła, uwydatniły się kości policzkowe, co dodawało tragicznej nuty w stylu Jacques'a Breła wszystkiemu, co mówił.

– Mam dwie złe wiadomości – zagaił.

– Przynajmniej nie masz dylematu, od której zacząć – zażartowałem, ale się nie uśmiechnął.

– Zła wiadomość to taka, że nie mamy aktualnie wystarczających funduszy, żeby założyć prawdziwą organizację. Musimy się postarać o dofinansowanie od fundacji. A gorsza wiadomość to ta, że nie mamy prawa występować o dofinansowanie, jeśli nie będziemy organizacją, która umie udowodnić, że jest aktywna.

Ilana patrzyła na nas ze ścianą z gorzką dezaprobatą. To było do przewidzenia – mówił jej wyraz twarzy. – Od początku było jasne, że nic wam się nie uda zdziałać.

– Chyba że – powiedziałem – dotrzemy do prywatnych fundatorów.

– Tylko jak? – zastanawiał się Ofir. – Żaden z nas nie jest Teddym Kollekiem.

– Poprzez Ja'arę – odparłem. – Jej rodzice mieszkali dwanaście lat w Miami i znają tam dużo bogatych Żydów.

– A co konkretnie byśmy powiedzieli tym Żydom, jak się z nimi już spotkamy? – spytał Amichaj.

– To proste. – Ofir zapalił się do pomysłu. – Opowiesz im swoją prawdziwą historię. To zawsze działa. Dodatkowo będzie prezentacja, do której ja napiszę tekst...

– ...a ja przetłumaczę – dokończyłem.

– A co w tej prezentacji? – dopytywał się Amichaj. – To znaczy: o czym by miała opowiadać?

Podrapaliśmy się po głowach. A raczej, każdy z nas podrapał się w tym miejscu, w którym się drapał, gdy był zbity z tropu: ja po policzku, Amichaj po karku, a Ofir po

swoich lokach.

Dlaczego nie ma Churchilla, kiedy go akurat potrzebujemy? – takie pytanie tłuło się nam po głowach. On by wiedział, jak z tych mętnych i ogólnych zarysów zrobić spójny, sensowny plan.

Churchill był zajęty. Zaangażowany w „jeden z najważniejszych procesów w historii Izraela”, jak to ujęła Michaela Raz, znana telewizyjna reporterka sądowa. Od czasu do czasu jego twarz migąła w wiadomościach, a w gazetach z branży finansowej widywaliśmy rysunki przedstawiające go z karykaturalnie dużym nosem.

Trudno się było do niego dodzwonić. A kiedy już odebrał, to albo był właśnie w trakcie czegoś, albo zaraz coś zaczynał. I zawsze pospiesznie kończył rozmowę. Postanowiłem więc zadziałać inaczej: przydybać go w jego biurze, chwycić za fraki i wystosować wezwanie: „Rusz swój corpus delicti, i to migiem. Twój przyjaciel cię potrzebuje”.

Kiedy już trafiłem do prokuratury, po godzinie szukania wejścia, które znalazłem w końcu wciśnięte między dwa ciemne budynki – jakby ktoś się go wstydził czy próbował sprawić, by nie rzucało się w oczy – okazało się, że akurat Churchilla nie ma. Po szczegółowym dochodzeniu ustaliłem, że w tej chwili jest na rozprawie. To mnie nie powstrzymało: czym prędzej udałem się do sądu, który był o kilka ulic od prokuratury. Zdybię Churchilla, gdy będzie wychodził z sali, i powiem, co sądzę o tym, jak traktuje Amichaję.

Nigdy przedtem nie byłem w świątyni sprawiedliwości i przez chwilę po wejściu do głównego hallu, mając nad głową bardzo wysoki sufit, poczułem się winny. Całkiem winny. Nie byłem pewien, jakie popełniłem przestępstwo – może ten mecz w 1990 roku w Nablusie? – ale gdy tak tam stałem, odniosłem wrażenie, że zaraz przyjdzie jakiś prawnik i grzecznie, acz stanowczo poprosi, bym zechciał pójść za nim na przesłuchanie.

Nikt nie przyszedł. Przez hall przewijało się mnóstwo ludzi, na wprost, po przekątnej, zygzakiem. Szli, truchtali, biegli. Niektórzy tak szybko, że bałem się, czy mnie nie staranują. Niektórzy kuśtykali. W zasadzie tych było całkiem sporo. Ktoś szedł o lasce. Ktoś inny kurczowo trzymał się za brzuch. Trzeci włókł za sobą niewładną nogę. Nigdy przedtem nie zwróciłem uwagi na to, jak mało ludzi chodzi wyprostowanych. Niektórzy pchali przed sobą małe wózki, jak na dworcu czy lotnisku, na których leżały teczki (dopiero później w sali sądowej pojąłem, że to normalny sposób przewożenia akt), lecz miejsce wcale się przez to nie kojarzyło z dalekimi podróżami. Przeciwnie, było w nim coś na wskroś swojskiego, izraelskiego. Wyraz twarzy prawników świadczył, że bardzo się spieszą. A z twarzy zwykłych ludzi, pracujących tutaj, lecz niebędących prawnikami, przebijało znajome, izraelskie zgnębienie. Parę metrów ode mnie, nieopodal jednej z wysokich kolumn, stała rzeźba przedstawiająca otwarte dłonie skierowane do nieba. Podszedłem i przeczytałem tytuł rzeźby: *Krzew gorejący*. Prawdę mówiąc, nie widziałem

specjalnego podobieństwa. Nigdy nie myślałem o krzaku jako o czymś, co mogłoby czuć ból. Jakiś człowiek stał obok i wrzeszczał do telefonu komórkowego:

– Straciłem do niego zaufanie! – A potem jeszcze: – Zapłaci mi za to!

Przemknęła mi przez głowę myśl, że mowa o mnie. Że zapłacę za swój grzech pierworodny. Jakaś kobieta, która przeszła za mną z pospiesznym stukotem szpilek o posadzkę, powiedziała:

– Dużo łatwiej byłoby im się przewrócić z brzucha na plecy niż z pleców na brzuch.

O ile się mogłem zorientować, mówiła sama do siebie. Rozejrzałem się i nie wiedziałem, w którą stronę pójść. Gdzie jest moje przesłuchanie? Gdzie znajdę Churchilla? Więc zrobiłem to, co on by zrobił: podszedłem do najładniejszej kobiety w polu widzenia, młodej prawniczki (od razu było widać, że to prawniczka), której bluzka doskonale pasowała do jej czekoladowej cery. Od razu wiedziała, o kogo mi chodzi, i powiedziała, że rozprawa Churchilla odbywa się w sądzie sędziego Dowewa. Czyli w sądzie okręgowym.

– W sądzie okręgowym? Czyli gdzie? – spytałem zaniepokojony. „Okręgowy” przywodziło na myśl szary budynek koło bazy wojskowej Cifrin.

– Na trzecim piętrze, po wyjściu z windy w prawo – uspokoiła mnie.

Churchill nie spostrzegł mojego wejścia do sali sądowej.

Usiadłem cicho pod ścianą w ostatnim rzędzie.

Akurat przemawiał. Jego szerokie plecy wydawały się jeszcze szersze dzięki todze, a rozłożone ręce przypominały skrzydła orła. Próbowałem śledzić wywód. Była mowa o jakimś dokumencie, który, jak twierdził Churchill, był akceptowalny jako dokument, ale nie jako dowód, albo może na odwrót. Po paru minutach zrezygnowałem i zamiast próbować zrozumieć, o co chodzi, skupiłem się na detalach. Obserwowałem, jak Churchill odpowiada i jak ścisza głos, by nadać słowom większą wagę, albo jak powtarza w kółko to samo słowo, albo jak z nagłą pyta retorycznie: „Ale o czym mówimy?”, jak dotyka palcem do języka przed przewróceniem strony (ten gest podpatrzył, musiał podpatrzeć u Ja’ary) i jak niespodziewanie wplata w swoje przemówienie frazy jak „actus reus”, „odpowiedzialność pochodna” czy „a priori”. Nigdy nie słyszałem, żeby używał takich słów, kiedy oglądaliśmy razem mecze, ale teraz wcale nie brzmiał pretensjonalnie ani nie sprawiał wrażenia, że specjalnie stara się używać uczonych zwrotów. W tych eleganckich słowach i gestach widać było spokojną wewnętrzną pewność, która nie pozostawiała adwersarzowi innej możliwości, jak tylko dać się przekonać, a przynajmniej na jeden zgubny moment zwątpić we własną słusność.

Adwokat oskarżonego siedział bardziej z prawej i zbity z tropu drapał się po

podbródka. Chyba zastanawiał się, co począć z tym potopem słów, którym zalewał go Churchill, z tym na poły rozbawionym, na poły protekcyjnym tonem; może żałował, że postanowił zostać prawnikiem, a z pewnością żałował, że nie docenił młodego prokuratora, o którym wszyscy mówili, że jest za smarkaty, żeby poradzić sobie z tak ważną sprawą. Tak pewnie myślała też protokolantka, która ze swojego stanowiska przed stołem sędziowskim zagapiła się przez moment na Churchilla, a zwłaszcza na grę mięśni pod skórą na szyi, gdy mówił. Przez tę chwilę nieuwagi nie zauważyła, że skończył jej się papier w maszynie. Sędzia przywołał ją do porządku i poprosił Churchilla, żeby na moment przerwał, póki protokolantka nie uzupełni papieru, na co Churchill odrzekł:

– Dobrze, wysoki sędzie, naturalnie, wysoki sędzie.

Potem zerknął w tył i nasze oczy się na chwilę spotkały. Na ułamek sekundy. Po czym znów skupił się na swoich aktach. Nie uśmiechnął się, nie przywitał. Oczywiście: nie pozwoliłby, żeby cokolwiek stanęło mu na drodze do celu. Już w liceum wiedział, że chce być prawnikiem. Po pierwszym roku służby wojskowej wystarał się o przeniesienie do bazy wywiadu w Gelilot, żeby mógł szlifować język, pisząc raporty; zapisał się na wieczorowe kursy prawa na Uniwersytecie Otwartym. Podczas gdy my gniliśmy w Nablusie, on odbywał studia licencjackie i zaliczył połowę dziewczyn z kursu plus wykładowczynię. Potem dostał się na wydział prawa Uniwersytetu w Tel Awiwie, tak jak chciał. Ukończył studia z wyróżnieniem, tak jak chciał. Trafił na staż do prokuratury, tak jak chciał. Przeszło mi przez myśl, że to właśnie z powodu tego poczucia misji, a nie tylko z powodu Ja'ary, tak mu w duchu zazdroszczę i patrząc na niego, życzę mu, żeby się potknął, żeby w środku zdania zapomniał języka w gębie.

Teraz z kolei wstał obrońca. Ale nawet podczas jego mowy Churchill nie przestał pracować. Ilekroć z ust adwokata padło coś, z czym Churchill się nie zgadzał, lekceważąco machał ręką. Gdy ten użył trzech obcych słów w jednym zdaniu, Churchill zapytał na głos:

– Czemu nie może pan mówić po hebrajsku? Jesteśmy w izraelskim sądzie. Oskarżony jest Izraelczykiem. Po co tyle tych obcych słów?

Potem na kilka minut dał spokój: przeglądał segregatory, poprawiał togę, dając biednemu adwokatowi nadzieję na spokojne dokończenie przemowy, ale nagle powiedział:

– To, do czego zmierza obrońca oskarżonego, stałoby w jawnej sprzeczności z orzeczeniem w sprawie Państwo Izrael przeciw Aharoniemu, dość podobnej do tej, w której obecnie uczestniczymy.

– Przeciwno Aharoniemu? – powtórzył obrońca, pewnie chcąc zyskać na czasie i przypomnieć sobie tamtą sprawę. Ale Churchill już mówił dalej, wykazywał i dowodził, kpił i nagle poważniał, a wszystko w eleganckiej hebrajszczyźnie, pełnej perełek typu: „bezzasadnie oskarżony”, „zgoła odwrotnie” czy „wedle mojej skromnej opinii”.

Dość daleko ode mnie, w drugim końcu sali, siedział starszy człowiek z bandażem na łysej głowie. Nie wyglądał na kogoś związanego ze sprawą, może przyszedł tu dla przyjemności posłuchania takiego hebrajskiego, jaki znał z młodości, a który przetrwał jedynie wewnątrz murów sądu?

Przez parę chwil zdawało mi się, że również sędzia, patrzący na Churchilla zza okularów w srebrnych oprawkach, napawa się jego mową: wychylił się do przodu z nieznacznym uśmiechem – może Churchill przypominał mu jego samego z młodych lat? – lecz po krótkim czasie, gdy przemówienie przeciągało się coraz bardziej, uśmiech ustąpił miejsca niecierpliwemu tikowi, palce sędziego zaczęły bębnić po pulpicie, aż w końcu wysoki sąd przerwał Churchillowi, mówiąc:

– Panie prokuratorze, zdaje się, że już całkiem dokładnie przedstawił pan swoje argumenty. Chyba mam wystarczające dane, by wydać orzeczenie.

– Wysoki sędzie... Jeśli można... – próbował jeszcze coś powiedzieć obrońca, ale i jego sędzia uciszył, a potem podyktował orzeczenie protokolantce po swojej prawej. Mówił tak cicho, że ledwo go słyszałem, ale ze sposobu, w jaki Churchill splótł dłonie na karku, wiedziałem, że orzeczenie jest po jego myśli, bo zawsze, gdy jest zadowolony, na przykład gdy Makabi Hajfa wygra, splata dłonie na karku właśnie w taki sposób.

Sędzia zarządził przerwę, ale Churchill nie kwapił się do mnie podejść, może okazywanie przyjaźni w sali sądowej byłoby dla niego krępujące, więc tylko dał mi znać wzrokiem, żebyśmy się spotkali na zewnątrz. Prawnicy i klienci zbici w ciasną gromadkę rozprawiali o czymś i ściszyli głosy, gdy ich mijałem. Postanowiłem wypatrzeć jakiś zaciszny kąt, bez kłamstw ani tajemnic, i znalazłem go za automatem z kawą. Churchill po wyjściu z sali skierował kroki prosto w moją stronę, jakby po dziesięciu latach przyjaźni umiał bezbłędnie odgadnąć, które miejsce wybiorę, żeby na niego czekać. Objął mnie, co nie zdarzyło mu się od dwóch lat. Od czasu historii z Ja'arą tylko kiwał mi głową na przywitanie, a kiedy kilka razy podchodził do mnie z taką miną, jakby chciał mnie objąć, odsuwałem się. Ale teraz musiał wiedzieć, że na jego własnym terenie nie będę umiał mu się sprzeciwić. I zresztą, prawdę mówiąc, odwzajemniłem uścisk, choć nie równie mocno, tym bardziej że prawa ręka zaplątała mi się w jego togę, więc nie mogłem go przytulić w pełnym tego słowa znaczeniu.

– Widziałeś? – spytał, gdy już się rozdzieliliśmy. – Widziałeś, jak go zagiąłem tamtą sprawą Izrael przeciw Aharoniemu? To go całkiem zbiło z tropu.

– Widziałem. – I z ociąganiem dodałem: – Super.

Churchill zaplótł dłonie na karku i rzekł:

– Ale to, co widziałeś, to tylko jedna wygrana bitwa w długiej wojnie. A oskarżony nie jest jakimś gnojkiem, tylko wpływowym człowiekiem. Bogatym i umocowanym. Dlatego to takie ważne, żeby go przyszpilić. Bo jeśli go pokonamy, to będzie oznaczało

prawdziwą zmianę. Każdy się poważnie zastanowi, zanim da się przekupić seksem, bo pomyśli sobie: „Jeśli dobrali się nawet do takiej grubej ryby, to trzeba uważać”.

– Wtedy osiągniesz dokładnie to, co chciałeś.

– W sensie?

– To było jedno z życzeń, które zapisałeś na swojej karteczce: że chcesz dostać dużą sprawę, której wynik przełoży się na ważną zmianę w społeczeństwie.

– Ach, no tak – odparł z udawanym zastanowieniem, jak gdyby całkiem zapomniał o swoich życzeniach. Tylko że nie był świadom, co ja wiem od Ja'ary: że ani na sekundę nie przestał o nich myśleć.

– A tak w ogóle, to co cię sprowadza? – spytał nagle.

– W czwartek spotykamy się u Amichaja, żeby rozmawiać o tej organizacji non profit.

– No i?

– No i zrób to, co należy, przyjdź chociaż na pół godziny.

– Wierz mi albo nie, ale nie mam pół godziny. Nie mam nawet kwadransa.

Spomiędzy chmur nagle przebił się promień światła, wpadł przez duże okno i zaświecił mu prosto w oczy, tak że Churchill musiał osłonić je dłońmi.

– Nie masz kwadransa dla przyjaciela?

Opuścił dłonie i splótł je na brzuchu. Potem zwiesił wzdłuż ciała. Potem znów splótł na brzuchu.

– Będę z tobą szczerzy, Frid. Lekarze w szpitalach może i nie są aniołami, ale za ich pracę należy im się szacunek. Kim jesteśmy, żebyśmy mieli prawo wchodzić im w drogę? A zresztą generalnie nie jestem entuzjastą tej całej mody na organizacje pozarządowe. Moim zdaniem to jest załatwianie spraw od dupy strony. W normalnym, sprawnie działającym kraju tego typu problemami powinny się zajmować instytucje państwowe. Dlaczego miałyby się w to wtrącać organizacje pozarządowe? To tylko dodatkowo pogłębia istniejące nieprawidłowości.

„Sprawnie czy niesprawnie działającym, co za różnica?!”, miałem ochotę krzyknąć. „Przyjaciel cię potrzebuje! Nie pamiętasz już, jak przed pójściem do wojska rozdałeś nam te żartobliwe oświadczenia, napisane w mieszance żargonu prawniczego i slangu kibiców, że nawet w wojsku pozostaniemy przyjaciółmi i zrobimy wszystko, by nie stracić kontaktu? Co się stało? Zmieniłeś zdanie?”

Ale zanim zdążyłem wydusić choć słowo, Churchill powiedział, że już musi wracać do sali sądowej i że zadzwoni wieczorem.

Czekałem na ten telefon, jak się czeka na telefon od dziewczyny. Położyłem komórkę w zasięgu ręki, żeby na pewno zdążyć odebrać. Zabrałem ją ze sobą do łazienki, jak szedłem pod prysznic. I do ubikacji. I do łóżka.

Nie zadzwonił.

No to spotykaliśmy się bez Churchilla. Najpierw raz na dwa tygodnie, potem, gdy sprawy nabrały rozpędu – raz na tydzień. W dużym pokoju u Amichaja, pod dużym zdjęciem Ilany.

Co jakiś czas Amichaj przestawał kontaktować i wpatrywał się długo w tę fotografię. A my mówiliśmy dalej i czekaliśmy, aż będzie gotowy znów włączyć się do rozmowy.

Co jakiś czas także ja i Ofir zerkaliśmy na Ilanę, prosząc ją o aprobatę dla tej czy innej decyzji.

Na początku wymyśliliśmy nazwę organizacji: Mamy Prawo (Ofir proponował coś bardziej prowokacyjnego, jak Anty-Lekarz czy To Moje Ciało, ale zdecydowaliśmy, przy milczącym poparciu Ilany, że postawimy na przekaz pozytywny).

Potem napisaliśmy krótką charakterystykę: organizacja non profit chroniąca prawa pacjentów w państwowej służbie zdrowia.

A później, po kilku niezapowiedzianych wizytach w szpitalach i po przyjrzeniu się podobnym organizacjom za granicą, nakreśliliśmy strukturę:

Dział Mediacji – będzie miał swoich przedstawicieli we wszystkich izbach przyjęć w kraju.

Dział Edukacyjny – będzie się zajmował propagowaniem praw człowieka wśród lekarzy i pacjentów.

Dział Prawny – będzie zapewniał ochronę prawną pacjentom, których prawa zostały naruszone.

Amichaj proponował, żeby stworzyć jeszcze Dział Praw Lekarza. Bo wszystkie problemy biorą się stąd, że lekarze pracują w nieludzkich warunkach. Czy można oczekiwać od osoby, która spała godzinę w ciągu doby, że będzie się pochylać nad prawami pacjenta?

Ofir stanowczo się temu sprzeciwił:

– To zaciemnia przekaz. Ludzie są w stanie przyswoić podczas kampanii jeden komunikat. Jeśli wciśniemy więcej, to nie zrozumieją, czego tak naprawdę chcemy.

– Czemu mówisz o tym „kampania”? To nie jest żadna kampania – odparł ze złością Amichaj. – Przestań odstawiać specjały od reklamy, nie sprzedajemy coca-coli.

– Nieważne – upierał się Ofir. – Nie dasz rady rozwiązać wszystkich problemów świata. Może jeszcze zrobimy osobny dział praw kobiet i osobny do regulacji cen w szpitalnych kawiarniach?

Po tygodniu wciąż się nie pogodzili, mało tego, odwołali swoje cotygodniowe mecze squasha.

Co wtorek o dziesiątej na korcie numer dwa w uniwersyteckim ośrodku sportowym złani potem odbijali czarną piłkę od ściany. Przy okazji objali się o siebie niechcący lub wręcz celowo.

A potem siadali na ławkach, skąd mieli widok na korty, pili wodę (Ofir) i czekoladowe mleko z automatu (Amichaj), patrzyli na studentki wracające z aerobiku i dyskutowali o tym, które są fajne, a które nie.

I dyskutowali, czy dom lepiej kupić, czy wynajmować.

Czy bieganie po asfalcie jest złe dla stóp, czy nie.

Czy chłopiec, którego kiedyś porwali ultraortodoksi, nazywał się Jos'ele Szumacher, czy Jos'ele Curbacher.

Amichaj z Ofirem nigdy w żadnej sprawie się nie zgadzali. A jeśli, nie daj Boże, rozmowa doszła do punktu, kiedy wyglądało na to, że jednak się zgodzą, któryś z nich natychmiast zastrzał stanowisko, żeby utrzymać kontrowersję. Kiedy ich poznałem, byłem pewien, że te nieustanne kłótnie doprowadzą w końcu do zerwania przyjaźni – to wyłącznie kwestia czasu. Lecz mijały lata i pojąłem, że owe dyskusje właśnie cementują ich przyjaźń, a gdy Ilana zmarła, Amichaj poprosił brata, żeby w pierwszej kolejności zadzwonił do Ofira, co jest wymowne, bo decyzje podejmowane w chwilach wielkiej radości lub strasznej rozpaczki pochodzą z serca, nie z głowy. Dzwonisz do osoby, która jest ci najbliższa, do najlepszego przyjaciela, a za takiego Amichaj musiał uważać Ofira; może to dzięki tym ich cotygodniowym meczom squasha, kiedy mogli robić sobie na złość do woli, przekuć napięcie, które między nimi narosło, w zdobywanie kolejnych punktów, w zwycięstwo, w satysfakcję z pokonania osoby, na której widok dostajesz wysypki.

Wtorkowe mecze squasha przetrwały wszystko – nawet to, że Ofir po powrocie z Indii oznajmił, że nie będzie grał w gry, w których zdobywa się punkty, bo idea współzawodnictwa jest matką wszelkiego grzechu. Przetrwały nawet to, że Amichaj zaczął celowo przegrywać, chcąc sam siebie ukarać za śmierć Ilany.

A teraz głupia sprzeczka o Dział Praw Lekarza zagroziła rytuałowi, który wydawał nam się wieczny.

Stracili wentyl bezpieczeństwa, przez który uchodził ich wzajemny gniew. Ze spotkania na spotkanie ich ton stawał się ostrzejszy, coraz bardziej podobny do tego,

którego używali, zanim Ofir przywdział swe białe szaty.

W końcu zeszli na najniższy możliwy poziom w kłótni: zaczęli się uciekać do historycznych uogólnień.

– Twoim problemem zawsze było to – grzmiał Amichaj – że wszystko jest dla ciebie czarno-białe.

– Problemem nazwałbym raczej to – odparował Ofir – że ty zawsze musiałeś dodawać do swoich pomysłów coś, co uniemożliwiało ich realizację.

Słuchałem tego zasmucony. Wiedziałem, że jeszcze chwila i nasza organizacja się rozpadnie, zanim w ogóle ją założymy. A wtedy nic nie będzie trzymało Amichaję w ryzach.

Nie miałem pojęcia, co robić. Zawsze to Churchill umiał położyć kres ich utarczkom: uspokajał ich, czasem strofował i wycofywali się do swoich narożników aż do kolejnej rundy. Ale teraz Churchill był zajęty i nie było nikogo, kto umiałby ich w porę powstrzymać przed stoczeniem się w przepaść gniewu i urazy.

– Mam pomysł – powiedziałem po kolejnej sprzeczce o Dział Praw Lekarza. Amichaj wyszedł na balkon i układał swoje puzzle z Titanikiem, a Ofir pakował papiery do teczki i groził, że wychodzi.

Spojrzeni na mnie sceptycznie.

– A co wy na to... – Zawiesiłem głos, próbując zyskać na czasie i coś wymyślić. – Co wy na to, żeby zamiast Działu zrobić Komórkę Praw Lekarza?

– Jak to? – spytali jednocześnie. Moja propozycja była tak niezrozumiała, że sam nie za bardzo wiedziałem, jak inaczej ją przedstawić.

– Chodzi mi o to, żeby oprócz trzech głównych działów był jeden mniejszy, poboczny, który będzie się zajmował ochronieniem praw lekarzy.

Ofir odstawił teczkę. Amichaj wrócił z balkonu do pokoju, ale nie usiadł.

– Myślę, że jakoś to przełknę – rzekł Ofir, nie podnosząc wzroku.

– No... Nie jest to idealne rozwiązanie... – zaczął Amichaj ostrożnie.

– Potraktuj to jak wstępną deklarację – kułem żelazo, póki gorące. – Kiedy organizacja zacznie działać, wszystko się może pozmieniać.

– Jeśli to będzie tylko wstępna deklaracja, to okay – odparł Amichaj.

Kiedy usunęliśmy tę wielką przeszkodę, droga do realizacji naszego planu stała się otworem. Mogliśmy dać Ja'rze zielone światło, żeby zaczęła nam załatwiać spotkania z potencjalnymi darczyńcami.

Za jej radą zawężiliśmy grupę docelową do osób, które mogłyby czuć się bezpośrednio związane z tematem: niedawno zmarł im ktoś bliski albo, jeszcze lepiej, sami ucierpieli z powodu naruszenia ich praw w instytucjach służby zdrowia. Wśród zamożnych mieszkańców Miami nie było łatwo znaleźć takich, którzy by nam pasowali. Większość leczyła się prywatnie i zarówno oni, jak i ich bliscy byli do lekarzy usposobieni jak najlepiej. Druga trudność wiązała się z istotnym zastrzeżeniem: ewentualny darczyńca musi co jakiś czas przyjeżdżać do Izraela, bo choć Amichaj bardzo by chciał, to nie może wyjechać za granicę i zostawić bliźniaków samych.

Ostatecznie, dzięki dużemu wsparciu ojca Ja'ary, udało się zorganizować ileś spotkań w okolicach święta Pesach.

Ja'ara podyktowała mi przez telefon nazwy hoteli i daty spotkań, a potem ostrzegła:

– Tylko nie róbcie sobie zbyt wielkich nadziei. Ci ludzie doszli do majątku nie dlatego, że rozdawali każdemu naokoło pieniądze.

– I tak zrobiłaś kawał dobrej roboty, dzięki.

– Wiesz, chciałam powiedzieć, że to wszystko, co robicie dla Amichaja, żeby go czymś zająć, to jest bardzo... poruszające.

– Prawdę mówiąc – przyznałem się – nam też to sprawia frajdę. Od czasu tamtego przedstawienia na zakończenie szkoły nie robiliśmy razem nic poza oglądaniem meczów. A w tym, co robimy teraz, jest coś, co łączy. Szkoda, że nie widziałaś Ofira. Tak się cieszy, kiedy z nami siedzi, kombinuje, wymyśla. Widać, jak mu tego brakowało. Szkoda tylko, że Churchill...

– Masz rację, szkoda... – zgodziła się.

– Ile jeszcze czasu będzie trwała ta jego sprawa? – spytałem. – Chyba już powinna się skończyć?

– Żartujesz. To tylko w serialach sprawy się zaczynają i kończą w jednym odcinku. W życiu tak nie jest. Ale i tak – dodała – moim zdaniem to nie w porządku, że wam nie pomaga. Mówiłam mu, że nie wierzę w te jego pierdolety o „sprawnie działającym kraju”.

– I co odpowiedział?

– Nie jestem nawet pewna, czy słuchał. Tak się zaangażował w tę sprawę... Pracuje codziennie do północy, a czasem śpi w biurze, żeby nie tracić czasu na dojazdy.

– I udaje ci się zasnąć? – Pamiętałem, że nienawidzi spać sama. Kiedy zaczęliśmy się spotykać, prawie od razu sprowadziła się do mnie, bo u niej w mieszkaniu przeszkadzały jej „hałasy”.

– Nie – odrzekła. – Wstaję dziesięć razy, bo wydaje mi się, że w mieszkaniu jest włamywacz. Trzymam pod poduszką gaz pieprzowy w spreju, ale od tego jeszcze bardziej

się denerwuję. Czasem zasnę na godzinę, czasem na pół. I ciągle mam ten koszmar, że...

– Ktoś cię goni ulicą z wielkim nożem kuchennym, a ty masz buty, które nie nadają się do biegania. Próbujesz je zdjąć, nie przestając biec, ale nie dajesz rady, więc próbujesz się zmienić w królika, żeby szybciej uciekać, ale nie możesz, a wtedy ten ktoś cię dogania...

– I się budzę. Nie do wiary, że to pamiętasz.

(Wszystko pamiętam, pomyślałem. Nie zapomniałem ani twoich koszmarów, ani tego, że pod drogimi sukienkami nosisz zwykłe bazarowe majtki, ani tego, jaka jesteś napalona ostatniego dnia przed okresem, ani że wyłączasz budzik trzy razy, zanim wstaniesz, ani że twoim zdaniem twoja pupa jest trochę za duża, ale nie zaczniesz diety, bo nie starcza ci determinacji, ani że jesteś zazdrosna o młodszego brata, który z jakiegoś powodu uważa się za inteligentniejszego od ciebie, ani że kiedy uważnie słuchasz, twoje brwi ściągają się w taki charakterystyczny sposób, ani tego, jak wypowiedasz słowo „kooocham”, ani że kiedyś jeden producent, przyjaciel twojego brata, zaoferował ci posadę asystenta reżysera w jednej sztuce, a ty odmówiłaś, mówiąc, że ta sztuka cię nie interesuje, ani że pod twoją pewnością siebie kryje się brak pewności siebie, a pod brakiem pewności siebie tkwi twarde jądro zarozumiałstwa. Pamiętam wszystko, Ja’ara, choć bardzo się starałem zapomnieć).

– Trudno zapomnieć – odparłem – jak ktoś cię budzi dwa razy w tygodniu i opowiada ten sam sen.

– Niesamowite, że nie mogę się od niego uwolnić od dwunastego roku życia. Tyle rzeczy się zmieniło, a ten sen wciąż jest.

– Jak wierny przyjaciel.

– Właśnie. Wiesz, że jesteś jedynym człowiekiem na świecie, który wie, że boję się spać sama?

– A co, wstydzisz się tego?

– Tak. Zresztą ludzie mi nie wierzą. Nie pasuje to do mojego wizerunku. Przyznaj, że cię zaskoczyłam, kiedy ci o tym pierwszy raz powiedziałam.

– Oczywiście, ale jest jednak coś pociągającego w takiej sprzeczności... Pomiędzy tym, jaka jesteś w dzień..., i w nocy. Wszystkie sprzeczności w tobie są pociągające...

– Miło, że tak uważasz.

– „Miło” to sobie możesz mówić do siostry.

– Nie mam siostry.

– Tym gorzej. Mogłaby spać razem z tobą.

– Świnia.

Te ostatnie, obraźliwe słowa nigdy nie padły. Wspominając swoje rozmowy z Ja'arą, mam skłonność, by przedstawiać samego siebie jako dużo bardziej wygadanego i bystrego. A zresztą, czyż każdy z nas nie pisze na nowo swojej historii, gdy opowiada ją innym? Poza tym ten zmyślony fragment nie jest taki znowu odległy od prawdy. Rzeczywiście dużo w tym czasie rozmawialiśmy z Ja'arą. Amichaj i Ofir kazali mi się z nią kontaktować. Trochę się opierałem, ale powiedzieli, że ona ma do mnie słabość. Może poczucie winy. Tak czy siak, warto to wykorzystać dla dobra organizacji.

Dla naszych nocnych rozmów zawsze znalazł się wiarygodny pretekst. Zmiana terminu spotkania. Poufna informacja o potencjalnym darczyńcy, którą powinniśmy mieć na względzie podczas prezentacji (ten jest bardziej lewicowy, tamten bardziej prawicowy. Ten ma słabość do rosyjskich imigrantów, tamten interesuje się Etiopczykami. Ten ma silny akcent z Teksasu i trudno go zrozumieć, a tamten, który koniecznie chce się spotkać w Jerozolimie, jest przyzwyczajony, że ludzie mu potakują i reagują entuzjastycznie na każdy jego pomysł, więc nie wystarczy po każdym jego zdaniu mówić: „oczywiście”, tylko trzeba wołać: „absolutnie tak!”).

– Świetnie. Dobrze wiedzieć, dzięki, świetna robota – mówiłem, zapisując sobie wskazówki Ja'ary w notesiku, a potem rozmowa dryfowała ku innym tematom.

Jak niegdyś, opowiadałem jej o ciekawych artykułach, które aktualnie tłumaczyłem (na przykład o tym, z którego wynikało, że kobiety cztery razy częściej niż mężczyźni cierpią na depresję, a to z powodu różnic w budowie mózgu). I, jak niegdyś, Ja'ara zaraz podsuwała inne interpretacje danych („Różnic w budowie mózgu? Gówna prawda. Po prostu mężczyźni się nie przyznają do depresji. Ani przed sobą, ani tym bardziej przed prowadzącymi badania”).

Jak niegdyś, opowiadała mi o najbardziej absurdalnych sytuacjach podczas spotkań biznesowych, w których uczestniczyła jako wiecznie zbierająca cięgi asystentka swojego ojca. („I wtedy wiceprezes marketingu, który pięć minut wcześniej zmieszał tę strategię z błotem, tłumaczy, że nie ma innego wyjścia” albo „Nie uwierzysz, ale trzy dni siedzieliśmy z konsultantem do spraw zarządzania i próbowaliśmy wykreować wizję firmy. O co w ogóle chodzi? Każdy wie, że jedyna wizja mojego ojca to kasa”).

Tak samo jak niegdyś, wierzyłem jej bez zastrzeżeń, że praca u ojca jest tylko tymczasowym rozwiązaniem, że jak tylko uzbiera wystarczająco dużo odwagi i dziewięćdziesiąt jeden tysięcy dolarów, zrobi to, co zawsze chciała: pojedzie do Londynu.

Inaczej niż niegdyś, nie przerywałem jej co pięć minut, żeby powiedzieć, jak bardzo ją kocham. Jak bardzo wydaje mi się magiczna. Dzięki temu, że rozmawialiśmy przez telefon i że była żoną mojego przyjaciela, tworzył się między nami odpowiedni dystans, który pozwalał mi się z nią drażnić. Naśmiewać się z niej. A nawet być z niej odrobinę niezadowolonym.

Nienawidziłem tych rozmów. I tak bardzo na nie czekałem.

I tyle, tyle razy wyciągałem z szafy jej skarpetkę.

Pierwsza prezentacja organizacji non profit Mamy Prawo odbyła się w Hiltonie. Przy wejściu do hotelu czekała nas mała niespodzianka. Strażnikiem sprawdzającym nasze aktówki okazał się nie kto inny, jak sam Joram Mendelson, szkolny geniusz. Gdy byliśmy w dziewiątej klasie, przenieśli go do dziesiątej. A w połowie pierwszego roku studiów zniknął i mówiono, że przeprowadził się do Jerozolimy, gdzie bierze udział w tajnym projekcie rządowym służącym kształceniu geniuszów. Wszyscy wiedzieliśmy, że pewnego dnia otrzyma Nagrodę Nobla.

I oto stał przed wejściem do hotelu Hilton, z rzadkim wąsikiem, i pytał nas, czy nie wnosimy broni.

– Mendelson! Joram Mendelson!! – zawołaliśmy uradowani, ale on z kamienną twarzą obszukał nas wykrywaczem metali.

– Mendelson, co ty tutaj robisz? – spytał Ofir.

– Pracuję – odparł szorstko.

– Ale... Nie miałeś pracować w Instytucie Weizmanna czy coś takiego?

– Odszedłem. Nie pozwolili mi prowadzić moich badań.

– Nie pozwolili? Czemu?

– Twierdzili, że są niepraktyczne – powiedział z pogardą. – Było do przewidzenia, że coś takiego powiedzą.

– Do przewidzenia?

– Gdybym udowodnił to, co chciałem udowodnić, podważyłbym wszystko, w co wierzą. Wszystkie ich aksjomaty. A ludzie są przecież bardzo przywiązani do swoich aksjomatów.

– A co dokładnie chciałeś udowodnić?

– To skomplikowane. Pracuję nad tym już trzy lata. Dlatego przyszedłem tu do pracy, bo to zajęcie nie angażuje mózgu i nie przeszkadza mi myśleć.

– Ale o czym? O czym tak musisz myśleć?

– Wybaczcie, ale wolę o tym na razie nie mówić.

– Spoko, nie naciskamy. Chociaż... Bardzo jesteśmy ciekawi.

– Naprawdę, przepraszam. – Joram Mendelson wzruszył ramionami, a my wzięliśmy od niego aktówki i już ruszyliśmy, żeby wejść do hotelu, kiedy nagle się odezwał: – No dobra, skoro was to interesuje... Pracuję nad modelem fizyczno-matematycznym, który wyjaśni reinkarnację.

– Reinkarnację?

– Tak jest. – Przejechał palcem po wąsiku, jakby ścierał z niego mleko. – Rozdzielenie świata życia od świata śmierci to aksjomat zachodniego świata. Ale zastanówmy się, jak bardzo śmierć jest od życia nieodłączna, choćby tu, u nas w kraju. Więc może śmierć to po prostu element życia. Przecież w wielu częściach świata wierzy się w reinkarnację. Nie trzeba daleko szukać, pojedźcie do Druzów w Dalijat al-Karmel, to opowiedzą wam historie, od których wasze neurony oszaleją.

– A w Indiach... – zaczął Ofir.

– Nie tylko w Indiach – przerwał mu Joram Mendelson – wszędzie na świecie ludzie mówią o reinkarnacji, a naukowcy do dziś nawet nie spróbowali poważnie podejść do tego zagadnienia. Nie sądzicie, że to podejrzane?

– To więcej niż podejrzane, to spisek – rzekłem, zerkając na zegarek, by dać znać pozostałym, że już czas się pospieszyć.

– Czyli wciąż się przyjaźnicie – rzekł Joram Mendelson, patrząc na nas po kolei (gdy spotykamy ludzi, z którymi chodziliśmy do liceum, zawsze widzimy w ich oczach tę mieszankę zaskoczenia i zazdrości, że po tylu latach pozostaliśmy przyjaciółmi). – Wam to dobrze. Ja nie mam przyjaciół. Miałem, jak pracowałem w instytucie, ale w momencie gdy zacząłem mówić o reinkarnacji, wszyscy odsunęli się ode mnie jak od trędowatego.

– Tak to jest z przyjaciółmi z pracy – powiedział Ofir.

– Nie przejmuj się. – Amichaj położył Joramowi Mendelsonowi dłoń na ramieniu. – Znajdziesz innych przyjaciół.

– Nie w tym wcieleniu, to w następnym – dodałem.

Przez chwilę się nie odzywał, jakby miał się obrazić, ale potem wybuchnął dzikim, niepowstrzymanym, spazmatycznym śmiechem siedemnastolatka.

Pożegnaliśmy się z nim, obiecaliśmy sobie, że „kiedyś trzeba się będzie spotkać”, i weszliśmy do westybulu.

Młody człowiek w krawacie, którym chciał sobie chyba dodać powagi, wyszedł nam na spotkanie i powiedział po angielsku, żebyśmy poczekali kilka minut, aż pan Eisenman poprosi nas do sali konferencyjnej.

– Eisenman? To musi być jakaś... pomyłka... – odezwałem się. – Byliśmy umówieni z panem Goldmanem. – (Lubi młode dziewczyny. Lubi nocne kluby. Chce dostrzec zapał w oczach osoby, która namawia go do udziału w inicjatywie społecznej, więc trzeba w każde zdanie prezentacji wplatać słowa: autentyczne zaangażowanie, z prawdziwej pasji, ze szczerym zapałem).

– Przykro mi, sir, ale to nie pomyłka – odparł młodzieniec pobłażliwym tonem. –

Pan Eisenman wysłucha panów propozycji i przekaże ją do rozważenia panu Goldmanowi.

– Dobrze, oczywiście. Absolutnie tak.

Usiedliśmy w fotelach i podziwialiśmy panoramę morza. Pod stopami mieliśmy mięciutki dywan. Kelnerka Japonka spytała po hebrajsku, czy czegoś się napijemy. Wokół rozbrzmiewała mieszanka obcych języków: angielskiego, francuskiego, niemieckiego, rosyjskiego.

– Nie uważacie, że jak ktoś mówi w innym języku, to wydaje się inteligentniejszy?
– spytał Ofir.

Uśmiechnąłem się, ale Amichaj pozostał poważny. Patrzył przez szybę na stado ptaków lecące w naszą stronę. Może się zastanawiał, czy dusza Ilany nie reinkarnowała w ptaka i czy nie przybywa życzyć nam szczęścia. A może sam chciał się stać ptakiem, przyłączyć do tego stada i odlecieć jak najdalej od własnego życia.

– Nie do wiary, że ludzie z własnej nieprzymuszonej woli ze wszystkich miejsc na świecie wybierają akurat takie brzydkie miasto i decydują się tu spędzić wakacje – zagał znowu Ofir, ale nie mieliśmy już siły mu odpowiadać. Amichaj obserwował ptaki, a ja wyobrażałem sobie, że imponujące żyrandole urywają się i spadają prosto na nas. Już prawie popadłem znowu w swój nastrój pod tytułem „A może by z tym wszystkim skończyć”, gdy zjawił się ten młokos w krawacie i powiedział, że pan Eisenman nas oczekuje.

– Mówmy sobie po imieniu. Jestem Ron – zaczął.

Żaden z nas nie odważył się zwracać do niego po imieniu, ale poza tym wszystko poszło jak z płatka. Najpierw Amichaj powiedział kilka słów, potem Ofir pokazał prezentację w PowerPoincie, zgrabnie wplatając przykłady z własnego doświadczenia i z gazet. Obserwowałem go z boku. Potrząsał czupryną, miał błysk w oczach, a w garniturze – musiałem przyznać – prezentował się znacznie lepiej niż w białych szatach.

Gdy skończył, przyszła moja kolej. Odpowiadałem na pytania i wątpliwości, które zgłosił pan Eisenman. Widziałem, że jest pod wrażeniem mojego angielskiego. Ogólnie miałem poczucie, że pomysł mu się spodobał.

– Więc tak – podsumował. – Uważam, że wasza idea jest ważna. Podziwiam wasze zaangażowanie. Serce mi rośnie, gdy widzę, że w Izraelu są młodzi ludzie, którzy mają jakąś wizję, i jestem przekonany, że należy wesprzeć taką inicjatywę.

Dwie godziny później zadzwoniła Ja'ara z wiadomością, że pan Eisenman postanowił jednak nie przekazywać naszej sprawy swojemu szefowi.

– Ale jak to? – zawołaliśmy. – Przecież był taki...

– Amerykanin – powiedziała Ja'ara tonem znawczyni. – Oni mają całkiem inny styl komunikacji. Tak znaczy nie, a nie znaczy być może. A i to nie zawsze.

– To co teraz? – spytaliśmy.

– Pojutrze macie następne spotkanie. Postarajcie się ulepszyć prezentację. I módlcie się, żeby to zadziało.

Tak zrobiliśmy. Na początku każdego slajdu wstawiliśmy werset z Biblii, by pokazać, że nasza idea jest głęboko zakorzeniona w wartościach judaizmu. Wzięliśmy kamerę wideo i poszliśmy do centrum handlowego nieopodal szpitala, żeby porobić z ludźmi wywiady na temat warunków w służbie zdrowia. Zadbaliśmy, żeby przynajmniej raz w każdym slajdzie pojawiło się słowo „ugruntowanie” lub „utrwalenie” – tę sztuczkę podpatrzyliśmy na stronach internetowych amerykańskich organizacji zajmujących się prawami człowieka.

Uznaliśmy też, że podział zadań podczas pierwszej prezentacji był zbyt sztywny, i wymyśliliśmy inny, który wyglądał bardziej spontanicznie.

Znów znaleźliśmy się w Hiltonie. W drzwiach ponownie przywitał nas Joram Mendelson (i powiedział, że doszedł w swoich badaniach do przełomowego punktu, niedługo o nim, Joramie, usłyszymy i będziemy dumni, że go znamy).

I znów prezentacja udała się wyśmienicie.

I po dwóch godzinach potencjalny darczyńca dał znać Ja'arze, że nie jest zainteresowany.

– Sukinsyn.

– Niech sobie wsadzi te swoje pieniądze.

– Widzieliście, jak wyglądał? Jak Żyd z nazistowskich karykatur.

– Niech no tylko neonaziści przejmą władzę w USA. Zobaczymy, kto kogo będzie błagał o pomoc.

– Chłopaki – Ja'ara próbowała nas pocieszyć – jeszcze parę spotkań przed wami. Nie traćcie ducha.

Nie straciliśmy ducha. Kto? My? Jeździliśmy od hotelu do hotelu, w Tel Awiwie i w Jerozolimie, by za każdym razem w końcu usłyszeć: „nie”. W pewnym momencie, jak myszy w labiryncie, przestaliśmy nawet próbować zrozumieć, co robimy nie tak. Przychodziliśmy regularnie do Amichaja już tylko dlatego, że baliśmy się zostawić go samego.

– Jaki on jest? – spytałem Ja'ary z rezygnacją przed ostatnim spotkaniem.

– Kto?

– Ten człowiek, z którym się spotykamy pojutrze.

– Jest... – zawahała się – nie jest łatwą osobą. Od trzydziestu lat nie dał na nic ani centa. W zeszłym roku zmarła mu żona i teraz likwiduje jeden po drugim wszystkie interesy. Zgodził się z wami spotkać tylko na zasadzie przysługi dla mojego ojca, ale tata mówi, że nie warto na nic liczyć. Dlatego spotkanie z nim umówiłam na końcu.

Dzień przed prezentacją zadzwonił do mnie Amichaj.

– Nie wiem, gdzie jest Noam – wysapał w słuchawkę. – Nie wrócił ze szkoły. Powiedział Nimrodowi, że zostaje w bibliotece i odrobi lekcje, ale bibliotekarka mówi, że wcale go tam nie było.

– Dzwoniłeś na policję?

– Powiedzieli, że minęło za mało czasu, żeby mogli zacząć poszukiwania. Ale teraz... Nie mam pojęcia, gdzie może być... Przecież to jeszcze małe dziecko...

– Będę za pięć minut. – Rozłączyłem się i zawiadomiłem Ofira.

Jadąc do Amichaja, zastanawiałem się, dokąd mógł pójść taki mały chłopiec. W jego wieku ciągle chciałem uciekać z domu. Zaczęło się po tym, jak moja mama chyba poroniła. Do dziś nie mam pewności, czy tak rzeczywiście było. Najpierw przez kilka miesięcy rodzice mówili, że będę miał siostrzyczkę i że ona będzie moją przyjaciółką – a potem nagle mamę zabrano do szpitala z powodu „infekcji gardła”, a gdy wróciła, już więcej nie było mowy o siostrzyczce.

Od tego czasu matka poświęciła się porządkowaniu kolekcji zdjęć rodziny królewskiej, którą odziedziczyła po swojej matce i którą po przyjeździe do Izraela uzupełniała dzięki prenumeracie pism w stylu „Królewskie Romanse” czy „Monarcha przy Pracy”.

Ojciec nie odrywał się od swoich próbnych odbitek drukarskich.

Jako dziecko nic z tego nie rozumiałem. Czuję tylko, że w domu brakuje tlenu, zwłaszcza gdy oboje rodzice byli w tym samym pokoju. Nawet królowa Elżbieta wyglądała, jakby chciała zejść z portretu wiszącego na ścianie w dużym pokoju i uciec do Anglii.

Też chciałem uciec. Nawet wybrałem miejsce: plac zabaw przy ulicy Einsteina. Wymyśliłem sobie przyjaciela i nazwałem go Ofir (czyżby proroczo?), by nie uciekać samemu. Ale najpierw Ofir nie chciał ze mną iść i zanim zdołałem go przekonać, cała odwaga, żeby spakować plecak, wyjść z domu i schować się za karuzelą, jak planowałem, gdzieś się ulotniła. A za to dostałem pierwszego ataku astmy.

– Jest tu w okolicy plac zabaw? – spytałem Amichaja, gdy dotarłem na miejsce.

– Plac zabaw? W środku Tel Awiwu? Jest jeden na ulicy Karmija, ale to daleko. Noam nigdy tam nie był.

– No to poszukajmy w okolicy szkoły – zaproponowałem.

– Już to zrobiłem – odparł Amichaj niecierpliwie. Drżały mu ręce, włosy miał w nieładzie.

– Poszukajmy jeszcze raz. Teraz jest nas dwóch, zaraz dojedzie Ofir. W grupie szuka się całkiem inaczej.

W ciągu długiej minuty, zanim pojawił się Ofir, Amichaj stał w pełnym napięcia milczeniu z palcami splecionymi na brzuchu. Przypomniałem sobie, jak kiedyś, jeszcze za życia Ilany, robiłem za niańkę dla bliźniaków i Noam się obudził. Siedziałem w dużym pokoju i oglądałem powtórkę meczu ligowego, kiedy nagle ujrzałem, że w moją stronę tupta mały człowieczek w piżamie.

– Cześć Noamku, czemu wstałeś?

– Wujku, w pokoju jest lew – powiedział cicho i spokojnie.

– Przyśniło ci się, że w pokoju jest lew? – starałem się przekonać go, że nie ma się czego bać.

– Nie, nie przyśniło mi się. W pokoju naprawdę jest lew. Chodź zobacz.

– Dobrze – powiedziałem i dałem się zaprowadzić do pokoju dzieciennego. Zerknąłem do środka, odwróciłem się i powiedziałem: – Chyba już sobie poszedł.

– Wcale nie. – Noam pokręcił głową. – Nie widać go, bo jest czarny.

– Czarny?

– Tak, to specjalny kamuflaż, żeby nie było go widać w ciemności.

– To może ucieknie, jak zapalimy światło?

– No coś ty, wujku – rzekł z naganą w głosie Noam. – Nie możemy, bo obudzimy Nimroda. On ma bardzo słaby sen.

– Więc co proponujesz? – spytałem, głaszcząc go po głowie.

– Mam świetny pomysł! – rzekł dobrze mi znanym tonem, którym Amichaj zawsze wypowiadał te słowa. – Może obejrzymy razem mecz?

– Jasne – odparłem i zrobiłem mu miejsce na kanapie. Wdrapał się i usiadł obok mnie, a po kilku minutach oglądania jego głowa opadła na moje prawe udo. Oczekałem jeszcze trochę i zaniósłem go do łóżka. Był lekki jak piórko i miał taką miękką piżamę...

Ofir wysiadł z samochodu i podszedł do nas ze zmartwioną miną.

Godzinę później zadzwonili z uniwersytetu. Okazało się, że Noam wsiadł do autobusu do Ramat Awiw, wysiadł na właściwym przystanku, został wpuszczony przez strażnika na teren uczelni, skierował kroki do budynku wydziału psychologii, wszedł na trzecie piętro i zapukał do drzwi gabinetu Ilany.

Najwyraźniej wciąż podejrzewał, że mama nie wraca do domu, bo po prostu została w pracy.

– Nie ma w tym nic nadzwyczajnego. Proszę zauważyć, jak często my, dorośli, nie dopuszczamy do siebie myśli o śmierci – tłumaczyła pani psycholog, która oddała nam Noama. – To, że każdy z bliźniaków zareagował na tę stratę całkiem inaczej, też jest zupełnie normalne – dodała. – Prawdopodobnie każdy z nich ustawia się w opozycji do zachowania brata.

Tej analizy słuchaliśmy tylko ja i Ofir. Amichaj był zbyt podniecony. Cały czas tulił i głaskał Noama, jak gdyby sprawdzał, czy jest zdrow i cały, i w kółko powtarzał:

– Syneczku, syneczku, syneczku.

Kiedy wracaliśmy do miasta, poprosił, żebym to ja prowadził, a sam siadł z tyłu z Noamem i bez przerwy całował go w czoło i w policzek, i mówił:

– Ty i twój braciszek to wszystko, co mam. Mam na świecie tylko ciebie i twojego braciszka. Mamy tylko siebie nawzajem.

Starłem się nie słuchać. Im dłużej mówił, tym bardziej brakowało mi powietrza w płucach. Całe szczęście, że nie mieliśmy daleko, bo chyba dostałbym ataku astmy.

Podjechałem pod ich dom i Amichaj powiedział, że przeprasza, ale jutro raczej nie może przyjść na prezentację. Za dużo wrażeń jak na jeden raz.

Ofir odrzekł, że w takim razie całe spotkanie nie będzie miało sensu.

– Możesz siedzieć i w ogóle się nie odzywać – dodał.

A ja przypomniałem, że pojutrze ten Amerykanin już wyjeżdża z Izraela. Jeśli odwołamy spotkanie, to pozbawimy się ostatniej szansy na zdobycie funduszy.

– Nie wiem – rzekł Amichaj. – Nie wiem, czy dam radę.

Jednak ja nalegałem, dziwiąc się zarazem w duchu, skąd u mnie nagle taka determinacja. Ofira rozumiałem: pomysł z tą organizacją wypłynął w samą porę, akurat w momencie, gdy zaczął czuć znajome swędzenie swoich płaskich stóp i z trudem był w stanie usiedzieć w Michmoret. Ale ja? Nie miałem pojęcia, kiedy zdążyłem się tak w to zaangażować.

– Pamiętasz, jak nas prosiłeś na początku, żebyśmy nie pozwolili ci zrezygnować? – usłyszałem własny głos.

– Właśnie – poparł mnie Ofir. – Teraz nie czas się wycofywać. To byłoby jak płynięcie pod prąd.

Stoją po obu stronach, ledwo sięgając jej do ramion. Ona patrzy w obiektyw swoim przeszywającym spojrzeniem („Ta dziewczyna jest za cwana – powiedziała nam raz Maria. – Jak jej nie dopilnujemy, to zrobi się niegrzeczna”), a oni patrzą na nią. Choć raczej trzeba by powiedzieć, że patrzą w jej stronę. (A może patrzą ukradkiem na siebie nawzajem? Żeby sprawdzić, kto jest bliżej niej?)

Jestem prawie pewien, że ten po prawej to Noam, a po lewej stoi Nimrod. Ale mogę się mylić. Noam ma szersze czoło, ale to widać tylko przy odpowiedniej fryzurze. A na tym zdjęciu na obu główkach są świąteczne wieńce z liści.

Amichaj zrobił to zdjęcie podczas ostatnich urodzin bliźniaków za życia Ilany. Obaj w tym czasie subtelnie i nieśmiało adorowali córkę Marii. Po śmierci matki, jakby uwolnieni od jakichś wewnętrznych hamulców, rozpoczęli otwartą wojnę o względy swojej ukochanej. Przedtem obserwowaliśmy całą trójkę z rozbawieniem (ach, te dziecięce miłości), ale teraz zaczęliśmy się niepokoić (czy możliwe, żeby dziecięca miłość była tak silna?).

Kiedy Noam wrócił ze swojej eskapady na uniwersytet, Nimrod był niezadowolony:

– Ale z ciebie dzieciak. Zrobiłeś to, żeby zwrócić na siebie uwagę.

I było jasne, czyją uwagę ma na myśli.

Kiedy Nimrod brat udział w zawodach judo, Noam siedział z nią na trybunach i próbował zgasić jej entuzjazm:

– On jest największy w swojej grupie wiekowej, dlatego potrafi wszystkich pokonać.

Popisywali się przed nią, konkurując w najdziwniejszych dziedzinach: kto zapamięta dziewięciocyfrową liczbę? A dziesięciocyfrową? Kto dłużej wstrzyma oddech? Kto zje więcej truskawek i się nie zrzyga?

A ona sędziowała. Ogłaszała, kto zwyciężył. Ale odwlekała najważniejszą, najbardziej brzemiennej w skutki decyzję.

– Zachowujesz się podle – zganiła ją raz Maria po powrocie do domu (Ofir relacjonował nam tę sytuację tonem ojca opowiadającego o swojej córce).

– Ale dlaczego, mamó? – spytała dziewczynka, poprawiając niesforny kosmyk włosów, który wysunął się z blond koczka na czubku głowy.

– Bo sprawia ci taką przyjemność, że obaj walczą o twoją uwagę, ale nie

przejmujesz się tym, że obu ranisz.

– Ale mam, ja naprawdę kocham obu. Naprawdę!

– Może ma rację. Gdzie jest powiedziane, że można kochać tylko jedną osobę? – zakończył Ofir refleksyjnie, a Ja'ara posłała mi ukradkowe spojrzenie (choć może tylko sobie to wyobraziłem?).

Koniec końców Amichaj przyszedł na spotkanie.

Nieogolony. W starych trampkach.

Zanim weszliśmy, poprosił, żebyśmy to my poprowadzili prezentację, bo on jeszcze od wczoraj nie ochłonął. Ale w tej samej chwili, gdy Ofir wyświetlił pierwszy slajd, przerwał mu:

– Dosyć – rzekł. – Nie mogę już patrzeć na te slajdy. Proszę posłuchać – zwrócił się do zaskoczonego milionera i zaczął opowiadać o Hanie.

Wymieniliśmy z Ofirem przerażone spojrzenia. Mieliśmy nadzieję, że chociaż wytłumaczy, co Ilana ma wspólnego z naszą organizacją. Ale nie. Po prostu o niej opowiadał. O tym, jak raz w wojsku wszedł do biura, gdzie było pełno roześmianych dziewczyn, a jedna siedziała z boku z wyliniałym kotem na kolanach. O tym, że w tej samej chwili jego serce zaczęło bić dla tej jednej kobiety, choć dopiero po trzech miesiącach zebrał się na odwagę, żeby z nią porozmawiać. Poprosił o jakiś formularz. Trochę później poprosił o jakiś inny formularz. A potem spytał, czy nie poszłaby z nim do stołówki na kawę i batonika. I okazało się, że ona też się w nim skrycie durzyła, i to już od trzech miesięcy. Za to właśnie ją kochał: że pod zimną, płaczącą powierzchnią kryją się podskórne gorące źródła, o których wiedział tylko on. Tylko on i bezdomne koty. A potem tylko on i jej najslabsi studenci. A potem tylko on i Palestyńczycy na punktach kontrolnych. Cała reszta świata – jego rodzina i przyjaciele – widzieli w niej tylko jeszcze jedną ponurą i przygnębiającą dziewczynę. Jego matka przed ślubem ostrzegła go: „Zastanów się bardzo poważnie, co robisz. Jeżeli już teraz jest taka, to co będzie, jak po urodzeniu dziecka zaczną jej szaleć hormony?”. Ale się nie przejął. Nic go nie obchodziło, że żeni się jako pierwszy spośród wszystkich przyjaciół. Że jako pierwszy zostaje ojcem. Nie obchodziło go, że Ilana naprawdę cierpiała na lekką depresję, a to oznaczało, że brał na siebie zadanie tchnięcia radości w ich związek. Że skazywał się na dożywotni strach, czy któregoś dnia po powrocie do domu nie zobaczy, że się poddała.

– Czy wie pan, jakie to uczucie wracać co dzień do domu ze strachem, czy nie znajdę żony wiszącej na sznurze albo leżącej koło opakowania po lekach? – spytał milionera.

Patrzyłem na niego i pomyślałem, ile razy przez ostatnie miesiące przychodził do mnie, siadał milcząco na kanapie i nie wspominał ani słowem o tym wszystkim, o czym

teraz mówił.

Milioner nie odpowiedział na pytanie. Wyraz jego twarzy nie zdradzał nic – nie wiedzieliśmy, czy jest zaskoczony, zaintrygowany, czy może czeka niecierpliwie, aż Amichaj skończy paplać.

A ten gadał.

– Dopiero gdy urodziły się bliźniaki, poczułem ulgę, bo Ilana była nimi tak zaabsorbowana, że nie było mowy, by się teraz poddała. Nie zazdrościłem, że zwycięża w rodzicielskiej rywalizacji o przywiązanie dzieci, nie przejmowałem się, że kochają ją troszkę bardziej niż mnie, najważniejsze, że jest szczęśliwa. Bo gdyby nie była, to i ja bym nie mógł. Ze względu na dzieci pogodziłem się nawet z tym, że może przyjdzie mi zrezygnować z marzeń. Wie pan, zawsze chciałem zająć się medycyną alternatywną. Trzy lata temu, podczas Pucharu Świata, każdy z nas napisał... Dobrze, nie będę teraz o tym opowiadał. Chciałem tylko powiedzieć, że byłem gotów porzucić swoje marzenia. Harowałem jak wół, żeby starczyło na pieluchy, a potem wracałem do domu i harowałem jako ojciec. Nie przejmowałem się, bo wieczorem kładliśmy się razem do łóżka i rozmawialiśmy, choćby przez kilka minut. I mądrość mojej żony rzucała nowe światło na wszystko, co przydarzyło mi się tego dnia. A teraz? Kładę się do łóżka sam. Nic nie ma sensu. Nic.

Amichaj umilkł. Jak gdyby nagle stwierdził, że skoro nic nie ma sensu, to nie ma sensu mówić dalej.

Milioner spojrział na zegarek. Był opalonym, niskim człowieczkiem, niższym nawet ode mnie, miał idealnie okrągłą twarz. Twarz kogoś, kto dużo się uśmiecha. Ale przy nas nie uśmiechnął się ani razu.

Ofir porozumiał się ze mną wzrokiem, włączyliśmy prezentację i wyjaśniliśmy, czym by się miała zajmować nasza organizacja. I dlaczego chcemy ją założyć.

Podczas prezentacji milioner dwa razy zerkał na zegarek. Doszliśmy do pytań, ale żadnych nie miał.

– Czy jest coś jeszcze, czego chciałby się pan dowiedzieć? – próbowałem pociągnąć go za język.

– Nie, dziękuję – odparł, podnosząc się.

– To moja wina, wszystko popsułem – przepraszał nas Amichaj po wyjściu z hotelu.

– Nic nie popsuleś – starałem się go pocieszyć.

– Powiedziałaś to, co naprawdę czujesz – dodał Ofir.

– Tak, ale niewłaściwej osobie – rzekł Amichaj strapiiony. – Od słuchania takich

monologów jest psycholog.

– Kto wie – zażartowałem – może jest psychologiem?

– Za bardzo opalony – rzucił Ofir tonem znawcy.

Amichaj milczał. Nawet się nie uśmiechnął. Patrzył przez chwilę na stado ptaków lecące na południe w kluczu przypominającym znak zapytania, a potem się odezwał:

– Jesteście takimi kochanymi kumplami. Przykro mi, że zmarnowaliście tyle wysiłku na stworzenie tej prezentacji...

– Nie wygłupiaj się – nie dałem mu dokończyć. – I tak nie miałem nic lepszego do roboty.

– Mój nauczyciel w Indiach mawiał, że dobra energia nigdy nie idzie na marne. – Ofir położył Amichajowi dłoń na ramieniu. – Co powiecie na długi spacer brzegiem morza?

– Świetny pomysł – odparłem. – Nigdzie mi się nie spieszy.

– A mnie się wszędzie spieszy – rzekł Amichaj cierpko i spojrzął na zegarek, ale zgodził się kawałek z nami przejść. Wiał silny wiatr, który wydymał żagle jachtów, wprawiał czerwone flagi w szalony łopot, kazał tańczyć w powietrzu starym ulotkom, spieniał fale, przewracał kartki w książce czytanej przez starszą panią na ławce, a także w książce, którą czytał filipiński opiekun staruszki; wdzierał się pod mankiety naszych eleganckich koszul, które włożyliśmy, idąc na spotkanie, wciskał się do nosów, ust i uszu. Dlatego z początku szliśmy w milczeniu, bo i tak każde pytanie czy odpowiedź zostałyby porwane przez wiatr. Dopiero koło wieżowca Opera zrobiło się trochę zaciszniej, można było już iść w miarę normalnie, każdy krok przestał być walką. Amichaj nagle się odezwał:

– Całkiem przyjemny ten deptak.

A wtedy Ofir, który od powrotu z Indii nie dał nikomu powiedzieć ani pół dobrego słowa o Tel Awiwie, zaczął narzekać, że to bez sensu, że tuż obok jest ulica, w dodatku cała plaża została wybetonowana i zastawiona sklepami. A to wszystko dobrze obrazuje sytuację miasta, które nie ma żadnej głębi, wszystko w nim jest takie wyeksponowane, brak tu prywatności, a to z kolei przekłada się na słabe i krótkotrwałe więzi międzyludzkie.

– Weźmy choćby nas. Mieszkamy tu tyle lat, było tyle okazji do zawarcia nowych przyjaźni, a my kisimy się w swoim...

– Usiądźmy na chwilę przy fontannie – zaproponował Amichaj, a ja błagałem niebiosy, żeby Ofir zamknął gębę, bo słyszałem, jak Amichajowi drżał głos, i podejrzewałem, że jest już u kresu wytrzymałości. Ale kiedy przeszliśmy przez ulicę, Ofir wskazał na nowy lokal Pita Abulafii, mówiąc:

– Widzicie? Z powodu intifady ludzie się boją jeździć do Jaffy, do tej pierwszej piekarni, więc specjalnie tutaj otwarto filię, żebyśmy, broń Boże, nie musieli patrzeć na Arabów w Jaffie, bo Arabowie są nefajni, mam rację?

Usiedliśmy na murku fontanny, ale nawet kojący szmer wody nie uspokoił Ofira, który zatkał nos, mówiąc:

– Jaki smród, po co pakują tyle chloru do tej wody? – A potem wskazał na plac za naszymi plecami i dodał: – Widzicie, ile tu jest gabinetów masażu i domów gry? Jak w schyłkowym okresie imperium rzymskiego. A spójrzcie na wejście do centrum handlowego. Co to za posągi ludzi z akordeonami? Dlaczego wiszą wzdłuż kolumn głowami w dół? Co artysta chciał przez to powiedzieć? Że każdy, kto spojrzy na ten budynek, będzie chciał popełnić samobójstwo? W Kopenhadze to by było nie do pomyślenia. Duńczycy zatrudniają do takich projektów najlepszych artystów, zamiast pokazywać taką tandetę jak tutaj.

– Ofir, ale ty przecież nie byłeś w Kopenhadze – wtrąciłem się, próbując powstrzymać tę filipikę głównie ze względu na Amichaję, który z każdym słowem Ofira zdawał się bardziej przybity i miałem wrażenie, że jego coraz bardziej zgarbiony grzbiet może w każdej sekundzie trzasnąć.

– To nie ma nic do rzeczy – Ofir nie dawał się uciszyć – wystarczy popatrzeć na zdjęcia Kopenhagi, żeby zrozumieć, jak należy planować duże miasto. Na pewno nie tak jak to, pozszywane z...

– Na razie – powiedział niespodziewanie Amichaj i ani się obejrzelśmy, jak przeszedł przez ulicę i wrócił na plażę.

Ruszyliśmy za nim i wbiegliśmy na plażę akurat w momencie, gdy zdążył zdjąć ubranie i w samych majtkach rzucił się w zimne, wzburzone fale.

– Zadowolony? – wrzasnąłem na Ofira. – Amichaj skoczył do morza, bo nie mógł już słuchać twojego kretyńskiego mendzenia.

– Ale co jest złego w zimnym morzu? – odparł Ofir cicho. – Nie wiem, czy wiesz, ale w Kopenhadze ludzie kąpią się zimą w lodowatej wodzie. Podobno to nawet lepsze od medytacji.

Machnąłem ręką z irytacją i odszedłem. On w odpowiedzi zamachał dłońmi w powietrzu, potem opuścił je na biodra i zaczął wykonywać powolne, spokojne ćwiczenia tai-chi.

Mój ojciec też lubił się kąpać zimą. Taki bzik, który całkiem nie pasował do tego człowieka w całości pochłoniętego pracą. Wypływał daleko, na głęboką wodę, na spokojniejsze morze, z dala od przybrzeżnych fal. Czekałem na niego na plaży. Matka nie

chciała pływać razem z nim, bo „Trzeba być masochistą, żeby się kąpać przy takiej pogodzie”, i dziwiła się, czemu koniecznie chcę iść z ojcem. „Po co, Juwalku? Przecież i tak nigdy nie wchodzisz do morza” – perswadowała mi i próbowała mnie namówić na wspólne oglądanie serialu dokumentalnego o rodzinie królewskiej na kanale Middle East TV. Nie rozumiała, że tam, na plaży, czeka mnie obowiązek. Udawałem, że jestem czymś zajęty, że buduję zamki z piasku albo się gimnastykuję, ale naprawdę obserwowałem ojca. Wypatrywałem jego głowy, patrzyłem, jak coraz bardziej się oddala od brzegu, znikając między falami i pojawiając się znowu. Czasem znikła na dłużej i wtedy stałem boso na zimnym piasku i zastanawiałem się, czy już biec po pomoc do straży przybrzeżnej, i wyobrażałem sobie, jak fale wyrzucają jego ciało na brzeg i wszyscy mnie obwiniają, że stałem beczynnym, bo tak naprawdę, w głębi serca chciałem, żeby umarł. W końcu zawsze wychodził, mokry i zadowolony, brał ode mnie swoje grube okulary i ręcznik i mówił:

– Nie ma nic bardziej orzeźwiającego niż taka kąpiel! Żałuj, żeś się nie dał namówić, synu.

Tak samo teraz przez kilka minut śledziłem wzrokiem głowę Amichaja, jak znika i znów się pojawia, aż w końcu zniknęła na dobre.

– Stary – dotknąłem ramienia Ofira – nie widzę Amichaja.

Ofir, nie przerywając ćwiczeń tai-chi, odparł:

– Martwisz się na wyrost. Amichaj Tanuri jest silniejszy niż wszystkie fale razem wzięte.

A ty jesteś gorszym idiotą niż wszystkie meduzy razem wzięte, pomyślałem. Sam przecież mówiłeś, że jeśli Amichajowi cokolwiek się stanie, nigdy sobie tego nie wybaczymy. Czemu nagle zmieniłeś zdanie?

Już się rozbierałem, gotów rzucić się w fale i ratować Amichaja, gdy koło nas zatrzymał się dziup strażnicy miejskiej i z głośnika huknął nieznoszący sprzeciwu głos:

– Wszyscy wyjść z wody. Wszyscy wyjść z wody. Morze jest zanieczyszczone z powodu awarii oczyszczalni ścieków. Powtarzam: morze jest zanieczyszczone z powodu awarii oczyszczalni ścieków. Wszyscy wyjść z wody.

Po chwili Amichaj wyszedł na brzeg. Ruszył nonszalanckim krokiem w naszą stronę, a gdy był mniej więcej metr od nas, odezwał się, idealnie naśladując Ofira, jego nosowy głos i sposób trzymania rąk:

– Słyszeliście to? Słyszeliście, co powiedział ten strażnik miejski? W Kopenhadze byłoby to nie do pomyślenia.

Ofir roześmiał się, słysząc tę parodię, a ja pomyślałem, że pierwszy raz od powrotu z Indii widzę go śmiejącego się z siebie i że jeśli ktoś nie stracił tej umiejętności, to

jeszcze jest dla niego nadzieja.

Amichaj wytarł się podkoszulkiem, włożył ubranie i ruszyliśmy z powrotem.

Tym razem szliśmy z wiatrem, który popychał nas jak latawce. (Gdy byłem mały, ojciec często mówił o mnie „latawiec”. Ile razy odleciałem za daleko swoimi myślami, pociągał za cienką, niewidoczną żyłkę i przydzielał mi jakąś wymyśloną naprędce pracę: umocować nogę od stołu, która wcale się nie chybotwała, umyć czysty samochód, rozebrać i złożyć sprawny zegar zdjęty ze ściany).

– I tak w końcu nam się uda z tą organizacją – odezwał się Amichaj, gdy podchodziliśmy do auta Ofira. – Myślałem o tym, kiedy pływałem, i mówię wam: w końcu odniesiemy sukces.

Popatrzyliśmy po sobie z Ofirem w milczeniu.

Amichaj skulił się z zimna, bo powiał mocniejszy wiatr.

– A... A jeśli nam się nie uda – dodał szybko – to musimy zacząć znowu się spotykać i oglądać piłkę. Ostatnio trochę to zaniedbaliśmy.

– W środę jest mecz Ligi Mistrzów – przypomniał nam Ofir.

– Kto gra? – Amichaj momentalnie się zainteresował.

– Real z Bayernem.

– Kwalifikacje do grup?

– Żartujesz? Ćwierćfinał!

W środę zadzwoniła Ja'ara z wiadomością, że zaszły nowe okoliczności. Nasz ostatni milioner, ten opalony, zgodnie z przewidywaniami odmówił. Za to pan Goldman, ten, z którego reprezentantem rozmawialiśmy na samym początku, postanowił jednak nas wesprzeć.

– Ale co... Dlaczego nagle zmienił zdanie?

– W zeszły weekend gorzej się poczuł, spędził noc w szpitalu, no i... nieco zrewidował swój punkt widzenia. Ale spokojnie, jeszcze za wcześnie, żeby świętować. Pan Goldman obiecał wspierać inicjatywę przez rok, a potem, jeśli zobaczy, że jesteście poważnymi ludźmi, jest gotów wyłożyć fundusze na kolejne dwa lata. Ale stawia dwa warunki... które, prawdę mówiąc, trochę nam krzyżują plany.

– Jakie to warunki?

– Po pierwsze chce, żeby organizację nazwać na cześć jego matki. To oznacza, że... nie na cześć Ilany.

– Sukinsyn – wyrwało się Ofirowi.

Spojrzelismy na Amichaja. Wiedzielimy, jakie to dla niego wazne, zeby upamietnic Ilane. W naglowku kazdego slajdu prezentacji znajdowala sie nazwa: „Mamy Prawo. Organizacja non profit im. Ilany Abramowic-Tanuri”. Amichaj powoli pokiwal glową, przetrawiając wiadomość, a potem rzekł do telefonu:

– Z tym sobie poradzimy. A drugi warunek?

– Chce to zrobic wspólnie.

– Jak to wspólnie?

– Nie chce być jedynym sponsorem. Chce, zeby wszedł w to jeszcze ktoś. Osoba z obywatelstwem izraelskim.

– Czemu?

– Nie pytałam, zeby go nie spłoszyc.

– Koszmar. I co teraz? Jak my teraz, kurwa, znajdziemy izraelskiego sponsora?

Tydzien później listonosz przyniósł Amichajowi kopertę. W środku był czek. Na bardzo duzą sumę. I kartka:

Amichaj!

Chcę, zebyś wiedział, że nie potrafię przestać o Tobie myśleć, odkąd się spotkaliśmy podczas sziwy. Naprawdę chciałem towarzyszyć Ci, gdy tego potrzebowales, ale zycie jest wielką rzeką o silnym nurcie, który porwał maty kawałeczek drewna, jakim jest Szachar Kohen, i niestety na razie nie mogę przyjechać do Izraela. Lecz przyleciał do mnie ptaszek i przyniósł wiadomość o organizacji, którą chcesz zalozyć, by pomagac ludziom, dla których lekarze są niemili, a ja uważam, że to świetny pomysł, więc załączam ten czek na drobną sumkę, mając nadzieję, że na początek wystarczy. To naprawdę nic wielkiego, po prostu akurat mam trochę wolnej gotówki z zeszłego roku. Lepiej oddać ją przyjacielowi, niż kupować nowe ciuchy, nie?

Pozdrów chłopaków

Szachar

Skąd się dowiedział o naszej organizacji? Nie mam pojęcia. Do dziś tego nie wiem. Kilka tygodni wcześniej kolega z liceum, który wrócił z Berlina, opowiadał, że widział w zoo panterę zaskakująco podobną z pyska do Szachara. Stąd wysnuliśmy oczywisty wniosek, że Szachar Kohen tak długo wędrował po świecie, aż zawędrował do ciała pantery.

Ja'ara przyznała, że nawet się zastanawiała, czy nie zadzwonić do Szachara Kohena, i w tajemnicy przed nami zadzwoniła do ambasady Izraela w Canberze, bo ostatnie wieści od niego przysły właśnie z Australii. Ale w ambasadzie powiedzieli, że nie mają informacji o żadnym izraelskim obywatelu nazwiskiem Szachar Kohen ani Ricardo Luis, który w ciągu ostatnich dziesięciu lat odwiedziłby Australię.

Trzy miesiące później zorganizowaliśmy w Domu Rokach uroczystą inaugurację organizacji non profit Mamy Prawo. Dziennikarze, którzy się zjawili, byli bardziej zainteresowani osobistą tragedią Amichaja niż samą organizacją, ale Ofir powiedział, że dziennikarze tacy są i nie trzeba się przejmować; grunt, że będziemy w mediach.

Ustawiono scenę, na którą wchodziło dużo ludzi i deklarowało, że chcą działać jako wolontariusze. Okazało się, że wielu z nich to byli pracownicy służby zdrowia: osoby, które zwolniono z pracy albo odeszły na emeryturę lub same zachorowały i nagle znalazły się po tej drugiej stronie, w roli ofiar systemu, który same współtworzyły.

Ku naszemu zaskoczeniu jedną z osób deklarujących chęć włączenia się w pracę organizacji był dyrektor pewnego małego szpitala w środkowej części kraju. Placówce ostatnio wytoczono sporo spraw o niegodne traktowanie pacjentów przez personel i cieszyła się tak złą sławą, że ludzie prawie całkiem przestali się tam zgłaszać, więc szpital znalazł się na krawędzi bankructwa.

Dyrektor wziął Amichaja na stronę, objął go ojcowsko-konfidencjonalnym gestem za ramię i odbył z nim krótką rozmowę, podczas której umówili się na spotkanie w sprawie możliwości współpracy.

Gdy wszyscy goście już się rozeszli i zostaliśmy tylko we trzech, próbowaliśmy z Ofirem namówić Amichaja, żeby pójść gdzieś i uczcić ten dzień. A jak nie uczcić, to chociaż się napić. A jak nie, to chociaż gdzieś posiedzieć. Innymi słowy – zrobić coś, na co miałby ochotę.

Stwierdził, że nie jest w nastroju. Przez cały wieczór nie mógł przestać myśleć o Ilanie, a od tych wszystkich wywiadów ogarnęło go przygnębienie.

– Udają, że współczują – mówił o dziennikarzach – ale jak tylko wysą z ciebie wszystko, co się da, kończą wywiad i przestają się tobą interesować.

– Tak to już jest – rzekł Ofir. – Tacy już są dziennikarze.

A Amichaj powiedział, że ma potąd słuchania, że „tak to już jest”. Teraz chce iść do domu, do dzieci.

Postanowiliśmy pójść świętować we dwóch.

Właściwie to nie wiedzieliśmy, dokąd iść. Kiedy jeszcze Ofir pracował w reklamie, zawsze miał najświeższe informacje o fajnych miejscach, ale teraz wypadł z obiegu i zdał

się na mnie, a ja nie jestem specjalnie zorientowany w lokalach. Poszliśmy więc do baru, w którym za dawnych czasów bywaliśmy częstymi gośćmi. Okazało się, że zmienił nazwę. I fasadę. Przez moment zastanawialiśmy się, czy nie poszukać innej knajpy, ale Ofir powiedział, że to żadna różnica, przecież i tak chcemy tylko usiąść i pogadać. Weszliśmy do środka. Ludzie tańczyli między stolikami w takt dudniącej muzyki, od której bolały uszy. A w zasadzie nie tańczyli, bo było zbyt ciasno, tylko jakby ocierali się o siebie rytmicznie. Przepisnęliśmy się do kontuaru i zajęliśmy dwa ostatnie wolne stolki. Zamachaliśmy na kelnera, ale nas nie zauważył. Próbowaliśmy rozmawiać, ale nie słyszeliśmy się nawzajem. Okropna piosenka, która leciała, kiedy weszliśmy, dobiegła końca i puszczono kolejną, jeszcze gorszą, tandetną przeróbkę pięknej ballady z lat osiemdziesiątych. Jeśli jest na tym świecie coś, czego nienawidzę, to covery starych przebojów. Słyszając je, zawsze tęsknię za oryginałem. Zbliżyłem więc usta do ucha Ofira i spytałem, czy jego płaskie stopy nie zaczynają go już przypadkiem trochę boleć.

Uśmiechnął się, doceniając, że pamiętam jego dawny wykręt.

Uciekliśmy na zewnątrz i szliśmy w milczeniu, aż znaleźliśmy otwarty kiosk. Kupiliśmy po piwie i usiedliśmy na koszmarnie obdrapanej ławce. Co jakiś czas mijały nas kobiety i zerkwały na Ofira.

Kobiety zawsze zerkwały na Ofira.

– Już prawie zdążyliśmy zapomnieć, jak to jest, nie? – powiedziałem, wskazując palcem w stronę miejsca, z którego dopiero co wyszliśmy.

– No... – zgodził się, sącąc piwo. – Tam było tak głośno, tak jazgotliwie... Odzwyczaiłem się. A ci ludzie! Miałem wrażenie...

– Oj, tak. To pokolenie, które przyszło po nas...

– Mizeria, panie kolego, mizeria – rzekł z lekkim polskim akcentem.

– *Oj wej ismir* – dorzuciłem. – Utrapienie z tymi bachorami.

– Tylko pieniądze im w głowie.

– I szalone tańce.

– Nic tylko by się bawili.

– Aj, ta dzisiejsza młodzież.

– Nie to co kiedyś.

– Całkiem co innego. A jak tam pańskie zdrowie, panie Złotoczyński?

– Nie narzekam. Jedziemy na wakacje nad Morze Czarne.

– Żeby Rywka wyleczyła się z łuszczycy?

– Wszystko pan pokręciłeś. Rywka ma reumatyzm. Ja mam łuszczycę.

Ofir jak nikt inny nadawał się do prowadzenia takich absurdalnych dialogów. Jak byliśmy w wojsku, często dzwoniliśmy do siebie nocą i rozmawialiśmy godzinami: rozmowa strapionej matki i jej syna didżeja, rozmowa szefa sztabu z ministrem obrony, rozmowa kitkata z marsem.

Podczas ostatniego roku służby, gdy byliśmy już na granicy wytrzymałości, poszliśmy o krok dalej: zaczęliśmy pisać długie listy między dwiema wymyślonymi dziewczynami: Adwą Auerbach i Nurit Sadech. Ja byłem Adwą, dziewicą z kibucu, która odbywała służbę wojskową w bazie pod egipską granicą z samymi facetami. Ofir był liryczną Nurit, która dorastała w miasteczku nieopodal Hajfy, a teraz służyła w kwaterze głównej w Tel Awiwie, gdzie oglądała od mniej znanej strony życie wojskowych szych. Kochała się nieszczęśliwie w swoim przełożonym, nazwiskiem Dan Rom, dowódcy kompanii reprezentacyjnej, który nigdy nie zwrócił na biedną dziewczynę uwagi.

Pisaliśmy te listy chyba z rok, angażując się mocno w życie wewnętrzne Adwy i Nurit. Listy Ofira były naprawdę świetne: potrafił wyzbyć się swego indywidualnego stylu i całkowicie przemienić w Nurit. Miała bardzo specyficzny sposób wysławiania się, pełen zwrotów typu: „trójkąty są nużące”, „dzisiaj każde serce jest fioletowe” czy „kobieta wewnątrz mnie jest wciąż dzieckiem”.

Później, gdy Ofir starał się o pracę w agencji reklamowej, spytał mnie, czy może włączyć część tej korespondencji do swojego portfolio. Zgodziłem się, choć uważałem, że to dość dziwaczne.

- Wiesz, o kim właśnie myślałem? – spytał Ofir. Wciąż jeszcze siedzieliśmy na tej ławce.
- O Nurit Sadech.
 - Skąd wiedziałeś?
 - Bo sam myślałem o Adwie.
 - Ciekawe, co się z nią w końcu stało.
 - Z Adwą? Zginęła w zamachu. Zresztą niedawno.
 - Tak, taka śmierć do niej pasuje.
 - Ona i Szachar Kohen. Ich zdjęcia ukazały się obok siebie w gazetach.
 - A powiedz, czy wciąż była dziewicą, kiedy...
 - Niestety tak. Nawet napisali o tym w gazetach, w podpisie pod zdjęciem: „Cicha dziewczyna. Zginęła jako dziewica”.
 - A Nurit? Co porabia?
 - Skąd mam wiedzieć? Ty mi powiedz.

– Ja wiem, Frid. Zawsze wiedziałem. Chciałem sprawdzić, czy się domyśliłeś.

– Czego?

– Jej przełożony, Dan Rom, też się w niej kochał. Ale bał się to okazywać, bo mógł zostać oskarżony o molestowanie seksualne.

– Dramat.

– A w końcu ona odeszła z wojska.

– A on wyznał jej, że...

– Otóż to. Ale wtedy jej już przeszło. Bo tym, co naprawdę w nim kochała, było samo niespełnione pragnienie.

– Bo dzięki temu...

– Dzięki temu mogła mówić tym swoim dziwnym językiem. To był język pragnienia, a nie posiadania.

– Więc właściwie sam język był dla niej ważniejszy od miłości?

– Właśnie.

– Przepięknie. Ofir, ty masz dar. Powinieneś pisać. No właśnie, czemu nie napiszesz książki? Co z twoim życzeniem, które zapisałeś, kiedy oglądaliśmy Puchar Świata?

– Puchar Świata był przed Marią.

Było w tych słowach coś ostatecznego. Jak gdyby fakt, że Puchar Świata był przed poznaniem Marii, wyjaśniał wszystko i nie pozostawiał miejsca nawet na najmniejszą wątpliwość.

W milczeniu pociągnąłem kolejny łyk piwa.

– A zresztą to wszystko twoja wina – uśmiechnął się. – Gdybyś zginął w wojsku, jak obiecałeś, to zrobiłbym o naszej czwórce film, dostałbym Oscara i nie musiałbym w ogóle zaczynać pracy w reklamie. I wszystko byłoby inaczej.

Zanim zdążyłem przeprosić i obiecać, że bardzo się postaram jak najszybciej umrzeć, podeszła do nas starsza kobieta w zielonym szaliku. Myślałem, że będzie zebrała o pieniądze, ale ona przywitała się wylewnie z Ofirem i zaczęła mu dziękować, mówiąc, że już w tym tygodniu czuje się dużo lepiej.

– Bardzo się cieszę – rzekł, delikatnie masując wnętrze jej dłoni. – Przyjdzie pani w czwartek?

– W czwartek, w czwartek – powtórzyła jak echo, po czym dodała: – Jest pan ostatnią osobą, którą spodziewałabym się tu spotkać.

– Sam się dziwię, że tu jestem – odpowiedział Ofir i oboje roześmiali się serdecznie.

– To wszystko przez ego – odezwał się Ofir. Minęła już dłuższa chwila, odkąd kobieta sobie poszła, i nie bardzo rozumiałem, do czego nawiązywał. – Te życzenia, które napisałem trzy lata temu na karteczkach – wyjaśnił. – Wszystkie trzy wzięły się z ego. Po co chciałem napisać książkę? Nie dlatego, że miałem coś ważnego do przekazania, uchowaj Boże. Marzyłem, żeby podczas Tygodnia Książki stać przy stoisku i mieć przed sobą setki ludzi proszących mnie o autograf. Dokładnie o tym myślałem, kiedy zapisywałem swoje życzenie.

– Co w tym złego?

– A to, że to nie jest droga do szczęścia, tylko do frustracji. Ego nigdy nie jest zaspokojone, zawsze domaga się więcej. A człowiek żyje w ciągłej obawie, że któregoś dnia źródło inspiracji wyschnie. Albo publiczność się odwróci. Ja nie chcę żyć w taki sposób, wiecznie na krawędzi otchłani. Mógłbym, ale nie chcę.

– Czego w takim razie chcesz?

– Żyć dla drugiej osoby. Dawać. Być ojcem. Słuchać własnego ciała. Leczyć. Na przykład ta kobieta, która się ze mną przywitała: pięć lat temu przejechała własną córkę na parking. Wyjeżdżała tyłem i nie widziała, że za samochodem stoi dziewczynka z hulajnogą. Wyobrażasz sobie, ile smutku w niej było, kiedy do mnie przyszła po raz pierwszy? Całe grudy smutku. W ramionach. Pomiedzy ramionami. W dolnej części pleców. Rozumiesz? Miałbyś pomysł, co jej powiedzieć? Czy istnieją w ogóle słowa, żeby ją pocieszyć? Żeby do niej dotrzeć? A pisarstwo... Pisarstwo to właśnie słowa. Zbiór słów. Kiedyś może i wierzyłem w słowa, ale po paru latach w reklamie, po tych wszystkich sloganach, które wymyślałem, „Pomachaj zmarszczkom na pożegnanie”, „Naturalna substancja o potrójnym działaniu”, zrozumiałem, że ludziom słowa służą zazwyczaj do okłamywania. Siebie albo innych.

Nie odzywałem się. Z im większą emfazą przemawiał, tym bardziej podejrzewałem, że próbuje przekonać sam siebie.

– Co prawda – ciągnął – zdarzają się chwile, kiedy... Przecież mnie znasz, mój platfus i tak dalej... Czasem przychodzi mi do głowy pomysł na opowiadanie... Na przykład cała ta praca przy organizacji Amichaja trafiła się w najlepszym możliwym momencie, bo praca w moim gabinecie... Nie zawsze... Wiesz, nie potrafię się temu poświęcić tak jak Maria. A ostatnio, po śmierci Ilany, Maria trochę nie jest sobą. Może to było dla mnie nawet wygodne, te spotkania w sprawie organizacji, miałem wymówkę, żeby nie być w domu.

– Jasne.

– Ale ucieczka to najprostsze z wyjść. Tak postąpił mój ojciec, tak robiłem ja przez całe życie. Przeskakiwałem do kolejnej rzeczy. Dlatego tym razem usiłuję zostać i powiedzieć sobie, że nic mnie nie nagli, nigdzie nie muszę biec dalej. Zresztą nie mam

wyboru, bo jest dziewczynka.

– Dziewczynka?

– Już i tak jeden ojciec ją opuścił. Teraz zaufała mnie. Nikt do tej pory tak bardzo na mnie nie polegał. Mój ojciec uważał, że nie można polegać na kimś, kogo wychowywała matka. W wojsku bytem zawsze najmłodszy. W agencji w momencie, gdy okazali mi zaufanie, rozpadłem się na kawałki. Teraz nie mogę sobie na to pozwolić. Nie mogę jej zawieść. To jest dla mnie najważniejsze. Ważniejsze niż wszystko w świecie. Ważniejsze niż pisanie. Rozumiesz?

– Pewnie.

Minęła nas para staruszków, ciasno objętych.

– Jak to miło, że w tym wieku jeszcze chcą w ten sposób chodzić – odezwałem się.

– On ma bóle w krzyżu – orzekł Ofir i czknął.

– Co?

– Cierpi na bóle dolnego odcinka kręgosłupa. Bardzo mu to dokucza.

– Skąd wiesz?

– Spójrz, jak idzie. Niestabilnie. Garbi się, żeby go nie bolało. A ona go podtrzymuje ramieniem. To dlatego idą tacy przytuleni.

– I ty naprawdę widzisz takie rzeczy? – spytałem zaskoczony.

– Tak. – Wskazał kioskara, u którego kupowaliśmy piwo. – On na przykład cierpi na sztywność karku od patrzenia w górę, bo ma za wysoko zawieszony telewizor.

Spojrzałem w stronę kiosku. Rzeczywiście, w sposobie, w jaki poruszała się górna połowa ciała mężczyzny, było coś z robota. Kurczę, pomyślałem, Ofir jest w tym naprawdę dobry. Nie zamienił z tymi ludźmi ani słowa, a wie o nich takie osobiste rzeczy. Może faktycznie słowa mu już niepotrzebne?

– Za to ty możesz pisać – odezwał się nagle.

– Ja? – zdziwiłem się.

– Pewnie, pamiętam twoje doskonałe listy.

– Ja miałbym pisać? Żartujesz chyba.

– Czemu nie, przecież to ty...

– Nie ma mowy – przerwałem mu. – Chyba się już upiłeś, skoro ci takie pomysły przychodzą do głowy.

Wstaliśmy z ławki i ruszyliśmy chwiejnym krokiem w stronę samochodów.

Byliśmy trochę rozkojarzeni, a trochę otumanieni, może dlatego tak późno zareagowaliśmy na to, co się stało. Z naprzeciwka zbliżał się do nas mężczyzna w jasnych dżinsach i białej koszuli z długim rękawem. W tym momencie nie zwróciliśmy uwagi na te detale, przypomnieliśmy je sobie dopiero później, próbując odtworzyć całą sytuację. Przypomnieliśmy sobie jeszcze, że miał czapkę i że coś w jego rysach wskazywało na cudzoziemca. Miał w sobie coś obcego.

Gdy był jakieś dwadzieścia, może trzydzieści metrów od nas, zatrzymał się koło niego van. Wielki jak wieloryb. Ze środka wyskoczyło trzech facetów, złapali mężczyznę i wsadzili go na tylne siedzenie. Nie opierał się. To było dziwne: nie krzyczał, nie wierzgał, nie drapał. A mimo to faceci walnęli go w głowę czymś, co przypominało kolbę pistoletu. Wszystko trwało chwilę, nie dłużej niż pół minuty. Mężczyźni wsiedli do samochodu i odjechali. Nie było żadnego zrywu ani pisku opon na zakręcie. Przeciwnie. Nawet stanęli na czerwonym świetle. A potem, gdy zrobiło się zielone, spokojnie ruszyli i pojechali dalej.

– Co... Co to było? Widziałeś to? – spytał Ofir.

– Tak. Słuchaj, a może... Nie wiem... Chyba trzeba by zadzwonić na policję?

– A jak to właśnie była policja?

– No to mieliby na dachu koguta.

– Chyba że to nieoznakowany radiowóz – Ofir miał logiczne wytłumaczenie. Ale i tak zadzwoniliśmy. Trzeba było długo czekać na połączenie. Automatyczny głos bez przerwy powtarzał takie słowa jak „służba” i „dla ciebie”. Dyżurna policjantka, która przedstawiła się jako Karmit, wydawała się wyrwana ze snu. Spisała, co miałem do powiedzenia, ale nie zdradzała szczególnego zainteresowania. Starłem się podać jak najwięcej szczegółów, ale miałem wrażenie, że im więcej ich podaję, tym bardziej ją nudzę.

– Mam wrażenie, że nic to pani nie obchodzi – rzekłem w końcu ze złością. – Przecież to się nie zdarza codziennie, żeby wciągano człowieka do samochodu i porywano w środku miasta.

– Zdziwiłby się pan – odrzekła Karmit. – Służby imigracyjne wyłapują obecnie nielegalnych pracowników z zagranicy.

– Zaraz, zaraz, czyli pani o tym wszystkim wie? To właśnie coś takiego przed chwilą widzieliśmy?

– Nie wiem. Może to była Agencja Bezpieczeństwa.

– Agencja Bezpieczeństwa?

– Wiele osób przebywa w Izraelu nielegalnie. Palestyńczycy z terenów okupowanych ukrywają się w miejscach pracy. Ich też obecnie wyłapujemy.

- Sezon łowiecki w pełni, co?
- Słucham?
- Nieważne. Czy oddzwoni pani, żeby powiedzieć, jak się to skończyło?
- Nie udzielamy takich informacji.
- To jak... Skąd się dowiemy?

– Proszę czytać gazety. Jeżeli w tym, co panowie widzieli, było coś nietypowego, napiszą o tym w gazetach. W każdym razie policja izraelska dziękuje panom za czujność. I życzy dobrej, spokojnej nocy.

W milczeniu skierowaliśmy się ku samochodom. Chyba obu nam było trochę wstyd, że staliśmy i nawet nie kiwnęliśmy palcem. Choć z drugiej strony, co niby mieliśmy zrobić?

– Nie ma jak dobre zakończenie wieczoru – rzekł Ofir.

– Tak. Nie dadzą już człowiekowi nawet świętować w spokoju.

– Coś niedobrego stało się w tym kraju w ciągu ostatnich dwóch lat – zamyślił się Ofir. – A może dopiero teraz to dostrzegłem dzięki Marii? Wszystko zrobiło się takie podłe i brutalne. A wy, ludzie z miasta, sądzą, że zdołacie przed tym uciec. Że jesteście takimi światowcami. Gówna prawda. W mieście jest jeszcze gorzej. Każdy udaje, że jest taki liberalny, ale sprowadza się to tylko do palenia trawki. Jak przychodzi co do czego i trzeba okazać komuś życzliwość, cały liberalizm znika. Albo kiedy tuż pod nosem dzieje się niesprawiedliwość.

Czemu on się tak uczeplił tego miasta? – przeszło mi przez myśl. Co go w nim tak uwiera?

– Zapamiętaj moje słowa – ciągnął Ofir. – To wszystko wybuchnie wam kiedyś prosto w twarz. Cios spadnie z najmniej spodziewanej strony.

Co to znaczy „wam”? Jakim prawem wyklucza z tego sam siebie? – zastanawiałem się. Dlatego, że sam mieszka w Michmoret, czy dlatego, że Maria namówiła go, żeby wyrzucił telefon komórkowy? A może dlatego, że codziennie ucina sobie popołudniową drzemkę, „bo tego naprawdę domaga się ciało”? Ale to chyba nie był najlepszy moment, żeby drążyć temat. Siedziałem więc cicho.

A za to odezwał się Ofir:

- Miałbym prośbę. Możesz nie mówić Marii o tym, co się dzisiaj stało?
- Spoko.
- Wiesz, jest trochę... Od śmierci Ilany... Nie chcę, żeby się...
- Spoko – powtórzyłem.

Nie tylko Marii nie powiedziałem ani słowa o porwaniu, którego byliśmy świadkami. Sobie też nic nie powiedziałem. Niedawno tłumaczyłem artykuł, którego autor dowodzi, że pierwsze dwa lata swojego życia każdy z nas wymazuje z pamięci, bo okres niemowlęctwa jest zbyt dramatyczny, byśmy potrafili znieść jego wspomnienie. Tak samo wyparłem z pamięci tamto porwanie i nie pamiętałem o nim aż do pierwszych zajęć na warsztatach z kreatywnego pisania. Prowadzący poprosił, żeby każdy uczestnik opowiedział o sobie jedną prawdziwą historię i jedną zmyśloną, i nagle tamto zdarzenie wypłynęło na powierzchnię jak łódź podwodna. Opowiedziałem, jak szliśmy ulicą i jak nagle zatrzymał się wielki van, który połknął tego mężczyznę jak wieloryb Jonasza, a my nic nie zrobiliśmy, bo nie zdążyliśmy, nie umieliśmy, nie chcieliśmy. Opowiedziałem wszystko z najdrobniejszymi szczegółami, tak jak polecił prowadzący, ale cała grupa z wyjątkiem jednej nieśmiałej dziewczyny była przekonana, że ta historia jest zmyśloną, a prawdziwa to ta, że do dziś jeżdżę autobusami z biletem ulgowym, choć mam trzydzieści lat, bo nikt nie podejrzewa, że taki mały chłopiec z twarzą dziecka może być starszy. Szczerze mówiąc, poczułem się urażony. Mimo że właśnie chodziło o to, żeby nabrać grupę, czułem się paskudnie, że nikt nie uwierzył w pierwszą historię.

– Zaraz, zaraz – spytałem grupy – dlaczego historia o porwaniu nie brzmi wiarygodnie?

– Opowiedziałeś ją jak scenę z hollywoodzkiego filmu – odezwał się chłopak w okularach, w których sam wyglądał jak reżyser hollywoodzkiego filmu.

– To brzmiało jak coś, co mogłoby się zdarzyć w Ameryce – dodała jakaś dziewczyna. – Takie rzeczy dzieją się w Nowym Jorku, nie w Tel Awiwie.

– Nie wplótł pan w historię wystarczająco dużo stochastycznych detali – orzekł prowadzący. – Dlatego trudno w nią uwierzyć.

Grupa z każdą minutą coraz bardziej mnie wkurzała. Nawet teraz mi nie wierzą. I co to w ogóle są „stochastyczne detale”? Tak mnie denerwuje, kiedy nauczyciele używają słów, których nikt nie rozumie. A najbardziej irytujące, że właśnie taki efekt chcą osiągnąć. Co to w ogóle za krzesło? To nie krzesło, tylko jakiś stołek. Zydel. I za co to? Po co płaciłem z góry za całe warsztaty? Wyrzucone pieniądze, więcej tu nie przyjdę.

– A możesz powiedzieć – spytała ta nieśmiała dziewczyna – czy było coś o tym w gazetach, w wiadomościach?

– Nic. Następnego dnia z samego rana kupiłem wszystkie dzienniki. Przeczytałem od deski do deski. Ani wzmianki. Ani słowa przez cały tydzień.

Ale za to gazety poświęciły parę linijek imprezie inaugurującej inicjatywę „Mamy Prawo. Organizacja Non Profit im. Jennifer Goldman i Ilany Abramowic-Tanuri Broniąca Praw Człowieka w Służbie Zdrowia”. Przy każdym artykule było zdjęcie Amichaja i kilka zdań,

zwykle żywcem przepisanych z materiałów prasowych, które rozdawaliśmy podczas imprezy (Ofir powiedział nam, że dziennikarze nie lubią się przemęczać i najlepiej im podsunąć parę zgrabnych zdań do zacytowania).

Ogólny ton był raczej przychylny. Jedna gazeta pisała o „ciekawej inicjatywie”, inna dowodziła, że założenie tej organizacji to „pomysł, któremu warto kibicować”. Trzecia zamieściła na dole artykułu numer telefonu do organizacji. Następnego dnia na poczcie głosowej nagrało się 5421 osób. Do końca tygodnia Amichaj odebrał prawie osiem tysięcy telefonów. Najwyraźniej Amichaj zdołał wyważyć zamknięte na głucho drzwi. Dostał się pod zgrubiałą skórę i wysłał ładunek elektryczny, który dotarł do wszystkich neuronów izraelskiego społeczeństwa. Wśród dzwoniących było wielu przedstawicieli wolnych zawodów – prawników, księgowych, elektryków – którzy doświadczyli naruszenia ich własnych praw i oferowali, że mogą zostać wolontariuszami.

W trzy miesiące – i to nie porzucając Telemedu (bo „nie zostawia się dobrej pracy” i „mam subskrybentów, którzy na mnie liczą”) – Amichaj z zawziętością długodystansowca i cierpliwością układacza puzzli przekształcił Mamy Prawo z projektu w działającą instytucję.

Wraz z Ofirem śledziliśmy w mediach doniesienia o Amichaju, czując zaskoczenie i dumę. Zawsze dziwnie jest zobaczyć kogoś, kogo się znało jako nastolatka, jak odnosi sukcesy w dorosłym życiu. Pamiętałem go, jak krztusi się pierwszym papierosem w krzakach za szkołą – a teraz dyrektorzy szpitali krztusili się, gdy prezentował im krytyczne sprawozdania przygotowane przez wolontariuszy wizytujących szpitale incognito. Pamiętałem, jak drżał przed biurkiem nauczycielki, a teraz sam walił pięścią w biurko ministra zdrowia.

Lecz było też coś, do czego przyznawaliśmy się mniej chętnie.

Zawsze traktowaliśmy go odrobinę lekceważąco, może dlatego, że był z nas czterech najmniej wygadany (Może też dlatego Ilana nie chciała się do nas zbliżyć? Może czuła ten podskórny prąd?). My, pozostała trójka, posługiwaliśmy się językiem jak narzędziem. Ofir lubił brylować. Churchill lubił wyrażać się precyzyjnie. Ja, może dlatego, że moi rodzice nigdy nie opanowali biegle hebrajskiego, postanowiłem poznać go na wylot. Słowniki czytałem w kiblu, jak powieści. Codziennie za pięć piąta słuchałem w radiu „Chwilki o Języku”. Bawiłem się w wymyślanie rodzimych odpowiedników obcych słów, którymi jeszcze nie zdążyła się zająć Akademia Języka Hebrajskiego.

Nie wiem, czy to ten wspólny pociąg do słów sprawił, że przypadliśmy sobie z Ofirem i Churchillem do gustu, czy też raczej, gdy już byliśmy przyjaciółmi, z czasem upodobniliśmy się do siebie. Ale już w szkole sporo bawiliśmy się w gry słów, a po zakończeniu służby wojskowej, gdy wszyscy trzej wybraliśmy zawody, w których język odgrywał zasadniczą rolę, nasza tendencja do werbalizowania wszystkiego przybrała na sile, sprawiając, że ludzie w naszym towarzystwie często unosili brwi ze zdziwienia

(właściwszym określeniem byłoby „otwierali szeroko usta ze zdziwienia”, choć w filmach widać, że prawdziwe miny wyrażające zdumienie są całkiem inne).

Za to Amichaj wolał robić, niż mówić. Gdy już się odezwał, mówił topornie i używał niemodnych określeń typu „klawo” albo „modniś”, a gdy któryś z nas rzucił wyszukany żart słowny, Amichaj zawsze łapał go na końcu. Potem ożenił się z osobą, która – przynajmniej otwarcie – nie okazywała mu miłości. I bez przerwy mówił o studiowaniu shiatsu, i nic z tego nigdy nie wyszło. I jeszcze te idiotyczne próby pozbycia się znamienia na szyi. I jego żalosne „świetne pomysły”, które czasem nam się podobały, ale zwykle je wyśmiewaliśmy.

A teraz, jak w tej grze ulicznych szulerów, gdzie trzeba wskazać, pod którym kubkiem jest moneta, okazało się, że była zupełnie nie tam, gdzie wszyscy się spodziewali. Pomysł Amichaja – ten sam, który wszechwiedzący Churchill uznał za dziecinadę, ten sam, któremu nie dawałem żadnych szans – zadziałał. To Amichaj ruszył z kopyta, to on zdobył fundusze i wpływy.

Mniej więcej rok po założeniu organizacji wystartował pierwszy program pilotażowy. Stało się to w tym samym nie za dobrze funkcjonującym szpitalu, którego dyrektor rozmawiał z Amichajem na inauguracji.

Po tygodniu program o mało nie został zawieszony. Brat jednego z pacjentów uderzył naszego wolontariusza, przekonany, że to on, nikt inny ponosi odpowiedzialność za śmierć jego chorego brata. Grupa stażystów na jednym z oddziałów zagroziła, że wszyscy odejdą, bo nie da się pracować w takim wymiarze godzin. Lekarze z innego oddziału odmówili współpracy z reprezentantami Mamy Prawo, gdyż – jak twierdzili – wiązałoby się to z pogwałceniem prywatności pacjentów.

– No i widzi pan? – krzyczał dyrektor na Amichaja. – Jest jeszcze gorzej! – Ale Amichaj nie dał się zbić z pantafelów. Przez jakiś czas pozwalał, by pretensje spadały na niego i spływały po nim jak woda po kacze, a potem odezwał się cicho:

– Nie muszę panu tłumaczyć, że zmiany wymagają czasu. Zwłaszcza w dużych instytucjach. Dlatego proponuję, żebyśmy wydali ocenę na podstawie rezultatów długofalowych.

– Jak bardzo długofalowych? – chciał wiedzieć dyrektor.

– Poczekajmy trzy miesiące.

Po trzech miesiącach zewnętrzny audyt wykazał, że mimo problemów, które wyniknęły z obecności przedstawicieli Mamy Prawo, wolontariuszom rzeczywiście udało się usprawnić komunikację lekarzy z pacjentami i znacząco ograniczyć liczbę skarg.

Gdy to się okazało, Amichaja zaproszono do ministerstwa zdrowia, żeby omówić

możliwości wdrożenia podobnych programów w innych placówkach. Założyciel organizacji wystąpił też w kilku porannych programach telewizyjnych i tłumaczył, skąd się wzięła idea Mamy Prawo. („Całkiem korzystnie wygląda na małym ekranie – komentował Ofir – bo widać w jego zachowaniu szczerść. Zauważ, że nie pozwala sobie na spoufalanie z prezenterem, ale jednocześnie wcale nie traktuje go z góry”).

Gdy Amichaj pojawiał się na wizji, dzwoniło sporo kobiet proszących o numer telefonu do tego wdowca z oczami o ziemistej barwie.

Amichaj grzecznie odmawiał.

– Czemu? – spytałem, gdy mi o tym opowiedział.

– Jeszcze za wcześnie – wyjaśnił. Jego serce wciąż trwa w żałobie. W nocy bezwiednie wyciąga rękę, żeby przytulić Ilanę. W dzień odruchowo sięga po telefon, żeby zadzwonić do niej i opowiedzieć o drobiazgach, które mu się przydarzyły. Patrząc na dzieci, widzi ją (Noam ma jej drobne piegi, a Nimrod jej wyraz twarzy). Kiedy puszcza piosenkę Awiwa Gefena *O, Ilana*, wyłącza radio. Słyszając sygnał karetki, zawsze przypomina sobie tamtą karetkę. To samo, gdy na ulicy włączy się autoalarm. Ilekroć... zaraz, chwileczkę, nie będzie o tym mówił. Czemu go wciągnąłem w tę rozmowę? Od takich rozmyślań jest tylko gorzej.

– Dobrze – odpowiedziałem i nie nękałem go więcej.

Ale kobiety – owszem. Wydzwaniały, słały listy, zdjęcia i nagrania ckliwych piosenek. A on robił uniki. Tym, które wydawały się szczególnie zdesperowane, mówił, że jego najlepszy przyjaciel jest super facetem, poważnym, jego rodzina pochodzi z Anglii. Pracuje teraz nad rozprawą filozoficzną.

Z jedną z nich nawet się spotkałem. Generalnie byłem zdania, że to nie fair, bardzo nie fair wykorzystywać Mamy Prawo do celów osobistych, ale...

Nazywała się Ja'ara.

Jak przyjemnie było wymawiać jej imię podczas rozmowy przez telefon. „Ja'aara”, mówiłem powoli, pieścąc każdą głoskę. Czuję się, jakbym siedział w fotelu bujanym, który ktoś kołysze do przodu i w tył. „To powiedz, Ja'aara, gdzie mieszkasz? A skąd jesteś, Ja'aara? To niesamowite, Ja'aara, że też słuchasz Kameleonów. A co ty na to, Ja'aara, żeby zrezygnować z pierwszej randki i od razu umówić się na drugą?”

– Jak to?

– Tak to, że wszystkie pytania, które się normalnie zadaje na pierwszej randce, zadamy sobie teraz, przez telefon. A na drugiej randce będziemy mogli już naprawdę porozmawiać.

– Super. Zaczynaj.

– Czym się zajmujesz?

– Jestem trenerką.

Myślałem, że ma na myśli fitness, aerobik czy coś w tym stylu, i już wyobrażałem sobie swój palec wędrujący po jej umięśnionej łydce, ale kiedy się spotkaliśmy, wyjaśniła, że jest trenerką osobowości. Właściwie użyła określenia „trenerką życia”. Spotyka się z różnymi dyrektorami i pomaga im:

1. Zdefiniować własną wizję.
2. Określić przeszkody, które nie pozwalają zrealizować tej wizji.
3. Osiągnąć przełom.

– To tak w skrócie – dodała, krojąc swój placek z grzybami na cztery identyczne kawałki.

Skinąłem głową. Moja wewnętrzna wyrocznia przepowiadała, że to się źle skończy, ale i tak zacząłem opowiadać o sobie różne mniej i bardziej osobiste rzeczy, a na koniec spytałem, czy spotkamy się jeszcze raz. Jej górna warga była lekko podwinięta, w taki sposób, że miało się ochotę ją pocałować. Jej opanowanie, przebijające z najdrobniejszego gestu, sprawiało, że byłem ciekaw, co się z nią dzieje, gdy traci tę kontrolę, a nade wszystko nie dawała mi spokoju myśl, że gdy będziemy się kochać, w chwilach uniesienia będę mógł szeptać: „Ja’aara, Ja’aara”.

Ale nic z tego. Mimo że z początku wszystko szło zgodnie z planem. Tak jak zawsze robię na drugiej randce, w pewnym momencie przyznałem się do swojego daltonizmu.

– No to jakiego koloru jest moja sukienka? – spytała, tak jak wszystkie dziewczyny, a ja, tak jak zawsze, zwlekałem z odpowiedzią, żeby wytworzyć odpowiednie napięcie.

– Czerwona. – Po czym wyjaśniłem, że to nie tak, że nie umiem stwierdzić, jakiego coś jest koloru, tylko mam trudności z rozróżnieniem barw, gdy z sobą sąsiadują. – Na przykład gdybyś stała w tej pięknej sukience na zielonej łące, mógłbym cię nie zobaczyć.

– Jakie to dziwne – zareagowała zgodnie z moimi przewidywaniami i już miałem przejść do kolejnego etapu, kiedy proszę dziewczynę, żeby ona z kolei powiedziała mi coś o sobie, a ona, będąc pod wrażeniem tego, jak otwarcie opowiadam o swoim daltonizmie, mówi zazwyczaj dużo więcej, niż zamierzała, a potem, żeby jakoś usprawiedliwić się przed samą sobą, zgadza się pójść do mnie do mieszkania albo wpatruje się we mnie wzrokiem, który mówi „Pocałuj mnie”. Ale ułamek sekundy przedtem, zanim się nachyliłem, żeby pocałować Ja’arę 2, stwierdziła, że chce mi coś powiedzieć, musi mi coś powiedzieć, a ja się wyprostowałem i rzekłem:

– Jasne, a co takiego?

– Nie masz wizji. Z tego wszystkiego, co mi opowiedziałeś o sobie, widać, że żyjesz na oślep. Nie identyfikujesz swoich marzeń i szans.

– No to... Co byś proponowała?

– Powinieneś stworzyć swoją własną wizję. Właściwie moglibyśmy to zrobić wspólnie. Zwykle nie mieszam pracy i życia prywatnego, ale myślę, że dla ciebie mogłabym zrobić wyjątek.

– Wiesz – odpowiedziałem, odsuwając się w drugi koniec kanapy – na pewno jesteś świetną trenerką i twoja metoda pomogła bardzo wielu ludziom, ale w moim przypadku... to nie zadziała.

– Czemu?

– Od samego słowa „wizja” przechodzi mnie dreszcz. I nie jest to dreszcz podniecenia, tylko bardziej taki jak przy grypie.

– Wielka szkoda – położyła pomiędzy nami na kanapie wielką poduchę – bo ja na dłuższą metę nie akceptuję ludzi bez wizji.

– To może moglibyśmy jakoś się pocieszyć chociaż na krótszą metę? – zaproponowałem, kładąc dłoń na poduszce.

– Pocieszyć? A dlaczego twoim zdaniem potrzebujemy pocieszenia?

– Bo jesteśmy samotni. Bo nasze ciała ostygły. Bo w naszych zimnych, niedotykanym ciałach jest uwięziony ogień.

– Ogień, ostygły, ciepło, zimno, mnie już takie rzeczy nie interesują. Mam wizję: chcę znaleźć poważnego partnera w życiu. Wszystko, co do tego nie prowadzi, uważam za marnowanie czasu. A przy okazji – dodała, już stojąc w drzwiach – jeśli chcesz znać moje zdanie, to tym, co cię blokuje, są twoi przyjaciele.

– Moi przyjaciele?

– Nigdy jeszcze nie spotkałam osoby, która by tyle mówiła o swoich przyjaciółach, pokazywała podczas randki albumy z ich zdjęciami, na ścianach zamiast obrazów miała ich fotografie w ramkach. Gdybym była twoją trenerką, powiedziałabym, że jesteś klasycznym przykładem paradygmatu pociągu na sąsiednim torze.

– Jakiego pociągu? Na jakim torze?

– Kiedy twój pociąg stoi na stacji, a pociąg na sąsiednim torze rusza, to masz wrażenie, że twój pociąg też rusza. Ale to nie prawda, tylko złudzenie.

– Co chcesz przez to powiedzieć?

– Nic. Tylko tyle, że gdybym była twoją trenerką, powiedziałabym, że być może żyjesz życiem swoich przyjaciół, a nie własnym.

– Ale nie jesteś.

– Co: nie jestem?

– Nie jesteś moją trenerką – powiedziałem i zatrzasnąłem jej drzwi przed nosem, nadaremnie próbując wzbudzić w sobie satysfakcję, że to ja miałem ostatnie słowo. A jednocześnie przychodziło mi do głowy mnóstwo rzeczy, które mogłem jej powiedzieć, ale tego nie zrobiłem. Że choć w tej chwili nie mam wizji, to jednak cała praca przy zakładaniu organizacji Amichaja sprawiła, że zapragnąłem zaraz, w najbliższym czasie zrobić coś samemu. A jeśli chodzi o moich przyjaciół, to się grubo myli. Mówię o nich tak dużo, bo ich kocham, a stwierdzenie, że żyję ich życiem zamiast swoim, to jedna wielka bzdura.

Zbliżał się koniec roku i gazety zaczęły ogłaszać swoich kandydatów do tytułu Człowieka Roku. W kategorii działalność społeczna pojawiło się nazwisko Amichaja Tanuriego. Jego kandydaturę uzasadniano tak (wyciąłem ten fragment z gazety i przyklepiłem do tablicy korkowej w kuchni): „W krótkim czasie Amichaj Tanuri zdołał uczynić z problemu praw człowieka w publicznej służbie zdrowia temat ważny zarówno dla pacjentów, jak i lekarzy. Organizacja Mamy Prawo dopiero się rozwija, ale jej działalność już zdążyła przynieść efekty i wywrzeć wpływ na życie zwykłych obywateli. Bodźcem, który skłonił Amichaja Tanuriego do założenia organizacji Mamy Prawo, była osobista tragedia, ale to uniwersalna, ogólnoludzka idea przyciągnęła tak wiele osób. Z tego powodu uważamy, że Amichaj Tanuri spełnia wymogi nominacji do tytułu Człowieka Roku w kategorii działalność społeczna”.

Po nominacji media zainteresowały się Amichajem jeszcze bardziej. Jego twarz pojawiała się w wieczornych programach (zresztą wszystkie przygotowywano z wyprzedzeniem, bo Amichaj postawił taki warunek: nagranie może być tylko rano, bo po pracy, najpóźniej o piątej, Amichaj chce być w domu z dziećmi).

Pytania były zawsze te same i Amichaj był zawsze tym samym Amichajem. Zawsze mówił dobitnie i w liczbie mnogiej. Zastanawiając się, co odpowiedzieć, zawsze drapał się tuż pod szyją. I zawsze na moment się spinał, gdy prowadzący mu przerywał.

Raz dziennikarz przerwał Amichajowi w środku zdania, żeby oddać głos korespondentce sądowej, Michaeli Raz, która miała do przekazania pilne wiadomości.

– W sprawie, która jakiś czas temu wstrząsnęła opinią publiczną, nastąpił niespodziewany przełom – mówiła, a oczy niemal wyszły jej z orbit. – Joaw Alimi, główny oskarżyciel w tym procesie, prowadzący sprawę od półtora roku, został zmuszony do rezygnacji z przyczyn, które prokurator okręgowa nazwała „krępującymi okolicznościami osobistymi”.

– Czy możesz rzucić na tę sprawę nieco więcej światła? – spytał Michaelę prezenter.

– Przykro mi, ale na razie nie. – Nic w głosie Michaeli nie wskazywało, że naprawdę jest jej przykro. – W sądzie i w Internecie szybko rozchodzi się plotka, która jednak nie została oficjalnie potwierdzona. Mam nadzieję, że wkrótce będę mogła przekazać państwu, co sam pan Alimi ma do powiedzenia w tej sprawie.

– Dziękuję, Michaelo, czekamy niecierpliwie na nowe wieści – rzekł prowadzący i zwrócił się z powrotem do Amichaja. – Tymczasem, dopóki nie usłyszymy, co powie nam pan Alimi, wracamy do pana Amichaja Tanuriego i jego organizacji Mamy Prawo. A zatem: czy nie przeszkadza panu, że połowa funduszy pańskiej organizacji pochodzi z USA? Czy to nie jest właśnie przejaw tego, co zwykło się nazywać kulturą żyjącą z jałmużny?

Amichaj milczał. Pierwszy raz, odkąd zaczął udzielać się w mediach, głos odmówił mu posłuszeństwa. Dopiero po chwili się odezwał:

– Churchill zrezygnował? Czemu?

Churchill jest najważniejszym elementem. Choć stoi z boku i jego plakat nie jest duży, od razu wiadomo, że właśnie on jest główną postacią na zdjęciu. Trudno to wyjaśnić. Może chodzi o postawę. A może o to, że pozostali uczestnicy demonstracji zwracają się w jego stronę, jakby pytając o wskazówkę czy aprobatę. Na plakacie, który trzyma, wypisano zdanie: WSZYSCY JESTEŚMY SZACHARAMI KOHENAMI. Mój plakat obwieszcza, że: NIE BĘDZIE SZACHARA KOHENA – NIE BĘDZIE LEKCJI, a plakat Amichaja, że: SZACHAR ZOSTAJE ALBO MY ODCHODZIMY. Hasła wymyślił oczywiście Ofir. A siostra Amichaja napisała je swoim pięknym, krągłym charakterem pisma.

Dwa dni wcześniej Szachar Kohen został wydalony ze szkoły. Podczas przerwy miała miejsce bójka – gdzie tam bójka: prawdziwa walka na pięści – w którą był zamieszany. A wcześniej był zamieszany w aferę ze ściąganiem na teście końcowym z Biblii. I w aferę z graffiti po arabsku. I w aferę z dmuchaną lalką z sex shopu podrzuconą do gabinetu dyrektorki. Nie był prowodyrem, tylko przyłączał się w najgorszym możliwym momencie, wtedy, kiedy prawdziwi inicjatorzy mogli zwalić wszystko na „tego spoza rejonu” i zniknąć. Czasem wręcz miało się wrażenie, że Szachar Kohen czerpie przyjemność z brania na siebie winy. Jak gdyby zamiast walczyć ze stereotypem „tego spoza rejonu”, postanowił mu się poddać. Ugruntować go.

Churchill nie znosił Szachara Kohena. Była tam jakaś uraza jeszcze z dzieciństwa (mieszkali w tej samej dzielnicy). Ale bardziej niż Szachara Kohena nie mógł ścierpieć jawnej niesprawiedliwości. A im dokładniej się dowiadywał o tę bójkę na przerwie, tym bardziej był przekonany, że władze szkoły postanowiły wybrać najłatwiejsze wyjście. Okazało się, że drugi chłopak, który wziął udział w bójce, jest synem prezesa stowarzyszenia absolwentów. I że zanim doszło do bijatyki, dość długo prowokował Szachara Kohena werbalnie i fizycznie. Nazwał jego matkę kurwą, a jego samego złodziejem. Wyszło na jaw, że koledzy tego chłopaka założyli się, czy da radę zmusić Szachara Kohena do przyznania się, że jest złodziejem.

Postawili po pięćdziesiąt szekli.

– Ci dranie się boją, że jego ojciec wycofa kasę, którą wyłożył na pracownię komputerową – tłumaczył nam Churchill – i dlatego chcą wszystko zwalić na Szachara. To najłatwiejsze, bo kto by chciał go bronić? My! – sam sobie odpowiedział i namówił nas do pokojowej demonstracji przed wejściem do szkoły.

Najpierw staliśmy tam przez godzinę, wyśpiewując hasła z plakatów na melodię piosenek śpiewanych przez kibiców, aż ochrypliśmy, a potem przeszliśmy do fazy drugiej planu Churchilla: przykuliśmy się do szkolnej bramy łańcuchami. Z tego momentu

demonstracji nie mam zdjęć, bo wszyscy byliśmy przywiązani i nie miał kto fotografować; jest tylko zdjęcie z gazety, na którym Churchill stoi z rozkrzyżowanymi rękami i zastawia bramę, a w rogu widać biały kształt, chyba rękę Amichaja.

Władze szkolne zaraz się poddały. Artykuł w lokalnej gazecie jasno prezentował nasze racje, a do tego znalazło się parę wypowiedzi osób, które były świadkami bójki. Stowarzyszenie absolwentów zebrało się na nadzwyczajnym posiedzeniu i postanowiło powołać komisję do wyjaśnienia sprawy, żeby uniknąć takich incydentów w przyszłości (nie powołali jej po dziś dzień). Szachar Kohen, przyjęty warunkowo z powrotem, wylewnie podziękował Churchillowi za to, co dla niego zrobił.

– To nie dla ciebie, tylko dla zasady – rzekł Churchill i dodał głosem zimnym jak lód: – Nie myśl sobie, że zapomniałem, Szachar. Niech ci się nie wydaje, że teraz będziemy przyjaciółmi.

Nikt z nas nie wiedział, co właściwie między nimi zaszło. Ile razy zagadywaliśmy Szachara, obracał to w żart. A Churchill po prostu nie odpowiadał na pytanie.

Dopiero wiele lat później, w drodze powrotnej z Micpe Ramon, Churchill wszystko mi opowiedział. Cichym głosem, nie spojrzawszy na mnie ani razu.

Ojciec Churchilla był najprzystojniejszym facetem w Hajfie. Nawet jako czterdziestolatek miał bujne włosy, zawsze starannie uczesane. I wspaniałe szpakowate skronie. Jego muskularne ręce zdobiła opalenizna, zwłaszcza tę część, którą wystawia się nonszalancko przez okno samochodu. Uśmiechał się jak człowiek, który wie, że jego uśmiechowi trudno się oprzeć.

Zawód: instruktor nauki jazdy. Specjalność: mężatki z Karmelu. W połowie lat osiemdziesiątych wyższe sfery ogarnęła nagła moda na „drugi samochód w rodzinie” i nagle dziesiątki kobiet, które nie miały prawa jazdy albo ich prawo jazdy straciło ważność, ustawiły się w kolejce do najlepszego instruktora w mieście.

– Witam w moim królestwie – mówił zawsze przed pierwszą lekcją i szarmanckim gestem otwierał drzwi. W środku czekała już piękna tapicerka, klimatyzacja, unosiła się lekka woń wody po goleniu, a schowek na rękawiczki skrywał pudełko cukierków: miętowych, karmelowych, cytrynowych i takich, które po rozgryzieniu wypełniały usta ciepłą falą czekolady.

Czasem na tylnym siedzeniu siedział chłopczyk o szerokiej twarzy i jasnej cerze, zupełnie niepodobnej do ciemnej karnacji ojca.

– To mój syn, Joaw – przedstawiał go Michel swoim nowym kursantkom, a one uśmiechały się do chłopca w lusterku wstecznym albo podawały mu rękę, albo odwracały się, by pogłaskać go po policzku. Albo całkiem go ignorowały.

Chłopiec szybko spostrzegł, że właśnie te ostatnie – te, które wsiadały do auta z mocnym postanowieniem pokazania, że chcą się tylko nauczyć prowadzić, nic więcej – właśnie one najłatwiej wpadały w sieci ojca.

Zaczynało się zawsze od komplementów.

– Bardzo do pani pasuje ten kolor. Ładnie pani w nowej fryzurze. Czy mogłaby pani przed następną lekcją nie używać tych perfum? Bo od ich zapachu nie potrafię się skoncentrować.

Później przychodziła kolej na dotyk. Lekkie, niby przypadkowe muśnięcia łokcia lub dłoni. Później dłuższe...

– Czy mogę? Może spróbujemy razem. Dłoń na dźwigni zmiany biegów, noga na sprzęgle, delikatnie, nie na siłę, proszę sobie wyobrazić, że trzyma pani coś miłego w dotyku.

Potem, gdy atmosfera zaczynała się już robić bardzo miła, następował dokładnie zaplanowany wybuch:

– Nie tak! Co pani wyrabia? Chce pani nas tu wszystkich pozabijać?! – krzyczał instruktor, jednocześnie wdeptując hamulec w podłogę i zatrzymując samochód z piskiem opon. – Tłumaczę i tłumaczę, a pani nie słucha. Bardzo mi przykro, ale w ten sposób nie ma mowy, żeby zdała pani egzamin – dodawał, przykładając swoją opaloną dłoń do piersi. Pod koniec lekcji kobieta wysiadała zgnębiona, nierzadko zapłakana.

Tydzień później czekał na nią przy samochodzie z bukietem kwiatów albo z bombonierką. Kajał się za to, że podniósł głos. I wtedy wszystkie lody topniały. Kobieta nagle się poddawała. Stawała się bezwolna, jakby pękł w niej pasek klinowy. Pod koniec lekcji instruktor pozwalał już sobie na głaskanie po włosach i trzymanie ręki na jej udzie. A chłopczyk przez cały czas patrzył na to z tylnego siedzenia i słyszał dwa wewnętrzne głosy. Jeden był pełen podziwu dla ojca, mówił chłopcu, że też chciałby być taki przystojny i mieć takie powodzenie, a drugi głos krzyczał, że coś jest nie w porządku. Ale chłopiec nie był pewien co konkretnie.

Gdy podrośł, drugi głos stawał się coraz głośniejszy, aż któregoś dnia, gdy młoda kobieta w bardzo krótkiej spódniczce i z blond pasemkami pozwoliła sobie na koniec lekcji pocałować ojca w policzek, chłopiec nie wytrzymał i powiedział:

– Tato, ta pani ma wszy.

– Wszy? – Ojciec odwrócił się do niego rozbawiony.

– Tak, ma we włosach wszy! – upierał się chłopiec. – A poza tym mama jest dużo ładniejsza.

– Mama? – Ojciec nagle spoważniał, może dopiero teraz uświadomił sobie, jakie myśli mogły chodzić po głowie synkowi, gdy siedział z tyłu. – Joaw, mama jest wspaniałą

osobą – rzekł z naciskiem Michel Alimi. – Uwielbiam twoją matkę. A te wszystkie... te wszystkie kobiety, które tu widzisz, nadają się tylko do jednego.

– Do jednego? Do czego? – spytał siedmiolatek.

– Nieważne – odparł ojciec i przesiadł się na siedzenie kierowcy. Zerknął kilka razy na syna w lusterku wstecznym, uruchomił silnik i rzekł głośniej: – Pamiętaj, co ci powiedziałem. Żadna z tych kobiet nie dorasta mamie do pięt, słyszysz? Żadna!

Dinę Hajut-Alimi, matkę Churchilla, znali w Hajfie wszyscy. Była przewodniczącą rady mieszkańców. I komitetu rodzicielskiego. Była kobietą, która zdecydowała się na dumne dwuczłonowe nazwisko na długo przedtem, zanim stało się to modne wśród kobiet z Tel Awiwu i Jaffy. Mieszkała w najniższej położonej dzielnicy miasta, ale wpajała swoim sześciu synom, że nie wolno kłamać, że należy robić to, co się uważa za słuszne, a nie to, co każą inni, przede wszystkim zaś – że nie można się nikogo bać. Trzeba mieć odwagę być mądrym. Mieć odwagę być pierwszym. Mieć odwagę zwyciężać. Bo kto chce zwyciężyć, temu się uda. I nie ma znaczenia, z jakiego kraju twój dziadek przybył do Izraela. Ani w jakiej dzielnicy się wychowałeś.

Nie każdego z synów udało się wychować tak samo dobrze. Ścisłe rozgraniczanie dobra i zła sprawiło, że niektórzy z nich poszli tą drugą drogą. Ale Churchill od najmłodszych lat był chlubą swojej mamy.

– Bóg mi ciebie zesłał – szeptała, żeby pozostali nie słyszeli. Zapisywała go na zajęcia pozalekcyjne, na które pozostali bracia nie chodzili, kupiła mu rower dwa lata przed bar micwą, „bo wiem, że można ci zaufać”, kazała mu rozsądzać spory braci, bo wiedziała, że przyjmą jego werdykt.

Gdy skończył dwanaście lat, matka postanowiła, że będzie chodził do najlepszej szkoły w mieście, mimo że ich dzielnica leżała za nisko (w Hajfie osobliwym wyznacznikiem statusu była topografia: im wyżej na zboczu góry się mieszkało, tym wyżej było się w hierarchii). Obowiązywała rejonizacja, więc dzieci z ich dzielnicy nie mogły chodzić do szkoły na zboczu Karmelu, lecz Dina Hajut-Alimi popytała gdzie trzeba i ustaliła, że każda dobra szkoła musi przyjąć pewną pulę dzieci spoza rejonu; zadbała, żeby Churchill przystąpił do egzaminów wstępnych, i sama przez trzy miesiące od rana do wieczora go przygotowywała.

Do szkoły na zboczu dostała się tylko dwójka dzieci spoza rejonu: Churchill i Szachar Kohen. Kilka dni po tym, jak Churchill otrzymał list zaczynający się od „Z przyjemnością zawiadamiamy...”, spotkał Szachara Kohena w Stella Maris, miejscu na zboczu góry, skąd można za darmo oglądać mecze rozgrywane na stadionie w Kirjat Eli'ezer.

– Słyszałem, że będziemy chodzić do tej samej szkoły! – rzekł na powitanie z szerokim, dumnym uśmiechem.

Szachar Kohen, zamiast odpowiedzieć, chwycił Churchilla za koszulę i przycisnął do pnia sosny.

– Nie odzywaj się do mnie, dupku. I jeśli nie powiesz ojcu, żeby zabrał swoje brudne łapska od mojej matki, to cię zabiję. Przysięgam na Boga, że zabiję cię pierwszego dnia szkoły, rozumiesz?

Po tamtej historii z wszami ojciec Churchilla przestał go zabierać ze sobą na lekcje jazdy, więc Churchill nie miał pojęcia, co mogło zająć między jego ojcem a matką Szachara Kohena. Ale wiedział, że urodziła syna, mając szesnaście lat, i była najmłodszą matką w okolicy. Wiedział też, że ojciec Szachara Kohena jest oficerem, stacjonuje w bazie niedaleko Beer Szewy i przyjeżdża do domu raz na dwa tygodnie. I że miesiąc temu awansował na majora, dostał służbowy samochód, a prywatny zostawił w domu, dla żony. A ona nie miała prawa jazdy.

Wszystkie te fakty złożyły się w całość w głowie Churchilla, gdy Szachar Kohen przyciskał go do drzewa. Nic jednak nie powiedział, tylko próbował się wyrwać. Ale Szachar Kohen, choć niższy, miał siłę, którą czerpał z wściekłości, i trzymał Churchilla mocno. Zwarli się w uścisku, kopali, walili głowami, aż przewrócili się na ziemię.

Inne dzieciaki stanęły wokół, ale nikt nie miał odwagi się wtrącić.

W przeciwieństwie do zwykłych awantur, które były nieodłącznym elementem ich dzieciństwa (podobnie jak melodyjka wygrywana przez samochód lodziarza w lecie i wylewające kanały ściekowe w zimie), ta bójka nie wydawała się normalna. Trudno to wytłumaczyć, ale chwilami widzowie odnosili wrażenie, że Churchill i Szachar Kohen się przytulają. Momentami zdawało się, że jeden drugiego pociesza. Ale zarazem każdy bardzo starał się zrobić drugiemu krzywdę i po kilku minutach ostrej walki ich twarze, dłonie, klatki piersiowe i uda pokryły się ciepłą, lepką krwią.

Churchill nie wrócił tego dnia do domu. Gdy zapadła noc, czekał przy skrawku w ich ulicę, a gdy ojciec nadjechał, wyskoczył na środek drogi. Ojciec zahamował z piskiem opon i wyskoczył przerażony. Odbyli krótką, króciutką rozmowę w migocącym świetle latarni. Michel Alimi przez chwilę przyglądał swoje piękne włosy, zerkając na boki, a potem odezwał się cicho.

– Słuchaj, chcę, żebyś zrozumiał, że jestem tylko człowiekiem i...

– To co z tego, że jesteś człowiekiem? – przerwał mu Churchill. Tym jednym zdaniem uciszył ojca, a wszystkie dalsze argumenty wytrącił mu za pomocą tego samego pełnego napięcia milczenia, które wiele lat później będzie mu służyć do wytrącania argumentów przeciwnej strony w sądzie.

Nazajutrz piękna matka Szachara Kohena zmieniła instruktora. W ten oto sposób pierwszego dnia szkoły Churchill nie został zamordowany. Przeciwnie: rozkwitł.

Już pierwszego dnia przekonał Szoszanę Rot, przerażającą matematyczką, żeby zadała mniejszą pracę domową, a uczynił to za pomocą szczegółowej tabeli prac domowych zadanych tego samego dnia z innych przedmiotów, z załączonym statystycznym wyliczeniem, że przeciętnemu uczniowi sumienne odrobienie wszystkich zadań zajęłoby całą noc. Na przerwie wyszedł na boisko i rozsądził spór o to, czy był faul. A po lekcjach podszedł do największej snobki w szkole, Rony Rawiw, do której od czasów podstawówki każdy bał się zbliżyć, i po prostu do niej zagadał, patrząc jej prosto w oczy, a nawet udało mu się ją dwa razy rozśmieszyć. Po kilku tygodniach miał już gromadkę przyjaciół-wielbicieli, którzy naśladowali jego chód, ubiór, sposób palenia i spijali z jego ust każde słowo.

Szachar Kohen nigdy nie należał do tej grupki, choć zawsze kręcił się w pobliżu. Tajemnicza uraza, którą do siebie wzajemnie z Churchilllem żywili, przetrwała, lecz nikt nie znał jej przyczyny. I dopiero tej nocy, gdy wracaliśmy z naszej niewieńczonej sukcesem wyprawy w poszukiwaniu weterynarza nazwiskiem Ricardo Luis w Micpe Ramon, gdy Ofir i Amichaj posnęli na tylnym siedzeniu, a jedyną stacją, jaką udało nam się złapać, było Radio Aman – dopiero wtedy Churchill ze wzrokiem utkwionym w nieprzeniknioną ciemność po prawej opowiedział mi wszystko, a na koniec dodał:

– Frid, chcę, żebyś wiedział, że nikt poza tobą tego nie wie. – A ja milczałem i poczułem się szczęśliwy, ważny i wyjątkowy.

Czternaście lat później dowiedziałem się z pierwszej ręki, co to za „krępujące okoliczności osobiste”.

Pewnego wieczora, kilka dni po tym, jak usłyszeliśmy w telewizji, że Churchill zrezygnował, zapukał do moich drzwi.

Ubrany był dziwnie. Od pasa w dół – jak prawnik: czarne spodnie, eleganckie półbuty. Ale zamiast marynarki miał koszulkę Makabi Hajfa z numerem Ejala Berkowica. T-shirt opinał się na pokaźnym brzuszku. Zastanawiałem się, czy przytył niedawno, czy dopiero teraz to zauważyłem.

– Mogę? – spytał. – Przepraszam, że tak późno...

– Spoko, wchodź.

Zrobiłem mu kubek mocnej rozpuszczalnej kawy, w której dokładnie rozmieszałem półtorej łyżeczki cukru, tak jak lubi, i przyniosłem mu ją do pokoju.

– Dzięki, stary. – Postawił kubek na stole. – To była koszmarna wycieczka – dodał, wskazując wiszącą na ścianie fotografię z naszej wyprawy na Synaj. – Strasznie dawno nie widziałem tego zdjęcia – dodał, gdy wciąż się nie odzywał.

– Nie byłeś u mnie już parę lat – odparłem sucho.

– No. – Popatrzył na swoje buty. Zazwyczaj siadał z szeroko rozkraczonymi nogami, jakby uprawiał seks z powietrzem, ale teraz kolana miał ściśnięte. – Wiem, że przez ostatnie dwa lata ty i ja... Jak by to... Oddaliliśmy się... Po tym, co się stało... Nie, no w zasadzie słusznie... – Przerwał i popatrzył na mnie.

Skinąłem głową jak sędzia, zezwalając, by mówił dalej. Na razie.

– Ale o ile wiem... Nie przestałeś być moim przyjacielem... A teraz mam kłopoty i nie mam z kim porozmawiać, nie mam kogo spytać o radę. Ja'ara nie chce już więcej... Amichaj i tak ma tyle na głowie, a Ofir... Zadzwoił i zaczął mi opowiadać, że każdy błąd jest lekcją, i pewnie ma rację, ale te jego złote myśli już mnie doprowadzają do szału... A moi rodzice... Ojciec nie rozumie takich rzeczy, a z matką wstydzę się o tym rozmawiać. Wiesz, że zaczęła w tym roku studiować prawo? Powiedziała, że mój sukces dał jej odwagę. No i jak mam jej teraz powiedzieć, co się stało? Sprawić jej taki zawód? A z kimś muszę pogadać... Z kimś, kto ma jasność myśli. Bo już dłużej nie mogę...

– Kawa ci stygnie – przerwałem mu. Wciąż jeszcze nie zdecydowałem, czy bardziej chcę mu pomóc, czy wyrzucić go za drzwi.

– Zresztą – kontynuował po kilku siorbnięciach – tylko ty będziesz potrafił mnie zrozumieć. Bo tylko ty wiesz o Keren.

– Keren?

– Dziewczynie z Cuzco. Pamiętasz, jak zachorowałeś, a ja się tobą opiekowałem? Właśnie wtedy spotkałem dziewczynę, która...

– To ta, która miała tajemnicę?

– Tak. Ta, którą poprosiłem, żeby zaczekała, aż wyzdrowiejesz, ale ona powiedziała, że co ma się stać...

– ...to się stanie. I że jeśli pisane wam jest się spotkać, jeszcze się spotkacie. Pamiętam. Ale jaki to ma związek z „krępującymi okolicznościami osobistymi”?

– To ona właśnie jest jedną wielką krępującą okolicznością osobistą – rzekł Churchill. I zaczął opowieść.

Miał taki specjalny ton, którym opowiadał o swoich podbojach: gdy mówił o tym, jak uwiódł jakąś kobietę, jego głos stawał się nieco głębszy, twardszy, trochę jak głos lektora w zajawkach amerykańskich filmów. Gestykulował zawzięcie i obrazowo i nie szczędził najdrobniejszych szczegółów. Gdzie jej dotykał. Jak z początku nie chciała. A potem nagle chciała. I to jeszcze jak chciała! Była cała wilgotna! A jak jęczała, Boże, jak ona jęczała! Zapach jej oddechu. Smak jej warg. I tych drugich warg. Gdy mieliśmy po naście lat, było w tych opowieściach coś zakazanego, zawsze mi stawał, jak ich słuchałem. Później, kiedy już byliśmy starsi, zrobiło się to trochę nużące i krępujące. Ordynarne. Ale i tak czasem mi stawał, gdy Churchill opowiadał w ten swój charakterystyczny sposób.

Za to teraz mówił inaczej: z wahaniem, a nawet z bólem. Często przerywał i drapał się po czole, które było wyższe niż kiedyś (zastanawiałem się, czy ostatnio zaczął szybciej łysieć, czy po prostu dopiero teraz to zauważyłem. A potem przyszło mi do głowy, że skoro on wyglądał starzej, to czy ja też?).

– Podeszła do mnie po jednej z rozpraw. A ja, idiota, nie zadałem sobie pytania, skąd się tu wzięła, tylko ucieszyłem się ze spotkania.

– Poznałeś ją?

– Od razu. Nic się nie zmieniła. Choć właściwie wyglądała jeszcze lepiej niż wtedy. Bardziej kobieco. Miała długą bordową sukienkę z rozcięciem z boku. Z perspektywy widzę, że to wszystko musiało być zaplanowane, ale wtedy nic nie podejrzewałem. Powiedziała, że akurat była w pobliżu i zajrzała do sądu, brzmiało to całkiem do rzeczy. Pochwaliła, że dobrze wyglądam w todze, a potem, kiedy siedzieliśmy na skwerze przed muzeum, wyznała, że nie było dnia, żeby o mnie nie myślała.

– Od czasu Cuzco?

– Tak. A ja na to, że... że ja też o niej myślałem przez cały ten czas.

– Nie wiedziałem.

– Nikomu nigdy nie mówiłem. Uważałem, że to żalosne, myśleć o kimś tyle lat. Kim ona w ogóle jest? Jaką dziewczyną, z którą spędziłem dwa dni i...

– ...i odtąd o niej myślałeś. Co w tym żalosnego?

– Nie wiem. Myślałem, że jeśli zacznę o tym mówić, że jeśli powiem to głośno, to tylko jeszcze więcej będę o tym myślał.

Albo że jeśli komuś się do tego przyznasz, to na twoim nieskazitelnym wizerunku zrobi się skaza, pomyślałem.

– Powiem ci coś jeszcze, o czym nikt inny nie wie – ciągnął Churchill. – Kilka dni przed ślubem pojechałem do Aszdodu. Pamiętałem, jak mi mówiła, że ma rodzinę w Aszdodzie. No więc pojechałem, pokręciłem się po mieście, szukałem jej. Jeździłem powoli, przez kilka godzin. Z Aszdodu, odkąd tam byłem poprzednio, zrobiło się spore miasto, nawet podzielili je na dzielnice. Objechałem je wszystkie i mówiłem sobie, że jeśli ją spotkam, to będzie znak.

– Znak czego?

– Nie wiem. Ale nagle bardzo chciałem się z nią zobaczyć i porozmawiać. Zanim się ożenię.

– Ale jej nie znalazłeś.

– Nie. No i nagle zjawia się z tym rozcięciem z boku sukienki i tak jak poprzednio roztacza aurę tajemnicy. Mówi, że nie było dnia, żeby nie żałowała, że nie poczekała na

mnie wtedy w Cuzco, bo czuła, że było między nami coś magicznego. Niepowtarzalnego. I że choć próbowała z wieloma mężczyznami, nigdy z żadnym nie udało jej się poczuć tej magii.

– Nieźle.

– Same banały. Ale dałem się na nie złapać. W dodatku przez całą rozmowę mnie dotykała: najpierw musnęła wierzch mojej dłoni, potem kolano, a wreszcie zatrzymała rękę dłużej na wnętrzu mojego uda.

– No i poszliście do łóżka.

– Mniej więcej... – Churchill wstał. Zwykle w tym miejscu opowieści następowały szczegółowe opisy. Ale teraz wstał, westchnął jak stary człowiek, podszedł do okna, odsunął zasłonę i wyjrzał na ulicę.

– Nie do wiary – powiedział. Myślałem, że mówi sam o sobie, że żałuje tego, co zrobił. Ale nie. – Nie do wiary. – Powtórzył. – Chodź, zobacz.

Podszedłem do okna. Była pierwsza w nocy, a moją uliczką między samochodami szła, tańcząc, grupka może dziesięciu kobiet w tradycyjnych złotych sukniach. Na czele pochodu kroczyła starsza kobieta z długimi czarnymi włosami i wybijała na bębnie coraz szybszy rytm. W środku grupy szła para ubrana na biało, państwo młodzi, wyglądający na uradowanych i podnieconych. Co parę kroków kobiety stawiały, żeby obrzucić młodych confetti, po czym śpiewając i tańcząc, ruszały dalej.

– To arabska henna – wyjaśnił Churchill.

– W środku nocy?

– Właśnie to jest wspaniałe w tym mieście. Wszystko się może zdarzyć. I w dodatku nikt nie robi z tego wielkiego halo.

– Racja. W Hajfie sąsiedzi już dawno by wezwali policję.

Pochód dotarł do rogu, gdzie natknął się na strażniczkę miejską wlepiającą mandaty za złe parkowanie. Grupka natychmiast ją pochłonęła – kobiety dotykały jej, głaskały ją po włosach, zachęcały do tańca. Z początku się opierała, wrywała z kręgu, który ją otaczał, ale nagle jakby coś w niej się poddało i zatraciła się w zabawie: rozpuściła włosy, rozpięła górny guzik bluzki i zaczęła tańczyć naprzeciwko pana młodego.

– Co za scena – powiedział Churchill.

W końcu udało jej się uwolnić i wróciła do wkładania mandatów za wycieraczki źle zaparkowanych samochodów, ale Churchill nie odszedł od okna.

– Pamiętasz tę naszą wyprawę na Święto Niepodległości? Pamiętasz, jak kazałem ci przyrzec, że przyjedziesz tu do mnie po skończeniu służby?

– Jasne.

– Myślisz, że byłoby inaczej, gdybyśmy zostali w Hajfie? – spytał.

– Co byłoby inaczej?

– Wszystko. My. Myślisz, że to miasto nas zmieniło?

– Pewnie. Już zapomniałem, jak się wjeżdża pod górę samochodem z ręczną skrzynią biegów.

– A poza tym?

– Nie mam pojęcia. Nie jestem pewien. Przecież upłynęło też sporo czasu, trudno to rozdzielić.

– Spójrz! Spójrz na tę kobietę z bębniem, to musi być matka panny młodej. Szkoda, że nie ma Ofira, może to by go skłoniło, żeby tu znowu zamieszkać.

– Nie sądzę – odparłem. – Myślę, że minął już zakręt, zza którego nie ma powrotu.

– Skręt, zza którego nie ma powrotu – przypomniał Churchill żart Ofira z copywriterskich czasów.

Barwny pochód zniknął za rogiem, ale Churchill jeszcze długą chwilę wyglądał przez okno, może wcale nie chciał wracać do swojej opowieści. Może wolałby dołączyć do tańczących, walić w bęben i o wszystkim zapomnieć.

– Powiedz – spytał nagle – czy na weselu też wydawałem się taki szczęśliwy jak ta młoda para na ulicy?

Nie wiedziałem, co odpowiedzieć. Przez całe wesele patrzyłem tylko na pannę młodą.

– Nie – odpowiedział sam sobie – nawet podczas wesela myślałem o Keren. Przypomniałem sobie o niej dwa razy. Dlatego tak dużo wypłem, chciałem odegnąć te myśli. I myślałem jeszcze o naszych karteczkach z życzeniami. Pamiętasz? Jedno z tych dwóch, których nie przeczytałem na głos, wiązało się z Keren: „Chcę spotkać Keren, zupełnie przypadkiem, gdy już wymażę ją z pamięci”.

– *Kochałem raz dziewczynę z Galilei* – zacytowałem następny wers piosenki Meira Ariela.

Churchill posłał mi ciepłe spojrzenie, jedno z tych, które często wymienialiśmy, zanim między nami się popsuło. Spojrzenie, które mówiło: „Jak to dobrze, że jest na świecie ktoś, kto rozumie moje najbardziej osobiste skojarzenia”.

– A wiesz, co w tym wszystkim jest najlepsze? – ciągnął, nieco podniesiony na duchu. – Że przez te wszystkie lata ona naprawdę mieszkała w Galilei, w wiosce niedaleko Karmielu.

– Sama?

– Czasem sama, czasem nie. Tak mi w każdym razie powiedziała. Teraz już sam nie wiem, co było prawdą, a co kłamstwem. Powiedziała, że jest gotowa zrezygnować z wolności za każdą cenę, i od razu zaproponowała, żebym do niej przyjechał. Ja na to, że chętnie kiedyś wpadnę, ale ona założyła nogę na nogę, a pamiętaj, że miała to rozcięcie w sukience, i powiedziała: „Teraz”.

– No i poszliście do łóżka – rzekłem zniecierpliwiony.

– Tak, ale zrobiłem to tylko po to, żeby wyegzorcyzmować dybuka. Powiedziałem sobie, że zdradzam Ja’arę, ale robię to dla jej dobra.

– Dla jej dobra?! – podniosłem głos. Czułem, że Churchill próbuje mnie znowu zmanipulować swoją zgrabną gadką.

– Wiem, że to marne wytłumaczenie – odparł – ale wtedy właśnie tak myślałem. Że jeśli pójdę z nią do łóżka, to odkryję tajemnicę, którą tak skrzętnie skrywała. A jak odkryję tajemnicę, to ta dziewczyna przestanie mnie doprowadzać do obłądu.

– No i odkryłeś? – Starąłem się nie nadawać słowom lekceważącego tonu.

– Tak – powiedział strapiony. – Po kilku minutach całowania się u niej w domu nagle odpycha mnie i mówi: „Jest coś, co muszę ci wyznać”. A sam rozumiesz, że już byłem cały nagrany, już miałem nadpalone brzegi, jak te kartki urodzinowe, które dla was kiedyś robiłem. Ale ona odsuwa moją rękę i mówi: „Powinieneś wiedzieć, że tam, w sądzie, nie znalazłam się przypadkiem”.

– To co tam robiła?

– Jest córką oskarżonego.

– No nie.

– Najstarszą, z pierwszego małżeństwa. Właściwie nie utrzymują kontaktów. Wręcz przeciwnie, są pokłóceni. Zmieniła nazwisko, żeby nie nazywać się tak jak on. Mówiła, że nawet nie jest pewna, czy przyszła do sądu, żeby go wspierać, czy żeby się cieszyć z jego nieszczęścia.

– Zaraz, czekaj, a czy to jest dozwolone?

– Co?

– Żeby oskarżyciel spoufalał się z córką oskarżonego?

– Jest to wątpliwe etycznie, ale jeśli oskarżyciel nie wie, kim ona jest, to trudno go obwiniać.

– Więc dlatego ci...

– Tak, dlatego mi powiedziała. Żeby później osoba, która będzie odsłuchiwać taśmę, miała jasność, że wiedziałem.

– Taśmę?

– Tak. I była jeszcze ukryta kamera. Przygotowali się wzorowo.

– Ale... Komu by się chciało tak wysilać? Przecież jeśli nie ty, to sprawę może poprowadzić inny prokurator.

– Uważali, że od samego początku ja za tym stoję. Że mam obsesję na punkcie skazania tego człowieka, że to moja ambicja. Zawsze tak twierdzili.

– A ty... W żadnym momencie... Z Keren... Nie miałaś podejrzeń?

Churchill zachichotał żałośnie.

– Podejrzeń? Żeby mieć podejrzenia, trzeba myśleć. A ja w tym momencie nie myślałem. Dziesięć lat, rozumiesz? Minęło dziesięć lat, codziennie sobie o niej przypominałem i nagle znalazła się na wyciągnięcie ręki. Jeszcze to rozcięcie. Rozumiesz? Jak miałem logicznie myśleć?

Znowu wstał i podszedł do okna. Wypatrywał jakiegoś kolejnego absorbującego wydarzenia, które uwolniłoby go od obowiązku dokończenia historii.

– Następnego dnia – rzekł, odwróciwszy się z powrotem do mnie – poszedłem do biura prokurator okręgowej, żeby się przyznać. Okazało się, że już wie. Jeszcze wieczorem podrzucili jej nagranie. Nawet nie zrobiła awantury. Powiedziała, że docenia, że przyszedłem się przyznać sam z siebie. I że skoro tak bardzo starają się mnie pozbyć, to znaczy, że się mnie boją. No, ale nie miała wyjścia, musiała mnie odsunąć od sprawy. Zaproponowała, żeby zrobić to od razu, zanim dowiedzą się media, bo lepiej, żeby moja rezygnacja nie nastąpiła pod presją opinii publicznej. Położyła mi dłoń na ramieniu i powiedziała, że jestem jeszcze młody, że muszę wyciągnąć wnioski z tego błędu. I tyle. Dwie godziny później przysłali kogoś, żeby zabrał kartony.

– Jakie kartony?

– Pudła, w których trzymałem akta. Poświęciłem tej sprawie okrągły rok. Śniła mi się po nocach. I nagle w ciągu dwóch godzin wszystko szlag trafia. A następnego dnia rano spojrzałem na wokandę...

– Na co?

– Taki ekran, na którym są wyświetlone rozprawy na dany dzień: kto, w której sali i tak dalej. No więc spojrzałem i okazało się, że zamiast mojego nazwiska jest już ktoś ze starszych prokuratorów. Rozumiesz? – Posłał mi spojrzenie błagające o współczucie, o dobre słowo. Przypomniało mi się zdanie wyryte na ścianie w sądzie, które przeczytałem, gdy przyszedłem wtedy z nim porozmawiać: „Ufam Twoim wyrokom”, głosił napis. I oto Churchill ufał moim wyrokom. A ja? Ja wbiłem wzrok w podłogę.

Bardzo bym chciał powiedzieć, że nie pozwoliłem sobie na złośliwą satysfakcję,

tylko że to by nie była prawda. W tym momencie triumfowałem. Ale czułem też żal i gniew, i zaskoczenie. I leciutkie, miłe poczucie wyższości, które pojawia się, gdy ktoś prosi nas o radę.

– No to z jaką decyzją masz kłopot?

– Z decyzją?

– Powiedziałeś, że przyszedłeś prosić mnie o radę, prawda?

– A, no tak. Chodzi o to, że prokurator okręgowa pozostawiła mi decyzję, czy mam odejść z prokuratury, czy zostać. Z jednej strony pewnie spodziewa się, że odejdę. Z drugiej w zasadzie nie mam dokąd iść. A z kolei z trzeciej, ludzie zaczęli spoglądać na mnie z litością. Z litością i z satysfakcją. To potrafi doprowadzić do szału. Wczoraj grupka, z którą zawsze chodzimy na lunch, poszła beze mnie. A dzisiaj miałem wrażenie, że nawet parkingowy już się dowiedział o mojej kompromitacji. Pół godziny potrzebował na otwarcie szlabanu! Pewnie sobie tylko to wyobrażam, bo już popadam w paranoję. Co sądzisz? Jak myślisz, co powinienem zrobić?

Przypomniałem mu o jego teorii 51:49, która głosi, że jeśli prosisz przyjaciela o podjęcie decyzji, gdy argumenty za i przeciw rozkładają się po równo, 50:50, to w głębi serca przychylasz się ku jednemu rozwiązaniu. I gdy prosisz o radę, przedstawiasz sprawę tak, żeby przyjaciel poparł to rozwiązanie, które sam byś wolał.

– Więc teraz spytaj sam siebie, które rozwiązanie ma pięćdziesiąt jeden procent – dokończyłem.

– Świetna myśl – odparł, a po chwili milczenia dodał bez cienia uśmiechu: – Wiesz co? Mam nową teorię: każda cwana teoria, którą człowiek wymyśli, wraca do niego jak bumerang.

– Jeszcze kawy? – spytałem. Czułem się niezręcznie, że tak siedzę i mu współczuję.

– Może herbaty – powiedział („Herbata to napój gorących lasek”, mówił zawsze, robiąc sobie jaja z Ofira).

– Powiedz – zawołałem z kuchni – a skąd ta koszulka Makabi Hajfa?

– Ja’ara wyrzuciła mnie z domu – odkrzyknął.

– Co?! – Natychmiast wróciłem do pokoju. Ciekaw byłem, czy dosłyszał nutkę zadowolenia w moim głosie.

– Zmieniła zamek i wystawiła mi za drzwi torbę z majtkami i skarpetkami. I z tą koszulką Ejala Berkowica.

– Zawsze miała poczucie humoru.

– Oj, miała – powiedział, drapiąc się pod pachą. – Prawdę powiedziawszy – odezwał się, nagle nachmurzony – to mnie najbardziej zabolalo. Jakoś przeżyję to, że

odebrali mi tę sprawę, ale jeśli stracę Ja'arę... To będzie już za wiele. Powiedziała, że tym razem nie daruje. Rozumiesz?

Milczałem. Nie byłem pewien, czy chcę rozumieć.

– Była pierwszą kobietą, która nie pozwoliła mi się wykręcić – ciągnął. – Mówiła zawsze: „Jesteś tchórzem. Nie wiesz, co to znaczy kochać kogoś, bo jesteś tchórzem. Ale koniec z tym. Ja ci nie pozwolę być tchórzem”.

Przerwał, a ja wyobraziłem sobie Ja'arę mówiącą te słowa. Jak zdejmuje okulary, jak wymawia słowo „kochać” w taki sposób, w jaki tylko ona jedna potrafi. Jak głaszcze go po dłoni, mówiąc „koniec z tym”.

– Wiesz, że nikt przed nią nie powiedział mi nic takiego? Nikt nigdy nie rozumiał, że daję może ze dwadzieścia procent tego, co bym mógł. A ona rozumie. Mówiła mi to tyle razy, aż w końcu poczułem, że coś z tego do mnie dociera. Że wreszcie mam szansę pokonać sam siebie. A teraz... Wszystko popsułem.

Co on sobie wyobraża, pomyślałem ze złością. Mam go teraz pocieszać, bo Ja'ara go rzuciła? No nie... muszą być jakieś granice.

Churchill chyba też sobie przypomniał, z kim rozmawia, bo nie ciągnął tematu.

Przez chwilę milczeliśmy. Poszedłem do kuchni i wróciłem z kubkiem gorącej herbaty.

Wypił powoli do dna.

– To gdzie śpisz? – spytałem.

– Wczoraj całą noc szwendałem się po ulicach. A dzisiaj to nie wiem – odpowiedział, zawieszając wzrok na mojej kanapie.

– Możesz zostać. – Natychmiast pożałowałem tych słów. Ileż przyjemności dałoby mi poznękanie się nad nim, udawanie, że nie rozumiem aluzji.

– Dzięki, stary.

Rozłożyłem mu na kanapie prześcieradło, powlokłem poduszkę. Choć było ciepło, przyniosłem koc, bo przypomniałem sobie, jak nocowałem u niego w ciągu pierwszych miesięcy po przeprowadzce do miasta. Zawsze dawał mi koc i mówił: „Dzięki temu poczujesz się bardziej jak w domu”. Włączyłem telewizor, przełączyłem na kanał sportowy, pokazałem mu, jak obsługiwać pilota.

– Anglia z Grecją? Czemu ze sobą grają? – zdziwił się, wskazując na ekran.

– Kwalifikacje do Pucharu – wyjaśniłem.

– Już?

– Oczywiście, a co myślałeś? Puchar Świata jest za dziesięć miesięcy.

– Gdzie?

– W Japonii i Korei. Organizują go wspólnie.

– No proszę! Ostatnio wypadłem trochę z obiegu. Zaraz, a co z nami? Co z Izraelem?

– Decydujący będzie mecz z Austrią za tydzień. Jeśli wygramy, trafiamy do eliminacji.

– A jak przejdziemy przez eliminacje?

– To gramy w mistrzostwach.

Nad ranem wstałem na siku i wracając do łóżka, zajrzałem do dużego pokoju. Churchill spał na siedząco. Przez sen dłubał zawzięcie w prawym uchu, wtykając palec coraz głębiej. Znałem ten jego nawyk z czasów naszej wspólnej podróży, a w zasadzie z jej mniej przyjemnych momentów, kiedy przez dłuższy czas nikogo nie spotykaliśmy i Churchill nie miał się przed kim popisować. Tylko że wtedy trwało to zawsze kilka sekund, nie dłużej, niż trzeba do wyczyszczenia ucha. Teraz zaś Churchill gmerał paluchem głębiej i głębiej, jak w transie, aż bałem się, że jeszcze trochę i uszkodzi sobie bębenek. Było widać, że sprawia mu to ból. Przypomniałem sobie, że wtedy, w czasie podróży, wystarczyło go zawołać po imieniu i natychmiast przestawał, ale nie byłem przekonany, czy należy mu teraz przeszkadzać. Może od tego było mu lepiej? Może właśnie chciał sobie zadać ból?*

Stałem tam, póki nie przestał się znęcać także i nad drugim uchem, sprawdziłem, czy na pewno śpi, i wróciłem do łóżka.

* Przypuszczam, że w tym opisie pan Frid stara się z właściwą sobie szlachetnością obronić moje dobre imię. Z przykrością muszę jednak stwierdzić, że tej nocy nie był świadkiem tajemniczego dłubania w uchu, tylko zwykłego, niepowstrzymanego płaczu. Chcę podkreślić, że jako człowiek dorosły płakałem tylko dwa razy: pierwszy raz miał miejsce właśnie tej nocy w domu pana Frida, kiedy naprawdę zrozumiałem, że mogę stracić jedyną kobietę (oprócz mojej matki), która naprawdę mnie kocha. Drugi raz miał miejsce mniej więcej miesiąc temu, gdy zadzwonił do mnie ojciec pana Frida i powiedział mi, co się stało.

Wedle mojej wiedzy opis sceny gorączkowego dłubania w uchu ma inne źródło. Pan Frid podpatrzył ten nawyk u chłopca, któremu jako student dawał korepetycje w ramach uniwersyteckiego programu pomocy dzieciom opóźnionym w nauce. Mimo że pan Frid utrzymał z chłopcem bliski kontakt jeszcze przez wiele lat po zakończeniu programu, ani razu nie wspomina o nim w tej książce.

Zresztą także wiele innych detali zostało zatajonych przed czytelnikiem – na przykład codzienne rozmowy telefoniczne z matką, regularne kieszonkowe otrzymywane od ojca na początku każdego miesiąca, fakt pisania niezwykle złośliwych komentarzy na stronach internetowych zamieszczających wypowiedzi oficerów armii i podpisywania się „major Kierkegaard”.

Jako redaktor tej książki powinienem w zasadzie uszanować decyzję autora o pominięciu pewnych partii materiału, mimo że czasem jest to dla mnie niezrozumiałe (Na przykład dlaczego pan Frid nie wspomina o swoim stałym partnerze szachowym? Przecież to właśnie fakt, że ów wyniszczony starszy człowiek się powiesił, był jedną z głównych przyczyn sytuacji, w której później znalazł się pan Frid!) – J.A.

Przez kolejne dni Churchill nie ruszał się z kanapy. Oglądał dużo meczów i mówił, że w prokuraturze i tak nie przydzielono mu na razie żadnych spraw, a jedyne, co może robić w tym stanie, to oglądać piłkę nożną (raz przyłapałem go na oglądaniu w kółko tego samego wydania wiadomości sportowych).

Co pewien czas wołał mnie, żeby mi pokazać jakiś wyjątkowo oburzający błąd sędziego (wypatrywał tych błędów i cieszył się z nich nie mniej, może wręcz bardziej, niż z bramek). Czasem bez skutku próbował się dodzwonić do Ja'ary. Nie odbierała telefonu domowego ani komórki, a sekretarka w pracy mówiła zawsze, że Ja'ara jest na spotkaniu. Po każdej nieudanej próbie twarz wykrzywił mu grymas bólu. Ale nic nie mówił.

Przez cały tydzień, kiedy u mnie mieszkał, nie zamieniliśmy słowa na temat Ja'ary. Za to, jakby wcale nie minęło siedem lat, powróciliśmy do leniwych rozmów, jakie odbywaliśmy pod koniec naszej wspólnej wyprawy. Gdy się z kimś podróżuje przez wiele miesięcy, w końcu zwykle, utarte tematy konwersacji się wyczerpują i dialogi zyskują swoistą naturalność. Mówi się oszczędnie. Milczenie przestaje być niezręczne. Co jakiś czas, niby od niechcienia, rodzi się rozmowa, w której jest coś zupełnie świeżego. Tak właśnie było podczas tego tygodniowego wygnania, które Churchill u mnie spędził. Dużo graliśmy w szachy (zawsze wygrywałem), oglądaliśmy album ze zdjęciami z wyprawy. Miałem okazję przypomnieć sobie jego nieznośne nawyki: nigdy nie zamykał szamponu, kubek na stole stawiał bez spodeczka, choć wie, że tego nienawidzę, nie umiał zmywać i na naczyniach zawsze zostawały resztki jedzenia. Ale z drugiej strony przypominałem sobie jego hojność (już pierwszego dnia zrobił wielkie zakupy i co wieczór gotował tyle jedzenia, „żebyśmy mogli się objeść jak świnie”) i szczerą ciekawość. Wypytywał o artykuły, które tłumaczę, a ja opowiedziałem mu o tym, nad którym aktualnie pracowałem. Pewien oksfordzki profesor przestudiował programy dużych partii politycznych, startujących w ciągu ostatnich lat w wyborach w Europie Zachodniej, i zestawiał te programy z polityką, którą prowadziły później rządy stworzone przez zwycięzców. Dokonał zadziwiającego odkrycia: w wielu wypadkach zwycięska partia realizowała stopniowo program tej, która przegrała. Churchill nie chciał w to uwierzyć, więc przeczytałem mu kilka zaskakujących przykładów z Włoch i Niemiec przytoczonych przez profesora. Zaczęliśmy się zastanawiać, czy tak samo jest u nas, w Izraelu. Doszliśmy do wniosku, że z jednej strony tak, bo to Menachem Begin zawarł pokój z Egiptem, ale z drugiej strony, jeśli tak, to Ariel Szaron, zwycięzca w ostatnich wyborach, powinien zrealizować postulat zgłoszony przez Partię Pracy, żeby wycofać się ze strefy Gazy, co nie wchodziło w rachubę. Później z zapalem pomagał mi w tłumaczeniu artykułu o aspektach prawnych w dziełach Szekspira, ze szczególnym uwzględnieniem *Hamleta*. Kiedy przeszukiwał Internet, żeby sprawdzić jakieś pojęcie, którego nie był pewien, a ja poszedłem zaparzyć mu ziołowej herbaty – na nic innego przez ten tydzień nie miał ochoty – pomyślałem, że przecież nie mam żadnego innego przyjaciela, z którym mógłbym sensownie porozmawiać o Szekspirze, i że to całkiem ożywcze mieć towarzystwo przy dokonywaniu małych, irytujących wyborów, na które na każdym kroku

skazany jest tłumacz.

Prawie nie wychodziliśmy z domu. Ja i tak jestem typem osoby, która woli czytać informator o wydarzeniach, niż na nie chodzić, a Churchill się po prostu bał.

Powiedział, że od kiedy afera trafiła do mediów, dziennikarze, zwłaszcza jedna korespondentka z telewizji, go śledzą.

– Mówię jej, że nie będę więcej odpowiadał na żadne pytania, a ona dzwoni po siedem razy dziennie – żalił się. Poprosił, żebym nikomu nie otwierał, zanim nie spojrzę przez wizjer, bo „ta pijawka może przyjść nawet tutaj”.

– Jak ona wygląda? – spytałem, a że akurat leciały wiadomości posadziłem mnie przed telewizorem, żebym sobie utrwalił w pamięci jej portret.

A w telewizji – same złe wieści. Morderstwa, ranni w wypadkach, walka z narkotykami, pobicia, rozboje i znowu morderstwa. Zauważyłem coś dziwnego. Chociaż zdania wypowiedane przez prezenterkę były dynamiczne, pełne rozpędu, co chwila padały takie słowa, jak „przełom”, „eskalacja”, „dramatyczne wydarzenia”, to rzeczywistość opisywana tymi słowami kręciła się wciąż w kółko. Spostrzegłem też, że dziennikarze traktowali rozmówców z jawną niechęcią i dezaprobatą. Jak gdyby okrucieństwo, które kapą z każdego czytanego przez nich newsa, wsącżyło im się do krwiobiegu. Po chamsku przerywali osobie siedzącej naprzeciwko, niecierpliwie bębniłi palcami i ostentacyjnie przełykali ślinę. Cały czas miałem wrażenie, że zaraz nie wytrzymają w tej przeklętej pozie, której wymaga się od prezenterów telewizyjnych, a gniew i frustracja, które się w nich nagromadziły, wypłyną jak magma i zaleją studio.

Korespondentka, której miałem się przyjrzeć, pojawiła się pod koniec wiadomości. Jasnobrzęde włosy, potok szybko wypowiedanych słów. Okulary. Wyglądała trochę jak Ja'ara.

– Wiesz, ta Michaela wygląda na miłą osobę – odezwałem się.

– Uważaj na nią, nie daj się zwieść pozorom ładności – ostrzegł Churchill i przypomniał mi: – Nie otwieraj nikomu, dobrze?

Przez pierwsze kilka dni przestrzegałem zakazu. Nie otwierałem nikomu, zanim nie spojrziałem przez wizjer.

Najpierw przyszedł Menasze z drugiego piętra. Zbierał składki na komitet domowy.

Potem niespodziewanie zjawił się kurier z Federal Express z dużą paczką od pana Szachara Kohena z Lublany. Otworzyliśmy ją zaintrygowani. Zawierała spore kartonowe pudełko, w którym znajdowało się pięć pomarańczowych tubek. Zamiast instrukcji obsługi albo firmowego opakowania był tylko list od Szachara do Churchilla.

Cześć stary

Jak leci

Słyszałem że masz ostatnio kłopoty i chociaż wiem że nigdy mi nie wybaczyłeś tamtej awantury i chociaż jak się ostatni raz widzieliśmy na szwie u Amichaja to też prawie nie rozmawialiśmy jednak zawsze będę pamiętał tę demonstrację którą dla mnie zorganizowałeś w szkole i zastanawiałem się jak mogę pomóc gościowi który sam mi kiedyś pomógł i pierwsze co mi przyszło do głowy to przysłać ci taki balsam na ból serca nad którym od dwóch lat pracujemy w naszym laboratorium tu w Lublanie ale jeszcze go nie wypuściliśmy na rynek z powodów technicznych, coś tam z zezwoleniami i dokumentami i to dlatego nie ma ulotki ani instrukcji ale to nic bo balsam jest naturalny i zrobiony z wyciągu z dulcynei czyli gatunku lotosu który rośnie nad jeziorem Bled w Słowenii a co do stosowania to też jest proste bo wystarczy dwa razy dziennie wysmarować balsamem lewą stronę klatki piersiowej tam gdzie jest serce i po dwóch trzech dniach poczujesz jak smutek ustępuje a wiem to nie z eksperymentów na myszach tylko z własnego doświadczenia bo ja tu też mam trochę trosk ale tu nie chodzi o mnie tylko o ciebie więc naprawdę mam nadzieję że to ci pomoże a zresztą chcę żebyś wiedział że myślę o tobie ciepło i jestem pewien że wyjdiesz z tego jako zwycięzca czy to z pomocą balsamu czy bez

Pozdrów chłopaków

Szachar

PS Przepraszam że nie ma kropek i przecinków ale już prawie nie piszę po hebrajsku i zapomniałem gdzie są te klawisze

Parę godzin później zjawili się Amichaj i Ofir. Wpadli tylko na chwilę, „zobaczyć, czy Churchill jeszcze żyje”, i zostali obejrzyć, jak Izrael daje ciała w meczu ostatniej szansy.

Właściwie to był pierwszy raz od śmierci Ilany, kiedy cała nasza czwórka spotkała się i razem oglądaliśmy mecz. Przez pierwsze minuty w powietrzu czuło się napięcie. Jak tam, co słytać, jakoś leci. Zachowywaliśmy się nie jak czwórka najlepszych kumpli, tylko jak cztery obce osoby, które w ramach starania o pracę muszą wypełnić wspólnie jakieś zadanie. Pewnie ten dyskomfort wynikał też po części z faktu, że w ciągu ostatniego roku Amichaj stał się dobrze znaną, cenioną osobą publiczną i teraz nagle ten facet z telewizji i gazet siedział razem z nami w pokoju, a my nie byliśmy pewni, jak go traktować. Jak śmiertelnika czy jak boga?

Ale potem Churchill opowiedział o paczce od Szachara Kohena i Amichaj z Ofirem namówili go, żeby wypróbował tę dulcyneę, co mu szkodzi? Wycisnął trochę zawartości tubki i zgodnie z instrukcją dokładnie rozsmarował po lewej stronie klatki piersiowej, a po chwili skóra w tym miejscu zaczęła go potwornie swędzieć.

– A to gnojek! – zawołał, drapiąc się po piersi.

– Wcale nie gnojek! Geniusz! – zaśmiewał się Ofir. – Będzie cię tak swędziało, że zapomnisz o wszystkim innym.

– No i czego się tak cieszysz? – wrzasnął na niego Churchill, rzucił w niego tubką i pobiegł pod prysznic.

Wrócił, cały czas się drapiąc, a Ofir skrzywił dla nas wszystkich grubego jointa i powiedział, że jest bardzo szczęśliwy, bo są w ciąży, to znaczy Maria jest w ciąży. Więc żeby to uczcić, pojechał do Jaffy jak za dawnych czasów, kupił trochę najlepszego zioła, bardzo mocnego, prosto z Libanu. Wszyscy wstaliśmy i po kolei go przytuliliśmy.

– Gratulacje, tatusiu, wszystkiego najlepszego!

Puściliśmy jointa w obieg, a Churchill roześmiał się i powiedział:

– Mogłaby tu teraz wpaść policja i złapać nas na gorącym uczynku, wtedy nie miałbym już dylematu, czy zostać w prokuraturze, czy odejść.

W tym momencie Amichaj nieco zbladł i rzekł:

– Nie wiem, czy policja to najlepszy pomysł, moi przeciwnicy w służbie zdrowia dostaliby broń do ręki. Nie mówiąc o mediach.

Na wzmiankę o mediach wyobraźnia Ofira zaczęła pracować:

– Tak, już widzę te nagłówki: „Mamy Prawo Palić? Założyciel organizacji non profit Mamy Prawo broniącej praw pacjenta podejrzany o używanie narkotyków”.

– Tanuri odpiera zarzuty: „Jest dym bez ognia” – Churchill dorzucił pomysł na podtytuł.

– Tanuri odpiera zarzuty: „Byłem przekonany, że nasza fundacja to JOINT venture”.

– Tanuri odpiera zarzuty: „Media przedstawiły to poza kontekstem”.

– Tanuri odpiera zarzuty: „Chciałem w ten sposób wesprzeć Arabów w Jaffie”.

– Tanuri odpiera zarzuty: „To nie ja. To Szachar Kohen”.

Przerzucaliśmy się kolejnymi zmyślonymi nagłówkami relacjonującymi Amichajowy konflikt z prawem i im mniej były zabawne, tym bardziej nas śmieszyły. Napięcie wiszące w powietrzu zniknęło i znów łączyły nas mocne nici niewymuszonej bliskości. A i nasza reprezentacja radziła sobie całkiem dobrze. Dla biało-niebieskich odgwiszowano karnego i, o dziwo, strzelili Austriakom gola, wysuwając się na prowadzenie 1:0.

– Teraz cała drużyna musi do końca grać w defensywie – orzekł Amichaj.

– Żartujesz chyba – zaprotestował Churchill – Właśnie teraz trzeba atakować.

A Ofir podsunął:

– Powinni się bronić, a potem kontratakować!

Im bliżej było do końca meczu, tym mniej się kłócili o taktykę. Zaczęli planować nasz wyjazd do Japonii na Puchar Świata. Brat Ilany pracuje teraz w Japonii, pewnie dałoby się do niego wprosić.

– Maria ma przyjaciółkę, której współlokatorka jest sekretarką jakiejś szczytu z FIFA – powiedział Ofir. – Może mogłaby szepnąć komuś słówko i zdobyć dla nas bilety.

– Po cztery bilety na półfinały, na finały i na wszystkie mecze, w których gra Brazylia – fantazjował Churchill.

Tylko ja siedziałem cicho. Mój pesymizm nie pozwolił mi cieszyć się razem z nimi tak bardzo, jak bym chciał. I w ostatniej minucie okazało się, że miałem rację (gdy pesymista ma rację, nie czuje radości. Tylko małą gorzką kropelkę na języku, nic więcej).

Dla Austrii odgwizdano rzut wolny. Mur (oczywiście) ustawił się źle. Izraelski bramkarz (oczywiście) nie zobaczył piłki w porę. A piłka (oczywiście) znalazła się w siatce.

– Było do przewidzenia – powiedział Churchill.

– To wisiało w powietrzu – dodał Ofir.

– Może jeszcze zdążymy zdobyć bramkę – miał nadzieję Amichaj.

Ale sędzia odgwizdał koniec, a komentatorzy grzmieli z każdą sekundą głośniejsze, że trener naszej reprezentacji musi odejść. Po moim pokoju wały się marzenia, które legły w gruzach. Ofir szybko skręcił jeszcze jednego jointa, no bo skoro w końcu zebraliśmy się razem, nie warto się dołować. Ale ten drugi joint, zamiast nas rozweselić, miał zupełnie przeciwny skutek: przekształcił nasze poczucie zawodu w głęboką, wszechogarniającą rozpacz, że życie toczy się kompletnie inaczej, niż chcieliśmy. Nagle wszystko wydało się nam bezcelowe, beznadziejne, a jednocześnie poczuliśmy, że coś nam się przewraca w żołądkach, serca zaczęły nam walić, nagle zapragnęliśmy otworzyć okno, wyskoczyć i roztrzaskać się na chodniku, bo nawet jeśli będzie bolało, to i tak lepiej niż...

– Ten towar... – wybełkotał Amichaj ze zwężonymi źrenicami – ...jakiś taki mocny, nie?

– Sorry – odparł Ofir. – Pojechałem do Jaffy do mojego dilera. Ale okazuje się, że wrócił na dobrą drogę i teraz współpracuje z gangami ulicznymi. Odesłali mnie do kogoś innego, a ten ktoś powiedział mi, że to bardzo dobry towar... Nie miałem pojęcia. Kiedyś się w tym lepiej orientowałem. Naprawdę strasznie, strasznie przepraszam, chłopaki. Chciałem tylko, żeby było fajnie.

– Nie przejmuj się – powiedziałem.

A on ni z tego, ni z owego się rozbeczał.

– Skąd mogłeś wiedzieć? – próbował go pocieszyć Amichaj, ale Ofir tylko wyjąkał przez łyzy:

– Nawet nie wiecie... Nawet nie... – I zamilkł. Jeszcze raz zaciągnął się jointem i rzekł: – Nawet nie wiecie, jak się martwię o Marię. Cały czas spędza na terenach okupowanych, na tych punktach kontrolnych. Próbuję jej tłumaczyć, że nie powinna, że jest w ciąży, a ona nie słucha. Ciągłe tam chodzi... Nie wiem, czasem myślę, że wcale nie chce tego dziecka. Że gdyby to od niej zależało, to wolałaby dołączyć do Ilany w niebie.

Amichaj momentalnie spochmurniał.

– W ogóle mi to nie daje radości – rzekł i zaciągnął się jointem. – Z niczego nie potrafię czerpać radości od czasu... Kiedyś wszystko było przyjemnością, najmniejszy drobiazg. Branie prysznic. Maczanie liści karczocha w majonezie. Szybka jazda z otwartym oknem. A teraz stałem się jak moja matka po śmierci ojca. Wegetuję. Nawet ta organizacja nie daje mi radości. Gdy tylko na chwilę poczuję satysfakcję, mam poczucie winy, że cieszę się ze śmierci Ilany. A wtedy... Wtedy cała satysfakcja znika.

Słuchałem Ofira i Amichaja i w ogóle ich nie rozumiałem. Przeciwnie: wkurzali mnie. Na co oni narzekają? Przecież mają miłość. W ich życiu dzieje się coś ważnego. A ja? Najważniejsze, co mnie w życiu spotkało, to Ja'ara. I Churchill mi zabrał nawet to. Teraz prosił o schronienie i też je dostał.

Dalej podawaliśmy sobie jointa. Teraz już byliśmy pewni, że z tym towarem jest coś mocno nie tak, ale nie potrafiliśmy przestać. W telewizji leciał wywiad z jakąś szyczą ze związku piłki nożnej, która tłumaczyła, czemu fakt, że nasza reprezentacja odpadła, wcale nie jest porażką, i kto za to odpowiada.

– Co za ćwok – nie wytrzymał Ofir.

– Ale pieprzy – dodał Amichaj.

Co za żałosna zbieranina, pomyślałem, patrząc na tych trzech facetów u mnie w pokoju. Nagle zacząłem nimi gardzić. Choćby Ofir: całe jego uduchowanie kończy się na granicy terenów okupowanych. Gada i gada o tym, że trzeba się dzielić z innymi, ale jak Maria jeździ na punkty kontrolne, to suszy jej o to głowę. Amichaj też: tak udaje, że organizacja nie daje mu radości. Oczywiście, że daje. I organizacja, i to, że jest w centrum uwagi. Jest jak banknot, który przez wiele lat był złożony, a teraz go rozprostowano. Ale się nie przyzna, co to, to nie. Bo musiałby też przyznać, że wszystko zaczęło się od śmierci Ilany. Od tego, że nie zużywa całej energii na uszczęśliwianie jej. A Churchill? No czemu musi wymiotować akurat na dywan? Kim on jest, małym dzieckiem? Czemu to ja zawsze muszę sprzątać jego rzygi? Chuj z tym, sam po sobie posprząta.

Ostatecznie to Ofir zrobił porządek po Churchillu. A potem zaniósł go jak rannego żołnierza pod prysznic. Przemył mu twarz zimną wodą. Ułożył go w łóżku. Moim.

– To wszystko przeze mnie – przepraszał Ofir, gdy odprowadzałem go do drzwi.

– Co ty opowiadasz, to wszystko przez Szachara Kohena – odparłem. Ale Ofir przyrzekł nazajutrz pojechać do Jaffy i dowiedzieć się, co tak właściwie mu sprzedali.

– Dam wam znać, jeśli to coś niebezpiecznego. – Pomyślałem, że to miłe z jego strony, że czuje się taki odpowiedzialny. Może zbyt surowo go oceniłem? A potem Amichaj powiedział, że jutro wpadnie zobaczyć, jak z Churchilllem, i przywiezie mu trochę swoich ubrań, bo chyba będą pasować.

Dlatego następnego wieczoru, gdy Churchill był pod prysznicem i rozległo się delikatne pukanie do drzwi, byłem pewien, że to właśnie któryś z nich. Wyleciała mi z głowy przestroga Churchilla, żeby najpierw sprawdzić przez wizjer, kto puka.

Stałem twarzą w twarz z Ja'arą. Ja'arą Pierwszą. Ja'arą z moich snów.

– Jest pod prysznicem – powiedziałem. – Zaczekasz?

– Nie przyszłam do niego – odparła, posyłając mi świdrujące spojrzenie znad okularów. Dopiero wtedy spostrzegłem, że ma tę niebieską rozkloszowaną spódnicę, którą wiedziała, że lubię. Tę, którą przez ostatnie trzy lata zawsze nosiła, kiedy tysiące razy wyobrażałem sobie, jak przychodzi do mnie i mówi, że wybrała nie tego, co trzeba. I pyta, czy może jeszcze zmienić zdanie. Poczułem, jak to coś znów wzbiera w mojej piersi.

– Sekundkę – wyszeptałem, bo zaschło mi w gardle. Zostawiłem Churchillowi kartkę, że wyszedłem do klubu pograć w szachy, włożyłem płaszcz i wyszedłem do niej na klatkę schodową.

– Dokąd idziemy? – spytała.

– Na ulicę Ha-Gilboa – powiedziałem z dziwną pewnością. Gdy byliśmy między drugim a pierwszym piętrem, zgasło światło na schodach. Wyciągnąłem rękę, żeby namacać kontakt, i nagle Ja'ara znalazła się w moich ramionach. Poczułem, jak przywiera do mnie całym ciałem. Poczułem jej zapach. Dotknęła swoimi małymi zimnymi ustami do mojej szyi i wyszeptała:

– To był błąd. Wybrałam nie tego, co trzeba. Czy jeszcze mogę zmienić zdanie?

Metamorfozy: Wielkie umysły; które zmieniły zdanie – próba rozprawy filozoficznej Juwala Frida (fragment)

...A wtem, niespodziewanie – w ostatniej chwili, w posłowniu! – David Hume się rozmyśla. Zapisał dziesiątki stron, dowodząc, że nie istnieje stałe „ja”, wykonał wielką pracę, by przekonać czytelników, że poza nurtem świadomości nie istnieje nic, do czego ów nurt można by przypisać, że nasz umysł przypomina państwo, w którym grupa zupełnie różnych osób i wrażeń istnieje niezależnie od siebie... I nagle, po spisaniu tych wszystkich spójnych argumentów, Hume odwołuje własne twierdzenia.

Nie umiem tego wyjaśnić – pisze w posłowniu z widocznym zakłopotaniem. Wszelkie logiczne rozumowanie dowodzi czego innego, a jednak nie umiem zaprzeczyć, że przecież czujemy, że nasza wiecznie zmienna wiązka wrażeń opiera się na czymś prostym i osobistym. Czym jest ta stała rzecz? – zadaje sobie pytanie Hume. To wykracza poza moją zdolność pojmowania – wyznaje z żalem. A w dwóch kolejnych akapitach, zamykających książkę, skrupulatnie koryguje dwa nieistotne błędy, które zakradły się na strony 106 i 144: Jeśli przez cały czas się myliłem, niechaj chociaż będzie to piękna pomyłka.

Wiem, że to brzmi niewiarygodnie. Zbyt pięknie. Jaka była szansa, że Ja'ara odezwie się dokładnie tymi słowami, które kazałem jej wypowiadać w moich marzeniach? A ona właśnie tak powiedziała. Słowo w słowo. Gdy wyszliśmy na ulicę, autentycznie się zastanawiałem, czy to się dzieje naprawdę, czy może to tylko jakiś czyściec pomiędzy rzeczywistością a wyobraźnią, do którego się trafia, gdy człowiek zbyt długo karmi się wciąż tą samą mrzonką. Potrzebowałem jakiegoś „testu na realność”, tak samo jak Churchill wtedy po wypiciu soku z kaktusa San Pedro, gdy co chwila mnie wołał, żeby się upewnić, czy to się rzeczywiście dzieje. Ja nie miałem kogo spytać, więc szedłem koło Ja'ary oniemiały, aż dotarliśmy na ulicę Ha-Gilboa.

Szliśmy ramię w ramię brukowaną uliczką wijącą się między domami, wdychaliśmy ten niepowtarzalny zapach, wodziliśmy wzrokiem po miękkich liniach balkonów, spokojnych drzewach, samochodach, które tylko tu wyglądają jak zakotwiczone w zacisznym porcie, a nie, jak wszędzie indziej w mieście, jak statki roztrzaskane o rafy chodników.

Ja'ara pokazała mi ulicę Ha-Gilboa, jak tylko zaczęliśmy być ze sobą. Często uciekaliśmy tam, gdy czuliśmy, że życie nas przytłacza. Siadywaliśmy przy kamiennym stoliku, którego blat był szachownicą i planszą do tryktraka, ale zamiast figur i pionków po polach poruszały się opadłe liście, nie zważając na zasady gry. Teraz też usiedliśmy naprzeciw siebie przy tym stoliku, Ja'ara wyciągnęła ręce ponad białymi i czarnymi kwadratami, chwyciła moje dłonie i rzekła:

- Myślałam, że będziesz się cieszył.
- Cieszę się.
- Nie wyglądasz.
- Dopiero to przyswajam.
- Dobrze. To powiedz, jak skończysz.

Odchyliła głowę i wdychała zapach baldachimu z wiciokrzewu. Zdjęła okulary, przetarła je rąbkiem spódnicy i założyła z powrotem. Przez dłuższą chwilę ostentacyjnie obserwowała staruszka idącego ulicą, ale w końcu nie wytrzymała.

- Wiem, co sobie myślisz.
- Co sobie myślę?
- Że chcę wrócić do Joawa. Że jestem na niego zła za Keren i że nie myślę logicznie, a jak mi przejdzie, to znów zmienię zdanie. Ale to nieprawda!

Podczas gdy mówiła, jej obojczyki poruszały się w górę i w dół. Pamiętałem, jak ją podnieca muskanie ich ustami.

– Więc jaka jest prawda? – spytałem, a mój opór słabł.

Znów chwyciła moje dłonie. Jej dotyk był jej dotykiem.

– Z Joawem nigdy nie było mi dobrze. Było ciekawie, czasem denerwująco, ale nigdy dobrze. Nie byłam szczęśliwa. I nie chodzi o jego zdrady, chociaż one pewnie się przyczyniły... Ale nawet bez nich... Nie miałam chwili spokoju. Kłóciliśmy się non stop. Nie o poważne sprawy, tylko o bzdury. I to było nie do wytrzymania. Każda taka kłótnia to kolejny zastrzyk trucizny, aż w końcu...

Zakasłała, jakby ta trucizna paliła ją w gardle.

Na parterze sąsiedniego budynku zadzwonił telefon.

– Nie chcę więcej płakać. Za często płakałam przez ten rok. Za często czułam się samotna. Niepotrzebna. Za często czułam się w domu jak w więzieniu. Za często leżałam koło niego, nie mogąc usnąć. Nie tak to powinno wyglądać. Miłość powinna być czymś dobrym, prawda?

Przytaknąłem z wahaniem. Co ja mogłem wiedzieć o miłości?

– Z tobą – ciągnęła – czułam między nami... taką harmonię. Pamiętam wspólne soboty. Gdy przychodził wieczór, nie wiedziałam, kiedy upłynął cały dzień. Pamiętasz te soboty?

(Jej opalone nagie ciało na moim łóżku. Jej okulary na szafce nocnej. W nogach gazeta, której brzeg dotyka do jej stopy. Końcówki jej rozpuszczonych karmelowych włosów na jej policzku. Zapach świeżo upieczonej bułki, wydzielany przez jej śpiące ciało. I ja, leżący obok z otwartymi oczyma, myślę: „Musisz przestać. Musisz przestać się bać i chcieć, żeby od ciebie odeszła”).

– A seks był taki wspaniały – mówiła dalej. – Jak z nikim innym.

– To czemu mnie rzuciłaś, Ja’ara? Jeśli wszystko było takie wspaniałe, to czemu ode mnie odeszłaś? – spytałem ochrypłym głosem i przypomniałem sobie tamtą okropną rozmowę. Powiedziała, że potrzebuje czasu do namysłu. Ale trzy lata?

Telefon w mieszkaniu koło nas dzwonił i dzwonił.

Wstała, obeszła stolik i przysiadła się do mnie.

– Przytul mnie – powiedziała głosem dziewczynki w białych sandałkach i z warkoczykami.

Przytuliłem ją.

– Mocniej, tak, żeby bolało.

Przytulilem ją mocniej, ale nie tak, żeby bolało. Nie mogłem sprawić jej bólu. Nie jej.

– Coś we mnie w środku jest spaprane – rzekła. – Jakiś, kurwa, ważny mechanizm nie działa jak trzeba. – Drżała w moich ramionach.

– Ludzie po prostu tak mają, co nie? Właśnie dlatego, że są ludźmi – odpowiedziałem jej tak samo jak kiedyś Ofirowi.

– Ale ja bardziej – upierała się. – Nie rozumiesz. Wszyscy faceci, z którymi byłam, z wyjątkiem ciebie, zawsze mnie źle traktowali. Więc to we mnie musi być coś, co domaga się złego traktowania. Pragnie tego.

Przypomniałem sobie wszystkie sytuacje, gdy byłem wobec niej choćby odrobinę złośliwy: a to odsuwałem cukierek, po który sięgała, a to droczyłem się i nie zdradzałem swoich trzech życzeń z karteczki – zawsze jej się to podobało.

– Ale chcę się zmienić, przewyciężyć to – powiedziała, odsuwając się nieco i patrząc na mnie ze szczerą determinacją. – Wydaje mi się, że potrafię. Jestem pewna! – dodała i już drugi raz w ciągu tej rozmowy przypomniał mi się Ofir: gdy tylko w jego wypowiedziach pojawiał się wykrzyknik, byłem pewien, że nie jest pewien swoich słów.

– Zresztą – powiedziała, jakby wyczuła moje wątpliwości – ty też się zmieniłeś.

– Ja? – spytałem zaskoczony. (Wciąż tłumaczę artykuły z angielskiego. Wciąż jem jabłko za pomocą nożyka jak mój ojciec. Wciąż jestem mały. Wciąż cię kocham. To gdzie ta zmiana?)

Rozpięła mi guzik pod szyją, wsunęła rękę pod koszulę i zaczęła się bawić włosami na mojej klatce piersiowej.

– Przede wszystkim trochę zapuściłeś włosy.

– Trochę.

– W sam raz. Oprócz tego, kiedy pomagałam wam przy zakładaniu organizacji i rozmawialiśmy przez telefon, twój głos brzmiał inaczej niż kiedyś.

– Jak to?

– Byłeś bardziej szorstki. I bardziej konkretny. Przecież minęły trzy lata, to i owo się w twoim życiu zdarzyło.

(A po tych wszystkich rozmowach, kiedy zdawałem się taki szorstki i konkretny, szedłem do szafy i wyciągałem twoją skarpetkę. I umówiłem się z dziewczyną tylko dlatego, że miała na imię tak jak ty. A ilekroć podczas spotkań z chłopakami usiadłaś koło mnie, czułem, jakby moje wnętrze próbowało się wydostać z ciała, bo rwało się ku tobie, i są całe duże części miasta, których unikam, bo przypominają mi o tobie, i już nie mogę. Nie – przestawaj – głaskać – mnie – po – piersi. Wiesz, jak to uwielbiam. Nic przez te trzy

lata się nie zdarzyło. Nic z wyjątkiem ciebie. Budziłem się, spotykałem z ludźmi, kupowałem owoce na weekend i tahinę, i nowe koszule i nie czułem nic poza tęsknotą za tobą. Jeśli mój głos brzmiał bardziej szorstko i konkretnie, to dlatego, że rozmawialiśmy przez telefon. Może byłem spokojny, chłodny, pozbierany, ale to dlatego, że nie byłaś w tym samym pokoju, no i miałaś obrączkę na palcu, ale teraz, kiedy mnie dotykasz, nie mogę, nie przestawaj, nie przestawaj, wszystko płonie i tylko tak umiem cię kochać, tylko w ten sposób. Może inną kobietę kochałbym inaczej, ale z tobą to zawsze będzie bez granic, przy tobie topnieję, tak, zaczynam rozumieć, że może nigdy nie uzbierasz dziewięćdziesięciu jeden tysięcy dolarów, zaczynam sobie zdawać sprawę, że wszystkie twoje cięte uwagi o innych mają tylko ukryć fakt, że jesteś zwykłym leniem i boisz się zmian, ale teraz, kiedy odpinasz drugi guzik mojej koszuli, cały trzeźwy osąd roztapia się w płynną, wrzącą miłość, i to jest właśnie coś, czego nie mogłaś znieść, to właśnie coś, co włącza w tobie ten cholerny mechanizm, który nie działa jak trzeba, i zawsze będzie go włączać, aż wstaniesz i znów mnie zostawisz i weźmy ten czysty zapach... który sprawia że mam ochotę cię polizać i liżę teraz wewnątrz twojego ucha a ty opierasz szyję o moje usta a ja przygryzam ją lekko tak jak lubisz tak jak lubiłaś i szukasz moich ust i teraz się całujemy i smakujesz sztuczną wanilią i wszystko jest sztuczne ale takie cudowne takie cudowne i jeszcze kilka sekund jeszcze sekunda jeszcze ułamek sekundy i nie będzie już żadnych słów więc może powinienem ostatnią resztką sił powstrzymać cię powiedzieć przestań wystarczy nie przestawaj wystarczy Boże to za wiele może...)

– Przestań.

– Przestań? – Odsunęła się ode mnie zaskoczona.

– Chcę ci coś powiedzieć. Muszę ci powiedzieć, zanim...

– No to mów – odparła, odsuwając się jeszcze trochę. Zaczerwieniła się.

– Chodzi o to... Mówiłaś przedtem. Ja się nie zmieniłem... Jeśli chodzi o ciebie...

Nic się nie zmieniło...

– No i?

– Więc może twoje oczekiwania są za duże.

– Może – powiedziała z namysłem.

W tym samym momencie zapragnąłem ją przekonać, że wręcz przeciwnie.

– Może i masz rację, ale odłóżmy to na później. – I znów zaczęła mnie głaskać po piersi. – Teraz – spojrzała na mnie znad okularów – moje oczekiwania są następujące: jeszcze jeden taki pocałunek. To za duże oczekiwania?

Bohater hollywoodzkiego filmu w tym momencie by wstał i poszedł sobie, wykazując swą moralną przewagę nad pozostałymi bohaterami filmu i dowodząc ponad wszelką wątpliwość, jak gruntowna przemiana się w nim dokonała: pokonał drogę od

niedojrzałości do dorosłości. Od beztroski do odpowiedzialności. Od próżniaka żyjącego na obrzeżach społeczeństwa do odnoszącego sukcesy gwiazdora mediów.

Ale ja i tak jestem za niski na hollywoodzkiego idola.

I chciałem jeszcze raz poczuć smak wanilii na jej ustach.

A gdy poczułem, chciałem jeszcze raz i jeszcze.

Pomizialiśmy się przy tym stoliku jeszcze z pół godziny, a potem zaproponowałem, żeby pójść do mnie. Przypomniała mi, że u mnie jest teraz Churchill, i zabrała mnie do siebie. Ich mieszkanie było parę bloków stąd, a po drodze dwa razy zatrzymaliśmy się, wciśnięci w ciemną szparę między budynkami, i całowaliśmy się, pocałowałem ją w kark, tak jak chciałem tego dnia, kiedy odwozłem ją do domu z szuwy w Hajfie, a ona zamarła i powiedziała, że czuje falę rozkoszy docierającą aż do dużego palca u nogi i że będzie chyba pierwszą kobietą na świecie, której uda się osiągnąć orgazm przez palec u nogi.

Jakoś tak jest, że w opisach seksu po hebrajsku bohaterowie są zawsze nie całkiem zadowoleni. Jak gdyby coś w naszej żydowskości nie pozwalało im rozkoszować się do woli, a może to pisarze się boją, że opisy zrobią się pornograficzne, dlatego wybierają drugą skrajność. Mógłbym zrobić to samo, gdyby nie fakt, że byłoby to kłamstwo.

Trudno mi wdawać się w szczegóły. Nie jestem Churchillem.

Poprzestaną więc na stwierdzeniu, że ciało to cudowna rzecz. A w ciągu jednej nocy dwa ciała potrafią wyrazić tak wiele: żal, przeprosiny, rozpacz, nadzieję, ból, dumę, samotność, beznadziejną samotność, dogłębne zrozumienie, wdzięczność i zwykłą, czystą radość. I zemstę. I miłość.

Może przytoczę słowa Ja'ary, która powiedziała później, że teraz już wie na pewno: jestem najlepszym facetem, jakiego kiedykolwiek miała. Gdyby tylko wszyscy mężczyźni z takim zapalem dawali przyjemność swoim kobietom.

A może, skoro nie mam wyboru, dodam, że słowa mogą zwodzić, myśli mogą doprowadzić do szaleństwa, ale ciało – ciało wie. Nazajutrz rano oboje rozumieliśmy, że już nigdy nie będzie tak samo. Że nigdy nie będę umiał naprawdę, szczerze sprawić jej bólu, tak jak by chciała. Że ona, choćby nie wiem jak pragnęła uwierzyć, że to możliwe, naprawdę nie wytrzymałaby dłużej niż kilka godzin z tą moją bezwarunkową miłością. Bo już po kilku godzinach zaczyna być z lekka poirytowana. I stara się to ukryć. Ale ja mam wyostrzone zmysły, dostrzegam to uciekające spojrzenie. I chłodne ramię. Pryska poczucie bezpieczeństwa, boję się, że za chwilę ją stracę. A wtedy moja miłość robi się jeszcze bardziej bezwarunkowa. Kocham jeszcze bardziej. Nie mam tak z żadną inną kobietą, tylko z nią. Ona po prostu nie umie tego przyjąć. Nie ode mnie. Nie w nadmiarze. A ja nie wytrzymam długo w tej niepewności. To takie nasze błędne koło. Które zawsze pozostanie zamknięte, choćbyśmy nie wiem jak szybko nim kręcili, i będziemy w nim

uwięzieni, aż nie wytrzymamy i wyrwiemy się z niego. I uciekniemy.

Rano w milczeniu pochłaniałiśmy ogromne śniadanie.

Miałem na sobie koszulę Churchilla (w tym samym czasie on pewnie u mnie miał na sobie moją), a Ja'ara nie włożyła na siebie nic.

– Już zapomniałam, jak jesz płatki.

– Jak?

– Śmiesznie. Za każdym razem nabierasz na łyżkę tylko jeden płatek.

– A ja zapomniałem, jak ty jesz płatki.

– Jak?

– Śmiesznie. Za każdym razem jak podnosisz łyżkę, twoja prawa pierś się lekko kołysze.

Podniosła łyżkę, żeby sprawdzić, i roześmiała się.

– Masz rację – powiedziała. A po chwili milczenia dodała: – Myślę, że bylibyśmy wspaniałą parą.

– Zgadza się.

– Moglibyśmy stworzyć taki wspaniały związek. Zdrowy.

– W którym byłoby mnóstwo intymności, ale i dość miejsca na prywatność.

– I fajny seks.

– Świetny seks – odparłem. Wyciągnąłem rękę pod stołem i zacząłem ją wsuwać między jej uda.

Nagle złączyła kolana i ścisnęła moją dłoń.

– Au! Ała! Połamałaś mi palce!!! – Wyciągnąłem rękę spod stołu i zacząłem nią wymachiwać, jakbym się sparzył.

– Pokaż. – Sięgnęła przez stół i chwyciła moją dłoń obiema rękoma. Zaczęła po kolei całować kosteczki. – Styczeń, marzec, maj, lipiec. Właściwie czemu nie? – spytała. Jej wzrok wbity we mnie był niewinny, ale w głosie zabrzmiała nutka powagi, jakby już знаła odpowiedź i tylko chciała, żebym jej uczucia wyraził własnymi słowami.

– Czemu nie co? – udałem, że nie rozumiem.

– Nie udawaj. – Puściła moją dłoń z niecierpliwością.

– Bo gdybyśmy ze sobą byli – westchnąłem – to musielibyśmy być szczęśliwi.

– Szczęśliwi?! – Odsunęła się od stołu dramatycznym gestem. – Boże! Tylko nie to!

– A widzisz.

Uśmiechnęliśmy się do siebie. I z każdego z tych uśmiechów skapnęła kropelka smutku, która spadła prosto w deltę między obojczykami.

– Kocham cię – powiedziała – nie wiesz o tym? – Przysunęła się do stołu. I znów z powagą ujęła moją dłoń.

– Wiem.

– Skąd?

– Twoje ciało mi to zdradziło – przyznałem.

– Ta noc... Juwal... Nigdy tego nie zapomnę. To było dla mnie bardzo ważne. Chcę, żebyś o tym wiedział, dobrze?

Dokończyliśmy płatki, każde na swój sposób, potem ona zrobiła mi kanapki z twarożkiem, a ja powiedziałem, że dużo straci, jeśli nie spróbuje mojej sałatki z awokado.

– Będziesz teraz jechał do siebie? – spytała.

– Tak. Muszę na jutro skończyć tłumaczenie.

– Jaki artykuł tłumaczysz? – Założyła jedną gołą nogę na drugą. Nagle spostrzegłem, jakie są krótkie.

– Nazywa się *Powrót do przyszłości*. Właściwie to zapis wykładu, który wiele lat temu wygłosił Jeremia Miller, przewodniczący Kanadyjskiego Towarzystwa Psychologicznego, podczas dorocznej konferencji. Twierdził, że we współczesnej psychologii ma miejsce wieczne zmaganie szkoły amerykańskiej, która patrzy w przyszłość, i europejskiej, skoncentrowanej głównie na przeszłości. Kiedy amerykański psycholog widzi jakąś osobę, przede wszystkim zadaje pytanie, dokąd ona zmierza. Kiedy europejski psycholog widzi jakąś osobę, pyta najpierw o to, skąd ona przybywa.

– Ale to się wzajemnie łączy, prawda?

– To właśnie powiedział Miller. Trzeba znaleźć syntezę. A raczej: Kanadyjczycy muszą znaleźć syntezę.

– Czemu Kanadyjczycy?

– Twierdzi, że USA to względnie młody kraj z krótką historią i że całe ważne jej rozdziały, na przykład to, co zrobiono z Indianami, w ogóle Amerykanów nie interesują. A z drugiej strony uważa, że Europejczycy uczepili się swej chwalebnej przeszłości, czasów, gdy Europa stanowiła centrum cywilizacji zachodniej, i dlatego nie potrafią spojrzeć w przód. Wniosek jest taki, że tylko Kanadyjczycy, którzy łączą w sobie te dwie kultury, są wystarczająco wyzwoleni, by stworzyć syntezę.

- Trochę pretensjonalne, co?
- Z jakiej przyczyny po angielsku brzmi to lepiej.
- No nie wiem. – Oblizwała palec z resztek sałatki z awokado.
- Czego nie wiesz?

– Ja bym stanęła po stronie Europejczyków. Nie da się uciec od przeszłości. Spójrz choćby na tego idiotę, swojego kolegę. Zachowuje się dokładnie jak jego ojciec. W ciągu ostatniego roku zaczął nawet wyglądać podobnie do Michela. Tak samo łysieje. Taki sam rozkołysany krok, chociaż zarzekał się, że nigdy tak nie zacznie chodzić. Tyle mówił, że chce być inny niż ojciec, a ostatecznie poszedł dokładniutko po jego śladach.

– Determinizm jest ostatnią deską ratunku...

– ...dla wszystkich złych ludzi – dokończyła słynne stwierdzenie Churchilla. – Do Australii zsyłano przestępców z Anglii, wiem. A mimo to...

Milczała. Ja też. Kruszyłem razowiec na coraz mniejsze kawałeczki.

– Jak on się miewa – zapytała bez znaku zapytania, chcąc zabrzmieć jak najbardziej niezobowiązująco.

– Jest w rozsypce – odparłem zgodnie z prawdą.

– Dobrze – rzekła obojętnie. Ale w jej oczach widziałem troskę. Chciałem pozmywać naczynia, ale powiedziała, żebym zostawił.

Ubrałem się w to, w czym przyszedłem, włożyłem buty tak, jak je zdjąłem, bez rozwiązywania, a ona w tym czasie poszła do sypialni i wróciła z reklamówką wypchaną koszulami dla niego.

– No bo ile można nosić tę idiotyczną koszulkę Berkowica?

Podziękowałem w jego imieniu i wziąłem torbę. Przytuliliśmy się. To był długi, podsumowujący uścisk; poczułem, że w mojej piersi wzbiera coś innego, pocałowałem ją w policzek i wyszedłem. Szedłem lekko, niemal płynąłem, czułem się przynajmniej o pięć centymetrów wyższy, miałem wrażenie, że wszystko wokół jest mniejsze, że moje życie odtąd się zmieni w jakiś niepojęty na razie sposób. Nie wiedziałem, czy czuję się tak dlatego, że wszystko się skończyło, że uwolniłem się od nadziei, która zawładnęła moim życiem od ostatnich mistrzostw świata, tej nadziei, że kiedyś, wbrew wszystkiemu, moje trzy życzenia się spełnią. A może to po prostu moje ciało było szczęśliwe po wspaniałej nocy spędzonej z jej ciałem. Jeśli tak, to szczęście, z samej swej natury, będzie trwało krótko.

Szedłem radośnie, myśląc o majorze Kierkegaardzie, melancholijnym filozofie z Danii, i o tej nocy, gdy nastąpiła jego metamorfoza: 19 kwietnia 1948 roku spędził długą, dramatyczną noc, gdy na nowo pokochał Boga. Rano zamieścił w swoim dzienniku pełen

ognia wpis: „Sama moja istota się zmieniła. Moja rezerwa i dobrowolna izolacja legły w gruzach – muszę mówić (...). Dobry Boże, ześlij na mnie Swą łaskę!”.

Co się od tamtego ranka zmieniło? Czy przepełniająca Kierkegarda radość z wewnętrznej jasności przetrwała więcej niż parę godzin? Czy stworzył spójny system myślowy? Czy umiał się uwolnić od melancholijnej natury, która cechowała go od dzieciństwa? Lektura jego pism daje kilka, nierzadko sprzecznych, odpowiedzi na te pytania.

Wygląda na to – podsumowałem swoje rozważania – że dopiero za kilka dni zrozumie, co oznacza moja euforia.

I faktycznie. Po kilku dniach zadzwoniła Ja'ara, żeby powiedzieć, że jest w ciąży.

Iłana chyba była jeszcze na oddziale położniczym, bo nie ma jej na zdjęciu. Amichaj stoi pośrodku, a przed nim dwie identyczne plastikowe kołyski, takie, jakich używa się w szpitalach. Wygląda na zmęczonego, ma wory pod oczyma. Ale jego twarz jaśnieje jakimś świeżym blaskiem. Uśmiechamy się wszyscy do aparatu – szczęśliwi, ale i zdziwieni. Mamy, jeśli dobrze liczę, po dwadzieścia pięć lat, sami jeszcze jesteśmy dzieciakami, a tu nagle z dnia na dzień nasz przyjaciel został ojcem, i to od razu dwójki. Nie bardzo to jeszcze ogarniamy, i to widać na fotografii. Nie chodzi tylko o oszołomione uśmiechy, ale i o to, jak stoimy. Ofir wetknął dłonie do kieszeni. Churchill splótł ręce na piersi, jakby się przed czymś osłaniał, a ja trzymam Amichaja za ramiona, choć wygląda to raczej tak, że on podtrzymuje mnie.

„Jesteś naszym zwiadem”, napisał Churchill w imieniu nas wszystkich na kartce dołączonej do bukietu. „Dowiedz się, jak jest naprawdę z tymi dziećmi, a jeśli się okaże, że to fajna sprawa, to do ciebie dołączymy”. Później, gdy już jechaliśmy windą na parter, Ofir stwierdził, że Amichaj nigdy nie miał prawdziwej rodziny, bo jego ojciec zginął, gdy Amichaj był mały – dlatego tak wcześnie zakłada własną. Churchill widział to inaczej:

– Gówno prawda, zrobił to tylko po to, żeby uszczęśliwić Iłanę, i tyle.

Ja pomyślałem, że Amichaj z tymi kołyskami wydawał się w zasadzie całkiem zadowolony, w niektórych kulturach dwudziestopięcioletek może być już ojcem czwórki dzieci, więc może to właśnie Amichaj postępuje normalnie jak na swój wiek, podczas gdy my bez sensu wleczeni się w ogonie i marnujemy czas na niepotrzebne romanse.

– To nie twoje – pospieszyła z zapewnieniem Ja’ara.

– A skąd... To znaczy... Czy masz pewność?

(Jeśliby się okazało, że to moje – przemknęło mi przez myśl – to jedno z życzeń zapisanych na karteczce byłoby spełnione: miałbym dziecko z Ja’arą).

– Policzyłam dni. Wychodzi mi, że to dokładnie wtedy, kiedy ostatni raz kochaliśmy się z Joawem, trzy tygodnie temu.

– No, jeśli tak. W takim razie... gratulacje. – Nie wiedziałem, co jeszcze dodać.

– Tak – odpowiedziała.

Umilkliśmy. Spróbowałem sobie wyobrazić jej kompaktowe ciało w ciąży. Nie udało mi się.

– Dobra, daj mi do telefonu tego idiotę – powiedziała w końcu. Zawołałem go,

wziął telefon do ubikacji i rozmawiali trzy i pół godziny (w końcu nie wytrzymałem i wyszedłem się wysikać na małe wewnętrzne podwórko), a rano spakował manatki, uściskał mnie, powiedział, że jestem księciem, i wrócił do nich do mieszkania.

Amichaj i Ofir nie rozumieli Ja'ary.

– Jak może dawać mu kolejną szansę, skoro jest jasne, że on już nigdy się nie zmieni? – Pytanie skierowane było do mnie, że niby ja miałbym być ekspertem do spraw Ja'ary.

Siedzieliśmy na skwerku przed filmoteką, mijani przez grupki dzieci idących do pobliskiej szkoły, a ja pociągnąłem nosem i powiedziałem, że są najróżniejsze rzeczy, które trzymają ludzi razem. Czasem jest to umiejętność zranienia drugiej osoby, kiedy jest najbardziej bezbronna.

– A nawet i to wytłumaczenie – dodałem – trzeba traktować ostrożnie, bo nie mamy pojęcia, co się dzieje między nimi, gdy wracają do domu i zdejmują maski. Nigdy przy tym nie byliśmy.

Ofir odparł, że w zasadzie mogę mieć rację, w końcu między nim i Marią też przepływają niewidoczne strumienie energii, ale jeśli chodzi o Churchilla, to pewnie za parę tygodni, w najlepszym razie za parę miesięcy, usłyszymy o jego kolejnej zdradzie.

Sam Churchill z kolei utrzymywał, że perspektywa zostania ojcem odmieniła go i uświadomiła mu, co jest ważne, a co nie. Osobiście byłem zdania, że powtarza banały zaczerpnięte z wywiadów z piłkarzami, które oglądał w telewizji, a tym, co naprawdę go odmieniło, był wstrząs, gdy odsunięto go od tamtej sprawy w sądzie. Pomyślałem, że tyle czasu nazywaliśmy go „Churchill” i traktowaliśmy jak Churchilla, aż zapomniał, że w rzeczywistości jest Joawem. Zawsze wygodnie mu było mieć przyjaciół odrobinę mniej przebojowych, odrobinę mniej błyskotliwych niż on. I jeszcze pomyślałem, że przy naszej pomocy żywił mesjanistyczną wiarę w to, że nie jest zwyczajną osobą. Kolejnym chłopakiem z Hajfy. Kolejnym facetem z Tel Awiwu. Jednym z sześciorga rodzeństwa. Pewnie sukces zawodowy jeszcze umacniał tę wiarę, aż urosła do monstrualnych rozmiarów i pożarła po kolei wszystkie jego zalety.

Nazajutrz po oficjalnym odejściu z prokuratury zadzwonił do niego Amichaj i zaproponował mu stanowisko szefa działu prawnego w Mamy Prawo.

Churchill zakrztusił się z wrażenia.

– Ale... Jak... Przecież zachowałem się jak świnia. Kiedy zakładałeś tę organizację... Nie przychodziłem... Dlaczego nagle... Jak...

– Słuchaj – przerwał Amichaj. – Nie jestem zadowolony z tego, jak pracuje człowiek, którego teraz mamy na tym stanowisku, i uważam, że byłbyś lepszy. Reszta nie

jest istotna.

– Ale ja nawet nie przeprosiłem... Nie miałem okazji powiedzieć, że za...

– Spóźnione przeprosiny przyjęte. Zaczynasz w niedzielę, ósma trzydzieści. Wysłałam teraz do ciebie wolontariusza z materiałami. Zapoznaj się z nimi.

– Dzięki... Bar-bardzo dzie-dziękuję – wyjąkał Churchill.

– Dasz wiarę? – chichotał Amichaj w słuchawkę, gdy pół godziny później ze mną rozmawiał. – Churchill się jąkał!

Churchill się jąkał, kończył pracę co dzień o szóstej, o wpół do siódmej był w domu, nigdzie po drodze nie wstępował, do żadnej Szarony, Keren czy Hagit. Spędzał spokojny wieczór przed telewizorem z Ja'arą, w każdej chwili gotów spełnić jej najmniejszą zachciankę, kładł jej dłoń na brzuchu, żeby wyczuć, czy dziecko już kopie, i narzekał, że jego żona nigdy nie prosi o lody ani o korniszony jak kobiety w filmach.

Ja'ara wyrzuciła do kosza ściągnięty z Internetu formularz zgłoszeniowy na uniwersytet w Londynie i raz na zawsze zrezygnowała z marzeń o studiowaniu wiedzy o teatrze, bo „teraz to i tak niepraktyczne” i „godziny pracy w firmie ojca są bardzo dogodne”, a w ogóle to „praca w teatrze zupełnie nie dałaby się pogodzić z byciem matką, trzeba to wziąć pod uwagę”. Gdy usłyszałam, jak łatwo wskoczyła w rolę dobrej matki, stwierdziłam ze smutkiem, że teatr stracił wielkiego twórcę.

– Wiem, co sobie myślisz, Juwal – powiedziała mi przez telefon i zanim zdążyłem zaprzeczyć, zaczęła mnie błagać, żebym nic nie mówił. – Właśnie próbuję sama siebie przekonać, więc nie zamęczaj mnie prawdą, dobrze?

W miarę jak ciąża była bardziej zaawansowana, coraz mniej rozmawiałem z Ja'arą i Churchilllem. Zamknęli się we własnym kokonie i nie było tam miejsca dla starych przyjaciół*.

* O ile na ogół w tekście tej książki opisy autorstwa pana Frida, nawet jeśli nieścisle, mają pierwowzór w rzeczywistych zdarzeniach, o tyle ten krótki akapit zniekształca prawdę w takim stopniu, że nawet dla mnie, jako dla redaktora i przyjaciela, jest to trudne do przyjęcia. To nie my w tym czasie zamknęliśmy się we własnym kokonie, lecz sam pan Frid. Wraz z małżonką wielokrotnie zapraszaliśmy go do siebie, lecz nigdy nie odpowiedział na te zaproszenia. Nie wiem, czemu pan Frid postanowił nakreślić obraz przyjaciół; którzy go opuścili. Może po to, żeby jakoś usprawiedliwić własną ucieczkę w pisanie książki, której bohaterami uczynił nas, nie informując nas o tym. Być może stała za tym jakaś przyjemność z uzalania się nad sobą. A może każdy narrator jest ograniczony własnym punktem widzenia. W każdym razie gdyby poprosić każdego z naszej czwórki o opowiedzenie historii ostatnich czterech lat, powstałyby cztery różne opowieści, i słusznie. Ale mimo powyższego suche fakty przeczą temu, co utrzymuje pan Frid. Ani ja, ani moja małżonka nie przestaliśmy się interesować tym, co robi pan Frid, w jakim jest nastroju i czy nie dokucza mu astma. Nigdy nie przestaliśmy czuć wdzięczności za to, co nam dał, za schronienie i pocieszenie, i prawdziwą przyjaźń. Jeśli mimo to rzeczywiście miał poczucie, że go opuściliśmy, mogę go tylko przeprosić (a ponieważ w obecnym stanie nie ma on możliwości przyjęcia lub odrzucenia przeprosin ustnych, składam je niniejszym pisemnie) – J.A.

Amichaj także wycofywał się coraz bardziej we własny świat. Córka Marii zaskoczyła obu bliźniaków niespodziewaną decyzją, że wybiera na przyjaciela Noama i tylko jego. Nierozłączna trójka w jednej chwili się rozpadła. Nimrod wpadł w furję. Podarł wszystkie zdjęcia w domu (z wyjątkiem tych, na których była jego mama), wyrzucił odtwarzacz minidisców razem z głośniczkami przez okno na ulicę. Specjaliści wytłumaczyli Amichajowi, że w ten sposób, poprzez gniew na córkę Marii, Nimrod po raz pierwszy przyswaja fakt śmierci mamy. Amichaj uważał, że się mylą, bo nie doceniają, jak potężna może być dziecięca miłość (on sam w drugiej klasie kochał się w dziewczynce imieniem Irit. Przez wiele miesięcy planował, że na zabawie w dzień zakończenia roku zapyta ją, czy chciałaby być jego dziewczyną, ale ona nie przyszła). Tak czy siak, postanowił przekazać nadzór nad organizacją swojemu zastępcy, ograniczył do minimum pokazywanie się w mediach i zaczął poświęcać, jak sam to nazwał, „niezbędny przydział czasu” Nimrodowi.

Dzwonił do nas rzadziej, a jeśli ja odzywałem się do niego, zazwyczaj obiecywał, że oddzwoni, jak położą dzieci spać. Ale nie oddzwaniał.

Ze wszystkich tylko Ofir i Maria interesowali się tym, co robię (a raczej: czego nie robię), a raz nawet zaprosili mnie na rodzinny obiad.

Moja wewnętrzna wyrocznia ostrzegła przed katastrofą. Twierdziła, że to nie najlepszy czas na obiady rodzinne. Ale, jak już wspomniałem, wpojono mi, że jeśli cię zapraszają, nie wypada nie przyjść, więc zebrałem się w sobie i pojechałem do Michmoret.

Po drodze słuchałem w radiu naiwnych hebrajskich piosenek. Przez okno wpadał przyjemny wietrzyk, a kierowcy, którzy mnie mijali, wyglądali po prostu jak ludzie, nie jak kierowcy. Powiedziałem sobie, jak to miło, że Ofir i Maria mnie zaprosili. I że generalnie powinienem się cieszyć ich szczęściem, teraz, gdy spodziewają się dziecka.

Ale gdy tylko przekroczyłem próg ich drewnianego domu, wbrew sobie czułem tylko zazdrość. Gorzką, kipiącą, niedającą spokoju zazdrość.

Zazdrościłem im tego małego, skromnego domku. I że mieszkają pięć minut od morza. I że do pokoju wpada lekki wietrzyk o słonym zapachu i delikatnie kołysze hamakiem. Zazdrościłem im odwagi, żeby wyprowadzić się z miasta. Odwagi, żeby robić to, co chcą. Zazdrościłem Ofirowi, że ma Marię, która nawet po paru latach bycia razem czasem bez powodu głaszcze go po karku. Zazdrościłem Marii, że ma córkę, mimo że kłóciły się przez cały obiad.

Najpierw dziewczynka nie chciała z nami siedzieć. Potem nie chciała jeść nożem i widelcem. Potem w środku obiadu wstała od stołu i koniecznie chciała zjechać po poręczy wąskich schodów z antresoli do salonu.

– Zejdz stamtąd, robisz niebezpieczną rzecz bez potrzeby – powiedziała Maria.

– I kto to mówi – odpysknęła jej córka.

– Co to ma znaczyć? – nasrożyła się Maria.

– Spytaj Ofiego, co to ma znaczyć – rzuciła dziewczynka bezczelnie i nie zeszła z poręczy. Maria spojrzała na Ofira.

– To, że jeżdżę na punkty kontrolne, to moja prywatna sprawa. – Siliła się na spokojny ton. – Nie rozumiem, czemu musiałeś z nią o tym rozmawiać.

– Bo nie uważam, że to twoja prywatna sprawa – odparł Ofir, ani odrobinę nie podnosząc głosu. Wtedy ona zaczęła mówić o Lanie, o tym, jak bardzo za nią tęskni. Ofir nic na to nie odpowiedział. Chciał wziąć Marię za rękę, ale łagodnie zabrała dłoń.

Oboje wstali, żeby zdjąć dziewczynkę z poręczy i przyprowadzić z powrotem do stołu. Przez cały czas, mimo gniewnych słów, które padły, widać było, jak bardzo są ze sobą blisko. Stanowili jedną, splecioną całość.

W moim życiu nigdy czegoś takiego nie było, pomyślałem i jadłem dalej swój ryż z soczewicą po kopenhasku, i opowiadałem o artykułach, które tłumaczyłem, streściłem, co u Amichaja i u Churchilla, ale wewnątrz mnie płonęła zawiść. Wypalała mnie od środka. Zazdrościłem sałatki owocowej, która była na deser (samotny facet nigdy by sobie nie zrobił sałatki owocowej), zazdrościłem, że nie mają kablówki (można!), zazdrościłem ciszy po wstaniu od stołu, gdy rozsiedliśmy się na miękkich poduchach w salonie (milczenie, które nie było niezręczne; jak gdyby wcale się chwilę wcześniej nie posprzeczali). Zazdrościłem nawet tego, że rozmawiają o kłopotach, które mają ostatnio w gabinecie.

Od rozpoczęcia drugiej intifady ludzie mniej chętnie wydawali pieniądze na luksusy, a medycyna alternatywna – bez dwóch zdań – była w Izraelu wciąż uważana za luksus.

Ile oni myślą o tym gabinecie – przyszło mi do głowy. Ile on dla nich znaczy. A ja nie mam w życiu nic, nic, co byłoby dla mnie tak ważne.

Ofir mówił, że jak tak dalej pójdzie, jeśli klientów będzie ciągle ubywać, to przynajmniej na trochę będzie musiał wrócić do pracy w reklamie, bo trzeba z czegoś płacić rachunki. Ale to go nie przeraża, bo od tamtego załamania upłynęło dużo wody w Gangesie i jest teraz kompletnie inną osobą. Maria wzięła go za rękę i dodała:

– Tym razem nie będziesz sam, bo masz mnie.

Spojrzałem na nich i pomyślałem: To miłość, głupcze. Miłość go odmieniła. Nie te duchowe banały, nie białe szaty czy bujanie się w hamaku. To ona. Maria. Uspokoila go. Urodziniła. Przytulila tak mocno, że nie miał innego wyjścia, w tym uścisku musiał przestać się rzucać. Pieściła go dopóty, dopóki nie przestał odruchowo się kulić, gdy ktoś zbliżyła rękę do jego twarzy.

– Może zostaniesz na noc? – zaproponowała Maria i pogładziła Ofira po brzuchu,

jakby to on był w ciąży.

– Tak, tak, niech wujek Juwal zostanie! – uradowała się jej córeczka. – Zagramy w inteligencję! – (Była absolutną mistrzynią. Większość dorosłych nie chciała z nią grać w obawie, że ich pokona, ale ja, dzięki swoim tłumaczeniom, nabyłem tyle wiedzy z rozmaitych dziedzin, że mogłem być dla niej godnym partnerem).

– Bardzo bym chciał, malutka, ale jestem umówiony na wieczór – skłamałem.

– Jakaś nowa dziewczyna? – spytał Ofir obojętnie.

– Tak – skłamałem znów.

– Wspaniale! – ucieszyła się Maria. – Uważam, że na to zasługujesz. Zasługujesz na miłość – dodała ciepło i spojrzała na mnie równie ciepło, choć od tego spojrzenia poczułem chłód. Poczułem się potraktowany z góry, choć nic w jej słowach nie dawało ku temu podstaw. Ale miałem wrażenie, że oboje zachowują się odrobinę, w sposób niemal niezauważalny, protekcyjnie. Ta naturalność, z którą się przytulali. Ten szum morza zza okna. Ten delikatny, kojący wietrzyk. Ten ciężki, odurzający zapach kadzidła zmieszany z wonią dobiegającą z półki, na której stały szampony i balsamy Himalaya. Już dwa lata, jak wrócili z Indii, a jeszcze im tyle tego zostało? Muszą to trzymać tutaj, nie mogą w łazience? Co to do cholery jest, meble?

Miałem serdecznie dosyć. Poczułem palącą potrzebę, żeby zobaczyć miasto. Usłyszeć klaksony, buldożery i sapanie autobusów. Pocić się w wilgotnym powietrzu. Kupić sobie lody na patyku. Patrzeć na ludzi, którzy spacerują z psami jak mąż z żoną: głaszczą je, rozmawiają z nimi. Patrzeć na powolny, poważny tłum widzów wychodzących z kina. Poczuć, jak zgiełk miasta mnie ogarnia, stopniowo zagłuszając zgiełk wewnątrz mnie.

– Dzięki za zaproszenie, obiad był przepyszny. – Zebrałem się do wyjścia. Maria i jej córka mnie wyściskały, a Ofir odprowadził do samochodu.

– Słuchaj, wszystko u ciebie w porządku? – spytał po drodze.

– Co... Tak. A czemu pytasz? – zająknąłem się.

– Twoje ciało... – odparł, kładąc mi dłoń na plecach, między łopatkami.

– Co: moje ciało? – Strząsnąłem jego rękę.

– Nic, tylko sprawiasz wrażenie... Ale skoro mówisz, że wszystko okay, to...

– Absolutnie okay – uciałem.

Nic nie było okay. Koło zjazdu na Chawacelet, w tym miejscu, gdzie widać pierwsze migające światła wielkiego miasta, udałem przed sobą, że mi ulżyło.

– Zobacz – powiedziałem sam do siebie – wracasz do miasta. Jego puls naładuje twoje akumulatory.

Ale koło Herclii wróciły ponure myśli. Wszyscy twoi przyjaciele wyszli z wieku gipsowego z poczuciem celu, tylko ty ciągle żyjesz targany wątpliwościami. W ich życiu właśnie zaczyna się nowy, emocjonujący etap, a twój pociąg dalej stoi na stacji. Oni niedługo będą gadali o pieluchach i karmieniu, a ty o czym będziesz z nimi rozmawiać? O artykule na temat rodzicielstwa, który właśnie tłumaczysz?

W każdym razie to już koniec. Przyznaj: złoty wiek tej paczki się skończył. Przez czternaście lat nasz kwartet był całym światem. Ziemia, ogień, woda i wiatr (a jeśli dodać Szachara Kohena, to dochodzi jeszcze eter – piąty, nieuchwytny, boski żywioł, o którym pisze Arystoteles). Ale to już skończone. Przyjaciele przychodzą i odchodzą, kobiety zostają. Może zresztą Ja'ara ma rację? Może świat się zmienił i nie ma tu już miejsca dla takich grupek chłopaków z Hajfy? Może wszyscy się zrobili niecierpliwi, niezainteresowani, okropnie samolubni. Nawet Kameleony w tym tygodniu ogłosiły, że zespół się rozpada, że od teraz każdy z muzyków „skupi się na realizacji własnych pomysłów artystycznych”, i to samo z nami – jeśli nie już, to wkrótce. Każdy z chłopaków będzie siedział w domu ze swoją ukochaną i z dziećmi i „skupi się na realizacji własnych pomysłów”, a ja będę siedzieć w domu bez ukochanej, bez dzieci, bez własnych pomysłów i skończę jako wieczny wujek Juwal, którego się zaprasza przez uprzejmość.

Gdy tego wieczora wszedłem do mieszkania, wydało mi się ciasne i brzydkie. Nagle dostrzegłem te wszystkie drobne wady. Stare szafki w kuchni. Żółty zaciek w ubikacji. Za małe okna. Zepsute żaluzje. Kłamliwe fotografie moich przyjaciół na ścianach. Zdjęcie z koncertu Kameleonów. Zdjęcie z urodzin Amichaja. Zdjęcie z Synaju. Same łgarstwa. Bo naprawdę to koncert Kameleonów był beznadziejny. Stare piosenki śpiewali bez ikry, a nowe były kompletnie mdłe. Na swoich urodzinach Amichaj pokłócił się z Ofirem o jakąś głupotę i zepsuli cały nastrój. A wyprawa w góry na półwyspie Synaj? Czuło się podczas niej, że to początek końca. Nie pamiętam, żebyśmy odbyli wtedy choć jedną prawdziwą rozmowę. Już wtedy wszystko pokrywała cieniutka warstewka obcości. A potem było tylko gorzej.

Oglądając zdjęcia, zaszedłem do sypialni. Nagle ona też wydała mi się ciasna. Przytłaczająca. Śmierdząca samotnością. Podszedłem do szafy i rozsunałem dwa stosiki poskładanych koszul, żeby sięgnąć po nią. Trzymałem ją w dłoniach. Czerwoną skarpetkę z żółtym paskiem. Taka sobie zwyczajna skarpetka, gdyby nie fakt, że należała do Ja'ary, ale właśnie to stanowiło dla mnie wystarczający powód przez ostatnich parę lat. Ilekroć czułem, że moja egzystencja jest pusta, a wszystko, co mi się przytrafia, to zaledwie echo prawdziwego życia, podchodziłem do szafy, wyciągałem tę skarpetkę i jeszcze raz przepełniała mnie nadzieja, że pewnego dnia Ja'ara do mnie wróci i włoży tę skarpetkę tu, w tym pokoju, dla mnie. Ta nadzieja, choćby nie wiem jak bezpodstawna, powstrzymywała mnie przed wpadnięciem w czarną dziurę zupełnej rozpacz, bo jeśli istniał choć cień szansy, że Ja'ara wróci, to istniał też powód, by się ogolić, by pójść spać, by wstać, przetłumaczyć kolejny artykuł. I kolejny. I jeszcze jeden.

Dotknąłem delikatnej, kobiecej skarpetki. Zmiałem ją w palcach.

I nie czułem nic.

Pewnej nocy, podczas naszej wielkiej wyprawy z Churchillem, zgubiliśmy się na wysepce na jeziorze Titicaca. Chcieliśmy obejrzeć zachód słońca z najwyższej góry wyspy, tylko zapomnieliśmy o dość oczywistej prawidłowości, że po zachodzie robi się ciemno. Na wysepce, której nazwy już nie pamiętam, nie było prądu, my nie mieliśmy latarki, a w ciemności dom naszych gospodarzy wyglądał tak samo jak wszystkie pozostałe. Trochę zaniepokojeni po omacku zeszliśmy ze wzgórza i zaczęliśmy szukać naszego domu. Potykaliśmy się o bruzdy, wpadaliśmy do niewidocznych dołów. Niechcący dotarliśmy nad brzeg jeziora. Zawróciliśmy. Pukaliśmy do różnych drzwi, ale nikt nie otwierał. Z wolna zaczynaliśmy się obawiać, że wszystko to sobie wyobrażamy – wyspę, grupę, z którą tu przybyliśmy, naszych gospodarzy – i że może tak naprawdę jesteśmy na sztucznej wyspie stworzonej na potrzeby turystów, z której wszyscy niby-mieszkańcy co wieczór wracają do domów.

I gdy już straciliśmy nadzieję, a Churchill zaniepokojony powiedział: „Stary, przysięgam, ta ciemność mnie dotyka, dosłownie”, nagle czysty, przeciągły ton rozdarł mrok. Dźwięk saksofonu.

Nasi gospodarze nie mieli saksofonu, więc nie było, prawdę mówiąc, powodu, żeby iść akurat w stronę, z której dobiegała muzyka, ale tam właśnie poszliśmy, bo w nieprzeniknionej ciemności nie mieliśmy innego punktu odniesienia, no i oczywiście dlatego, że każdy potrzebuje saksofonu, który wskaże mu drogę. Nawet jeśli saksofonista nie jest mistrzem. Nawet jeśli czasem zafałszuje. Człowiek idzie w stronę saksofonu, bo wie, że w przeciwnym razie podda się ciemności.

(Saksofonista okazał się olbrzymim Indianinem, który grał dla trzech pijanych kolegów z nut w hiszpańskim podręczniku do gry. Gdy skończył koncert, bez trudu zaprowadził nas do domu naszych gospodarzy).

Przez te lata od poprzednich mistrzostw Ja'ara była moim saksofonem. Ruszałem w jej kierunku, ilekroć zapadał zmrok. Nadzieja, że do mnie wróci, grała we mnie cały czas. Cicho, lecz bez ustanku.

A teraz muzyka umilkła.

I zostałem w ciemności.

Trudno opisać to, co się ze mną działo przez kilka kolejnych tygodni.

Czułem się tak, jak gdyby z każdym dniem mnie ubywało.

Czułem się tak, jak gdyby żaluzje zasłaniające okna komór mojego serca się popsuły i nie można było ich otworzyć.

Czułem się tak, jak gdybym się spalał od środka. Ale takim zimnym płomieniem, jak sztuczne ognie.

Spowijał mnie raczej dym niż mgła.

Czułem się tak, jakby to łóżko spało we mnie, a nie ja w łóżku.

To było jak ołowiane ciężarki. Jak żelazne łańcuchy. Jak kibuc o dwunastej w południe. Jak nieczynna poczta. Jak plastikowe kwiaty.

Dobra, koniec tych porównań – to tylko kolejny sposób na uchylenie się od prawdy. Pozerstwo. Udawanie. Jakże łatwo przekładać wszystko na żywe, malownicze obrazy. Tylko że został właśnie sam obraz, a prawdziwa rzecz zniknęła.

W tym czasie bardzo dużo spałem. A gdy nie spałem, czułem się senny.

Nie potrafiłem nic przetłumaczyć. Proste zdania stawały się nagle niezrozumiałe. Klienci dzwonili, pytając, co się stało. Mówiłem, że będzie niewielkie opóźnienie. Zupełnie nieznaczące.

Powiedziałem sobie, że na taki upadek czekałem wiele lat, wiele lat walczyłem z grawitacją i że może raz wreszcie powinienem po prostu pozwolić sobie upaść.

Klienci dzwonili znów, po tygodniu, i pytali, co się dzieje.

Przepraszałem. Mówiłem, że tłumaczenie jeszcze niegotowe.

Rezygnowali.

Zadzwoiła Gila z banku i powiedziała, że musimy się spotkać. Pomyślałem, że to będzie dobra rozrywka: zadzwonię do niej i porozmawiamy o prawdziwych sprawach, na przykład o ogromnej dziurze, która się we mnie otworzyła, albo o bezsensie. Bezsensie wszystkiego.

I to była moja ostatnia zabawna myśl.

Potem całkiem straciłem poczucie humoru. Straciłem ogromnie ważną zdolność patrzenia na swoje życie i jednocześnie śmiania się z niego.

Nie dawała mi spokoju myśl, że to, co się dzieje, jest spóźnioną karą za grzechy popełnione w Nablusie podczas Pucharu Świata w 1990 roku. Że wypełnia się klątwa starej Arabki. Oto mam dowód, że nie da się całkiem wymazać plam z przeszłości, można tylko trochę je rozjaśnić, i że grzechy są jak wirus, który czeka, aż osłabnie twoja odporność, i rzuca się na twoje ciało.

Zdawałem sobie sprawę, że te myśli są nieco dziwaczne, ale nie potrafiłem ich odegnąć. Wyłączyłem więc telefon, przestałem się golić i godzinami oglądałem transmisje

z turnieju golfowego Australian Open. Zrobiłem sobie malutkie pole golfowe w dużym pokoju. Zamiast piłki do golfa użyłem pingpongowej, zamiast kija – mopa, a zamiast dołka – miseczki. Mój smak uległ stepieniu. Makaron smakował tak samo jak ryż. Pomarańcze – jak jabłka. Sypałem do kawy pięć łyżeczek cukru.

Martwić zacząłem się chyba w momencie, gdy zauważyłem to upośledzenie zmysłu smaku. Jeśli powstaje taki rozłam między ciałem a duszą – pomyślałem – już nic tego nie powstrzyma.

Pomyślałem, że trzeba działać, zanim zdradzą mnie pozostałe zmysły.

Zadzwoiłem do pani psycholog, którą polecił mi jeden z moich klientów, ale gdy tylko odebrała, rozłączyłem się.

Dokładnie wiedziałem, jak by wyglądało spotkanie: cokolwiek bym powiedział, przypisałyby to moim relacjom z rodzicami. A nawet gdybym zaoponował, gdybym zarzucił jej, że próbuje mnie dopasować do swoich teorii, wykazałyby, że mój protest nie jest w zasadzie skierowany przeciw niej, tylko przeciw rodzicom. A zresztą wciąż nie potrafiłem odpowiedzieć na pytanie, czy ludzie (włącznie ze mną) są w ogóle w stanie się zmienić. A jeśli tak, to w jaki sposób? No bo zanim się zapłaci trzysta pięćdziesiąt szekli za godzinę, powinno się mieć gotowe odpowiedzi na takie pytania, prawda?

Zadzwoiłem więc do Chani. Nie rozmawialiśmy ponad rok, ale nagle poczułem, że to jedyna właściwa rzecz, którą mogę zrobić. Wystukałem numer i odsłuchałem wiadomość, jaki jest jej nowy numer. A gdy zadzwoniłem pod ten nowy, nagrany głos podyktował mi kolejny. Z każdą próbą rosło moje pragnienie usłyszenia Chani. Przypominałem sobie jej miodowe włosy. I to, jak kichała zaraz po orgazmie. I to, jak tańczyła przede mną, taka szczęśliwa, wtedy w Koloseum. Nie wyszło nam z jednego jedyne powodu: cienia, który na wszystko rzucała Ja'ara. Teraz, gdy wyrzuciłem do śmieci czerwoną skarpetkę z żółtym paskiem, kto wie, może się uda.

– Cześć, co słyhać? – usłyszałem jej głos i pomyślałem, że to dobry znak: wie, kto dzwoni, czyli nie wykasowała mojego numeru.

– U mnie? Eee... Jako tako. A u ciebie?

– Chwalić Boga, wszystko się układa. Miesiąc temu urodził mi się syn.

– No proszę! Syn? Chłopiec? Moje gratulacje!

– Tak, to dla nas wielka radość. Moi rodzice też są zachwyceni. To ich pierwsze wnuczę.

– Rodzice? Nie mów mi, że wróciłaś do Bnej Brak!

– Naturalnie. Nie da się żyć bez rodziny. Bez korzeni. A tu jest moja rodzina. Wiesz, cieszę się, że zadzwoniłaś. Od dawna... pragnęłam, żebyś zadzwonił, żebyśmy mogła ci podziękować.

– Mnie? Za co?

– No bo... Zachowałeś się podle... A po tobie jeszcze ktoś potraktował mnie tak samo i... Przez to, co mnie z waszej strony spotkało, zaczęłam myśleć, że może to całe życie bez religii, którego tak pragnęłam... Gdy przyjrzałam mu się z bliska, było puste. Smutne.

– Smutne?

– Smutno jest wciąż się zastanawiać, czy ludzie mówią ci prawdę. Smutno żyć w związku, nad którym od samego początku wisi widmo możliwego rozstania. Jak można w ten sposób poświęcić komuś siebie samego? Z Ja'akowem...

– Ja'akowem?

– Moim mężem. Od chwili, gdy się poznaliśmy, wiedziałam, że jego zamiary są poważne. A skoro tak, to wiedziałam, że mogę go bez obaw pokochać. Chcę, żebyś wiedział, że on jest z Bostonu. Jest otwarty. Nie boi się pytań, jak moi rodzice. Nie uważa, że kobieta to gorsza istota. Wiesz, te dwa lata życia bez religii jednak coś mi dały. Ale bez Boga ciężko jest żyć. Bez sposobu na życie. Rozumiesz?

– To jak żyć bez saksofonu.

– Słucham?

– Nieważne. No i?

– Myślę, że prędzej czy później i tak bym to wszystko pojęła, ale ty... Ty przybliżyłeś mnie do odkupienia, tak to nazywamy w naszym świecie. Więc dziękuję ci i... Odwiedź nas kiedyś. Naprawdę.

– Macie chyba teraz mnóstwo na głowie?

– W tygodniu tak, ale w weekendy jak najbardziej zapraszamy. Spędziłbyś z nami szabat. Pośpiewał pieśni szabatowe. Zjadłbyś porządnie i odpoczął. I może, w miarę, pokochałbyś to.

– Jak to? Chcesz, żebym się na...

– Nie. Oczywiście, że nie. Nie musisz się bać. Chodziło mi tylko o to, że miałbyś okazję oczyścić duszę. Bo chyba tego potrzebujesz. Tak – pomyślałem – potrzebuję. Ale nie za pomocą wiary. Może i mam żydowską kulturę we krwi, może i w każdym moim słowie wypowiedzianym po hebrajsku brzmi Biblia, ale niestety – religia to nie dla mnie. Bóg mnie nie zbawi, gdy jestem w dołku. Chciałbym jak Soren Kierkegaard obudzić się pewnego ranka i odkryć, że w ciągu nocy przepełniła mnie bezgraniczna, bezwarunkowa miłość do Boga. Może naprawdę potrafiłbym znaleźć w sobie taką miłość, gdybym wychował się w odpowiednim domu. Ale rodzice zasiali we mnie głęboką, świecką podejrzliwość wobec wszelkiej religijności. I nawet jeśli to podejrzenie jest bezzasadne, to

nie umiem już go z siebie wykorzenić.

– Kiedyś wpadnę – powiedziałem.

– Wspaniale – odparła Chani. Nie było w tej odpowiedzi emocji. Przez całą rozmowę w jej głosie nie czuć było emocji. – No dobrze, muszę teraz nakarmić Benjamina, więc...

– Na razie – uczyniłem wysiłek, żeby zachować szacunek do siebie i mieć ostatnie słowo.

To tak bardzo w twoim stylu – powiedziałem do siebie, jak już się rozłączyłem – rozstajesz się z dziewczyną, a potem, nie pytając jej o zdanie, myślisz, że pewnego dnia, jak zechcesz, ona do ciebie wróci. I nigdy się nie zastanawiasz, co na to rzeczywistość. No i masz za swoje – biczowałem się. Ale nawet rzemień tego pejcza nie sprawiały mi bólu. Nic nie czułem. W ciągu kolejnych dni ciemność zacieśniała krąg wokół mnie. Najdrobniejsza czynność – wyjście do toalety, nalanie sobie wody czy wyłączenie telewizora – zdawała mi się wielkim głazem, który muszę wtoczyć pod górę. Kusiło mnie, żeby zadzwonić do przyjaciół, ale miałem poczucie, że muszę sam wyleźć z tego dołu. A gównu prawda! To tylko teraz duma każe mi to pisać. Nie dzwoniłem, bo nie chciałem, żeby mnie zobaczyli w takim stanie. Nie, nawet to nie jest prawdą. Nie dzwoniłem, bo w jakiś trudny do wytłumaczenia sposób jestem samotnikiem. Samotnikiem, który ma dużo przyjaciół. Samotnikiem, który wyuczył się, jak wieść życie towarzyskiej osoby, ale gdy jest mu źle, wycofuje się do swojej prawdziwej natury. Ale może teraz także kłamię. W każdym razie wiedziałem, że muszę się jakoś wydobyć z tego bagna, tylko byłem zbyt zmęczony, żeby to zrobić, żeby o czymkolwiek myśleć. W zasadzie to też nie całkiem tak. Znowu lukruję prawdę. W tamtym czasie przyszły mi do głowy dwa skrajne rozwiązania, które z miejsca odrzuciłem. Pierwszy pomysł był taki, żeby zacząć brać leki na poprawę nastroju. Któryś z klientów mi opowiadał, że są teraz środki, które w ogóle nie wywołują efektów ubocznych, i że dzięki nim udało mu się skończyć pisanie pracy magisterskiej. Ale wzięwszy pod uwagę moją skłonność do uzależnień, bałem się, że jak tylko zacznę łykać coś takiego, już nie będę umiał przestać. Druga myśl, która zresztą pojawiła się nie pierwszy raz, to żeby zmienić orientację seksualną: przyznać, że skoro te wszystkie sprawy z dziewczynami zawsze mnie przerastały i zawsze w końcu zostawałem sam, to może czas popробować związku z mężczyzną. Z facetami zawsze dogadywałem się świetnie. Może to znak?

Z tym pomysłem był jeden drobny kłopot: mężczyźni nigdy mnie nie pociągali (z wyjątkiem tej jednej erekcji, którą miałem, kiedy grałem w ping-ponga z Szacharem Kohenem, jedynej, całkiem przypadkowej erekcji, do której przyznam się tylko w nawiasie).

Nie – pomyślałem, żeby zebrać się w garść – tobie potrzeba saksofonu. Czegoś, ku

czemu będziesz mógł iść. Tylko co, do cholery, by to miało być?! Co?

Próbowałem wrócić do tej swojej przeklętej niedokończonych rozprawy. Może w niej znajdę melodię sensu. Ostatni filozof, o którym pisałem, ale przerwałem w połowie, to Martin Heidegger. W 1927 roku wydał pierwszą część pracy *Bycie i czas*, a druga część nigdy się nie ukazała. Jego uczniowie twierdzą, że to za przyczyną *die Kehre*, zmiany, która zaszła w jego myśleniu. Poczynając od lat 30., zaprzestał analiz struktur działania, struktur lęku, być może pod wpływem myślicieli Dalekiego Wschodu, a zaczął mówić o kontemplacji, obserwacji samego siebie i otwarciu się na doświadczenie. Filozofia, jak twierdził, powinna powrócić do tej otwartości, która cechowała filozofów presokratejskich, i wyzbyć się pragnienia, by przemocą narzucać się rzeczom.

Wszystko pięknie-ładnie, ale właśnie w tym czasie, gdy mówił o otwarciu się na doświadczenie i o tym, jak tęskni za prostotą wiejskiego życia, Heidegger wstąpił do partii nazistowskiej. Gdy z nominacji partyjnej został rektorem uniwersytetu we Fryburgu, za jego kadencji z uczelni wyrugowano wszelkie cechy demokracji, trzy razy urządzano publiczne palenie książek, a jego dawny nauczyciel Edmund Husserl dostał zakaz wstępu do uniwersyteckiej biblioteki, bo był Żydem. Podczas przesłuchań, które odbyły się po wojnie, Heidegger okazał skruchę za swoje uczynki w okresie nazistowskim, ale francuski rząd okupacyjny nie pozwolił mu podjąć pracy pedagogicznej, gdyż mógłby wywierać zły wpływ na studentów.

Jeszcze raz przestudiowałem daty, bo może gdzieś się pomyliłem. Ale nie. Wszystkie wypowiedzi Heideggera na temat otwartości na doświadczenie, na temat „efektywności dla samej efektywności”, która charakteryzuje współczesne społeczeństwo, powstały wtedy, gdy był nazistą (pozostał członkiem tego jakże efektywnego ugrupowania aż do ostatniego dnia drugiej wojny światowej).

– Proszę powiedzieć, Herr Heidegger – spytałbym, gdybym mógł – jakież to doświadczenia miał pan na myśli, pisząc, że należy być otwartym na doświadczenia? Noc kryształową?

I znów, jak poprzednim razem, gdy próbowałem choćby nadgryźć Heideggera, odniosłem przemożne wrażenie, że muszę zarzucić prace nad rozprawą. Skoro nie umiem pojąć metamorfozy jednego z filozofów, jak mam ukończyć dzieło, które opisze metamorfozy ich wszystkich? Gorzej nawet: może casus Heideggera dowodzi, że wszelkie moje wysiłki, żeby połączyć biografie filozofów z ich poglądami, były z gruntu chybione? Może trzeba ich życie prywatne i ich filozofię traktować jak dwie linie równoległe, które się nigdy nie przecinają? Innymi słowy, może czas, kurwa, wyrzucić tę rozprawę na śmietnik? I cały język akademicki. Jest w tym coś dołującego. Mdłego. Tak! – ta myśl uderzyła mnie nagle z obezwładniającą siłą. To ta rozprawa mnie zabija, wszystko przez tę

rozprawę! Całe to badanie ludzi którzy się zmienili, nie pozwala mi iść przed siebie. Nie pozwala mi uciec z zagrody i znaleźć normalnej pracy. I miłości.

W desperacji wykasowałem z komputera plik z tekstem rozprawy.

Potem wsadziłem dyskietkę z kopią zapasową i ją też wyczyściłem.

Myślałem, że poczuje się nie wiadomo jak wyzwolony. Że w chwili wciśnięcia klawisza DELETE zaleje mnie fala nadziei na nowy początek.

Przez kilka sekund nie czułem nic. A zaraz potem – nagły przypływ paniki.

(Powinienem był się tego spodziewać. Ze mną tak jest zawsze: dopiero gdy coś stracę, zaczyna mi tego naprawdę brakować).

– Co ja narobiłem?! Co ja narobiłem?! – krzyczałem, przetrząsając mieszkanie w poszukiwaniu drugiej dyskietki, na której kiedyś zachowałem część tekstu. A może nie zachowałem? Nie byłem pewien. W końcu znalazłem zakurzoną dyskietkę, ale bałem się wsadzić ją do komputera i odkryć, że nie ma tam pliku z moją rozprawą.

Więc uciekłem. Ruszyłem w miasto na poszukiwanie saksofonu, czegokolwiek, żeby nie gnąć w domu, nie zwariować, ale każde miejsce, w które szedłem, było akurat szaleńczo, gorączkowo remontowane. Pobliska aleja – rozkopana. Cała jej brzydota, zazwyczaj skrywana pod betonem i asfaltem, teraz znalazła się na widoku. Próbowałem się przedostać między hałdami piachu, stertami cegieł i metalowymi prętami sterczącymi z ziemi. Pocitem się, hałas młotów pneumatycznych zagłuszał moje myśli, niechcący kopnąłem wiadro z wapnem. Chwilę później omal nie wpadłem do wykopu, z którego sterczały głowy robotników.

– Ty, zombie, patrz pod nogi! – krzyknął któryś. Nienawidzę słowa „zombie”, odkąd dowódca na wykładzie w wojsku użył go, wyrzucając mnie z sali. Ale nic nie odpowiedziałem. Ominąłem następny wykop i z wielkim wysiłkiem dotarłem do sklepu na rogu. Kupiłem mrożoną kawę i usiadłem na ławce, żeby się napić, ale smakowała jak sok pomarańczowy. Minęła mnie jakaś przytulona para, a dziewczyna nagle spojrzała w bok i obrzuciła mnie długim, tęsknym spojrzeniem. Nie do wiary, pomyślałem. Nawet pary w tym mieście wiecznie czegoś poszukują. I jak tu znaleźć miłość? Wróciłem do sklepu i kupiłem kanapkę z tuńczykiem, która na obrazkowym menu wyglądała smacznie. Nie poczułem nic. Z tak przytępionym zmysłem smaku czułem się dziwnie. Było w tym coś przesadnie symbolicznego. Ktoś zahamował przy mnie z piskiem opon i zapytał:

– Przejdzie pan z miejsca parkingowego?

A ja myślałem, że pyta, czy nie odejdę od zmysłów. Koło mnie ktoś zaczął kuć młotem pneumatycznym, wzniecając kłęby pyłu. Kłęby pyłu unosiły się w każdym miejscu, w które tego dnia poszedłem. Pył wdzierał mi się do płuc przy każdym kroku, aż poczułem, że zbliża się atak. Objawy były oczywiste: wiercenie w nosie, swędzenie między podbródkiem a gardłem.

Zaszyłem się w domu i nie miałem odwagi wychylić nosa przez kolejne parę tygodni.

Najtrudniejsze były poranki. Leżałem w łóżku jak trup, bezwładny, lecz nie rozluźniony. Otepiały, choć nic mi nie dolegało. Moje myśli strzępiły się na końcach i żadnej nie umiałem dokończyć. Byłem jak świeczka, z której skapał cały воск. A jednak wszystko było przepełnione nastrojem sztuki teatralnej. Coś we mnie oglądało z lotu ptaka cały ten melodramat.

Drobiazgi doprowadzały mnie do szału. Rzeczy stojące nie na miejscu. Jednego ranka pięć razy przestawiałem solniczkę, aż postawiłem ją tam, gdzie była na początku. Kiedy indziej rozłożyłem regał, na którym stały głośniki, i ustawiłem go w przedpokoju. W kółko słuchałem płyty Kameleonów, która wyszła dwa lata temu (nie wiedzieliśmy wówczas, że to ich ostatni album).

– Gówniana ta płyta – powiedziałem wtedy do Churchilla, gdy po raz pierwszy ją przesłuchaliśmy. Po czym wsadziłem ją na sam spód stosiku z mocnym postanowieniem, że więcej po nią nie sięgnę.

I oto teraz nie potrafiłem słuchać niczego innego, tylko tej smętnej perkusji i zawodzących gitar. Introwertycznej, wyobcowanej muzyki, znużonych, monottonnych melodii, które nigdy się nie rozkręcały, nawet w refrenach, i słów, których wtedy, dwa lata temu, nie rozumiałem, a teraz czułem, jakbym sam je pisał:

Śpię bez prześcieradła

Sam w swoim łóżku

Remontują ulicę

Ale gdy skończą

Mnie już nie będzie

Albo:

Odliczanie zakończone

I nic się nie stało

Po zerze zapadła cisza

Po zerze zapadła cisza

Pustki

Zmęczone piosenki Kameleonów kołysały mnie do snu, aż się poddawałem i zapadałem w zbyt wczesną, przeпоconą południową drzemkę, z której budziłem się w panice, serce waliło mi jak młot, i próbowałem przypomnieć sobie koszmar, który mi się śnił. Raz to była jazda samochodem, który nie miał hamulca, tylko gaz. Innym razem przyśniła mi się Ilana, która chciała, prosiła, żebym całował jej popękane, martwe usta. Jeszcze innym razem skuty kajdankami chłopiec z Nablusu kuśtykał w moją stronę z kijem w dłoni, a raz Szachar Kohen strzelał do mnie z karabinu piłeczkami pingpongowymi, a gdy nie umiałem ich złapać, krzyczał z pogardą: „Człowieku, i jak ty chcesz w ten sposób oszczędzać pieniądze?”.

Wrócił też, po wielu latach, koszmar, który często śniłem w dzieciństwie: jestem małym chłopcem, siedzę na plaży w Hajfie z mamą i tatą, buduję zamki z piasku, gdy nagle zaczyna pędzić ku nam wielka fala, wysoka na cztery piętra. Rzucamy się do ucieczki, lecz fala ściga nas aż do góry Karmel, zmiatając po drodze domy, samochody i innych ludzi, ale nie nas, bo udaje nam się dobiec aż do Muhraki, która z jakiegoś powodu nazywa się Masada, i tam się zatrzymujemy, i patrzymy, aż wielka fala w końcu wraca do morza jak wszystkie inne fale.

To uczucie, że ściga mnie fala, było tak silne, że ilekroć budziłem się z tamtego koszmaru, dopiero po kilku sekundach od otwarcia oczu nabierałem pewności, że to był tylko sen. Codziennie rano obiecywałem sobie, że dzisiaj nie robię południowej drzemki, żeby znowu nie mieć koszmarów, ale co dzień ulegałem pokusie położenia się na kanapie, tylko na minutkę, tylko na trzy piosenki Kameleonów.

Po południu przez okno wpadał lekki wietrzyk, który orzeźwiał mnie trochę i pomagał mi zerwać się z kanapy. Tylko że ta nowa energia była jeszcze bardziej przerażająca: przez cały czas, gdy byłem otumaniony, nie stanowiłem dla siebie zagrożenia, ale w momencie gdy zaczynałem chodzić po pokoju, pojawiała się szansa, że nogi zawiodą mnie do okna. Na parapet.

Przechodziłem już przez taki mroczny okres, kiedy wróciliśmy z Churchillem z wyprawy. Wtedy tak samo nie potrafiłem usnąć w nocy i zapadałem w kilkugodzinne popołudniowe drzemki, podczas których prześladowały mnie koszmary. Także i wtedy zdawało mi się, że wszystko jest nie na swoim miejscu, miałem wrażenie, że części mojego ciała nie działają prawidłowo. Tyle że wówczas wszystko trwało około tygodnia i ani razu nie miałem ochoty podejść do parapetu.

Byłem młody. Wróciłem z podróży. Wciąż miałem nadzieję, że wszystko się zmieni. Że ja się zmienię.

Po ośmiu latach spojrzałem na siebie: starego konia, trzydziestojednolatka. Skończył się mój wiek gipsowy, o którym opowiadała Ilana, ale gips nie stwardniał, a ja nie odnalazłem sensu, i nawet moi przyjaciele, którzy kiedyś byli powodem i skutkiem, ziemią i grawitacją – nawet oni oddalali się ode mnie, każdy podążał za własną gwiazdą.

Przypuszczałem, że dalej mnie kochają, zależy im na mnie, ale ich uczucia wydawały mi się przytłumione jak dźwięk budzika w sąsiednim domu. A rodzice? Dziesięć lat usiłowałem od nich uciec i udało mi się to tak dobrze, że teraz byli zbyt daleko, by mi pomóc, zresztą nawet gdyby udało mi się do nich dotrzeć, to co? Ojciec, jak zawsze, powiedziałby mi, że byłem taki dobry z matematyki, więc dlaczego, na miłość boską, nie poszedłem w tym kierunku, a matka... cóż, to cudowna osoba, ale odkąd przestała pracować w drukarni i zapisała się na kurs arabskiego, bo „w takiej rzeczywistości przyszło nam żyć”, i chodzi na spotkania samotnych osób, bo „czemu tracić okazję do poznania ciekawych ludzi tylko dlatego, że ma się męża”, i na szkolenie dla pilotów wycieczek, bo „ktoś musi pokazywać światu, jaka piękna jest Hajfa” – no więc wraz z tym spóźnionym rozkwitem jej optymizm, dotychczas spokojny i miły, przekształcił się w coś raczej burzliwego, a parę dni temu nagrała mi wiadomość, że jest na organizowanym przez ministerstwo turystyki kursie w kibucu Szefajim i jak chcę, to może bym wpadł wieczorem, ale nie oddzwoniłem, bo już sobie wyobrażałem, jak siedzimy w kibucowej stołówce przerobionej na restaurację, ona z wesołą, puciołowatą buzią, a ja chorobliwie blady próbuję jej wyjaśnić, przez co właśnie przechodzę, i ona uprzejmie kiwa głową, niby słucha, ale przy pierwszej sposobności zmienia temat i mówi, że wcale nie jest pewne, czy Harry jest synem Karola, i że według najświeższych teorii spiskowych prosto z Londynu Diana nie zginęła w wypadku, tylko zabił ją brytyjski wywiad.

Zresztą gdybym żył podczas drugiej alii albo podczas wojny z Egiptem i ZSRR, kiedy toczy się akcja *Bluesa pod koniec lata*, może mógłbym wziąć udział w czymś, za czym stała wielka, ważna idea, albo też na odwrót: mógłbym być jak Aara'le z filmu i pisać hasła przeciwko tej wielkiej idei. Ale teraz? Teraz nie było niczego ani nikogo, żeby nadać sens życiu. (I znowu kłamstwo. Po prostu nie mam tyle odwagi co Aara'le, więc nawet gdybym żył w heroicznym czasie, i tak znalazłbym jakiś wykręt, żeby podawać w wątpliwość wartości, obserwować bieg zdarzeń z linii autu, a potem marudzić, że nie mam celu w życiu).

Podczas jednego z tych momentów, gdy byłem o krok od poddania się, wziąłem ołówek i spisałem listę drobnostek – nie żadnych ważnych rzeczy – dla których warto żyć dalej.

Zajęło to sporo czasu, a w dodatku zżerały mnie wątpliwości: Po co się bawić w listę? Słowa, słowa... Ale ostatecznie ołówek zaczął się przesuwac po papierze:

Morele – w tym króciutkim okresie (jakieś dwa dni), kiedy nie są ani za twarde, ani za miękkie.

Płyta z zebranymi piosenkami Kameleonów, która ma wyjść po ich rozpadzie (a konkretnie ta chwila, kiedy zdejmę folijkę, wyciągnę książeczkę z tekstami i zacznę je czytać).

Sydney w Australii (nigdy nie byłem, a ludzie, którzy byli, mówią, że jest fantastyczne).

Pierwsze dni lata na uniwersytecie (dziewczęca dłoń podwijająca spódniczkę przed kolana).

Życie poza miastem, żeby sprawdzić, czy pomoże na astmę.

To, że jeszcze nie trafiła się okazja zrobić to z dwiema siostrami jednocześnie (albo zrobić to w szacownym miejscu publicznym, dajmy na to, w Muzeum Narodowym).

To, że kiedyś, może jak już będziemy bardzo starzy, zapanuje pokój.

A, no tak. Jeszcze to, że już niedługo Puchar Świata.

Uśmiechnąłem się w duchu, dopisując Puchar do listy. Z jakiegoś powodu właśnie ta jedna rzecz zdołała się przedostać do mojej piersi i poruszyć strunę. Nagle pomyślałem, że szkoda byłoby odejść przed mistrzostwami, nie zobaczyć króciutkich tańców, które odstawiają Afrykańczycy po zdobyciu bramki, nie zobaczyć, jak Szkopy wracają do domu po odpadnięciu z półfinału, nie usłyszeć śpiewu angielskich kibiców ani batucady dobiegającej z brazylijskich trybun, ani idiotycznych prognoz komentatorów, ani doniesień o zawieszeniu na czas meczów działań wojennych w Togo i Etiopii, i wszędzie indziej, tylko nie na Bliskim Wschodzie. Szkoda byłoby nie oglądać żółtych i czerwonych kartek i najazdów kamery na twarz piłkarza, który dostał czerwoną, i czarno-białych materiałów archiwalnych pokazujących bramkę po odbiciu od poprzeczki zdobytą przez Anglię w sześćdziesiątym szóstym, i gola Spieglera w siedemdziesiątym, i hipnotyzującej białej piłki podawanej od stopy do stopy, i widzów robiących meksykańską falę i naszej zaimprovizowanej fali w dużym pokoju u Amichaja, i nie czuć lekkich mdłości po trzech beznadziejnych meczach obejrzanych jednego dnia, i euforii po zobaczeniu naprawdę wspaniałego meczu, takiego, co to głęboko zapadnie w pamięć, i radości płynącej z tego, że przez miesiąc możesz poświęcić większość czasu na coś, co nie ma innego celu, jak tylko dawać przyjemność, i tej cudownej wewnętrznej sprzeczności cechującej futbol: z jednej strony ogromny wysiłek trenerów, żeby przygotować drużynę, a z drugiej – naturalna nieprzewidywalność, która nagle nadaje pęd stopom zawodników i nagle zaczynają grać spontanicznie, ignorując wszelkie plany. I ten moment, gdy hipnotyzująca biała piłka ląduje w siatce, a piłkarz, który zdobył bramkę, zaczyna biec, rzuca się w ramiona każdemu, kto się nawinie, i nie ma pojęcia, dokąd tak pędzi, ku jakiemu celowi, jest po prostu taki cholernie szczęśliwy, że aż musi coś zrobić ze swoim ciałem, zdjąć koszulkę, minąć tablice z reklamami, wspiąć się na barierkę, przytulić trenera i paść na kolana w podzięce...

To prawda – przyznałem sam przed sobą – wszystko jest teraz takie mdłe. Nie czuję się szczęśliwy. Ale może pozbieram się do kupy przez te parę miesięcy, do mistrzostw, i wleżę na parapet dopiero po meczu finałowym?

Ile jeszcze czasu zostało do Pucharu Świata? Ile dokładnie miesięcy muszę przetrwać? To pytanie nagle zaczęło mnie nurtować.

Po raz pierwszy od nie wiem jak dawna włączyłem telefon i zadzwoniłem do Amichaja.

– Słuchaj, stary – powiedziałem ochryple – kiedy się zaczynają mistrzostwa?

– Zaraz, chwileczkę. A co w ogóle się z tobą dzieje? Nagrałem ci się z milion razy. Będzie ostatni, naprawdę ostatni koncert Kameleonów i pomyśleliśmy, że trzeba się razem wybrać. Gdzieś ty zniknął?

– Wszystko ci za chwilę opowiem – skłamałem. – Tylko najpierw chcę wiedzieć, kiedy jest Puchar Świata. To ważne.

– Zwykle zaczyna się w czerwcu, a kończy w lipcu, nie?

– Czyli jeszcze dziewięć miesięcy – policzyłem szybko. To długo, ale nie wieczność. Może jeszcze warto zaczekać.

– Wiesz – powiedział Amichaj – ciągle mam te życzenia z ostatnich mistrzostw.

– Jakie życzenia?

– Te, które spisaliśmy podczas ostatniego finału, nie pamiętasz? Każdy napisał na karteczce, co chciałby robić za cztery lata. Gdzie chciałby być w życiu.

– I masz te karteczki?

– Tak, mam je przed sobą, w pudełku po butach. Nie otwierałem ich, ale jakiś czas temu, kiedy wynosiłem z mieszkania rzeczy Ilany, które zostały w szafie, znalazłem to pudełko. A w środku cztery starannie złożone karteczki. Rozłożymy je razem podczas następnego finału, prawda?

– No pewnie. To będzie na pewno niesamowite.

– Kurczę, tyle się od tamtego czasu zdarzyło – zadumał się Amichaj. – Kto by pomyślał, że minęły ledwo trzy lata z kawałkiem.

Milczałem. Tyle się wydarzyło u niego i u innych, pomyślałem. A u mnie?

– Jak to dobrze, że jest Puchar Świata – odezwałem się w końcu. – Bo dzięki temu czas nie jest monolitem, tylko dzieli się na kawałki: co cztery lata możemy się zatrzymać i zobaczyć, co się zmieniło.

– Dokładnie to samo powiedziałeś wtedy.

- Co?
- To o czasie. Że nie jest monolitem, tylko dzieli się na kawałki.
- Powiedziałem coś takiego?
- A kto inny by tak filozofował, jak nie ty?

Przypominając sobie tę brzemienne w skutki rozmowę z Amichajem, odnoszę wrażenie, że żarówka nie zapaliła się od razu. Dopiero po dłuższej chwili prąd dotarł do kabelków.

Tymczasem zaś Amichaj mówił jeszcze o innych rzeczach. I w pewnym momencie, gdzieś między opowieścią o tym, co zrobił Nimrod podczas rodzinnej wycieczki na Pustynię Judzką (wdrapał się Amichajowi na kolana i spytał: „Tatusiu, a gdzie twój uśmiech?”), a historią o dwóch stażystkach w dziale prawnym organizacji Amichaja, które się poskarżyły, że od dnia, gdy zaczęły pracę, Churchill zaczął się do nich przystawiać – wtedy żarówka się zaświeciła.

Jak w teatrze. Nagle zobaczyłem to przed oczyma: ogrody w świątyni bahaistycznej.

Szybko zakończyłem rozmowę mimo sprzeciwu Amichaja („Ale nic jeszcze nie powiedziałaś o sobie! Z tobą tak zawsze! Tak się nie robi!”) i napisałem na kartce cztery imiona.

Koło każdego imienia napisałem życzenie, które ta osoba przeczytała podczas ostatnich mistrzostw.

Zacząłem rysować linie.

Churchill został odsunięty od sprawy, którą prowadził, zanim zdążył „zaangażować się w coś, co doprowadzi do dużej przemiany społecznej”, ale za to spełnił moje życzenie: jest z Ja’arą.

Amichaj nie otworzył gabinetu medycyny alternatywnej, jak chciał, ale założył Mamy Prawo i w ten sposób spełnił życzenie Churchilla, bo doprowadził do prawdziwej zmiany w społeczeństwie.

Ofir nie wydał zbioru opowiadań, ani po hebrajsku, ani po staroduńsku, lecz jego wrodzona mądrość, silniejsza niż papier, ta sama mądrość, która każe pestce oliwki stać się drzewem oliwnym, a nie czymkolwiek innym, zaprowadziła go do spełnienia życzenia Amichaja: miał swój gabinet terapeutyczny.

Przerwałem i przyjrzałem się kartce. Została do narysowania ostatnia linia. Jedna linia, której brakowało do osiągnięcia niesamowitej, niemal bahaistycznej symetrii, w której żaden z nas nie spełnił swojego życzenia, lecz za to zrealizował życzenie sąsiada z prawej. Żebym mógł narysować czwartą linię i żeby symetria była idealna, musiałem spełnić życzenie Ofira: napisać książkę.

Wyobraziłem sobie zakończenie Pucharu Świata 2002, Amichaja wyciągającego karteczki z pudełka, każdego z nas biorącego swoje życzenia. Wtedy Amichaj czyta, co napisał, i zaczyna się nerwowo śmiać. Następny jest Churchill, który zacina się na moment przy odczytywaniu życzenia związanego z Keren. I zaraz, żeby odwrócić od siebie uwagę, mówi do Ofira: „No, stary, twoja kolej”. A Ofir oddaje Marii synka (córeczkę?), żeby mieć wolne ręce, rozwija kartkę i odczytuje życzenia, i błysk podejrzenia, a potem zrozumienia zapala się najpierw w oku Churchilla, ale dopiero gdy ja czytam swoje trzy życzenia związane z Ja’arą, dopiero wtedy zaczyna widzieć to, co ja widzę teraz przed sobą, i zajmuje mu chwilę, zanim poprowadzi w głowie te linie, a wtedy piękno bahaickich ogrodów dociera doń z całą mocą, klepie mnie w ramię i mówi: „Kolego, szkoda, że nie napisałeś książki, to by dopiero było”. I kiedy wyjaśnia Ofirowi i Amichajowi, o co mu chodzi, dlaczego taka ze mnie pierdoła i musiałem popsuć taką ładną symetrię, ja w zwolnionym tempie sięgam do teczki i wyciągam książkę, którą napisałem potajemnie w ciągu zeszłych dziewięciu miesięcy.

W tej sekundzie zapłonęło we mnie pragnienie: stworzyć punkt centralny, bez którego nie istnieje symetria, wykonać swoje zadanie, uzupełnić obraz, dodać brakujący instrument, żeby nasz kwartet mógł grać muzykę, o której mówił przewodnik po świątyni bahaistycznej. Wszystko w moich rękach, myślałem z rodzącym się entuzjazmem. Jeśli tego nie zrobię, wszystko będzie bez sensu, jak nieposprzątany pokój w hotelu, ale jeśli odważę się napisać książkę, o której napisaniu marzył Ofir, nagle wszystko zyska symetrię, piękno, jak elegancki wywód filozoficzny, jak dosłowne tłumaczenie z angielskiego na hebrajski. Jak posprzątany pokój. Tak jak lubię.

Przez parę chwil czułem, że wreszcie mam cel. Że wreszcie coś we mnie czegoś pragnie.

(Lub może – by opowiedzieć to innymi, prawdziwszymi słowami – przez parę chwil widziałem szansę, której mogę się uchwycić, zanim utonę raz na zawsze. Zanim się poddam. Nie wiedziałem, czy to coś da. Nie byłem pewien, czy nie minąłem już zakrętu, zza którego nie ma powrotu. Ale przez parę chwil myślałem, że może...)

Ale na końcu tych chwil stał mój ojciec z kubłem zimnej, lodowatej wody.

– Napisać książkę? Ty mówisz poważnie? – Wylał mi wodę na głowę. – Kim ty jesteś, żeby napisać książkę?

Metamorfozy: Wielkie umysły, które zmieniły zdanie – odłożona na później rozprawa filozoficzna Juwala Frida (fragment)

Dopiero po śmierci swego duchowego ojca, Platona, Arystoteles opuścił Akademię w Atenach i przeniósł się do Azji Mniejszej. I dopiero tam (z przekonaniem, które rośnie wraz z odległością?) powążył się po raz pierwszy odrzucić teorię, w którą wierzył przez dwadzieścia lat, od siedemnastego roku życia. Platon od początku się mylił – twierdzi Arystoteles. Nie ma sensu mówienie o abstrakcyjnych ideach, skoro nie możemy ich zobaczyć ani dotknąć. Wszelka dyskusja o tym, co znajduje się poza naszym doświadczeniem, jest z góry skazana na porażkę. Filozofia musi zatem ograniczyć się do badania tego, co dostępne zmysłom, które z kolei też powinny stać się przedmiotem obszernej dyskusji.

„Pożegnajmy więc idee Platońskie, gdyż mają nie więcej sensu niż śpiewanie «tra la la»”, pisze Arystoteles. To zdanie jest tak ostre i odważne, że zaraz rodzi się pytanie: „Skąd taka całkowita zmiana w myśleniu?”. Czy wątpliwość kiełkowała w duszy Arystotelesa przez lata studiów w Akademii i milczał tylko przez szacunek dla mistrza, czy może to dopiero śmierć Platona i uwolnienie się Arystotelesa spod wielkiego cienia rzucanego przez nauczyciela umożliwiły ten niebywały zwrot? Czy na drodze do apostazji były jakieś stadia pośrednie, czy też Arystoteles obudził się pewnego ranka u siebie w domu w portowym mieście Assos, spojrzął na rzeczywiste łodzie rybackie i namacalne sieci i nagle wszystko pojął?

Jeszcze jedno pytanie, na które oczywiście nie ma i nie będzie jednej odpowiedzi: Co, gdyby Platon pożył dłużej?

Czy Arystoteles wstałby nagle z miejsca i w obecności studentów sprzeciwił się swemu duchowemu ojcu?

Ojciec okazywał wielki szacunek pisarzom, którzy przychodzili do jego drukarni w dolnym mieście.

Nie było ich wielu. Większość próbowała szczęścia w dużych wydawnictwach w Tel Awiwie, a gdy ich propozycje odrzucano, rezygnowali z marzeń. Tylko niektórzy byli dość uparci lub zdesperowani, by opublikować książkę własnym sumptem, i – z jednym wyjątkiem – nigdy nie wracali do mojego ojca, żeby wydrukować u niego kolejną. Zresztą wszyscy mieli do opowiedzenia tę samą historię, historię swojego życia, a obojętność czytelników zabijała ich determinację.

– Nikt z rodziny nie przeczytał tej książki – skarżyli się – nawet moje własne dzieci!

A on ich pocieszał, kładł im rękę na ramieniu i tłumaczył, że książki czasem przebijają się bardzo powoli, i słyszał nawet o pisarzach od nas, z Hajfy, którzy otrzymywali serdeczne listy od czytelników z dalekich krajów – nawet ze Skandynawii! – wiele lat po wydaniu książki.

– Ze Skandynawii? Naprawdę? – pytali zawsze z błyszczącymi oczyma, a mój ojciec kiwał głową na potwierdzenie i chwalił oryginalność stylu i tematu, zaskakując pisarza dokładnym cytatem z jego książki. (Dopiero gdy przed pójściem do wojska zacząłem pracować w drukarni, zauważyłem, że cytaty są zawsze z pierwszej strony).

– No proszę! – zwykli mówić z zadowoleniem. – Oto znalazł się jeden sprawiedliwy w Sodomie! Prawdziwy znawca literatury!

– A ojciec uśmiechał się skromnie i odprowadzał ich do wyjścia, klepał po plecach i zapraszał, żeby jeszcze kiedyś wpadli, nawet bez zapowiedzi, bo teraz, kiedy przeczytał ich wspaniałe książki, czuje, jakby byli prawdziwymi przyjaciółmi.

Odczekiwał kilka chwil, aż uszczęśliwiony, udobruchany pisarz odejdzie poza zasięg głosu (tego lata, gdy pracowałem z ojcem, zabawiałem się w mierzenie, ile sekund upłynie od wyjścia autora do momentu, gdy mój ojciec powie, co naprawdę o nim myśli), a wtedy mówił z głęboką pogardą:

– Do niczego. – Później siadał przy biurku i gniewnie wypluwając słowa, zwracał się do matki: – Każda miernota myśli, że może sobie napisać książkę. Każda miernota! W Anglii tak nie było. W Anglii pisarz to był pisarz. A teraz byle literacki szczyl myśli, że jest Bialikiem! (Wyjątkowo, gdy jakiś autor szczególnie go rozwścieczył lub – Boże, broń! – spytał, czy może zapłacić na raty, ojciec kończył słowami: „byle literacki szczyl myśli, że jest Agnonem”).

Jedynym pisarzem, który wytrwał i wydał u ojca drugą książkę (i trzecią, i czwartą), był Josef Miron-Miszberg, starszy mężczyzna o jasnych oczach, w których czaił się obłęd. Każdej jesieni wpadał jak burza do drukarni z nową książką pod pachą.

– Oto i wielki pisarz! – witał go od progu ojciec bez cienia ironii w głosie, po czym przedstawiał go z entuzjazmem wszystkim pracownikom, choć większość знаła Mirona-Miszberga już całkiem nieźle, ale i tak z szacunkiem wstawali, a on wchodził między nich jak Mosze Dajan na stadion w Jad Eljahu i ścisnął każdemu rękę. Gdy to przydługie powitanie dobiegło końca, przymykał oczy, wciągał w nozdrza powietrze i mówił:

– Ach, ta woń pras drukarskich. Nie ma w całym wszechświecie bardziej upojnego zapachu!

– No to może opisałby pan naszą małą drukarnię w jednej ze swoich książek? – proponował ojciec co roku.

– Otóż to! Doskonały pomysł! – co roku wołał z entuzjazmem Miron-Miszberg, a potem obaj siadali przy biurku ojca i pili whisky z małych szklanych filiżanek.

– Więc o czym jest pańska najnowsza książka? – pytał ojciec.

– Żeby się dowiedzieć, musi pan ją przeczytać – łątał go Miron-Miszberg.

– Chociaż – tłumaczył ojciec – żebyśmy mogli zrobić projekt okładki... Oczywiście jak najszybciej... Może jednak mógłby mi pan powiedzieć, o czym to jest. Romans? Dreszczowiec? Kryminał? Powieść historyczna?

– Jest tylko jedna rzecz warta tego, by o niej pisać... – grzmiał Miron-Miszberg, waląc pięścią w biurko, aż podskakiwały filiżanki.

– Z pewnością, z pewnością – przepraszał ojciec. – Czyli, jak rozumiem, znowu...

– Znowu, znowu i znowu! I nic jeszcze nie powiedziałem!! – krzyczał Miron-Miszberg, a jego jasne oczy omal nie wychodziły z orbit.

– Naturalnie, rozumiem – uspokajał go ojciec i natychmiast zmieniał temat, przechodząc do kwestii technicznych i terminu, gdyż wiedział dobrze, że w tym momencie jego rozmówca zacznie patrzeć tępo przed siebie, odpłynie myślami gdzieś daleko i jego szła osłabnie.

Miron-Miszberg podpisywał kontrakt bez zastanowienia, nawet bez czytania, mimo że ojciec stale go namawiał, by przeczytał wszystko dokładnie, nawet to, co małym druczkiem.

– Ufam panu – odpowiadał Miron-Miszberg. – Wy, Anglicy, dotrzymujecie słowa. Macie do siebie szacunek. Nie kolaborowaliście z nazistami. Co mówił Churchill? Krew, pot i łzy! Niech mi pan powie, kim są dzisiejsi przywódcy w porównaniu z Churchillem?

– Nie ma porównania – zgadzał się ojciec, wręczał mu jego egzemplarz umowy i

wstawał, żeby zasygnalizować Mironowi-Miszbergowi, że rozmowa zakończona.

– Przepraszam, ale muszę wracać do pisania – mówił Miron-Miszberg, jakby to on postanowił zakończyć spotkanie. – Musimy zrobić jak najwięcej, nim przyjdzie po nas anioł śmierci.

– Wszystkiego dobrego! – życzył mu ojciec i klepał go dwa razy w ramię: raz, żeby go skierować ku wyjściu, i drugi, żeby go wypchnąć.

– To co – mówił na odchodnym Miron-Miszberg, potrząsając ręką mojego ojca – widzimy się za trzy tygodnie?

– Jak Bóg da – odpowiadał ojciec, jeszcze raz klepał go po ramieniu i patrzył za nim, czy na pewno sobie poszedł. Potem wracał do biurka i siadał. I wstawał. I siadał. I oczekiwał jeszcze minutę.

I wtedy wybuchał wulkan przekleństw.

Pogarda ojca wobec Josefa Mirona-Miszberga była równie głęboka jak szacunek, który mu okazywał w jego obecności.

Obelgi nie były zwykłymi „do niczego”, „miernota” czy „byle literacki szczył”. Były dużo bardziej osobiste.

– Biedna ta jego żona – mówił do mojej matki, a pracownicy drukarni zażenowani spuszczały głowy. – Biedne te jego dzieci, że mają takiego ojca. Przymierają głodem, a on co? On jest pisarzem! Pisarzem? Gryzipiórkiem! Grafomanem! Miał raz dobrą recenzję w jakiejś prowincjonalnej gazecie, pięć linijek petitem, i od tego czasu myśli, że jest Bożym posłańcem. Rzucił pracę, kazał iść do pracy żonie, która ma chory kręgosłup, a sam „poświęcił się” pisaniu. Co to w ogóle za pisanie? Za każdym razem przynosi taką samą książkę, identyczną, tylko zmienia tytuł. I nawet mu nie wstyd!!!

– Norman, kochanie, chyba troszkę przesadzasz? – mówiła matka, starając się ułagodzić jego ślepą furię.

– Przesadzasz, przesadzasz... – mruzczał pod nosem ojciec, obchodząc biurko i obmyślając ripostę, a potem podnosił plik kartek Mirona-Miszberga i z furią rzucał je na blat. – Wiesz co, Marilyn, skoro przesadzam, to może sama wydrukujesz tę książkę?

Całe lata przypisywałem to dwoiste zachowanie mego ojca wobec jego klientów tej samej dwoistości, która cechowała stosunek moich rodziców do wszystkich ludzi. Słowa zawsze miały za zadanie ukryć prawdę. Byli uprzejmi dla sąsiadów spotykanych na schodach i dopiero w mieszkaniu słyszałem, co w rzeczywistości myślą. Zachowywali się serdecznie w stosunku do każdego pracownika drukarni – aż do dnia, gdy wyrzucali go z pracy.

Mieli takie trzy małżeństwa, o których mówili „przyjaciele” (jak mawiał Wittgenstein, to samo słowo w ustach różnych osób może służyć do oddania całkiem

odmiennych znaczeń), i spotykali się z nimi dwa razy do roku, żeby porozmawiać o polityce, samochodach, luksusowych mieszkaniach – o niczym zbyt bolesnym lub rzeczywistym, a zresztą stale wydłużała się lista niemiłych tematów, których „woleli” nie poruszać nawet między sobą.

– Wiesz, wolałabym o tym nie rozmawiać – mówiła matka, ilekroć ojciec wspomniał o jej konflikcie z siostrami.

– Wolałbym o tym teraz nie rozmawiać – odpowiadał ojciec, ile razy matka napomknęła o jakimś remoncie, który by się przydał w mieszkaniu.

I tak, stopniowo, odrzucali każdy temat rozmowy, z wyjątkiem cudzego życia, które zawsze analizowali z wyniosłą dezaprobatą.

Rozumiałem więc, że za słowami, które ojciec kierował do pisarzy, kryje się pogarda, a pochlebstwa mają tylko jeden cel: wyciągnięcie od nich pieniędzy. Dopiero tego lata po zakończeniu szkoły, tuż przed pójściem do wojska, gdy pracowałem u ojca w drukarni jako goniec i zobaczyłem to wszystko z bliska, dzień po dniu (choć może to nie bliskość sprawiła, że przejrzałem, lecz świeżo osiągnięta dorosłość?) – dopiero wówczas zacząłem podejrzewać, że stosunek mojego ojca do tych autorów jest zupełnie szczery. Że z jednej strony zachowuje się profesjonalnie i darzy ich szacunkiem, a z drugiej – żywi do nich pogardę. Że jest zarazem zachłanny i szczodry. Że wszystkie te sprzeczne emocje zmagają się w jednym człowieku.

Owego lata po raz pierwszy w życiu dostałem od pisarza książkę z autografem.

Wysłano mnie do Mirona-Miszberga, żebym mu zaniósł pierwsze egzemplarze nowego dzieła. Rozdarł szary papier, przejechał palcem po okładce, przerzucił strony od początku do końca i delikatnie rozdzielił dwie, które się skleiły, zbliżył twarz do otwartej książki, wciągnął powietrze i rzekł do siebie:

– Każdy wolumin ma własny zapach.

Milczałem. Myślałem o ojcu, który twierdził, że każda książka Mirona-Miszberga jest taka sama, i nie miałem w zasadzie pojęcia, czy ojciec ma rację, bo żadnej nie czytałem.

Miron-Miszberg wbił we mnie swe świdrujące, blade spojrzenie i powiedział:

– Chłopcze, masz myślące oczy. Wiesz o tym? – Spuściłem wzrok. – Myśli wciąż płyną przez twój umysł, przez twoją małą główkę – dodał i uśmiechnął się krzywo. – Czy to prawda? Powiedz, czy mam rację? – W jego głosie było coś przerażającego, więc nie odpowiedziałem. A on wybuchnął zduszonym śmiechem, który zaraz przekształcił się w paroksyzm kaszlu i plucia flegmą. Gdy nieco się uspokoił, wziął jeden z egzemplarzy książki, otworzył go na pierwszej stronie, napisał coś dużymi, nieporządnymi literami i

podał mi. Podziękowałem, wybąkałem coś o tym, że mam inne paczki do dostarczenia, bo chciałem się stamtąd jak najszybciej wyrwać.

Dopiero dwa dni później, przy świetle lampki nocnej, odważyłem się otworzyć tę książkę. Dedykacja brzmiała: „Chłopcu o myślących oczach z wyrazami przyjaźni Josef Miron-Miszberg”, a pod spodem widniał ozdobny podpis, wyglądający jak płomień ogniska.

Tej samej nocy próbowałem ją czytać, ale odłożyłem po dwudziestu stronach. Była piękna, lecz nie rozumiałem ani słowa. A raczej miałem poczucie, że opowieść ma swoją wewnętrzną logikę, tylko ja za nią nie nadążam.

Naturalnie obwiniałem o to siebie. To on był wielkim pisarzem, jasne. Problem leżał po mojej stronie – małego ciała, małego, upośledzonego rozumku.

Takie uczucie towarzyszyło mi przez lata.

Jest wyniosły, przerażający świat pisarzy.

I jest mój prosty świat. Oddzielony od tamtego wysokim płotem. Gdy tłumaczę, mogę się wdrapać na płot i zająrzeć do tego drugiego świata, ale w końcu zawsze muszę wrócić do siebie. Bo jestem tylko zwykłą, nudną osobą. Kim ja jestem, żeby pisać?

Przez kilka pierwszych tygodni, odkąd postanowiłem, że napiszę książkę i wydam ją przed mistrzostwami, w głowie dźwięczał mi echem głos: „Kim ty jesteś, żeby pisać? Kim ty jesteś, żeby pisać? Kim ty jesteś, żeby pisać?”.

Tydzień siedziałem przed komputerem z palcami niezdolnymi wykonać żadnego ruchu.

Po tygodniu uznałem, że to wina komputera. Że przez niego nie mogę znaleźć inspiracji. Przerzuciłem się więc na notatnik. I na pióro wieczne, które dostałem w prezencie od któregoś z dawnych klientów.

Po dwóch dniach zdałem sobie sprawę, że z piórem też mam problem. W jego opornych ruchach było coś pretensjonalnego. A czarny atrament wydawał się złowróżbny.

Poszedłem do sklepu i kupiłem zwykły jednorazowy długopis. Niebieski.

I to też nie pomogło. Kartka wciąż była biała.

Biała jak ta część człowieka, którą zakrywa kostium kąpielowy i która się nie opala. Biała jak bladość. Biała jak pustka. Biała... biała.

Przyznaję, nie miałem pojęcia, o czym bym chciał napisać.

Pierwsza myśl była taka, żeby zadzwonić do Ofira, może on podsunie mi pomysł. Przecież to o nim nauczyciel literatury zawsze mówił, że ma chłopak talent. To on napisał wszystkie piosenki do naszego przedstawienia na zakończenie szkoły. Nawet jego reklamy banków i krakersów coś w sobie miały. No i... to przecież było jego marzenie, żeby napisać książkę, a nie moje, więc niech przestanie lewitować i weźmie za to odpowiedzialność!

Ale się powstrzymałem: Nie piszesz, żeby dostać Nobla, tylko żeby dokończyć tę niesamowitą symetrię i zaskoczyć przyjaciół podczas finału Pucharu. Jak chcesz ich zaskoczyć, jeśli zdradzisz im swój pomysł?

Gapiąc się w pusty notatnik, przypomniałem sobie, jak jeden z klientów opowiedział mi kiedyś o warsztatach pisarskich, na które chodził. Zadzwoiłem do niego i podał mi numer telefonu.

Nosiłem w kieszeni karteczkę z tym numerem przez cztery dni. Jasny i zdecydowany głos wewnętrzny stanowczo sprzeciwiał się pomysłowi. Po co komu takie warsztaty? Warsztaty to grupa, a ja – wyjąwszy moich przyjaciół – nie lubię grup. Zresztą pisanie to jedno, ale czytanie? Na głos? Żeby inni słuchali? Nie dam rady. No i jeszcze ten prowadzący; zdecydowanie nie trawię jego książek. Za dużo słów. I wszystko takie na siłę symboliczne. Absolutnie nie chciałem pisać tak jak on, absolutnie nie chciałem, żeby pociągnął mnie w tym kierunku, absolutnie...

Drobna wzmianka w wiadomościach sportowych uciszyła ten wewnętrzny głos:

„Prezydent Korei Południowej osobiście nadzoruje przygotowania do Pucharu Świata i obiecuje: Będziemy gotowi trzydziestego pierwszego maja”.

Trzydziestego pierwszego maja? Czyli finał pod koniec czerwca! Czyli mam niecałe osiem miesięcy, żeby napisać książkę i jeszcze ją wydać! A ja co robię? To co zawsze! Nic!!!

Pierwsza sesja warsztatów potwierdziła moje obawy.

W momencie gdy wszedłem do mieszkania prowadzącego, doznałem uczucia, że już tu kiedyś byłem, i to uczucie w miarę trwania warsztatów stawało się coraz wyraźniejsze. Poza tym po tylu tygodniach samotności zapomniałem, jak się zachowywać przy ludziach. Kiedy się uśmiechać, a kiedy nie. Kiedy patrzeć w oczy, a kiedy odwracać wzrok. Jaka jest odpowiednia odległość od własnej pupy do pupy osoby siedzącej obok na kanapie. Gdy na początku spotkania przyszła moja kolej, żeby się przedstawić, okazało się, że odwyłem od mówienia. Zdołałem tylko wyjąkać, że jestem tłumaczem...

– A raczej nie takim prawdziwym tłumaczem... Nie tłumaczę książek... Raczej prace dla studentów... To znaczy w zasadzie nie prace... Artykuły... A oni potem z nich korzystają, jeśli chcą, podczas pisania swoich prac.

Kudłaty pies gospodarzy podkradł jakiś smakołyk z tacy, która stała na niskim

stoliku, i wszyscy wybuchnęli śmiechem. Dopiero po chwili dotarło do mnie, że śmieją się z psa, a nie ze mnie. Ale poczułem, że gdyby śmiali się ze mnie, to całkiem słusznie. Kolejne osoby w kółku się przedstawiały, zgodnie z ruchem wskazówek zegara, i wszyscy – tak pomyślałem – mieli dużo barwniejsze życie niż ja, bogatsze doświadczenie pisarskie i byli weselej ubrani.

Jedyny wyjątek stanowiła spłoszona dziewczyna, która przyszła spóźniona. Była z Jerozolimy, a poproszona, by się przedstawiła, powiedziała ledwie słyszalnym głosem, że dla niej to trochę za wcześnie, żeby mówić o sobie. Może potem nabierze śmiałości.

Prowadzący dał jej spokój i opowiedział o pierwszych warsztatach, w których uczestniczył jako pisarz, dwadzieścia lat temu, i jak okrutnie pozostali się odnieśli do fragmentu, który wtedy zaprezentował. W tej grupie, powiedział nam, nie będzie żadnego okrucieństwa. W tej grupie będzie szczerza, ale pełna szacunku krytyka.

Miał miękki głos i generalnie sprawiał dużo przyjemniejsze wrażenie niż męscy bohaterowie jego książek.

Widzisz? – powiedziałem sobie, powstrzymując odruch, by wstać i wyjść, który towarzyszył mi od chwili przekroczenia progu. Nie bądź taki wycofany. Raz w życiu postaraj się w coś zaangażować.

Więc się zaangażowałem, i to na całe pół godziny, aż przyszła moja kolej, żeby opowiedzieć dwie historie: prawdziwą i zmyśloną. Gdy nikt z wyjątkiem nieśmiałej dziewczyny nie uwierzył w historię, której byliśmy z Ofirem świadkami, znów się wycofałem i zatęskniłem za przyjaciółmi. Gdyby był tu chociaż jeden – pomyślałem – byłoby mniej dziwnie. Bardziej zrozumiale.

Kiedy prowadzący poprosił, żeby każdy napisał jedną ze swoich historii, i wszyscy zabrali się do pracy, podjąłem decyzję: nie wracam na te warsztaty.

Rozsiadłem się na kanapie z ulgą, którą daje uznanie własnej porażki, i w tej sekundzie przypomniałem sobie, dlaczego to mieszkanie wygląda znajomo. Już raz tu siedziałem, w tym samym salonie, w ostatnie Święto Niepodległości przed powołaniem do wojska, kiedy Churchill wyszedł do sypialni z malarką Atalają, a Ofir i Amichaj, zmęczeni kłótniami, posnęli koło mnie na kanapie.

Nawet to mieszkanie się zmieniło – pomyślałem – a ja co? Minęło trzynaście lat, znalazłem się w tym samym miejscu, siedzę w dużym pokoju i czekam, aż wszystko się skończy, żeby wrócić do domu.

Pod koniec warsztatów prowadzący rozdał wszystkim wydruki z pracą domową; też wziąłem, z grzeczności. Planowałem, że jak tylko wejdę do siebie do mieszkania, wyrzucę kartkę do śmieci, razem ze spisem telefonów uczestników. Ale tuż po powrocie do domu ogarnęła mnie gorycz, czarniejsza, bardziej rozpaczliwa i dojmująca niż kiedykolwiek przedtem: nigdy nie napiszę tej książki. Nie mam o czym pisać. A nawet gdybym miał, nie

wiedziałbym jak. Skręciłem się z bólu. Podczas następnych mistrzostw odczytam swoje trzy życzenia i razem ze wszystkimi będę się z siebie śmiał. Czy nie lepiej od razu z tym skończyć, położyć kres temu upokorzeniu nazywanemu życiem, zanim nadejdą mistrzostwa? Oszczędziłbym sobie w ten sposób mnóstwa wstydu.

Będąc bliżej parapetu niż kiedykolwiek, wyciągnąłem z teczek kartkę z pracą domową.

Pierwsze zadanie polegało na tym, by opisać fotografię. Przejrzyjcie swoje albumy ze zdjęciami – napisał prowadzący – wybierzcie jedno, które uważacie za ciekawe, które wam o czymś przypomina. Przyjrzyjcie mu się i spróbujcie zapisać wszystko, co widzicie. Następnie wyjdźcie poza suchy opis i opowiedzcie historię, która kryje się za zdjęciem.

Podniosłem wzrok i zawiesiłem go na dużej fotografii na ścianie: nasza czwórka podczas górskiej wyprawy na Synaju. Patrzyłem na zdjęcie przez dłuższą chwilę – a potem, przezwyciężając opór, zacząłem pisać.

Stoimy we czterech, oparci trochę o kamienny murek, a trochę o siebie. Wszyscy mamy niebieskie czapeczki akwizytorów Telemedu, które rozdał nam Amichaj. Uśmiechamy się do Beduina, który nas fotografuje, wszyscy z wyjątkiem Amichaja – on już zdążył zatęsknić za Ilaną i bliźniakami i na każdym postoju rozpaczliwie szukał zasięgu, żeby do nich zadzwonić. To nasza ostatnia wycieczka we czwórkę. Tydzień później poznałem Ja'arę. Łatwo mnie wskazać na zdjęciu, bo jestem najniższy. Właściwie nie umiem powiedzieć wiele więcej (czy ktokolwiek w ogóle potrafi zobaczyć sam siebie? Naprawdę zobaczyć?). Dziewczyna, z którą się kiedyś spotykałem, twierdziła, że mam twarz niemowlęcia. Na tej fotografii niewiele widać z powodu ostrego słońca, mam zmrużone oczy i jestem mocno opalony. Stoję przy prawej krawędzi kadru, a obok mnie, o głowę wyższy, Ofir. Jego szopa jasnobrązowych loków dodaje mu wzrostu. Gdyby wyprostować te włosy, byłby najwyżej o pół głowy wyższy niż ja. Jak zwodnicza potrafi być fotografia. Uśmiecha się najszerzej z nas wszystkich. Takim szczerym, reklamowym uśmiechem. A przecież podczas wycieczki nie uśmiechał się w ogóle, tylko w kółko narzekał, że nie może „poczuć prawdziwego ducha Synaju”, i namawiał nas, żeby ruszyć do Ras asz-Szitan, bo tam „będzie na pewno dużo fajniej”. Z lewej stoi Churchill z dłońmi splecionymi na karku. To taka bardzo męska poza. Zawsze go podziwiałem za ten gest i przez krótki czas w wojsku próbowałem go naśladować. Wielka plama potu pokrywa przód koszulki Churchilla, wraz z napisem WALCZ O SWOJE PRAWA. Churchill łatwo się poci. Kiedy po skończeniu służby wojskowej chodziliśmy we czwórkę potańczyć do klubu, zawsze po drugiej piosence wyglądał jak mokra ścierka, co zresztą nie przeszkadzało mu podrywać (i to skutecznie) każdej dziewczyny, która znalazła się w jego zasięgu. Amichaj, który na zdjęciu stoi koło Churchilla, nigdy nie zalecał się do dziewczyn w klubach. Zawsze sądził, że nie podoba się im z powodu swojego znamienia

na szyi, które miało kształt mapy Izraela. W rzeczywistości było o wiele mniej widoczne, niż sobie uroił, co zresztą widać na fotografii. Twardo stoi na nogach, całą swoją postawą nadaje komunikat, że można na nim polegać. Ma oczy o ziemistej barwie, w których mogłaby się zakochać niejedna kobieta. Ale on zawsze kochał tylko swoją Ilanę. Kochał ją, zanim jeszcze ją spotkał, i kochał ją dalej, z tą samą cichą lojalnością, gdy już nie żyła. Wieczorem tego dnia, gdy zrobiliśmy zdjęcie, wstałem na siku i zobaczyłem, że Amichaj leży uśmiechnięty w swoim śpiworze, świecąc sobie latarką na fotografię Ilany i bliźniaków.

Opowieść, która kryje się za tym zdjęciem, to historia przyjaźni naszej czwórki. Trudno powiedzieć, kiedy dokładnie się zaczęła. Trudno stwierdzić, co sprawiło, że przetrwała do dziś. I nie wiadomo, czy przetrwa nadal, gdy nasze życie się tak pozmieniało. Generalnie uważam, że przyjaźń to coś dziwnego. Już parę ładnych lat tłumaczę z angielskiego na hebrajski artykuły naukowe i nigdy nie trafiłem na tekst gruntownie omawiający temat przyjaźni. Jasne, wszystko dziś ma być statystyczne i empiryczne, a trudno policzyć i pomierzyć chłód i bliskość, i wierność, zdradę, i miłość, i tęsknotę. Może to zresztą niepotrzebne.

Byłem całkiem zadowolony z tego, co napisałem. Zwłaszcza z ostatniego akapitu. Postanowiłem jednak pójść na następne spotkanie, oddać pracę domową i usłyszeć opinię prowadzącego.

Tydzień później oddał nam sprawdzone prace. Na mojej napisał swoim wąskim charakterem pisma:

Sam opis zdjęcia jest bogaty i szczegółowy, ale następny akapit, czyli ten, który miał opowiadać historię ukrytą za zdjęciem, wyjaśnia, analizuje i robi wiele innych rzeczy, ale z pewnością nie opowiada.

Sądzę, że to ćwiczenie mogłoby być punktem wyjścia do większej opowieści o bohaterach, ale musi pan znaleźć narrację, której ścieżką chciałby pan poprowadzić siebie i czytelnika.

Czego ten facet ode mnie chce?

Taka była moja pierwsza reakcja po przeczytaniu jego komentarza.

Idiota – pomyślałem kilka godzin później. Jak może mówić, że ostatni akapit nie jest dobry?

Nazajutrz rano przeczytałem komentarz ponownie. Może i tak – stwierdziłem. Może faktycznie coś jest na rzeczy.

Tydzień później przy goleniu nagle wpadł mi do głowy ogólny zarys fabuły, która zaczyna się w momencie zapisywania życzeń podczas poprzednich mistrzostw, a kończy wraz z nadchodzącymi.

Palce aż się rwały do pisania.

Ciąg, w który wpadłem, zapisując pierwsze strony, zupełnie nie przypominał tego, co czułem podczas tłumaczenia. W zasadzie to nie przypominał żadnego znanego mi do tej pory stanu świadomości (może z wyjątkiem moich niebywale sugestywnych fantazji podczas masturbacji – były tak doskonałe, że dosłownie czułem pod palcami brodawki dziewczyny, którą sobie wyobrażałem).

Ale po pierwszej fali entuzjazmu zrozumiałem, że pisarstwo to nie tylko swobodne płynięcie z prądem...

Odkryłem, że pewne z pozoru nieistotne ułomności fizyczne ograniczają mnie również jako pisarza. Na przykład przez to, że jestem daltonistą, moje opisy zawierały zbyt mało kolorów, jak gdybym się bał, że omyłkowo nazwę czerwień zielenią albo na odwrót.

Choć z drugiej strony...

Kilka moich wkurzających cech zadziało w zasadzie na moją korzyść: obsesja zapamiętywania, ta sama, która przez ostatnie cztery lata nie dała mi choćby na minutę zapomnieć o Ja'arze, teraz pozwoliła mi odtwarzać opisywane wydarzenia. Pamiętam każde słowo, które padło. Kto w co był ubrany. Jaka piosenka leciała w radiu. A jeśli nie pamiętam, to wymyślam. Jak wspaniale jest wymyślać. Tłumacz jest przykuty do oryginału kajdanami wymogu wierności. Pisarz zaś może być niewierny. Może podstawić wujka zamiast ojca. Podmienić jednego przyjaciela na innego. Wymyślać całe rozmowy, których nie słyszał. Kłamać. Mścić się na innych za pomocą słów. A także naprawiać własne błędy.

Pojąłem też, że pełna koncentracja na celu, którym jest ukończenie tej książki na czas, to zarazem błogosławieństwo i przekleństwo. Co rano zmuszam się, żeby usiąść przed komputerem, ale czasem trafiają się dni, gdy nic nie potrafię napisać, a wtedy nie ma rady: wychodzę z domu, omijam wyrwy w rozkopanych ulicach i idę aż do północnego muru parku Jarkon, gdzie kończy się chodnik. Kładę się na trawie i po prostu patrzę na przepływające chmury.

Niestety, łatwo pomylić takie dni z dniami, gdy człowiekowi się zwyczajnie nie chce. W ciągu tych dziesięciu miesięcy, gdy pisałem, naczynia były zawsze zmyte, pranie poskładane w kostkę. Wróciłem do tłumaczeń. Raz na jakiś czas próbowałem uciec w lekturę cudzych książek, ale szybko zdałem sobie sprawę, jaka to pułapka. Poniżej dla przykładu zamieszczam fragment napisany po lekturze *Ust*, wyboru opowiadań

erotycznych zagranicznych pisarek. Całą noc nie spałem, a rano napisałem następującą scenę:

Ilana dotyka palcami ust Marii, muska jej górną wargę, a potem rysuje niewidoczną linię od kącika ust przez policzek aż do tętnicy na szyi i do obojczyka. Jej palec, powolutku jak cienki pędzelek, dostaje się pod bluzkę, lekko ją unosi i wspina się po ramieniu.

Ilana przyciska ucho do piersi Marii. Serce Marii bije w rytmie na trzy: ko-cham-cię, ko-cham-cię. Albo: o-Bo-że, o-Bo-że.

Przez chwilę Ilana wyobraża sobie, jak tańczy tango w tym rytmie.

Słowo „tango” pojawia się na ułamek sekundy także w umyśle Marii. Nie wiadomo, skąd się wzięło.

Ilana przyciska usta do pieprzyka w kolorze kawy z mlekiem dwa palce od pępka Marii.

Maria pyta bezgłośnie:

– Ile kostek cukru?

Zmieniają kształt. Najpierw stają się skorpionami. Potem żółwiami. W końcu także ich dusze się zmieniają.

Maria nie czuje winy.

Ilana także nie. Przynajmniej nie w momencie, gdy to robią.

W plecach Ilany nagromadził się ból. Grudki bólu. Maria delikatnie je przyciska i czuje, jak każda grudka opowiada historię.

Uda Ilany są wzruszające. Trochę podrapane, trochę poranione. Maria całuje je, i jeszcze raz, trochę wyżej.

Jak dziwnie. Maria całuje ją po udach, ale Ilana czuje rozkosz w karku.

Raptem wstydzi się swojej nagości i chce się czymś okryć.

Nie ma koca, więc Maria układa się na niej i przykrywa ją swoim dużym, rozpalonym ciałem.

Kiedy minęły zakręt, zza którego nie ma powrotu? Kiedy były w tym punkcie, kiedy jeszcze mogły się zatrzymać?

Wcześniej. Długo, długo wcześniej. Wtedy, przed trzema tygodniami, gdy Maria zaproponowała, że skoro Ilanę bolą plecy, mogłaby jej zrobić masaż. Wtedy, gdy jej dotknięcie było delikatne. Wtedy, gdy poszły razem popływać w morzu i ich dłonie zetknęły się niechcący pod wodą. Wtedy na weselu, gdy Maria wyciągnęła ją na parkiet, żeby potańczyć. Wtedy, gdy opowiedziała Ilanie bez skrępowania o swojej zimowej

depresji. Wtedy, gdy zainteresowała się jej artykułami. Wtedy, gdy u boku Ofira pierwszy raz zjawiała się w jej mieszkaniu. Wtedy, gdy Ilana poznała Amichaję.

Ich pierwszy raz w dużym pokoju. Na kanapie. Potem w sypialni. Na dywanie. A później w kuchni, gdy Maria usiadła na krześle, a Ilana na niej, zarzuciła jej ręce na szyję, przycisnęła brzuch do jej brzucha, patrzyła jej prosto w oczy, uciekała wzrokiem, patrzyła z obawą, śmiało.

Ilana porusza się na umięśnionej nodze Marii, w przód i w tył, w przód i w tył, aż...

Maria na nią patrzy, jak pięknie wygląda, gdy jest jej dobrze. Jej usta.

– Lana, Lana, Lana – powtarza cicho jej imię.

Pisałem ten fragment z przyjemnością, nie przeczę.

Ale było też coś więcej. Nagle podczas pisania zacząłem czuć, że ta scena naprawdę się zdarzyła, a gdy skończyłem, miałem już całkowitą pewność, że tak rzeczywiście było i że Ilana zabrała tę tajemnicę do grobu.

W każdym razie nie byłem w stanie dalej pisać w ten sposób. Za bardzo się napalałem i czułem się jak nekrofil, a co gorsza, czubki palców zaczynały mnie swędzieć od wrażenia nieszczerości.

Tak się działo, ilekroć próbowałem pisać „jak” ktoś inny. Bez względu na to, czy ten ktoś to była zagraniczna autorka opowiadań erotycznych, czy García Márquez, czy Tolkien. Palce drętwiały mi po kilku zdaniach. W końcu, przy którejś próbie zrozumiałem, że pozwolą mi opowiedzieć historię o moich przyjaciółkach, tylko jeśli będę ją opowiadać własnym, niezniekształconym głosem, tak jak opisywałem naszą fotografię z Synaju, odrabiając pracę domową.

Podczas pisania prawie nie rozmawiałem z przyjaciółmi. Oni wszyscy byli zaabsorbowani swoimi ciężarami, a ja – swoją. Tych kilka rozmów, które odbyliśmy, pozostawiło dziwne wrażenie. Nie całkiem naturalne. Co gorsza, prawdziwe rozmowy z opisywanymi bohaterami istniejącymi w mojej wyobraźni do tego stopnia mąciły mi w głowie, że przez kilka dni po każdej rozmowie z którymś z przyjaciół nie potrafiłem nic napisać.

Dlatego starałem się w miarę możliwości z nimi nie widywać. W okresie, gdy zaszyłem się w mieszkaniu, miało miejsce wiele zamachów terrorystycznych. Ludzie wychodzili z domów i nie docierali tam, dokąd chcieli. Przelano morze krwi. Z oddali dobiegało wycie syren, potem było coraz bliżej, a w końcu zupełnie blisko. Ale nawet gdy od eksplozji drżały szyby w moich oknach, wystarczała mi ogólna wiedza, że moi przyjaciele żyją. Nie miałem potrzeby słuchania, że mieli jechać tym autobusem, który wysadzono w powietrze, albo że spotkali się w tym barze, w którym równo tydzień póź-

niej wybuchła bomba. A gdy zadzwonił Ofir i nagrał wiadomość, że Joram Mendelson, szkolny geniusz, popełnił samobójstwo i zostawił list, w którym wyjaśniał, że to eksperyment mający potwierdzić jego naukową teorię o reinkarnacji, to nie poszedłem na pogrzeb. A gdy Amichaj zadzwonił, żeby spytać, co się ze mną dzieje i czy ma dla mnie kupić bilet na absolutnie najostatniejszy koncert Kameleonów, to oddzwoniłem, kiedy wiedziałem, że Amichaja na pewno nie ma w domu, i nagrałem na sekretarkę wiadomość, że niestety, nie mogę iść.

Lecz z drugiej strony...

Przez te wszystkie miesiące miałem wrażenie, że przyjaciele są ze mną. Tuż obok mnie. Tak jak kiedyś, jeszcze w szkole, zanim pojawiły się prace, ambicje, Ja'ary, które odsunęły nas od siebie. Przyznaję, nie mieli wyboru. To ja tu byłem pisarzem, ja pociągałem za niewidoczne sznurki, wprawiałem ich w ruch, decydowałem, jak wyglądają, jak się czują, kiedy mówią, a kiedy wolą się ugryźć w język. Sobie przydzielałem najlepsze, najbłyskotliwsze kwestie, żeby zrekompensować fakt, że podczas naszych spotkań tak naprawdę głównie milczałem, snułem swoje czasem gorzkie, czasem wielkoduszne rozważania. Teraz zaś te wszystkie rozważania, uwolnione z więzów, tańczyły taniec wolności na olbrzymiej połaci pustego ekranu.

Stopniowo wrócił mi smak. Hummus znowu smakował jak hummus, a tahina jak tahina. Całkiem przestał wracać zły sen o goniącej mnie fali. Śniłem za to o literach i przecinkach, i kropkach mieniących się na ścianach, i przestałem podchodzić do parapetu, bo wiedziałem, że muszę żyć, że muszę przeżyć jeszcze przynajmniej kilka miesięcy, skończyć tę książkę, żeby wzór układający się z naszych życzeń stał się piękny i harmonijny jak ogrody bahaitów.

A potem się zobaczy.

Na początku kwietnia, trzy miesiące przed finałem mistrzostw świata, skończyłem.

Jako że czas naglił, dałem pierwszą wersję do przeczytania tylko dwóm osobom: prowadzącemu warsztaty i tej nieśmiałej dziewczynie.

Prowadzący zgłosił dwie zasadnicze uwagi.

Pierwsza wprawiła mnie w przygnębienie, bo musiałem przyznać, że jest słuszna: choć starannie szlifowałem swój hebrajski, choć bardzo go dopracowywałem, starając się wyrwać z korzeniami to, co zasiali we mnie rodzice, i tak zostało sporo fragmentów, w których pobrzmiwały pozostałości angielskiej składni. Prowadzący zaznaczył dwadzieścia dwa takie miejsca i doradził, żebym dał tekst redaktorowi, który znajdzie pozostałe. Przejrzawszy te poprawki, zdałem sobie sprawę, że nie mam innego wyjścia.

Natomiast całkowicie nie zgadzałem się z drugą uwagą, że narrator zostawia zbyt dużo białych plam, co jest niepokojące zwłaszcza w odniesieniu do szerszego kontekstu, w

którym rozgrywają się opisywane wydarzenia. „Pisze pan o tym, jak zmieniali się pańscy bohaterowie, lecz niemal całkowicie pomija pan dramatyczne wydarzenia zachodzące w tym samym czasie i w tym samym miejscu, w których umiejscowił pan akcję. Niemożliwe, żeby nic z zewnętrznego świata nie przesączyło się do świata tej czwórki przyjaciół!” Ale tak to właśnie jest z przyjaciółmi – argumentowałam (choć nie w bezpośredniej rozmowie – prowadzący wyjechał na Festiwal Pisarzy do Sydney). – Przyjaciele są jak oaza pozwalająca zapomnieć o istnieniu pustyni. Albo jak tratwa na wzburzonym morzu. Albo...

Tylko że – przerwał mi w tym momencie naszej wyimaginowanej rozmowy – „harmonia”, którą stale próbuje osiągnąć narrator, cała ta „bahaistyczna symetria”... Zastanawiam się, biorąc pod uwagę brak harmonii, w którym musimy żyć, czy taki wysiłek nie jest skazany na porażkę.

Skazany na porażkę? – To mnie już solidnie wkurwiło. – Dlaczego?! Czyżby dlatego, że w pana książkach, których zresztą nie lubię, każdy najdrobniejszy moment osobisty musi zaraz symbolizować jakąś wielką narodową sprawę? W moim pisaniu nie chodzi o naród. Piszę po to, żeby spełnić życzenie Ofira i przed Pucharem Świata dokończyć wyłaniający się wzór. Nic więcej. I proszę nie kiwać głową z taką wszechwiedzącą, proroczą pobłażliwością, dobrze?

Tym, co najbardziej niepokoiło nieśmiałą dziewczynę, była postać Ja'ary.

– Nie rozumiem, co ona takiego ma w sobie – przyznała. – Czemu twoi bohaterowie mają taką obsesję na jej punkcie?

Nie odpowiedziałem, jak gdyby przyznając się do winy. Poza warsztatami dziewczyna nie była taka nieśmiała. Pomyślałem, że może to jedna z tych osób, które w grupie zapadają się w siebie. Podczas warsztatów ramiona miała zawsze skulone, a teraz, w kawiarni, nie. Podczas warsztatów zawsze spuszczała wzrok, zwłaszcza gdy prowadzący pytał, kto chce przeczytać napisany przez siebie tekst, a teraz jej oczy błyszczały, gdy patrzyła wprost na mnie. Na warsztatach prawie się nie odzywała, a teraz, pochylona ku mnie, mówiła, żywo gestykułując.

– W tej Ja'arze jest coś irytującego – powiedziała (jej długie palce drapały powietrze). – No dobrze (wnętrza dłoni skierowane ku górze w geście „nie da się zaprzeczyć”), jest piękna (dłonie nakreśliły w powietrzu obraz kaskady włosów), ale co z tego? Osobiście miałam poczucie (przyłożyła dłoń do piersi), że ci faceci zasługują na więcej.

– Może i tak – odparłem, dodając w duchu: To, że kobiety nie lubią Ja'ary, to nic nowego. Ona ma jakąś seksualną aurę, kobiety zwyczajnie tego nie wyczuwają, która sprawia, że mężczyźni czują się przy niej bardzo silni, a ona wtedy, niespodziewanie, przyszpila ich jakimś zdaniem, wprawiającym ich lędźwie w drżenie. Jest w niej taka

wewnętrzna sprzeczność. Poza tym ma w sobie coś... Miała w sobie coś...

– W każdym razie (zdecydowanym ruchem położyła obie ręce na stosie kartek) dziękuję, że dałeś mi to do przeczytania. Naprawdę bardzo mi miło, że zadzwoniłeś akurat do mnie.

Nie uśmiechnęła się przy słowie „miło”. W ogóle podczas całej rozmowy nie było w jej głosie krzty pretensjonalności. Z jej gestów przebijał wewnętrzny spokój świadczący o tym, że wie o sobie coś bardzo podstawowego, dla czego nie musi znajdować potwierdzenia.

– A ty? – spytałem po chwili niezręcznego milczenia. – Co z twoim pisaniem?

– Piszę zawsze w tym zeszycie (dłoń wyjmuję zeszyt z torby i kładzie na stole), ale to takie osobiste rzeczy (obie dłonie poruszają się okrężnymi ruchami jak po powierzchni szklanej kuli albo jak ręce garncarza przy pracy), że... Nie sądzę, żeby to kogoś zainteresowało.

– Ja jestem ciekaw. I bardzo chętnie bym to przeczytał. – Przypomniałem sobie jedyny fragment, który odczytała na głos na warsztatach. Był to pozbawiony cech religijnych opis wigilii Jom Kipur w synagodze w Jerozolimie, a z tych słów biło coś tak przejrzystego i bezpretensjonalnego, że nawet prowadzący nie miał żadnych krytycznych uwag.

– Chciałbyś to przeczytać? Nie, nie (mały uśmiech, obszerny gest odmowy), dziękuję. Oczywiście, że nie, jestem konserwatywną dziewczyną. Nie robię takich rzeczy na pierwszej randce. Poza tym czasem większą siłę ma zachowanie czegoś w sekrecie, prawda?

Ta nieśmiała dziewczyna podobała mi się coraz bardziej. W kontraście między jej wycofaniem podczas warsztatów a otwartością w moim towarzystwie było coś prowokującego. Nie próbowała mnie olśnić ani oczarować, co było olśniewające i czarujące. Tak olśniewające, że nie zapamiętałem ani jednego szczegółu z kawiarni, w której siedzieliśmy. Nie pamiętałem menu ani kelnerki, ani co zamówiliśmy. Tylko te urocze ramiona i ręce, które wciąż do mnie mówiły.

Wreszcie, gdy umilkła i złożyła swe wymowne, dłonie na stoliku, zapragnąłem pogłaskać ją po przedramieniu, od łokcia do nadgarstka. Od czasu pierwszej rozmowy z Ja'arą w uniwersyteckiej stołówce cztery lata temu nie czułem tak wielkiej ochoty, żeby dotknąć dziewczyny. Żeby ją poznać. Rozwikłać jej sprzeczności.

Ale się powstrzymałem. Nie podniosłem koronkowej rękawicy, którą mi rzuciła, nazywając zwykłe spotkanie pierwszą randką, i nie zaprosiłem jej na kolejną.

Do finału Pucharu Świata zostały dwa miesiące i nie mogłem pozwolić, żeby wciągnął mnie ten wir zwany miłością.

Przyobiecałem sobie, że nazajutrz po finałowym meczu do niej zadzwonię. Już w drzwiach kawiarni pocałowałem ją na pożegnanie. Długi pocałunek w policzek tuż koło ust.

– Powodzenia z książką – rzekła, składając ręce w daszek.

– Dzięki. – Zrobiłem ten sam gest.

Odeszła w stronę parkingu, a ja nagle chciałem pobiec za nią, chwycić ją za bluzkę i obiecać, że nigdy mnie nie straci.

Ale w tym momencie pragnienie dokończenia cudownie symetrycznego obrazu – jakkolwiek podejrzenie to brzmi – okazało się silniejsze.

Myślałem, że dwa miesiące to dość czasu na wydanie książki: zredagowanie, złożenie, zaprojektowanie okładki. Ale przy pierwszych rozmowach z wydawcami pojąłem, że tryb ich pracy jest nieco odmienny niż w drukarni Efroni.

– Proszę przysłać tekst, w ciągu roku udzielimy odpowiedzi – oznajmił pierwszy wydawca, z którym się skontaktowałem.

– Odmowa w ciągu dziewięciu miesięcy, akceptacja do dwóch lat – powiedziano mi w drugim wydawnictwie.

– O czym jest książka? – spytała redaktor naczelna w trzecim.

– O grupie chłopaków, przyjaciół, którzy...

– O mężczyznach? Mężczyźni nie są teraz w modzie, ale proszę przysłać, nigdy nic nie wiadomo.

Do rozpoczęcia mistrzostw zostały dwa tygodnie, do finału ledwie półtora miesiąca.

Z ciężkim sercem zrobiłem wydruk z komputera, wsadziłem do reklamówki i pojechałem do Hajfy.

Jechałem bardzo, bardzo powoli. Uważałem, że byłoby głupotą zabić się w wypadku, kiedy byłem już o krok od spełnienia życzenia Ofira. Jadąc wolno, dostrzega się różne odcienie zieleni pól między Netanją a Haderą, stada ptaków krążące nad stawami rybnymi kibucu Maagan Michael, nowe osiedle wyrastające koło kibucu Newę Jam, z aquaparkiem, w którym są najbardziej niebieskie zjeżdżalnie w całym kraju. Gdy dajesz się ponieść wspomnieniom związanym z tą drogą – oficjalnie zwaną Drogą Krajową nr 2, lecz w twoim życiu jest to zdecydowanie nr 1 – przypominasz sobie, jak jeździłeś nią w przeszłości. Raz na przykład, gdy Churchill pomagał ci przewieźć rzeczy przy przeprowadzce do Tel Awiwu: jechał za tobą swoim garbusem i kawałek za centrum sportu imienia Wingate'a zadzwonił na twoją komórkę, że chce mu się pić, może masz coś do picia w samochodzie, a ty powiedziałaś, że masz butelkę mineralnej, ale nie chcesz się teraz zatrzymywać, więc zrównał się z tobą, rzucił ci butelkę przez okno, on wypił parę łyków i odrzucił ci butelkę z powrotem. A w sobotnie noce, jeżdżąc z Hajfy do Tel Awiwu, słuchałeś wojskowej stacji radiowej i twoje serce drżało z nadziei, że zamacha na ciebie prześliczna żołnierka, a ty się zatrzymasz, żeby ją podwieźć, i „momentalnie się zakochasz”, jak w piosence Erana Cura. Kiedyś, gdy sam byłeś w wojsku, jakiś człowiek podwiózł cię do Gelilot. Oczy mu się zamykały i w końcu usnął koło zjazdu na Chawacelet, a ty złapałaś kierownicę i uratowałaś wam obu życie. Dziękował ci wylewnie i wziął od ciebie adres, żeby wysłać ci zaproszenie na darmowy obiad w jego restauracji w Aszdodzie, czego nie zrobił do dziś. Jest też to ogromne krzesło, krzesło Boga na urwisku w Atlicie. Raz, gdy je mijaliście, Ja'ara spytała, czy wiesz, kto je tam umieścił i dlaczego, a ty z zakłopotaniem przyznałaś, że nie wiesz, wtedy ona zaproponowała, żeby w drodze powrotnej wdrapać się tam i sprawdzić, i jeśli to nie jest pomnik na cześć poległych ani nic równie smutnego, można by się tam pokochać, bo niecodzienne miejsca ją podniecają, ale kiedy wracaliście, zasnęła, a jej policzki były takie miękkie, że nie miałaś serca jej budzić. I jeszcze to miejsce, gdzie droga wyłania się spomiędzy dwóch wapiennych wzgórz i można zobaczyć morze – nie wąski paseczek, tylko całą połąć błękitu – to jest miejsce, gdzie zawsze chciałaś zapomnieć o planach, celach i po prostu zjechać na pobocze, rozebrać się i rzucić w fale. Przypominasz sobie, że nawet w drodze na pogrzeb Ilany Ofir zerkał w lewo i w końcu powiedział: „Popatrzcie, jaki morze ma dzisiaj kolor”, ale się nie zatrzymałaś, bo Maria tak strasznie szlochała, a zresztą kto idzie na plażę w drodze na pogrzeb? Teraz też nie zwalniasz, tylko jedziesz przed siebie, bo musisz, no musisz porozmawiać z ojcem, a on w niedzielę kończy pracę o piątej, gdyż jego zdaniem po sobotniej przerwie maszyny drukarskie są bardziej podatne na awarię, czyli masz niecałą godzinę. Jeśli się spóźnisz, będziesz miał jeden dzień w plecy. A każdy dzień jest ważny, bo Puchar Świata tuż-tuż.

Wszedłszy do drukarni, z przyzwyczajenia rozejrzałem się za matką. Przez dwadzieścia pięć lat pracowała u boku męża, zajmując się przygotowaniem materiałów do druku: kliszami, montażem, blachami. Kiedy interesy szły dobrze, nadzorowała pracę czterech osób, ale ostatnio, gdy cały proces został skomputeryzowany, ona i jej czworo podwładnych okazali się zbędni. Ojciec przez jakiś czas próbował nie przyjmować zmian do wiadomości i zwlekał z zakupem nowoczesnego sprzętu (może przeczuwał, do czego to doprowadzi?), ale gdy starzy klienci zagrozili, że pójdą do konkurencji, drukarnia Efroni również wkroczyła w nową, mniej romantyczną epokę druku, aż któregoś dnia o szóstej po południu, o stałej od niepamiętnych czasów porze fajrantu, matka wstała i zaczęła wkładać do kartonowego pudła optymistyczne tabliczki, które zawsze stały na jej biurku:

ZJEDZ CO DZIEŃ JABŁUSZKO – DBAJ O SWE SERDUSZKO

UŚMIECH – KRZYWIZNA, KTÓRA WSZYSTKO WYPROSTUJE

UŚMIECHNIJ SIĘ DO ŚWIATA, A ON UŚMIECHNIE SIĘ DO CIEBIE

UFAMY BOGU. WSZYSCY INNI NIECH PŁACĄ GOTÓWKĄ

Ojciec obserwował ją w milczeniu. Gdy zdjęła z półki książki i czasopisma poświęcone projektowaniu graficznemu i je też włożyła do kartonu, nie przerwał milczenia, tylko uniósł brew. Gdy zaczęła zbierać kolekcję zdjęć księżnej Diany (z Harrym, z Williamem i z oboma naraz), nie wytrzymał i odkaslnął.

Zwróciła się w jego stronę. Na chwilę ich spojrzenia się spotkały, potem oboje z zakłopotaniem odwrócili wzrok.

– I już? – spytał.

– I już – odpowiedziała. Nie było w jej głosie agresji ani złości, tylko jakaś determinacja, która nie zostawia miejsca na dyskusję. I już – te dwa słowa zamknęły dwadzieścia pięć lat wspólnej pracy twórczej, wspólnych porażek i sukcesów. Nić, która łączyła rodziców, została przecięta. Pękło to spoiwo, które kazało im rozmawiać w drukarni, mimo że w domu nie zamieniali z sobą ani słowa, spoiwo, które zmusiło ich, by wspólnie stawili czoło życiu, gdy nie urodziła się moja siostrzyczka. Które powstrzymywało ich przed wyjazdem na wakacje na dłużej niż tydzień, bo „dużo łatwiej stracić klienta, niż zyskać”.

Gdy mama przestała pracować w drukarni, postanowiła nagle zrealizować wszystkie marzenia naraz.

Odezwała się do przyjaciółek z uczelni, z którymi dawno straciła kontakt, bo pozakładały rodziny. Zaczęły się spotykać raz w tygodniu na śniadania, które trwały do wieczora, zapisały się na wykłady o Nowej Fali w kinie francuskim, pojechały na

wycieczkę śladami dziedzictwa Maroka, choć żadna nie miała marokańskich korzeni. Ośmielona przez nowe-stare przyjaciółki matka ufarbowała się na blond i zaczęła się modniej ubierać, i wyglądała piękniej niż kiedykolwiek za mojej pamięci. Więcej się uśmiechała i więcej płakała. Poszła na kurs dla przewodników organizowany przez ministerstwo turystyki. Ojciec dał wyraz swemu sceptycyzmowi, mówiąc, że żaden turysta nie zechce za przewodniczkę starej kobiety, skoro tyle jest młodych.

Okazało się jednak, że większość wycieczek zjeżdżających do naszego miasta to grupy starszych osób, które czuły się swobodniej przy osobie w ich wieku, doskonale mówiącej po angielsku i promiennie uśmiechniętej. Tak oto przed upływem roku moja matka została gwiazdą lokalnej turystyki. Dzień w dzień można ją było ujrzeć, jak maszeruje w swoich znoszonych zielonych sandałach, prowadząc stadko zachwyconych ludzi w czapczkach i z aparatami. Trasa była zawsze ta sama: start na ulicy Jefe Nof, ogrody przy świątyni bahaistycznej, potem w dół do Kolonii Niemieckiej i do portu, a stamtąd kolejką linową z powrotem do Stella Maris. Ale mama dodała do tej stałej marszruty jeden, dodatkowy punkt programu: ulica Niepodległości 49. Opowiadała o znajdującym się tu składzie broni używanym przez Haganę i dorzucała garść wojennych historii, których przybysze ze spokojniejszych krajów słuchali z dreszczykiem emocji. Nieoficjalnym powodem postoju w tym miejscu był zaś sąsiedni budynek, przy ulicy Niepodległości 47, drukarnia Efroni. Dzięki temu mama niemal co dzień ustawiała się plecami do miejsca, gdzie pracowała przez dwadzieścia pięć lat, podgłaśniała mikrofonik przyczepiony do bluzki i zaczynała opowieść o składzie broni.

Dobrze wiedziała, że właściciel drukarni może ją doskonale widzieć zza swego biurka, więc dbała, żeby równie dobrze ją słyszał. Mówiła głośno, niemal krzyczała. Czasem, jak była w nastroju, na koniec dodawała jako ciekawostkę, że w budynku sąsiadującym ze składem broni mieści się jedna z pierwszych drukarni w Hajfie, a sam budynek należy do najcenniejszych zabytków architektonicznych miasta.

– Pomyśl, kochanie – powiedziała raz do ojca ze śmiechem podczas obiadu rodzinnego – że w Japonii jest już kilkaset osób, które mają w swoich albumach fotografię drukarni Efroni.

Ojciec nie widział w tym nic zabawnego. Uważał, że takie publiczne rozprowadanie o drukarni ma na celu ośmieszenie go i przypomnienie mu w perfidnie okrutny sposób, że zarabia teraz mniej od żony. Co dzień przysięgał sobie, że w chwili gdy ujrzy moją mamę nadjeżdżającą w autobusie wypełnionym turystami, wstanie i pójdzie na zaplecze, skąd nie widać ulicy, ale codziennie pozostawał na miejscu, jak przykuty do krzesła, i obserwował szczupłe plecy swojej żony. Słuchał, jak mówi. Jak pięknie i potoczyście. Jaka jest pełna życia, mądra, cierpliwa, jak chętnie odpowiada na pytania turystów.

– Trzeba przyznać, że mama jest doskonałą przewodniczką – stwierdził kiedyś w piątkowy wieczór, zwracając się do mnie, gdy matka poszła już spać. Ale jej samej nigdy nie potrafił tego powiedzieć.

Ona zaś nigdy, odkąd odeszła z pracy, nie zaszła do drukarni, żeby się z nim przywitać. Ani razu.

On z kolei brał na jej miejsce młode graficzki, sadzał przy jej biurku w nadziei, że kiedyś matka wejdzie i zzielenieje z zazdrości. Tylko że żadna z tych dziewczyn nie wytrzymała dłużej niż miesiąc. Płacił im marne grosze i regularnie je obsobaczał, narzekał, że nie wiedzą, co to etos pracy, że nie mają serca ani talentu do tego zawodu, aż w końcu każda kolejna po prostu wstawiała i wychodziła – co nieodmiennie go zdumiewało, bo „kiedyś ludzie umieli docenić to, że mają stałą pracę”.

Gdy w ciągu roku uciekły od niego cztery graficzki, doszedł do wniosku, że właściwie po co mu grafik, skoro z prostymi rzeczami poradzi sobie sam, a jak będzie coś trudniejszego, to od czego jest outsourcing.

To właśnie mi powiedział, gdy spytałem, czemu krzesło mamy jest puste.

Po krótkiej pauzie, podczas której omiótł mnie wzrokiem, zatrzymując się na pliku papierów pod pachą, spytał, czy ktoś taki jak ja, kto studiował leżenie na zielonej trawce, w ogóle wie, co to jest outsourcing.

Rzuciłem mu hebrajski odpowiednik słowa, który znałem z dziesiątków swoich tłumaczeń, i udałem, że nie dostrzegam pogardy w jego tonie (Nie przyjechałeś tu, żeby się z nim kłócić – mówiłem sobie).

– Czemu zawdzięczam ten zaszczyt? – zapytał, przeglądając czeki na biurku. Zawsze tak robił, gdy był zakłopotany: jego duże dłonie, te same, które opatuliły mnie w ręcznik tamtego deszczowego dnia, przeszukiwały papiery i rozprostowywały zagięcia.

– Mam prośbę. – Usiadłem.

– Tak właśnie sądziłem od początku. – Podpisał jeden z czeków.

– Przecież nie przyjeżdżałbyś tu po to, żeby spytać, co u ojca.

– No a co u ciebie?

Zerknął na mnie zaskoczony i zaraz wrócił do przeglądania czeków.

– Interesy idą nie najlepiej, właściwie całkiem kiepsko. – (Gdy ojca pytano, co u niego słyhać, zawsze mówił, jak idą interesy. A interesy nigdy nie szły dobrze. Nie pamiętam, żeby choć raz był zadowolony albo wesoły. Kiedyś zagadnąłem o to matkę i usłyszałem: „Twój ojciec ma najróżniejsze zdolności, ale nie posiada zdolności bycia szczęśliwym”). – Wszystko przez te cholerne zamachy – ciągnął. – Ludzie nie są w nastroju do wydawania pieniędzy. I okolica robi się coraz gorsza. Raz otwieram rano drzwi, a w progu leży ćpun. Powiedz, czy ćpun nie powinien być chudy? Tego ledwo podniosło trzech policjantów.

– To może przenieś się wyżej, na zboczce? – podpowiedziałem jak zawsze.

– Może powinienem – odrzekł jak zawsze. – Tylko że najpierw musiałbym znaleźć kupca na to miejsce. Zasada numer jeden, synu, brzmi: „Nigdy nie kupuj za pieniądze, których nie masz!” – Pogroził mi palcem.

Poczułem się przywołany do porządku. Ojciec tymczasem podpisał kolejny czek. Wszystkie maszyny drukarskie odpoczywały, tylko roland z 72 roku nie próżnował. Była to pierwsza maszyna, którą ojciec kupił, zakładając drukarnię. Nigdy nie pozwalał nikomu do niej podejść. Na koniec każdego dnia sam ją smarował, czyścił i mył. Parę razy podsłuchałem, jak do niej mówi.

– A powiedz, tato – postanowiłem pokierować rozmową – co się dzieje z tym pisarzem, Mironem-Miszbergiem?

– Czemu pytasz? – Ojciec spojrzał podejrzliwie znad okularów.

– Tak sobie. Akurat mi się przypomniał.

– Oszalał, biedny drań. Zadzwoiłem do niego przed kilkoma tygodniami, bo nie przyniósł nowej książki jak co roku, więc chciałem się dowiedzieć, co u niego. Odebrała jego żona. Powiedziała, że zamknęli go w psychiatryku w Tirat Karmel. Sama o to zadbała. Powiedziała, że nie było innego wyjścia. Kupił akwarium wielkości szafy i postanowił w nim mieszkać. Postawił je w dużym pokoju, wszedł do środka i przez dwa miesiące jadł w nim, spał, pisał, oglądał z niego telewizję. Wyobrażasz sobie? Wreszcie nie wytrzymała i zadzwoniła, żeby go zabrali do wariatkowa.

– Nieźle.

– Powiedziała, że to wskutek tego, przez co przeszedł w obozie koncentracyjnym. Że nigdy się od tego nie uwolnił. Ale ja myślę, że każdy, kto cały dzień siedzi w domu i nic, tylko pisze, nie chodzi do pracy, nie spotyka się ze znajomymi, musi w końcu zwariować.

Pokiwałem głową z wahaniem i przypomniałem sobie słowa Ofira o otchłani strachu, która czeka na każdego twórcę. Postawiłem stopę na pliku kartek pod krzesłem i przycisnąłem mocno do podłogi, w nadziei, że go spłaszczę. Całkiem spłaszczę, aż zniknie.

– No to... O co chciałeś mnie poprosić? – Ojciec odsunął czeki na bok i zabrał się do stosiku rachunków.

Bohater amerykańskiego serialu powiedziałby pewnie: „Nieważne”, co dałoby gorzko-słodki posmak straconej okazji, a także pozwoliłoby jeszcze wydłużyć fabułę o kolejny odcinek, może nawet o cały sezon przy odpowiednio wysokiej oglądalności. Tyle że ja musiałem pamiętać o Pucharze Świata.

– Tato, napisałem książkę. – Podniosłem z ziemi wydruk i położyłem na biurku.

– I... Chcesz, żebym ci ją wydrukował? – spytał, nie podnosząc wzroku znad

rachunków.

– Tak. Jeśli to nie byłby problem.

– Nie, to nie jest problem. – Jego głos brzmiał podejrzanie rzeczowo.

– Rozmawiałem z wydawcami w Tel Awiwie, ale oni wszyscy pracują strasznie powoli.

– A mogę spytać, czemu ci się tak spieszy?

– Muszę wydać tę książkę za półtora miesiąca. Po prostu muszę.

– Dooooobrze – ojciec rozciągnął to krótkie słowo do granic możliwości. Po czym wyjął książkę zamówień. – Ile masz stron?

– W tej chwili sto dziewięćdziesiąt dwie.

– Z półtorawierszową interlinią?

– Tak jest.

– Tekst jest zredagowany?

– Nie.

– Zaskakujesz mnie, synu. Przecież pracowałeś tu całe lato. Wiesz, że nie mogę zacząć pracy, póki tekst nie będzie po redakcji. Daj go swojemu przyjacielowi, temu, który się ożenił z Ja'arą. Na pewno ma teraz mnóstwo czasu, odkąd go wylali z prokuratury.

– Nie wylali, tylko sam odszedł.

– Tak czy owak, poproś go o to. W ten sposób zaoszczędzisz trochę pieniędzy. Ile chcesz egzemplarzy?

– Cztery.

– Żartujesz? Jak to: cztery? Nie chcesz, żeby książka trafiła do księgarń?

– Nie całkiem.

– To po co... Nieważne. Słuchaj, nie moja sprawa. Ale pamiętaj, że najmniejszy nakład, jaki mogę ci wydrukować, to taki, w jakim drukujemy poezję, trzysta egzemplarzy. A rozumiem, że twoja książka to nie tomik wierszy, prawda?

– Nie, nie tomik wierszy.

– Zresztą żadna różnica. To twoja książka i z pozostałymi egzemplarzami zrobisz, co będziesz chciał. Jeśli o mnie chodzi, możesz je wyrzucić do śmieci.

– Dobrze.

– Na kiedy ma być? Za półtora miesiąca? Trochę krótko. W przyszłym tygodniu

zaczyna się sezon na podręczniki. Będziemy tu mieli dom wariatów.

Zapisał w notesie kilka cyfr, mrużąc pod nosem, potem wyjął kalkulator i jeszcze raz sprawdził wyliczenia. (Zawsze podliczał wszystko dwa razy, na wszelki wypadek. I zawsze to kalkulator służył do potwierdzenia bardziej niezawodnej metody ręcznej).

Roland wciąż pracował. Wdychałem ciężką, słodką woń farby drukarskiej. Jako dziecko wstydzilem się, że wszystkie moje koszule przesiąkły tym zapachem, ale teraz poczułem, że mi go brakowało. Przypomniałem sobie naszą wycieczkę całą rodziną za granicę, taką sztampową „Europę w dziesięć dni”. Szliśmy ulicą jakiegoś dużego miasta (Monachium? Wiednia?), gdy nagle ojciec ruszył biegiem w przeciwną stronę. Jak później tłumaczył, zdawało mu się, że słyszy pracującą maszynę drukarską, więc po prostu musiał się dowiedzieć, czy ten stukot, który usłyszał, to roland czy heidelberg. „Czyś ty oszalał?”, spytała go matka, gdy wrócił. Ale nie odpowiedział. Nie odzywali się do siebie aż do powrotu do hotelu.

– Bardzo się cieszę, dziękuję – bąknąłem pod nosem, nie bardzo rozumiejąc jego odpowiedź. Spodziewałem się krzyków rozpacz, rwania włosów z głowy. A ojciec, rzecz dziwna, wydawał się nawet odrobinę zadowolony.

– Ja też chcę cię o coś poprosić. – Pochylił się do przodu na swoim krześle.

A, więc o to chodzi – w duchu odetchnąłem z ulgą – coś za coś. Wziął pomarańczową samoprzylepną karteczkę i zapisał na niej numer telefonu.

– Chcę, żebyś zadzwonił do Janke’le Richtera. Pamiętasz? Siedział koło nas na weselu Ja’ary. Chcę, żebyś poprosił go o radę, gdzie najlepiej się przekwalifikować żeby zacząć pracę w branży hi-tech. I proszę cię, żebyś się zapisał na taki kurs.

Posłusznie kiwnąłem głową. Mój ojciec to człowiek interesu, spodziewałem się, że poprosi o coś takiego w zamian za wydrukowanie mojej książki. Wziąłem karteczkę z telefonem i miałem nadzieję, że z powodu zastoju w branży, nawet jeśli są takie kursy, to nieprędko się zaczną.

Wstałem.

Wziął ode mnie plik kartek, zważył go w dłoniach.

– Brawo, synu. – Niespodziewanie poklepał mnie po plecach. – Wcale nie tak łatwo jest napisać książkę.

Pierwszy raz od mojego wyprowadzenia się z domu miał dla mnie jakieś dobre słowo. A w jego oczach po raz pierwszy ujrzałem dumę, której źródłem było coś innego niż dobry interes.

Mam trzydzieści dwa lata. Przez dziesięć ostatnich lat za wszelką cenę próbowałem być inny niż on. Wyprowadziłem się aż do Tel Awiwu, żeby, broń Boże, nie odziedziczyć drukarni i nie zostać kopia ojca: pielęgnującego podejrzliwość, ascetyzm i jawną pogardę

dla wszystkiego, co nie przynosi zysku.

A mimo to, słysząc z jego ust ten powściągliwy komplement, poczułem wyjątkową satysfakcję.

Wcale nie tak łatwo jest napisać książkę – powtarzałem sobie jego słowa, jadąc ulicą Freuda ku morzu. Wcale nie tak łatwo, a ja to zrobiłem. Posunąłem się. Wydostałem się z zagrody i galopowałem naprzód przez dwa miesiące. Nie zabrakło mi tlenu. To prawda, że ze względu na Ofira. I ze względu na wzór układający się z naszych życzeń. Ale jeśli udało mi się raz, to znaczy, że potrafię zrobić to ponownie. Umiem zerwać kajdany, którymi sam dla siebie jestem. Umiem się wyrwać z bagna swojego pesymizmu. Ze sceptycyzmu i ograniczeń. Mogę spisać kolejne życzenia, na mistrzostwa w 2006 roku, i tym razem się spełnią. Mogę się zmienić. Odnaleźć siebie. Odnaleźć cel. Mogę pokochać inną kobietę, niekonieczne Ja'arę. Mogę – teraz, gdy mam przed sobą pełne morze, lśniące w słońcu – mogę nawet dalej przyjaźnić się z przyjaciółmi, a nie tylko zamrozić ich w czasie za pomocą swojej książki. Tak, ich życie wkrótce będzie całkiem inne od mojego, lecz to nie znaczy, że ta książka musi koniecznie stać się requiem.

Gdy jedziesz szybko Drogą Krajową nr 2, w twoim życiu drogą nr 1, krajobraz za oknem umyka w tył i nie dostrzegasz ani rozmaitych odcieni zieleni na polach, ani stad ptaków krążących nad stawami rybnymi kibucu Maagan Michael, ani Dżisr a-Zarka, zapyziałej, smętnej wioski, na wysokości której ktoś parę miesięcy temu zrzucił z wiaduktu na tę drogę blok betonu, ale nie pamiętasz o tym bloku i właściwie nie pamiętasz nic z przeszłości, bo twoje myśli już się od niej uwolniły i gnają ufnie ku temu, co jeszcze się nie zdarzyło, co dopiero się zdarzy, gdzieś między Zichron Ja'akow a Haderą całkiem zapominasz o drodze, zapominasz, że jedziesz samochodem, i myślisz tylko o tym, że nawet jeśli książka ma wyjść tylko w czterech egzemplarzach, i tak warto by wprowadzić kilka zmian, zamaskować kilka rzeczy: pozmienić nazwy miejsc, imiona i opisy, żeby nie ranić nikogo bez potrzeby, można by też wstawić pasujące fragmenty z rozprawy filozoficznej, co ocali ją od całkowitego unicestwienia. Drogowskaz do Ikei władczo góruje nad okolicą nieopodal południowego zjazdu do Netanji, ale tego też nie widzisz, bo w tej właśnie chwili raptem uświadamiasz sobie, że oprócz niezbędnych zmian, dodatków i weryfikacji faktów (na przykład: jakie drużyny grały w finałach w poszczególnych latach) książce brakuje odpowiedniego zakończenia, a gdy dojeżdżasz do Herclii, wymyślasz sobie dla zabawy rozmaite warianty. W jednym nieśmiała dziewczyna leży koło ciebie na ręczniku na plaży w Ga'asz. W innym jest rok 2022, siedzisz z przyjaciółmi na trybunach i oglądacie mecz Pucharu Świata, bo Izrael nareszcie został gospodarzem mistrzostw. Ale gdy mijasz zjazd na Kefar Szemarjahu, jedyna możliwa scena końcowa nagle wpada ci do głowy wraz z wiatrem przez otwarte okno. Zajeżdżasz do domu, włączasz komputer i piszesz:

Podczas wakacji pomiędzy gimnazjum a liceum umówiłem się z Churchillem, że po niego podjadę i wybierzemy się razem na Plażę Południową. Gdy skręciłem w jego ulicę, zobaczyłem z daleka, że nie jest sam. Razem z nim przed domem stało dwóch chłopaków ze szkoły, których znałem tylko z widzenia. Zawróciłem i odjechałem. Nie miałem ochoty iść na plażę całą grupą. Chciałem iść tylko z Churchillem i byłem wściekły, że bez pytania zaprosił jeszcze kogoś. Jakby przez to, że jestem mały, moje zdanie się nie liczyło. Jakby samo to, że on jest wielkim Churchillem, pozwalało mu robić, co tylko chce. No i co z tego, że tylko ja mam prawo jazdy? – pomyślałem. To jeszcze nie znaczy, że mam robić za kierowcę dla połowy szkoły.

Dwa skrzyżowania dalej zawróciłem i zajechałem przed jego dom. To by nie było uprzejme – pomyślałem. On tam stoi i na mnie czeka. A nie dalej jak wczoraj, kiedy biegliśmy przez całą drogę do szkoły, on zwalniał, żebym za nim nadążył.

Dwaj kolesie, których znałem z widzenia, wskoczyli na tylne siedzenie, jak tylko się zatrzymałem. Ten kudłaty miał za długie nogi i jego kolana wbijały mi się z tyłu w fotel jak dzidy.

Churchill usiadł na miejscu pasażera, wskazał na chłopaków i powiedział:

– Poznajcie się. To jest Ofir, to jest Amichaj. – A potem wskazał na mnie i dodał: – A to jest właśnie Juwal.

– Cześć – powiedziałem zimno, nie odwracając głowy. Ruszyłem. Za jedną z wycieraczek utkwiała gałązka sosny i choć wielokrotnie je włączałem, nie udało mi się jej zgubić.

– Więc, eee... Juwal – odezwał się ten z kręconymi włosami – może mógłbyś nam pomóc, bo nie możemy dojść, jak się powinno mówić: Hajfańczyk czy Hajfijczyk?

– Hajfańczyk.

– Widzisz? Mówiłem! – kudłaty nie posiadał się z radości i jeszcze mocniej wbił mi kolana w plecy.

– No to jak wytłumaczyć, że komentatorzy popołudniowych transmisji meczów w niedziele zawsze mówią „Hajfijczycy”? – burknął ten drugi.

– Nie „komentatorzy”, tylko „jeden komentator”, Zoher Bahalul – zaproponował ten z długimi nogami. – On jest Arabem.

– Może i jest, ale mówi po hebrajsku najlepiej ze wszystkich ludzi w tym programie.

– Gówno prawda.

– Wiecie co? Mam pomysł! Może zamiast jechać na plażę, pojedziemy do Akademii Języka Hebrajskiego i tam spytamy.

– Tak, Amichaj, genialny pomysł – naśmiewał się kudłaty.

– Akademia jest w Jerozolimie. Chcesz jechać do Jerozolimy?

– Nie, bo na pewno jest oddział w Hajfie. Akademia ma oddziały w całym kraju, prawda, Churchill?

– Ej!!! Czemu się nie zatrzymałeś?! – wrzasnął nagle Churchill.

– Co? Gdzie? Co się stało? – zapytałem przestraszony.

– Nie widziałeś? Machały na nas, żeby je zabrać! Noja Grin i ta jej przyjaciółka, jak jej tam, Eljana.

– Ale... Churchill... – wyjąkałem. – Nie mamy miejsca... W samochodzie nie starczy dla nich miejsca.

– No co ty, Juwal, co z tobą? – Palnął mnie w kark. – Dla takich dziewczyn jak Noja i Eljana zawsze się znajdzie miejsce! Mogą mi przecież siedzieć na kolanach.

Dwaj z tyłu wybuchnęli śmiechem, ale Churchill natychmiast ich zgasił.

– A wy czego rechoczenie? Nic w tym śmiesznego, to wszystko przez waszą głupią kłótnię. Gdyby nie wy, Juwal zabrałby Noję Grin.

Kudłaty i ten drugi zamilkli. Churchill też. Może sobie wyobrażał, co by się mogło stać, gdyby dosiadła się do nas Noja Grin...

A ja jechałem w stronę plaży i myślałem, że jak tylko zajadę na miejsce, muszę wyciągnąć tę gałązkę zza wycieraczki, i pomyślałem też, że jeśli teraz wdepnąłbym mocno gaz, wyskoczylibyśmy w powietrze i wylądowaliśmy w wodzie – to byłoby takie miękkie lądowanie. Jeszcze tylko dwie godziny, najwyżej dwie i pół z tymi pajacami – mówiłem sobie – a potem wracam do domu i nigdy, do końca życia nie będę ich już musiał oglądać.

Epilog od redaktora

W drodze powrotnej z punktu ksero, gdzie wydrukował ostateczną wersję swojej książki – uzupełnioną o scenę finałową i zapewne przeznaczoną do oddania następnego dnia redaktorowi – mój kochany przyjaciel Juwal Frid spowodował stłuczkę: lekko uderzył w tył samochodu stojącego na światłach na skrzyżowaniu ulic Einsteina i Brodetsky’ego. Nie wyrządził wielkich szkód: w jego samochodzie stłukł się reflektor, a w tym drugim lekko wgniół się zderzak.

Nie jest jasne, co nastąpiło później. Do dziś nie udało się ustalić dokładnej kolejności wydarzeń, które doprowadziły do tak tragicznych rezultatów.

Hipotetyczna rekonstrukcja jest następująca: pan Kfir Kliger, kierowca, który stał na światłach, wysiadł z pojazdu, podszedł do samochodu pana Juwala Frida, otworzył drzwiczki i wyciągnął go za kołnierz na zewnątrz. Wywiązała się krótka kłótnia i przepychanka.

Świadkowie oskarżenia zeznali, że pan Kliger był agresorem, a pan Frid przede wszystkim starał się odeprzeć atak. Natomiast świadkowie obrony utrzymują, że pan Frid ponosi taką samą odpowiedzialność za sprowokowanie kłótni i przepychanki.

Jako długoletni znajomy pana Frida znam jego powściągliwy i łagodny charakter, dlatego skłaniam się ku pierwszej wersji, aczkolwiek nie można zaprzeczyć że sam pan Frid w swojej książce przyznaje, iż w środku drzemie w nim chuligan, podobnie jak być może „w każdym mężczyźnie”.

Niezależnie od tego, jak było, po kilku minutach wzajemnych prowokacji pan Kliger wrócił do samochodu, wziął z niego pałkę policyjną i kilkakrotnie uderzył nią pana Frida w brzuch, a następnie w głowę.

Pan Frid nieprzytomny upadł na gorący asfalt, a wtedy sam pan Kliger przewiózł go do Centrum Medycznego Tel Awiw.

Dyżurujący tam wolontariusz organizacji pozarządowej Mamy Prawo zgodnie z rutynową procedurą wysłał panu Amichajowi Tanuriemu wiadomość na pager i dzięki temu w ciągu pół godziny my wszyscy – Amichaj, Ofir, Maria, Ja’ara i ja – byliśmy już na korytarzu oddziału intensywnej opieki medycznej.

Opieka nad pacjentem była bez zarzutu. To samo należy powiedzieć o tym, jak traktowano nas podczas długich godzin oczekiwania. Ktoś mógłby niewątpliwie twierdzić, że to obecność pana Tanuriego w szpitalu skłoniła personel do takiej troski i uprzejmości, lecz nie mogę się zgodzić z tak cynicznym poglądem. Wedle mojej wiedzy lekarz dyżurny, doktor Ejtan, nie jest osobą, która potrzebuje dodatkowej motywacji, by

okazywać pacjentom troskę. To młody człowiek – niemal nasz rówieśnik – którego szczerść i umiejętność zarażania innych pełnym ciepła podejściem są godne pochwały i dają mi wiarę w to, że być może mamy szczęście być świadkami nadejścia nowego pokolenia lekarzy.

Po ośmiogodzinnej walce doktor Ejtan wyszedł z sali operacyjnej, by powiedzieć nam i rodzicom pana Frida, że życiu pacjenta nie zagraża już niebezpieczeństwo, ale nie wiadomo, kiedy odzyska przytomność. Silny cios spowodował rozległy krwotok do mózgu, a w takich wypadkach, jak wytłumaczył nam doktor, trudno przewidzieć, kiedy powróci świadomość. Może to być kwestia tygodnia, dwóch lat, a może – i musimy być na to gotowi – chory nigdy nie odzyska przytomności.

– To młody człowiek, więc ma większe szanse – powiedział pan doktor i serdecznym gestem kładąc mi dłoń na ramieniu, obiecał, że będzie osobiście nadzorować przebieg leczenia. – Proszę z nim być – dodał. – Nie ma na to naukowych dowodów, ale jestem przekonany, że to ważne.

Ustaliliśmy harmonogram dyżurów, tak żeby przez całą dobę przynajmniej jedno z nas siedziało przy łóżku pana Frida i do niego mówiło.

Po dwóch tygodniach rozpoczął się proces z oskarżenia publicznego przeciwko Kfirowi Kligerowi. Zapoznawszy się z opinią psychiatry, sędziego Jeszajahu Nawi był zmuszony orzec, że pana Kliger nie można uznać za poczytalnego, w związku z tym nie może stanąć przed sądem i należy go skierować na leczenie do odpowiedniej placówki. Okazało się, że pan Kliger był wcześniej leczony psychiatrycznie, ponieważ cierpiał na ciężki zespół stresu pourazowego. Podczas pierwszej intifady przez dwa lata służył w zmilitaryzowanych oddziałach policji, a pod koniec służby, w następstwie incydentu, który miał miejsce podczas przeprowadzania przez jego oddział przeszukania w szpitalu położniczym w Nablusie, zapadł na nerwicę frontową. Zwolniono go ze służby ze względu na zły stan zdrowia i został poddany intensywnemu leczeniu farmakologicznemu, wspomaganemu opieką psychologa. Z dokumentów przekazanych sądowi wynika, że pan Kliger uciekł z oddziału zamkniętego w szpitalu psychiatrycznym, w którym umieściła go rodzina w obawie, że mógłby zrobić sobie krzywdę. Prosto ze szpitala udał się do kolegi z wojska, który udostępnił mu swój samochód. W samochodzie, przez czysty przypadek, kolega zostawił swoją pałkę. Pan Kliger pożyczył samochód, mając zamiar spotkać się z dziewczyną, przed którą ukrywał fakt swojej choroby. Umówił się z nią na godzinę trzynastą trzydzięci, a o trzynastej dwadzieścia pięć zatrzymał się na skrzyżowaniu i tam doszło do stłuczki spowodowanej przez pana Frida.

W podsumowaniu sędzia wygłosił następujące słowa:

– Z prawnego punktu widzenia nie mam innej możliwości, jak tylko wykluczyć

podejrzanego z procesu jako niepoczytalnego. Mimo wszystko należy jednak podkreślić, że nie jest to równoznaczne z pobłażaniem wobec czynu popełnionego przez oskarżonego, a także w ogóle wobec przemocy. W ciągu ostatnich kilku lat w naszym kraju dokonała się powolna, niedostrzegalna przemiana i czyn pana Kligera jest zaledwie wierzchołkiem góry lodowej, dzięki któremu wiemy o jej istnieniu. Może też jest to znak ostrzegawczy, że pokolenie, które...

Gdy z ust sędziego płynął mdły prawniczy żargon, moje myśli powędrowały do Juwala, który leżał teraz w szpitalu i cała ta rozprawa nie miała dla niego żadnego znaczenia. Myślałem o tym, jak bardzo chciał osiągnąć „bahaistyczną symetrię”, i o tym, że pewnie właśnie ona była celem, o którym mówił prowadzący na warsztatach pisarskich. Myślałem też, że może pragnienie osiągnięcia symetrii i harmonii na wzór ogrodów w świątyni bahaistycznej jest jak pragnienie izraelskiej drużyny, by zagrać w mistrzostwach świata: niestety, zawsze pozostaje tylko marzeniem.

– Nie tylko ludzie chorzy okazują innym pogardę. Grzech czai się u naszych drzwi... – grzmiał dalej sędzia zza swojego stołu, a ja przypomniałem sobie całkiem najostatniejszy występ Kameleonów. Po żelaznym zestawie bisów publiczność wołała o jeszcze jedną piosenkę na sam koniec. Po krótkiej kłótni (krótkiej i głośnej, zgodnie z dobrą tradycją grupy) usłyszeliśmy pierwsze dźwięki *Proroka*, Mało kto poza Ofirem rozpoznał wiersz autorstwa Jehudy Amichaja, ostatni utwór z albumu, na którym zespół nagrał piosenki do tekstów napisanych przez poetów.

Jestem prorokiem tego, co było, przepowiadam przeszłość
Z dłoni kobiety, którą kocham
Zapowiadam zimowe deszcze, gdy już spadły
Jestem specjalistą od zeszłorocznego śniegu.
Przywołuję z głębin to, co minęło
Prorokuję o wczoraj i przedwczoraj

Jestem prorokiem tego, co było
Prorokiem tego, co było

Ostatni wers wokalista śpiewał kilka razy, coraz ciszej, odsuwając się od mikrofonu, a potem zespół zszedł ze sceny. Publiczność przez chwilę milczała oniemiała, potem rozległy się pojedyncze oklaski.

– Dziwaczny pomysł, żeby ostatni występ kończyć akurat taką piosenką – rzekł Amichaj, kiedy wyszliśmy z klubu.

– Nic nie rozumiesz, człowieku! – zawołał Ofir. – To było genialne! „Prorok tego, co było”... Przecież dokładnie o to chodzi. To dokładnie oni. To o nich.

Mam nadzieję, że gdy Juwal otworzy oczy, nie będzie miał pretensji o umieszczenie w tym miejscu wiersza Jehudy Amichaja ani o inne drobne zmiany, które wprowadziłem.

Przez ostatnich kilka tygodni, odkąd dostałem do ręki ten tekst, pracowałem dzień i noc, żeby zdążyć ze zredagowaniem i z korektami i żeby książka była gotowa zgodnie z zamiarem Juwala na finał Pucharu Świata.

Jak wspominałem, lektura nie była dla mnie wcale łatwa. Wielokrotnie odkładałem kartki, żeby ochłonąć i powstrzymać się przed wprowadzaniem zbyt daleko idących zmian. (Czy moje zmiany naruszyłyby zamierzony sens tekstu? Nie wiem. Dlatego byłem szczególnie ostrożny).

W rzeczywistości Juwal Frid był jeszcze bardziej powściągliwy i milczący, niż to opisuje w książce. Większość wypowiedzi, które wkłada w swoje usta jako narrator, nigdy nie padła. Zazwyczaj najwięcej mówiły jego zadumane oczy. Czasem też jego uczynki: jak tej nocy, kiedy zajął się mną, gdy wypilem sok z kaktusa San Pedro. Albo jak wtedy, gdy pomagał Amichajowi założyć organizację.

A my się przyzwyczailiśmy do tej cichej powściągliwości, tak samo jak do konfabulacji Ofira i puzzli Amichaja. Sposób bycia Juwala był dla nas wygodny. Wygodne było to, że grupa, w której obecne są ziemia, wiatr i ogień, zawiera też pierwiastek, który opływa skały niczym woda, który nie wpada na osobliwe pomysły, nie zmienia co dzień swych właściwości i nie domaga się od nikogo bezwzględnej sprawiedliwości, lecz po prostu siedzi cicho i uśmiecha się tym swoim mądrym uśmiechem (to właśnie w tym uśmiechu, jak powiedziała mi raz Ja'ara, zakochują się dziewczyny).

Mam wrażenie, że przez tyle lat przyjaźni nigdy nie usłyszałem z ust Juwala więcej niż kilka zdań naraz, może więc dlatego ta książka, która jest jednym wielkim monologiem, wprawiła mnie w takie zaskoczenie. I zakłopotanie. I wściekłość.

I poczułem, że jest mi tak bliski. Bliższy niż kiedykolwiek.

– Wróc – proszę go, gdy dyżuruję przy jego łóżku (mówię na głos i nie obchodzi mnie, że inni pacjenci to słyszą). – Wróc, jesteś moim najlepszym przyjacielem w życiu. Nauczyłeś mnie, co to znaczy być przyjacielem. Bez ciebie boję się, że mogę zapomnieć. Znałeś mnie, jeszcze zanim zmieniłem się na gorsze. A za każdym razem, gdy jesteś przy mnie, czuję, że staję się odrobinę lepszy. Potrafisz zdjąć wszystkie moje maski, a w moich słowach słyszysz to, co za ich pomocą próbuję ukryć przed światem. Wróc, tak smutno bez ciebie. Ja'ara też jest smutna. Chcę, żebyś to wiedział. Z powodu tego, co ci się przydarzyło, zapadła na depresję ciążową. Ona cię kocha, wiesz o tym? I to jest teraz wielki problem. Bo jest tak smutna, że prawie przestała jeść. A przecież musi jeść i za siebie, i za naszą córeczkę. Dlatego wróc, stary, musisz wrócić. Ty jesteś spoiwem. W twojej książce jest takie miejsce, gdzie się zastanawiasz, co robiła nasza grupa przez to pół roku, kiedy nas bojkutowałeś. Chcesz wiedzieć? Prawie w ogóle się nie spotykaliśmy. A

jak już, to czuliśmy pustkę. Chłód. Prawda jest taka, że bez ciebie jesteśmy przypadkową zbieraniną. Z tobą jesteśmy przyjaciółmi. Bez ciebie wielkie miasto ma te wszystkie wady, o których mówi Ofir. Z tobą jest domem.

No, stary, budź się. To w tej chwili moje jedyne życzenie.

Jeśli się obudzisz, przeczytamy nasze karteczki z życzeniami.

Jeśli się obudzisz, ta książka nie stanie się requiem dla ciebie i dla naszej przyjaźni.

Jeśli się obudzisz, obiecuję, że nie będę się chował w pancerzu ochronnym ani nie będę się z ciebie nabijać „błyskotliwymi argumentami prawnika”. Wiesz, postanowiłem sobie, że napiszę ten epilog powściągliwie i rzeczowo, jak przystało na redaktora i prokuratora. Ale po prostu już nie mogę.

Od kilku dni co wieczór zbieramy się wspólnie przy twoim łóżku, żeby oglądać decydujące mecze Pucharu Świata.

Dołączyła do nas też nieśmiała dziewczyna z twoich warsztatów. Siedzi z boku, nic nie mówi, czasem wstaje, żeby nakarmić dwa ptaki, które przysiadają na parapecie koło twojego łóżka.

Przylatują tu od pierwszego dnia twojego pobytu w szpitalu. Czasem rozwijają skrzydła i lecą w inne miejsce, ale zawsze wracają. Ofir twierdzi, że jeden z nich to kolejne wcielenie Ilany, a drugi – Jorama Mendelzona. I że oboje chcą być przy tobie.

Amichaj twierdzi, że Ofir pieprzy głupoty (czyli wszystko po staremu).

Szachar Kohen przyjechał ze Słowenii ze swoim partnerem. Sprzedaje teraz Izraelczykom nieruchomości w Europie Wschodniej. My oglądamy mecze, a on próbuje nas namówić na kupno mieszkania w Budapeszcie albo Pradze, bo „po tym, co spotkało Juwałę, widać, że ten kraj jest chory i że każdy rozsądny człowiek powinien sobie znaleźć furtkę, by stąd uciec, a jeśli wszyscy przeprowadzicie się wspólnie, będzie wam łatwiej”.

Tobie zresztą też próbuje sprzedać mieszkanie. Co parę godzin obniża cenę, w nadziei że w ten sposób cię obudzi.

Amichaj uważa, że najlepiej, gdybyś się obudził w momencie, kiedy Brazylia zdobędzie bramkę, i namawia nas, żebyśmy ćwiczyli wspólny okrzyk: „Gooooo!”.

Ja liczę na książkę. Tę książkę.

Za tydzień, na dzień przed finałem, wybiorę się do drukarni Efroni, wezmę pierwszy egzemplarz i przyjadę prosto tutaj. Stanę koło twojego łóżka, pochylę się nad tobą i szepnę ci do ucha: „Stary, cztery życzenia się spełniły”.

Otworzę książkę i podstawię ci pod nos. Ciężka, słodka woń, zapach nowej książki, otworzy ci nozdrza i oczy. I pamięć.

– Kto zdobył puchar? – takie będzie pewnie twoje pierwsze pytanie, gdy przytomniejesz.

– Finał jest jutro – odpowiem. – Jeszcze wszystko się może wydarzyć.